



Michael
Viner

*Sen
o Ameryce*

hachette
POLSKA

pisane przez życie

Viner Michael

Sen o Ameryce

O ucieczce od trudnego życia do pięknej, znanej głównie z filmów, Ameryki marzą w Rosji tysiące kobiet. Nawet jeśli niektórym się to udaje, rzeczywistość często okazuje się zupełnie różna od oczekiwań. Bohaterki często spotykają się z brutalnością, wykorzystywaniem seksualnym i biedą, od których starały się uciec. Autor książki przeprowadził wiele rozmów z Rosjankami żyjącymi w Ameryce, pytając, czy ich nowe życie warte było poświęcenia rodziny, domu, przyjaciół, godności...



Wstęp

Na początku warto zadać sobie pytanie, co skłania młocie kobiety przybyłe do Stanów Zjednoczonych z dawnego Związku Radzieckiego do podjęcia pracy jako prostytutki bądź tancerki erotyczne. Obecna Rosja nie jest wrogiem USA, ale i tak mało wiadomo o emigrantkach zza żelaznej kurtyny: jak wyglądało ich życie w dawnej ojczyźnie i jakie mają oczekiwania wobec nowej. Większość z nich wyróżnia się nieprzeciętną urodą. Mają smykałkę do interesów, są obrotne i zaradne życiowo. Nie do zdarcia. Pod wieloma względami reprezentują zupełnie inny świat, tak różny od amerykańskiego.

Czy są niemoralne? A może wszystko im przesłania naturalna i zrozumiała chęć zapewnienia sobie lepszego życia? Trudno odpowiedzieć jednoznacznie na to pytanie. Losy tych kobiet są tak różne, jak różne są miejsca, z których przybyły. Związek Radziecki w czasach swej największej terytorialnej świetności zajmował jedną ósmą powierzchni globu i obejmował jedenaście stref czasowych. Rosja to kraj ogromny, ale liczy tylko 142 miliony mieszkańców i mimo napływu imigrantów z biednych krajów ościennych jej populacja zmniejsza się o ponad 750 ty-

sięcy rocznie. Co roku tysiące obywateli ruszają szukać gdzie indziej lepszej przyszłości. Uciekają od zagrożeń, jakie niesie zanieczyszczenie środowiska, AIDS oraz inne choroby, których leczenie jest nieskuteczne, niedostępne bądź zbyt drogie.

Zbieranie materiału do niniejszej książki trwało trzy lata i wiązało się z podróżami do Rosji i na Ukrainę. Z ponad dwustu historii opowiedzianych przez kobiety z dawnego Związku Radzieckiego początkowo wybrałem około stu najbardziej interesujących, mówiących o miłości, seksie, prostytutce, ubóstwie i głodzie. Nieraz słuchając moich rozmówczyń, śmiałem się, płakałem lub ogarniało mnie przerażenie. Ostatecznie dwadzieścia cztery opowiadania wydały mi się najciekawsze i najbardziej reprezentatywne dla pokolenia kobiet szukających szczęścia poza ojczyzną. W większości przypadków emigrantki osiągnęły wymarzone szczęście. Wiele z nich dorobiło się majątku i teraz w pełni należy do społeczeństwa amerykańskiego. Historie zakończone sukcesem są naprawdę radosne, historie porażek - rzeczywiście tragiczne. Niektórych nie zapomnę do końca życia.

Nie osądzam moich bohaterek. Ocenę pozostawiam czytelnikowi. Jako Żyd z pochodzenia, który chodził do szkoły katolickiej i mieszkał w wielu miejscach Stanów Zjednoczonych, dobrze bowiem znam tak zwany humor etniczny, oparty na stereotypach. Na przykład: „Po czym poznać, że dom został okradziony przez Azjatę?” Odpowiedź brzmi: „Ktoś odrobił zadanie domowe dziecka, za to brakuje psa”. Na pytanie: „Po czym poznać, że włamały się Rosjanki?” można by odpowiedzieć, że brakuje męża pani domu, a syn ożenił się z piękną cudzoziemką, której dawał lekcje angielskiego.

W 1993 roku ukazał się film *Niemoralna propozycja* z Robertem Redfordem i Demi Moore, opowiadający o przyzwyczajonej do dobrobytu parze, która popada w poważne kłopoty finansowe. Aby ratować sytuację, Demi Moore zgadza się spędzić noc z Robertem Redfordem za milion dolarów. Czy to prostytutka? Teoretycznie tak. Spójrzmy jednak na żyjącą w nędzy młodą dziewczynę z Syberii. Będzie zadowolona z każdej pracy, w której zarobi więcej niż dziesięć dolarów tygodniowo, a w Stanach Zjednoczonych dostanie nawet sto tysięcy za rozbieranie się w klubie lub za usługi erotyczne. Skoro Demi Moore się skusiła, czego wymagać od tych nieszczęsnych dziewczyn żyjących w skrajnym ubóstwie, jeśli w ten sposób mogą utrzymywać swoje rodziny. Wiele z nich liczy na to, że sprowadzą bliskich do USA, żeby oni także mogli skorzystać z dobrodziejstw lepszego świata.

Nawet w stosunkowo bogatej Moskwie czy Sankt Petersburgu nieliczne młode kobiety, którym się poszczęściło, zarabiają najwyżej pięćset dolarów miesięcznie, jak choćby pracownice „Jekateriny”, ekskluzywnego salonu futer Jekateriny Akuziny. Pracują po dziesięć godzin dziennie, do tego dochodzi uciążliwy dojazd zatłoczonymi moskiewskimi ulicami. W państwowym sklepie zarabiałyby dużo mniej. Pensja profesora uniwersytetu wynosi około dwustu pięćdziesięciu dolarów miesięcznie. Jeśli ktoś ma szczęście i dostanie posadę w zagranicznej firmie, to na kierowniczym stanowisku zarobi tysiąc dolarów. Koszt wynajęcia jednopokojowego mieszkania w Moskwie to nie mniej niż czterysta pięćdziesiąt dolarów miesięcznie. Ludzie naprawdę bogaci, jak Jekaterina i jej mąż Igor, nie muszą się martwić o pieniądze, żyją w luksusie, niczego sobie nie odmawiają.

Igor, wielki miłośnik futbolu, kupił wraz z przyjaciółmi prywatne boisko niedaleko swojej wspaniałej podmoskiewskiej rezydencji. Jekaterina ubiera się u włoskich projektantów i nosi torebki wyłącznie od Louisa Vuittona.

Takich bogaczy przeciętni Rosjanie oglądają w serialach typu *Santa Barbara* czy *Słoneczny patrol* i potem im się wydaje, że w USA wszyscy tak żyją. Czy Rosja jest w stanie moralnego rozkładu? Prawosławny ksiądz Wiaczesław Puszkarijew tak powiedział reporterowi „The Moscow Times”: „Pozostaliśmy Z tą infekcją, z tą chorobą degradującą wszystkie wartości. Żyjemy jak w wielkim kotle, w którym się wszyscy gotujemy”.

Zachorowalność na AIDS ma rozmiary epidemii. Walka Z tą chorobą musi być szczególnie trudna w kraju, gdzie dwadzieścia procent ludności zarabia poniżej trzydziestu ośmiu dolarów miesięcznie, a opieka zdrowotna uważana jest za luksus. Statystyki mówią wyraźnie, że w ciągu ostatnich dziesięciu lat ponad pół miliona Rosjan popełniło samobójstwo, co świadczy o tym, że wielu ludzi żyje w ubóstwie i jest nieszczęśliwych. Znaczne jest też skażenie środowiska. Mężczyźni w Rosji żyją średnio szesnaście lat krócej niż Amerykanie.

Życie rosyjskich kobiet nie jest lekkie, łatwe i przyjemne i jeszcze długo nie będzie. A w związku z tym dla wielu z nich jedyną szansą na lepsze życie jest świadczenie usług erotycznych Amerykanom.

Jedna z moich rozmówczyń zrobiła na mnie szczególne wrażenie. Ta siedemdziesięcioletnia kobieta, przed wielu laty w Związku Radzieckim zesłana na wyspę prostytutek, nadal zachowywała wewnętrzną siłę i pogodę ducha. Nie zapomnę też nigdy pewnej baletnicy z Sankt Petersburga, która zaczęła

kariere w wieku sześciu lat. Balet był dla niej najważniejszy. Z dumą twierdziła, że jest najpiękniejszą kobietą, jaką spotkałem w życiu. Kiedy odparłem, że z pewnością jest piękna, ale czy najpiękniejsza, to nie wiem, spojrzała mi prosto w oczy i odparła: „Nie podoba mi się ta odpowiedź”. Naprawdę tak myślała. Raz poszliśmy do nocnego klubu w Los Angeles. Poprosiła mnie do tańca, a ja zgodziłem się bez entuzjazmu. Przy trzecim tańcu oświadczyłem, że nie umiem tańczyć i nie chcę się wygłupiać. „A kto tam będzie na ciebie patrzył” - wypaliła bez wahania. I rzeczywiście, przy jej urodzie i tanecznej gracji nie miałem szans na wzbudzenie zainteresowania moją osobą. Do Stanów Zjednoczonych przyjechała dzięki temu, że wyszła za mąż za znanego filmowca. Opowiadała, że w noc poślubną poszła do łóżka z czterdziestotrzyletnim milionerem, a rano obudziła się obok mężczyzny, który miał pięćdziesiąt pięć lat i tkwił po uszy w długach. Okazało się, że jest jego piątą żoną. Spytałem o dalsze dzieje jej małżeństwa. Podobno od razu wyczuła, kiedy zbliżał się koniec, bo brylanty, jakie dostawała od męża, stawały się coraz mniejsze.

Bardzo lubię też opowieść o pewnej starszej pani, która po wielkich perturbacjach dostała wizę i przyjechała do USA na ślub córki, po czym zatrzymano ją na lotnisku JFK za przemyt narkotyków. Otóż nie ufając amerykańskim detergentom, kobieta ta przywiozła własny proszek do prania. Zwolniono ją, gdy w proszku nie wykryto narkotyków, ale ta historia pokazuje, że wielu Rosjan jest kompletnie nieprzygotowanych na spotkanie z amerykańską rzeczywistością.

Losy opisanych kobiet prezentują nowy, nieznany świat, a niektóre są naprawdę wstrząsające. Czasem wprost trudno

sobie wyobrazić, przez co przechodzą Rosjanki przybywające do USA, a mimo to niejedna z tych historii szczerze mnie zachwyciła. Mam nadzieję, że czytelnik też im się nie oprze*.

Kijów, 14 sierpnia 2007 roku

*Nazwiska i dane osobowe bohaterek zostały na ich prośbę zmienione.

Pewna wioska

Nie ma jej na mapie. Gdyby jednak znaleźć portowe miasto Astrachań, bogate w arbuzy i świeże ryby z pobliskiej Wołgi, widać wyraźnie, że na rzece, w odległości jakichś pięciuset metrów od wioski rybackiej Ikrjanaj, skąd pływa prom, leży mała, samotna wysepka. Ludzie, którzy znali jej historię, mówili na nią Suczyje Wysielki, bo w to miejsce władza sowiecka zwoziła prostytutki. Oficjalnie wyspa nazywa się Ninowka.

Kobiety lekkich obyczajów zaczęto tu przymusowo osiedlać w 1919 roku. W tamtych czasach nie wolno było poruszać się bez odpowiedniego dokumentu, a mianowicie metryki urodzenia. Zesłankom wbijano do metryki pieczętkę „anulowano” i już nie mogły opuścić wyspy.

Nie czuły się gorsze od sąsiadek, bo przecież wszystkie kiedyś parały się tym samym. Tutaj były sobie równe i tak samo nie miały przed sobą żadnych perspektyw. Zostały brutalnie wyrwane z dawnego życia i odizolowane od zdrowego radzieckiego społeczeństwa.

Aresztowania następowały przeważnie niespodziewanie, często na podstawie donosów lojalnych wobec systemu obywateli

czy choćby wścibskich sąsiadów interesujących się życiem bliźnich. Dalej sprawa toczyła się szybko, a stan cywilny i sytuacja rodzinna aresztowanej nie miały żadnego znaczenia. Nieważne, czy zatrzymana była mężatką, panną, rozwódką czy wdową, miała dzieci czy nie. Jeśli tylko padło na nią uzasadnione podejrzenie, jej los był przesądzony. Kobiety zabierano z domów, aresztowano na ulicy, w sklepie czy na targu, wszędzie. W ten sposób przed wizytami ważnych dygnitarzy i obchodami świąt państwowych pozbywano się z miast niepożądanego elementu.

Do wioski zwanej Suczyje Wysielki można było dotrzeć tylko statkiem.

Ta nadwołżańska osada liczyła około trzydziestu podobnie koślawych domków. Różniły się dachami, bo jedne miały kominy, inne - poddasza. Ogradzające je płoty były połamane i zarośnięte krzakami agrestu. Chaty stały wzdłuż jedynej ulicy, a między płotami rozciągały się druty, na których suszyły się ryby. Farba odłaziła ze ścian płatami, wiele okien było wybitych. Mogłoby się zdawać, że to wymarła wioska.

Kobiety, które dopiero co przyjechały, bardzo często zamykały się w czterech ścianach i w ogóle nie wychodziły na podwórko. Niektóre ogarniało szaleństwo. Już sam widok tych chat był mocno przygnębiający, a co dopiero mówić o mieszkaniu w czymś takim. Zdawać się mogło, że silniejszy podmuch wiatru zaraz porwie taką chałupkę. Dachy były dziurawe, podczas deszczu do wnętrza lała się woda i trzeba było podstawić naczynia, a w środku wszystko było przesiąknięte wilgocią. W zimie dziury w dachu zatykano torfem. Spano wtedy na piecach, bo tylko tam było bardzo ciepło. Na rzecznych falach kołysał się pomost zbudowany przez kobiety z desek

przyczepionych do samochodowych opon. Tego rodzaju konstrukcje dowodziły niebywałych zdolności adaptacyjnych ludzi radzieckich, którzy musieli nieraz przetrwać w niewyobrażalnie trudnych warunkach.

Byłam w ostatniej grupie kobiet zesłanych do wioski nierządnic, jak ją czasem nazywano. Jak wspomniałam wcześniej, pierwsze mieszkanki przywieziono tu wiosną 1919 roku. Pod koniec 1934 roku doszli nowi przybysze, rozkuła-czani chłopci, oraz pojawiło się jeszcze trochę prostytutek z rejonu Astrachania i Saratowa. Warunki życia pomалу stawały się nieco lepsze i zaczęto zakładać rodziny. Ludzie nie myśleli o przeszłości. Niektórzy nawet nie wiedzieli, że kiedyś żyły tu same prostytutki.

W czasie II wojny światowej świat zapomniał o małej wiosce. Tutejsi żywili się głównie rybami i warzywami z ogródków. Najstarsze mieszkanki już poumierały. Na początku lat pięćdziesiątych XX wieku przysła cholera i zebrała swoje żniwo. W 1955 roku przysłano ostatnie dziesięć prostytutek. Byłam jedną z nich.

* * *

Karmiono mnie piersią, a ochrzczona zostałam w cerkwi Spasa-na-Krowi w Stalingradzie*. Podczas ceremonii chrztu narobiłam w pieluszkę i babcia zawyrokowała, że pewnie zostanę ladacznicą. Jak się później okazało, proroctwo to spełniło się

Od kwietnia 1925 do 7 listopada 1961 roku Stalingrad; obecnie Wołgograd (przyp. red.).

nie tylko w stosunku do mnie, ale i do mojej mamy. Nie byliśmy zamożni. W tamtych czasach prostym ludziom żyło się bardzo ciężko. Ojciec był zatrudniony w fabryce broni, mama nie pracowała, bo wskutek rany odniesionej w 1919 roku, w czasie rewolucji, straciła prawą rękę. Uważała, że do niczego się już nie nadaje. Razem z babcią zajmowały się domem i ogrodem, w którym uprawiałyśmy ziemniaki, pomidory i inne warzywa.

Niewiele pamiętam z dzieciństwa. Mama sprzątała, gotowała, pracowała w ogrodzie albo szła po zakupy. Ja chodziłam do szkoły, gdzie głównie uczyłam się o Stalinie. Ojciec harował w fabryce i codziennie wracał do domu pijany, ale nie urządzał awantur. Siadywał przed domem i palił papierosy skręcane z własnego tytoniu. Babcia, która potem umarła, uszyła mi lalkę, jedyną, jaką miałam w życiu.

Gdy wybuchła II wojna światowa, ojca wysłano na front, a rok później przyszło zawiadomienie o jego śmierci. Ponoć zginął w obronie Moskwy. Dowódca napisał, że Iwan Siemionowicz Troszkin poległ śmiercią bohatera z rąk hitlerowskich najeźdźców, walcząc za ojczyznę.

Mama oszalała z rozpacz i zaczęła sprzedawać się za pieniądze. W czasie wojny mężczyźni spragnieni byli kobiecego ciała i ciepła i chętnie do niej przychodzili. W rezultacie urodził się mój brat Stiopa. Nie wiadomo, kto był jego ojcem. Ja byłam jeszcze mała i bardzo bałam się przychodzących do nas mężczyzn. Zawsze wtedy chowałam się pod stołem albo za zasłoną przedzielającą pokój. Gdy miałam jedenaście lat, urodził się mój drugi brat Nikita.

Gdy trochę podrosłam, zabierałam chłopców i wychodziłam z nimi na dwór, opiekowałam się nimi jak ojciec i matka.

Unikałam spotkań z gośćmi mamy, na samą myśl o nich aż trzęsłam się ze strachu. Gdy byli u niej, zachowywała się zawsze bardzo głośno. Wtedy jeszcze nie rozumiałam, co się tam dzieje. Na koniec z otwartego okna sączyła się strużka papierosowego dymu, dobiegał śmiech gościa i chichot mamy.

Bardzo ją kochałam. Codziennie wieczorem cesałam jej długie ciemne włosy. Tak strasznie było mi jej żal. W te dni, kiedy odwiedzali ją mężczyźni, gorzko potem płakała w nocy. Wtedy przytulałam się do niej, zapewniałam, że bardzo ją kocham i nigdy jej nie zostawię.

Nie mieliśmy łatwego życia. Nigdy się u nas nie przelewało, także jeszcze zanim zginął ojciec, a do mamy zaczęli przychodzić mężczyźni. Nieraz chodziliśmy spuchnięci z głodu. Do dziś pamiętam słodkawy smak zbieranych z opuszczonego pola zgniłych ziemniaków, które od lat leżały w ziemi i były zupełnie przemarznięte. Rano brałam małą łopatkę, szłam tam i uważałam to za wielkie szczęście, jeżeli udało mi się znaleźć ziemniaka wielkości ziarna fasoli. Ścinałam też pokrzywy, z których gotowaliśmy zupę. Trochę lżej nam się żyło, gdy mama zaczęła sypiać z żołnierzami. W domu pojawiała się wtedy herbata, ciemny chleb, a czasami nawet konserwy.

W 1949 roku wróciliśmy z braćmi do domu i znaleźliśmy mamę martwą. Zabił ją jeden z jej gości. Nikt się tym specjalnie nie przejął. Milicja orzekła, że to normalne w takim środowisku, zwłaszcza pod wpływem alkoholu. Sąsiadki, kiwając głowami, szeptały, że każdy ma to, na co zasłużył, i że tak już jest, gdy kobieta - zamiast zająć się trójką głodnych dzieci - rozkłada nogi przy byle okazji. W wieku trzynastu lat zostałam sierotą z dwoma małymi braciszkami, z których młodszy

miał dwa lata, starszy trzy. Byli ciągle głodni i załośnie prosili, żeby dać im jeść. A co ja miałam im dać? Dawniej mówiono, że to Bóg zsyła dzieci, nie było mowy o żadnej kontroli urodzin i nikt się niczym takim nie przejmował. Kobiety rodziły przeważnie co dwa lata. Duże rodziny były zjawiskiem normalnym, siódemka rodzeństwa nie należała do rzadkości. Oczywiście wiele z tych dzieci umierało na tyfus lub z głodu albo też ginęło w tragicznych okolicznościach.

Przestałam chodzić do szkoły, bo teraz miałam ważniejsze sprawy na głowie. Jakimś cudem udało mi się dostać pracę w sklepie. Rano sprzedawałam tam gazety, a wieczorami robiłam pranie dla marynarzy i żołnierzy. Dostawałam za to wojskowe konserwy, chleb i cukier w kostkach. Czasami dawali mi kartki żywnościowe, ale to było najgorsze, bo w sklepach stale wszystkiego brakowało. Jedzenia było za mało i nie mieliśmy ciepłych ubrań, a zimy bywały bardzo mroźne.

Pewnego razu poszłyśmy z sąsiadką Kławą na spacer na nabrzeże, gdzie stał zacumowany statek „Aurora”. Kława opowiedziała mi o kobietach biorących pieniądze za miłość. Nie widziałam innego wyjścia z sytuacji, więc postanowiłam tego spróbować. Zwęziłam białą sukienkę mamy i naszyłam na niej koronkę. Zrobiłam sobie czerwone plastikowe korale i uprasowałam czerwoną wstążkę do włosów.

Pierwsza noc była okropna. Rano wszystko mnie bolało i czułam do siebie wstręt. Wydawało mi się, że jestem obrzydliwa i brudna. Sukienkę miałam wymiętą, włosy potargane. Ale czy można mnie za to potępiać? Czy miałam jakiś wybór? Wstyd w końcu przeszedł, a w kieszeni zostało całe piętnaście rubli. Odtąd w domu były pieniądze, mogłam za nie kupić bra-

ciom ciepłe buty, spodnie i kufajki. Byli tacy szczęśliwi, gdy na śniadanie dostawali kaszę manną na mleku. Pracowałam cztery wieczory w tygodniu i to nam wystarczało. Moimi klientami byli głównie żołnierze. Załatwiałam sprawę szybko. Robiłam to wszędzie: w komórkach, w stogach siana, na dachach. Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek coś przy tym czuła. Myślałam jedynie, że chłopcy nie puchną już z głodu i są ciepło ubrani.

Mijał czas, bracia rośli. Nauczyłam ich czytać i pisać, a oni pomagali mi w ogrodzie, kopali grządki i utrzymywali porządek w domu. Pewnego dnia w kawiarni jakiś żołnierz powiedział, że do Stalingradu mają przyjechać ważni zagraniczni dygnitarze. Śmiejąc się, dodał, że w związku z tym władze zamierzają usunąć z ulic wszystkie prostytutki. W tamtych czasach słowo to było niemal zakazane jako niemające racji bytu w słownictwie człowieka radzieckiego. Nagle do środka weszło kilku mężczyzn w cywilnych ubraniach. Zabrali pięć z nas i zapakowali do samochodu. Z początku nie wiedziałyśmy, co się dzieje, a siedzący z nami przy stoliku żołnierze nie kiwnęli palcem w naszej obronie. No bo i z jakiej racji? Byłyśmy tylko po to, żeby miło spędzić czas i zaspokoić męskie potrzeby. Poza tym mogłyśmy nie istnieć.

Od milicjantów niczego się nie dowiedziałyśmy. Zaprowadzili nas do małego pokoiku, w którym ustawiono nas w szeregu. Dopiero wtedy wysłuchałyśmy odczytanych z kartki zarzutów, a potem musiałyśmy podpisać jakieś papiery. Zarzucono nam nieobyczajne i niemoralne prowadzenie się, w związku z czym stanowiłyśmy szkodliwy i hańbiący całe społeczeństwo radzieckie element, który musi zostać odizolowany. W Związku Radzieckim oficjalnie prostytutka nie istniała,

więc władze nie mogły nas zamknąć do więzienia. Za to zesłano nas tam, gdzie diabeł mówi dobranoc.

Milicjanci uprzedzili, że zostaniemy na komisariacie do rana, po czym nas wywiozą. Nie wolno nam było nawet pożegnać się z rodzinami. W zamian za seks w końcu jednak zgodzili się zawieźć nas na chwilę do domu. Milicjant, który mi towarzyszył, był wyjątkowo surowy i nieprzyjemny. Typowy przykład szarego, przeciętnego człowieka, który - gdy tylko dostanie choćby odrobinę władzy - zmienia się w potwora i tyrana.

W domu chłopcy smacznie spali. Ucałowałam ich po raz ostatni, zabrałam na drogę koc, stary samowar, paczkę herbaty i metrykę. Na stole w kuchni zostawiłam trzydzieści rubli. Płakałam, wychodząc, gdyż doskonale wiedziałam, że moich braci nie czeka nic dobrego. Bardzo się bałam, że beze mnie sobie nie poradzą. Miałam wtedy dziewiętnaście lat. Nigdy więcej ich nie zobaczyłam.

Do wioski zwanej Suczyje Wysiełki dotarliśmy w nocy. Najpierw jechałyśmy pociągiem, potem przepłynęłyśmy promem na wyspę, która sprawiałaaby wrażenie zupełnie wyludnionej, gdyby nie kilka błyskających w oddali światełek -poza tym widać było tylko zarośla i drzewa. Wysadzono nas na brzegu, dostałyśmy dziesięć pajd chleba i trochę wody oraz obietnicę, że później przywiozą nam więcej jedzenia.

Do wioski szłyśmy pieszo, patrząc na światła w oddali. Były tak nikle, że zdawało się, iż są bardzo daleko i nigdy do nich nie dotrzemy. Przerażona tym zapomnianym przez Boga i ludzi miejscem aż się rozplakałam. W tych chałupach mieszkały kobiety wywiezione w 1919 roku z Piotrogradu i Moskwy. Zaraz po rewolucji październikowej władze radzieckie nie prześlado-

wały prostytutek, ale też nie zaliczały ich do ofiar kapitalistycznego wyzysku. Dopiero po jakichś dwóch lat zaczęto „czyścić” ulice i pozbywać się „zdegenerowanego elementu”, jak nazywano przedstawicielki najstarszego zawodu świata.

Mieszkanki wyspy żyły w prowizorycznie skleconych budach, będących konstrukcjami z drewna oblepionymi gliną. Ponoć do dziś w tych domach żyją ludzie. Pierwsze zesłanki dawno zmarły, ale ich dzieci i wnuki jeszcze tam mieszkają i może nawet nie wiedzą, jaką profesją parały się ich matki i babki.

Miałam szczęście, bo nie musiałam budować sobie domu. W wiosce zmarła niedawno samotna baba-wiedźma nazwiskiem Makarowna i ta z nas, która się nie bała, mogła od razu zamieszkać w jej chacie. Zgłosiłam się natychmiast, inne nie miały odwagi. A mnie, prawdę mówiąc, było wszystko jedno. Wioska do tego stopnia przygnębiała swą nędzą, że i tak człowiek tracił nadzieję na jakąkolwiek lepszą przyszłość.

Z początku załamalam się. Myślałam z rozpaczą, że w piekle byłoby mi chyba lepiej. Ściany się waliły, była to właściwie ruina. Gdyby nie małe okienka z firankami, osadzone tuż przy podłodze, można by pomyśleć, że to ziemianka lub komórka na narzędzia.

Gdy tylko się wprowadziłam, od razu zaczęło się gadanie, że pewnie za diabelskim podszeptem wybrałam akurat ten dom. Stara Makarowna przez ostatnie dwa tygodnie strasznie się męczyła, a umarła tuż przed naszym przyjazdem. Mieszkańcy zrobili w dachu dziurę, bo jak wiadomo, nie wolno dopuścić, by czarownica umarła w zamkniętej przestrzeni. Wierzono też, że dusza wiedźmy nie opuści ciała, dopóki ta nie przeka-

że wiedzy swojej następczyni. Dopiero wtedy może umrzeć. Makarowna nie miała nikogo bliskiego, całe życie była sama. Wieś chodziła do niej po radę, ale bardzo się jej bano.

W Suczych Wysielkach żyło niewielu mężczyzn i kobiety gotowe były walczyć o nich na śmierć i życie. Do Makarowny przychodziły po ratunek, chcąc odmienić choć trochę swój ciężki los. Musiało zdarzać się to często, bo ziemia na ścieżce prowadzącej do jej domu była mocno ubita. Wiedźma umiała poradzić, jak odbić mężczyznę innej kobiecie i zmusić go, żeby się zakochał, i to na zawsze. Potrafiła też sprawić, by mężczyzna przestał pić i łajdaczyć się z innymi babami.

Śmierć Makarowny była zatem wielką stratą dla tutejszej społeczności. Kobiety utraciły dotychczasowe wsparcie i poczucie, że mogą mieć jakikolwiek wpływ na swój los. Tylko nieliczne były zadowolone, że skończyły się wreszcie czary, uroki i diabelskie zaklęcia.

Zrobiłam w chałupie porządek, wyrzuciłam mnóstwo ogar-ków świec, suszonych ziół i woskowych figurek, na wszelki wypadek zostawiając tylko spis uroków i pamiętnik czarownicy. Zaraz po przyjeździe do wioski napisała:

25 marca 1919 roku. Ósmy dzień drogi, jestem głodna. Podróż była ciężka. Wieziono nas pociągiem towarowym, nie było na czym usiąść ani czym oddychać, nie było też kropli wody, żeby zaspokoić pragnienie. Potem dwie doby szłyśmy bez przerwy, aż Wita zemdląła i upadła. Strażnik szarpał ją za włosy i kopał. Z trudem dobrnęłyśmy do wioski po zamarznętej rzece. Nie ma tu nic do jedzenia. Obiecali przywieźć ryż, ale nie wiadomo, kiedy to będzie. Wskazali nam ziemiankę, że to niby ma być nasz dom. Jedyny na wyspie. Dokoła biała pustynia i ani żywej duszy.

* * *

Wszystkie noże w domu były tępe, z trudem dało się nimi kroić chleb. W Rosji mówi się, że jak noże są tępe, znaczy - nie ma w domu mężczyzny, bo to on zgodnie z tradycją je ostrzy. Z pewnością w moim przypadku tak było.

Zostawiłam naczynia po Makarownie, bo ze sobą przywiozłam tylko samowar, dwie łyżki i talerze. W długie samotne wieczory nastawiałam samowar, piłyśmy z sąsiadkami herbatę i gadałyśmy. Jak tylko tam zamieszkałam, przyszła Wita i powiedziała: „Eugenio Iwanowno, radzę żyć z ludźmi w zgodzie. Proszę nie flirtować z tutejszymi mężczyznami, bo napyta sobie pani biedy. Baby zatłuką panią na śmierć”.

Byłyśmy tu uwięzione, do wielu rzeczy musiałyśmy się przyzwyczaić, wiele rzeczy zaakceptować i trzeba było przestrzegać niepisanych praw wioski. Nie mając ważnych dokumentów, nie mogłyśmy opuszczać Suczych Wysiełek. Raz na tydzień z astrachańskiego rejonu przyjeżdżał milicjant, żeby sprawdzić, czy wszystkie jesteśmy i czy panuje spokój. Nie było żadnych strażników ani drutu kolczastego, ale i tak nie dałoby się stąd daleko uciec. Kilka odważnych próbowało dostać się na „wielki ląd”. Raz z rybakami uciekły trzy kobiety, ale udało im się przetrwać zaledwie tydzień. Nie mogły znaleźć żadnej pracy, bo musiały kryć się przed ludźmi, jako że w okolicznych wioskach wszyscy się znali. A na podróż do Astrachania potrzebne były pieniądze, których przecież nie miały.

Wszystkie trzy wróciły na wyspę, a we wsi zapowiedziano, że odtąd nadzór będzie całodobowy. Jak któraś ucieknie, to się ją przekaże w ręce NKWD, które bezlitośnie wykańczało każde-

go, kto „hańbił lud radziecki”, czyli nie służył państwu sowieckiemu, miał inne poglądy i obyczaje. Częstymi ofiarami służby bezpieczeństwa byli drobni rzemieślnicy, Ukraińcy i Żydzi. Z więźniami obchodzono się okrutnie, torturowano, wrywano paznokcie, wiązano ręce i nogi drutem kolczastym. Ludzie strasznie bali się bezpieki. W przypadku mieszkanek naszej wsi dochodził jeszcze wstyd z powodu dawnego życia.

Do miasta wolno nam było jeździć jedynie do łaźni, a do szpitala tylko, gdy zbliżał się termin porodu. Poza tym musiałyśmy sobie jakoś radzić. Ludzie czasami przywozili nam na wyspę jedzenie, prowadziłyśmy także handel wymienny z rybakami, którzy przyplýwali do nas po truskawki. Tym truskawkom zawdzięczałyśmy wiele słodkich chwil.

Natasza była pierwszą kobietą na wyspie, która urodziła dziecko. Zaszła w ciążę z rybakiem, który raz tylko do nas przyplýnął. Gdy nadszedł czas porodu, poprosiłyśmy milicjanta, żeby ją zawiózł do miasta. Dostała przepustkę na pięć dni, ale poród się opóźnił i kiedy milicjant pojechał po nią do szpitala, dopiero co zaczęła rodzić. Na szczęście milicjant zlitował się nad nią i ukrył przed zwierzchnikami fakt, że wróciła do wioski dzień później. Potem ożenił się z nią i wyjechali do innego rejonu. Natasza była atrakcyjna, choć niewysoka. Miała kasztanowe kręcone włosy i dość młodą twarz, a do tego chodziła zawsze czyściutko i ładnie ubrana. Umiała tak ponaszywać kolorowe wstążki na sukienkę, że ta wyglądała jak nowa. Aż do porodu ubierała się w najmodniejsze kreacje, które sama sobie szyła.

Miałam dwadzieścia pięć lat, kiedy zakochałam się w marynarzu Piotrze. Miał czterdzieści lat i dość długo zabiegał o moje względy. Przywoził mi świeże brzoskwinie i szczupaki, pomалу wyremontował cały dom, potem zaczął zostawać na noc, aż w końcu zamieszkał na stałe. Bardzo go kochałam. Był męski, przystojny, wysoki i szczupły, a

jednocześnie silny. Czasem nie mogłam uwierzyć, że to nie jest sen. Przepęłniała go energia, chwili nie mógł usiedzieć bezczynnie, a poza tym grał na harmonii, co było wielkim atutem w życiu towarzyskim wioski. Siadywaliśmy czasem przed domem, Piotr grał, a ja śpiewałam starą piosenkę: „Tyle jest światła w mieście Saratowie, tylu jest samotnych mężczyzn. A ja kocham jednego, żonatego”.

Pietia też mnie kochał. Kiedyś po powrocie z rejsu z dumą podwinął rękaw koszuli i pokazał na lewym ramieniu tatuaż: „Kocham Żenię”. Przysięgał, że zawsze będzie mnie kochać, i chciał, żeby cały świat o tym wiedział. Jakiś czas mieszkaliśmy bez ślubu, ludzie jednak zaczęli gadać. Po prostu chcieli mieć wesele, zabawę i jakąś rozrywkę. Pietia nie miał nic przeciwko temu. Zawsze to okazja, żeby napić się samogonu. W każdej niemal chałupie pędzono bimber, a potem robiono z niego ziołowe i owocowe nalewki. Kiedy Pietia się upił, stawał się cichutki i spokojny. Czasem tylko uskarżał się na trudne dzieciństwo i ciężkie czasy, a potem zawsze zasypiał.

Nie stać nas było na pierścionek ani na obrączki i Pietia zrobił je ze srebrnego drutu, który sam złutował. Na naszym weselu byli wszyscy mieszkańcy wyspy. Zgodnie z rosyjską tradycją bawiliśmy się cały tydzień. Jedliśmy, piliśmy, tańczyliśmy, śpiewaliśmy, niektórzy się pobili. Dwa lata później wciąż było jak podczas miodowego miesiąca. W ogóle się nie kłóciliśmy. Ludzie chętnie do nas zachodzili, taki mieliśmy miły i swojski dom. Ale nasze małżeństwo nie trwało długo. Okazało się, że

nie mogłam mieć dzieci. Z początku Piotr twierdził, że wcale nie musimy być rodzicami, najważniejsze, że się kochamy. Potem jednak zmienił zdanie.

Pewnego dnia przywiózł sobie z Saratowa nową żonę. Z początku rozpaczalam i nieustannie zalewałam się łzami, potem jednak pogodziłam się z losem. Nauczyłam się jakoś żyć bez niego. Tylko czasami, gdy zobaczyłam go z Kateriną, wpadałam w szał i tłukłam talerze, nie byłam w stanie nic jeść, trudno mi było oddychać, a jeszcze trudniej żyć. Próbowałam wszystkiego. Trafiłam nawet do szpitala, bo zachorowałam na serce. Z tej nieszczęśliwej miłości postanowiłam się utopić i wskoczyłam do rzeki, ale uratował mnie rybak.

Przypadkiem podczas robienia porządków wpadła mi w ręce księga Makarowny. Znalazłam w niej zaklęcie, jak zdobyć mężczyznę i odgonić smutek. Zrobiłam wszystko wedle wskazówek wiedźmy. Poszłam na cmentarz, znalazłam grób mężczyzny o imieniu Piotr, zapaliłam świecę, położyłam na krzyżu lusterko i wyrzekłam następujące słowa: „Rabie boży Piotrze, rozkazuję ci wrócić do zakochanej w tobie Żeni, która cię pragnie. Odtąd nie będziesz mógł żyć bez niej, jak ryba nie może żyć bez wody”.

Niedługo czekałam na efekt. Sama nie wiem, czy to zadziałał urok, ale Piotr zaczął do mnie przychodzić, z tym że posiedział zawsze tylko troszkę i nigdy nie zostawał na noc. Kochał się ze mną, potem napił się samogonu i wracał do nowej żony. Mówił, że przecież i tak zawsze będę go kochać i nigdy go nie rzucę. Ranił mnie tym boleśnie, ale i tak kochałam go jak wariatka.

Najcenniejszą dla mnie pamiątką po moim pierwszym małżeństwie jest stare zdjęcie. Przechowuję je pieczołowicie razem

z drucianymi obrączkami i szalem, który dostałam od Piotra. Nigdy potem nie byłam taka szczęśliwa. Zawsze będę pamiętać ten dzień, w którym włożyłam jedyną suknię ślubną, jaka była w wiosce. Była to droga, różowa suknia, którą „z dawnego życia” przywiozła ze sobą Marina, jedna z sąsiadek. Korzystały z niej wszystkie panny młode na wyspie. Aż trudno zliczyć, ile razy była zwięzana, cerowana, przerabiana. Bardzo możliwe, że nadal jeszcze komuś służy.

I tak Piotr przychodził do mnie, a ja cierpiałam niewysłowione męki. Pragnęłam zadać mu ból, udowodnić, że mogę być szczęśliwa bez niego. Zajrzałam ponownie do księgi czarownicy i znalazłam zaklęcie przywołujące kochankę. Zima minęła jednak w samotności, przyszła wiosna i lód na rzece stopniał. Piotr wciąż mnie odwiedzał, ale nadal nie zostawał na dłużej. Ja cierpiałam, a we wsi huczało od plotek. Trudno było ukryć się przed ludźmi, trudno było uciec od pogardliwych spojrzeń.

Pewnego dnia na wyspie zjawił się cudzoziemiec. Był gruby i niski, zupełnie inaczej ubrany niż nasi ludzie, i mówił z obcym akcentem. Jego widok nieco mnie rozbawił. Właśnie wracałam z rzeki, niosąc wodę. Ot, prosta Rosjanka z warkoczem i w kaloszach wciągniętych na boscie stopy. Łamanym rosyjskim zapytał mnie, czy jest tu gdzieś hotel albo jakieś miejsce na nocleg. Roześmiałam się serdecznie, a on zamilkł speszony. Wyjaśniłam, że to biedna wioska i nie mamy nawet ciepłej wody, tylko kąpiemy się w bani, gdzie jest gorąca para, bo polewa się wodą rozgrzane kamienie. A włosy myjemy mydłem zrobionym w domu z dodatkiem ziół.

Mężczyzna przedstawił się jako David i powiedział, że pisze książkę o ludziach radzieckich i ich sposobach na przetrwa-

nie. Przyjechał z Ameryki, był już w Moskwie, Stalingradzie i Astrachaniu. Usłyszał o naszej wiosce i chciał ją zobaczyć. Spytał, czy może u mnie pomieszkać przez tydzień, i zaproponował za to wprost niewyobrażalną sumę pieniędzy. Zgodziłam się, ciesząc się też i z tego, że choć przez parę dni będę mieć towarzystwo.

Poczęstowałam go gotowanymi ziemniakami z cebulą i olejem kukurydzianym. Pokroiłam śledzie, które przedtem sama zasoliłam w becze, do tego podałam szklankę wódki. W rosyjskim domu zawsze częstuje się gości wódką. David z trudem ją wypił, a potem poprosił, żebym mu powiedziała, co to znaczy być Rosjaninem. Był nami zafascynowany, uważał, że jesteśmy ludźmi o wielkiej fantazji i wrażliwości.

Spytał, gdzie mam ubikację. Pokazałam maleńkie pomieszczenie odgródzone od kuchni zasłoną, gdzie stało żelazne wiadro. Przez pierwsze dni David przeżywał szok za szokiem. Szybko jednak nauczył się przynosić wodę z rzeki i rąbać drwa. Zaczął też grać na harmonii. Ciągłe coś zapisywał w notesie w nieznanym mi języku. Polubiliśmy się.

Zwierzylałam mu się, że chciałabym odszukać braci w Stalingradzie. Zaproponował, żebyśmy pojechali tam razem, i zdobył dla mnie pozwolenie na opuszczenie wioski na kilka dni. Udaliśmy się zatem do Stalingradu, do naszego starego domu, lecz została po nim jedynie pusta działka zarośnięta trawą. Dom rozebrano. Sąsiedzi albo nie żyli, albo zostali zesłani. Zrozumiałam wtedy, że jestem na świecie zupełnie sama i rozplakałam się gorzko, a David płakał wraz ze mną. Twierdził, że widząc w moich oczach tyle bólu i cierpienia, nie może powstrzymać łez.

Wróciliśmy do wioski. Wieczorem przyszedł Piotr i zastał Davida. Wściekł się, zaczął walić pięścią w stół i krzyczeć:

— Ty suko! A ja do ciebie przychodziłem, jak świętą cię traktowałem. Chciałem do ciebie wrócić!

Rozpłakałam się, a David stanął w mojej obronie i powiedział Piotrowi:

- Tylko nie tym tonem do mojej narzeczonej, bo cię nie zaprosimy na nasz ślub.

To ci dopiero była dla mnie nowina, a Piotr aż usiadł, słysząc te słowa. A więc zaklęcie czarownicy chyba podziałało... W ten sposób David na stałe wszedł do mojego życia i nie byłam już sama. Zaczęliśmy przygotowania do ślubu. Nawet nie spytał mnie o zgodę i o wszystkim decydował sam, ale mnie to nie przeszkadzało. Znowu byłam narzeczoną. Kobiety w wiosce mi zazdrościły, ale na wesele przyszły, bo każdy lubi pojeść i się zabawić, a to było możliwe tylko podczas takich okazji.

David miał wtedy czterdzieści osiem lat, ja trzydzieści sześć. Ślub dawał nam miejscowy pop. David był ateistą i pierwszy raz wstępował w związek małżeński. Dotąd głównie podróżował po świecie, zbierając materiały do książek, i pisał. Ze ślubem nie było żadnych trudności. Pojawiły się potem. Obywatelka radziecka nie mogła tak po prostu wyjechać z mężem do innego kraju. Kontakty z cudzoziemcami uważane były za zdradę narodową. Jednak David bardzo mnie kochał i nie miał zamiaru się poddawać. Zachwycały go moje oczy. Godzinami siedział bez ruchu i gapił się w nie. Zawsze bardzo mi współczuł, że tyle w nich bólu i cierpienia.

W tych czasach obywatel radziecki mógł wyjechać tylko wtedy, gdy otrzymał izraelską wizę w ramach łączenia rodzin.

David był Żydem, a ja zostałam jego żona, pojechał więc do *Izraela.*, żeby stamtąd spróbować coś zdziałać. Na całym świecie miał dużo znajomości i kontaktów. W Izraelu załatwił dla mnie fałszywe, ale bardzo porządnie wyglądające dokumenty i zaświadczenia, po czym złożył podanie o połączenie rodziny. Tak naprawdę najwyżej jedna czwarta Żydów wyjeżdżających na stałe ze Związku Radzieckiego udawała się do Izraela. Trzy czwarte wołało jechać do Wiednia i tam starać się o azyl polityczny w Stanach Zjednoczonych, Kanadzie czy w innych krajach Europy Zachodniej.

Rzadko miałam kontakt z Davidem podczas jego pobytu w Izraelu. Przysłał mi dwie depesze tej treści: „Cierpliwości, najdroższa, bądź dzielna. Wkrótce będziemy razem”. Kobiety z naszej wsi naśmiewały się ze mnie. Zazdrośnice cieszyły się, że nie trafi mi się lepszy los niż im i że nie będę szczęśliwa. Uważały, że mąż porzucił mnie zaraz po ślubie. Zabawił się moim kosztem i odjechał w siną dal.

Pewnego wieczoru 1975 roku do moich drzwi zapukali dwaj panowie w cywilnych ubraniach. Kazali po cichu, jeszcze przed wschodem słońca, spakować się i przygotować do wyjazdu. Przeraziłam się, nie wiedziałam, o co chodzi. Myślałam, że jestem aresztowana za kontakty z cudzoziemcem.

Rano przyszli po mnie i dostałam nowe dokumenty. Wyspę opuściliśmy chyłkiem, potem bocznymi drogami pojechaliśmy na moskiewskie lotnisko Szeremietiewo i tam mnie zostawili. Wtedy podszedł do mnie David. W samolocie siedzieliśmy obok siebie. Dał mi nową metrykę i pozostałe dokumenty. Z Żeni Troszkiny stałam się Sarą Stoltz. David zrobił ze mnie Żydówkę. Podczas lotu strasznie się bałam, nigdy jeszcze

nie latałam samolotem. Byłam pewna, że zaraz spadnie i wszyscy zginiemy.

Zupełnie nie potrafiłam wyobrazić sobie przyszłości. Nie znałam innego życia niż dotychczasowe, nie wiedziałam nic

o świecie. W Ameryce wystąpiliśmy o azyl polityczny dla mnie

I znowu wzięliśmy ślub. Zaczęłam się uczyć hebrajskiego. Zamieszkaliśmy w Ridgefield w stanie Connecticut. Z początku bałam się Ameryki, ale potem coraz bardziej mi się tu podobało. Dla mnie był to raj, gdzie w sklepach można kupić jedzenie bez kolejki, a ludzie są uśmiechnięci i szczęśliwi. Byłam głęboko wdzięczna losowi za tak wspaniały prezent i wcale nie tęskniłam do ojczyzny, która odebrała mi normalne dzieciństwo i młodość oraz odcisnęła bolesne piętno na całym moim życiu. Ameryka stała się moim krajem z wyboru. Żenią Troszkina umarła wiele lat temu. Noszę w sobie tylko jej wspomnienie.

Z początku trudno mi było się porozumieć z ludźmi. Ciężko mi szło przyswajanie sobie obcego języka, skoro nie miałam przedtem prawie żadnego wykształcenia. Ale David wspierał mnie i codziennie pomagał w nauce. Doskonale rozumiał, jakie to wszystko jest dla mnie trudne. W tamtych czasach Rosjan w Ameryce było niewiele, a ludzie mało o Rosji wiedzieli. Traktowano mnie jak swoistą atrakcję i wiele osób przychodziło do nas z ciekawości, żeby mnie zobaczyć. Jednak mimo przyjemnego życia u boku Davida pozostałam w środku tą samą zwykłą Rosjanką.

Mężem zajmowałam się, jak umiałam najczulej. Co dzień wstawałam wcześniej rano i szykowałam mu śniadanie. Uwielbiał grube rosyjskie bliny ze śmietaną i dżemem malinowym. Sam nauczył się gotować barszcz i rassolnik z kaszą

i kiszonymi ogórkami. Na kolację zawsze wychodziliśmy do restauracji. David żył dniem dzisiejszym, starał się jak najwięcej brać z życia i zawsze robił to, na co miał ochotę. Przed wyjściem z domu całował mnie i powtarzał niezmiennie: „Kocham cię i mówię ci to na wypadek, gdybym nie wrócił”. Nie żałował pieniędzy na ubrania dla mnie i na nasze przyjemności. Czasem myślę sobie, że kochałam go przede wszystkim za tę jego łagodność i dobre serce. Był bardziej jak przyjaciel niż jak mąż. Ciągłe mi powtarzał, jak bardzo jest wdzięczny za to, że z nim jestem i że może mnie kochać.

Nie musiałam pracować, zresztą on nie chciał, żebym coś robiła. Wydał osiem książek, z których dochód zapewniał nam dostatnie życie. Umarł sześć lat temu we śnie. Lekarz stwierdził zawał. Miał siedemdziesiąt osiem lat. Bez niego moje życie stało się samotne i puste.

Cały czas o mnie myślał. Codziennie kupował mi drobne prezenciki, czekoladki i kwiaty doniczkowe. Jeszcze dziś mój dom wygląda jak oranżeria. Nie wiem, kto weźmie wszystkie te skarby, kiedy umrę. Jednak moją jedyną prawdziwą miłością był Piotr, ale to już daleka przeszłość, która coraz bardziej zaciera się we wspomnieniach. Wiem, że wzajemny szacunek jest w życiu znacznie ważniejszy niż namiętne uniesienia. David uwielbiał mnie do kresu swoich dni. Przygarnęłam niedawno małego kotka i nazwałam go Dave. Każdy mój dzień wygląda tak samo. Jadę na cmentarz, na grób Davida, rozmawiam z nim, opowiadam mu o swoim życiu, o naszych przyjacielach i znajomych, a potem wracam do domu. Czasami przychodzą do mnie koleżanki i gramy w karty albo wróżymy z fusów. Nigdy nie jest nudno. Piszę też autobiografię, która może

zainteresuje kogoś, gdy mnie już nie będzie. Jestem szczęśliwa. Cieszę się z wolności i z każdego dnia danego mi przez Boga. Mam siedemdziesiąt dwa lata. Moje życie było pełne zawirowań i burz, ale się go nie wstydzę.

Jeśli Suczyje Wysiełki jeszcze istnieją, pewnie nie żyje już żadna z dawnych mieszkanek. Od znajomej, która przyjechała do Ameryki i zadzwoniła do mnie, dowiedziałam się, że jak tylko upadł reżim radziecki, mieszkańcy dostali dokumenty i wiele osób wróciło do domu albo wyjechało do innych miast, do Astrachania czy Moskwy.

Kilka młodych kobiety wydoszło się stamtąd wcześniej. Pewnego dnia na wyspę przyплыnęli dwaj mundurowi i ogłosili nabór dziewczyn do ważnej pracy. Jedna z nich była naprawdę piękna. Miała blond włosy i niebieskie oczy. Mówiono potem, że pracuje w daczce Chruszczowa, która znajdowała się na sąsiedniej wyspie. Były też takie mieszkanki wioski, które nie chciały zostawić swoich domów, bo czuły się zbyt mocno związane z tym miejscem. Kto wie, może dożyły tam swoich dni, a może jeszcze żyją i spotykają się na ploteczki, z trudem wiążąc koniec z końcem i przechowując w pamięci dawne sekrety. Czasem mi się zdaje, że jestem z nimi i że jakaś część mnie wciąż tam mieszka.

Jak spełniają się marzenia

Zawsze marzyłam o życiu jak w bajce. Nie wiem, skąd brała się u mnie ta tęsknota, ponieważ wychowałam się w biedzie i nic poza tym nie znałam. Mama umarła, kiedy miałam dwa lata, i w ogóle jej nie pamiętam. Zostało po niej tylko kilka starych fotografii i opowieści taty. Ojciec bardzo ją kochał, a mnie rozpieszczał, jak tylko mógł w tych skromnych warunkach, w jakich żyliśmy.

Mieszkaliśmy w komunałce, czyli wspólnym mieszkaniu, w Iwanowie, mieście położonym w zapadłym kącie Rosji. Na podwórku była tylko jedna huśtawka, zrobiona przez pijaka Wasię. Ot, zwykły kabel zawieszony na gałęzi. Zazdrościłam dzieciom mijanym na ulicach, bo wyobrażałam sobie, że mają jedzenia pod dostatkiem i zawsze mogą się najeść do syta. U nas w domu pojawiały się kolejne „macochy”, zmieniały się regularnie jak pory roku i żadna nie zagrzała miejsca na dłużej. Gdy ojciec zginął w wypadku, miałam szesnaście lat. Przygniotła go maszyna w fabryce, w której pracował. Po jego śmierci skończyłam szkołę wieczorową, dorabiając sobie na targu warzywnym.

Mitię poznałam w dyskotecie. Byłam inteligentna i ładna, miałam tlenione blond włosy i duże brązowe oczy, które starannie podkreślałam kredką, a do tego bardzo piękny głos, jak u księżniczki z bajki. Teraz jest zupełnie zniszczony przez papierosy i rozmawiając ze mną przez telefon, trudno poznać, czy to głos kobiecy, czy męski. Natomiast kiedy w młodości zaczynałam śpiewać, wszystkich facetów miałam u swoich stóp. W Mitii, pierwszym mężczyźnie w moim życiu, zakochałam się niemal natychmiast. Miałam siedemnaście lat, kiedy się pobraliśmy.

Był hydraulikiem w tej samej fabryce, w której pracował ojciec. W Iwanowie statystycznie jeden mężczyzna przypadał na dwie kobiety i mówiono, że jest to „miasto panien na wydaniu”. Miałam dużo szczęścia, bo Mitia był sympatyczny. Zarabiał więcej niż jego koledzy, a zarobki przynosił w całości do domu i oddawał mnie. Sporo pił, ale nie za swoje, bo zawsze znaleźli się tacy, którzy mu chętnie stawiali. Wszyscy szanowali Mitię.

Bił mnie, co robią niemal wszyscy mężczyźni w Rosji, ale rzadko i tylko wtedy, kiedy zasłużyłam. Bardzo mnie kochał i był zazdrosny. Zarzucał mi, że za dużo wydaję na szminki i buty. Nie był skąpy, tylko nie mógł zrozumieć, po co się maluję i ładnie ubieram. „Dla kogo to?” - pytał. Powtarzał, że wyglądam jak ładacznicą. Nieraz, kiedy się rozłościł, podmalował mi pięścią oko. Ale nic więcej. Byłam atrakcyjna i lubiłam flirtować, a zatem Mitia coraz częściej miał powody, aby mnie karać. Wiedziałam, że nie ma na to rady, bo mężczyźni w Rosji już tacy są. Na szczęście był taki jeden świetny krem o nazwie „Balet”, który doskonale maskował siniaki. Nadal nie bardzo wiem, czemu akurat tak go nazwano. Nadawałby się do robie-

nia makijażu nieboszczykom, bo wystarczyłoby raz posmarować, a denat wyglądałby jak żywy. Skóra po nim robiła się jak u dziecka.

Mimo wszystko uważam, że Mitia był dla mnie dobry i miałam fart, że trafiłam na niego. Gdy pomyślę o koleżankach, które miały mniej szczęścia, na przykład o tej, którą mąż pociął na kawałki siekierą, to mój Mitia wydaje się księciem z bajki. Denerwowało mnie u niego jedno. Ponieważ uwielbiał słodcyce, a zwłaszcza słodkie mleko skondensowane, zawsze po powrocie z pracy robił w puszcze dziurkę i wypijał wszystko aż do dna. Dla mnie był to przejaw braku kultury. Przez trzy lata żyłam z nim szczęśliwie. Zdarzały się dobre i złe dni, ale nie ma idealnych ludzi ani idealnych związków. Od czasu do czasu żal mi się robiło, że moja uroda się marnuje, i marzyło mi się życie z kimś innym, bogatszym i bardziej inteligentnym. Ale nie chciałam zdradzać męża.

Pewnego dnia, prosząc Mitię pokornie o wybaczenie, szczerze wyznałam, że go już nie kocham. Najpierw mocno to przeżył, a po jakimś czasie po prostu sprowadził sobie drugą babę. Jak już wspomniałam, w naszym mieście wolni mężczyźni stanowili nie lada gratkę. Jak któraś wyrzuciła swego chłopca, to już czekała na niego następna. A mężczyznom nie robiło różnicy, z kim są, byle kobieta była pod ręką, a jedzenie czekało na stole.

Rozwiedliśmy się. Liczyłam, że wkrótce zabłyśnie moja szczęśliwa gwiazda, i martwiło mnie jedynie to, że w wieku dwudziestu jeden lat mam wpisane w dokumentach, że jestem rozwiedziona. Dla wielu mężczyzn ślub z rozwódką to jak ślub z kobietą, która nie była dziewicą w noc poślubną. Dałam więc sędziemu łapówkę, żeby z papierów zniknął fakt mego nieudanego małżeństwa, i w ten sposób znów miałam czyste konto.

Sprzedalam pokój w komunalce, który został mi po ojcu, i wynajęłam mieszkanie w centrum. Połowę uzyskanej sumy wydałam na siebie, uznawszy, że samotna kobieta powinna się jak najkorzystniej prezentować. Nawet jak wychodziłam po drobne zakupy czy wyrzucić śmieci, starałam się wyglądać dobrze, bo moim zdaniem tylko w ten sposób kobieta może coś w życiu osiągnąć. Losowi trzeba pomagać. Nigdy nie wiadomo, kiedy przyjdzie szczęście, i dlatego zawsze trzeba być w gotowości jak żołnierz w okopie.

Niestety, pieniądze mają to do siebie, że szybko się kończą. Nadszedł taki dzień, że nie stać mnie było więcej na restauracje i bezczynne wyczekiwanie, aż trafi się mężczyzna, który da mi szczęście. Musiałam sama zrobić coś, żeby jakoś przetrwać i nie tylko nie stracić wszystkiego, lecz zyskać jeszcze więcej. Podjęłam więc decyzję. Odpowiedziałam na ogłoszenie, w którym szukano młodych dziewczyn do pracy w Ameryce. Oddzwonił do mnie pewien człowiek i spytał, czy zgodzę się uprawiać seks za pieniądze. Po chwili zastanowienia odpowiedziałam, że tak. Nie miałam nic do stracenia ani nikogo bliskiego, komu przyniosłabym wstyd. Ze swoich planów nikomu się nie zwierzałam, raczej nie stanowiły powodu do dumy. Wątpię jednak, czy w dawnym Związku Radzieckim znalazłaby się choć jedna dziewczyna, która nie marzyłaby o wyjeździe do Ameryki. Pokażcie mi taką, która nie chciałaby zarabiać w dolarach.

Załatwiłam paszport, potem poszłam na rozmowę i dowiedziałam się, że będę pracować jako tancerka-striptizerka i pro-

stytutka. Zasady były proste: mam być grzeczna, nie gadać za dużo, dbać o higienę i odpowiednio się zabezpieczać, trzymać się z dala od narkotyków, z zarobków odpalać dolę szefowi i być miła dla klientów. W zamian dostawałam opiekę szefa, luźne godziny pracy i stałego kierowcę. Dziewczyny miały być wobec siebie uprzejme i lojalne, z czasem mogła pojawić się możliwość awansu i lepszych zarobków. Zgodziłam się na wszystkie warunki.

Najpierw musiałam odbyć bezpłatną praktykę w Krasnodarze. Pracodawcy byli ze mnie zadowoleni i w ciągu tygodnia otrzymałam wizę oraz bilet lotniczy, wszystko opłacone przez agencję, dla której miałam pracować. Nie była to łatwa nauka, zwłaszcza taniec erotyczny okazał się trudny. Nie umiałam poruszać się przy rurze, ciągle się przewracałam i nabijałam sobie siniaki. Wiedziałam jednak, że jeśli poradzę sobie wśród pijanych Rosjan, to każdy klient w Ameryce będzie jak romantyczna randka. Jak to się mówi, trening czyni mistrza.

Nauczyłam się odpowiednio rozbierać i uznano, że się nadaję. Spakowałam zatem walizki i pojechałam na lotnisko. Nigdy przedtem nie leciałam samolotem. Po starcie strasznie się bałam. Mój sąsiad też był lekko zdenerwowany, a ja podczas turbulencji wtulałam się w niego i jęczałam: „O matko! Zaraz wszyscy zginiemy...” Pod koniec lotu denerwował się bardziej ode mnie i podskakiwał ze strachu przy każdym wstrząsie. W którymś momencie zaczęłam się histerycznie śmiać i powiedziałam: „Na pewno wszyscy zginiemy i pozostaniemy w ludzkiej pamięci jako bohaterowie z dawnego Związku Radzieckiego”. Niezbyt mu się spodobał mój wisielczy humor. Pokiwał głową, zaczerwienił się, przygładził włosy i pociągnął

łyk stolicznej prosto z butelki. Kiedy wylądowaliśmy, wszyscy przeżegnali się z ulgą.

Jeszcze w Rosji pouczono nas, że na pytanie o cel podróży do Ameryki mamy odpowiedzieć, iż bierzemy udział w międzynarodowym sympozjum na temat handlu zagranicznego. Nie znałam angielskiego, a nawet gdybym znała, nie byłabym w stanie powtórzyć takiego zdania. Musiałam zatem odegrać małą komedię. Zaplotłam włosy w warkocz, włożyłam okulary, które nadawały mi poważny wygląd, przykleiłam opatrunek do policzka i wsadziłam do ust orzech, żeby wyglądało na opuchliznę od zęba. Wszyscy bardzo mi współczuli i szybko przeszłam przez kontrolę paszportową.

Praca zaczęła się zaraz po przyjeździe, dostałam tylko jeden dzień na odpoczynek po podróży i rozejrzenie się po Las Vegas. Brak mi słów, by opisać moje ówczesne zdumienie. To była kraina marzeń, gdzie dzień i noc spletały się w jedno jak kochankowie w miłosnym uścisku. Urządziłam się wygodnie w mieszkaniu położonym kilka mil od wielkich hoteli. Od razu zaadaptowałam się do nowych warunków.

Moi szefowie mieli tu prawdziwe imperium i mogli bardzo wiele, pod warunkiem że dziewczyny trzymały się z daleka od kłopotów. Wkrótce poznałam obowiązujące zasady. Za seks płacono czterysta dolarów za godzinę, a za indywidualny występ tańca erotycznego sto pięćdziesiąt. Jeszcze tydzień wcześniej nie marzyłam nawet o takich pieniądzach. Od razu nakupiłam masę ciuchów i zaczęłam nowe życie.

Po Las Vegas poruszałam się limuzyną, miałam własny telefon komórkowy, nosiłam kosztowne kreacje, a czasami dla relaksu pozwalałam sobie na seks z kierowcą. Czego jeszcze

mogłaby chcieć młoda kobieta, która przez całe życie tkwiła w szarości i biedzie? Bardzo szybko przywykłam do nowego kraju i do nowego stylu życia.

W tego rodzaju pracy pragnie się stabilizacji, dobrze jest mieć stały rozkład zajęć. Ważną rolę odgrywa osobisty kierowca, który bywa też ochroniarzem, przyjacielem i terapeutą. Naprawdę mało który facet dostrzega w nas normalne kobiety. A przecież niektóre z nas mówią biegle kilkoma językami, skończyły studia i mają dzieci. Kierowca jest dla nas takim dodatkowym ubezpieczeniem. Ma oko na wszystko, można z nim pogadać, pozartować i, co najważniejsze, on r o z u m i e.

Pracowałyśmy na telefon i dojeżdżałyśmy do klienta, co było nawet wygodne. Ci zachowywali się na ogół w porządku - na pewno lepiej niż mężowie Rosjanie. Byli oczywiście różni, ale rzadko bardzo źli. W ciągu siedmiu lat tylko kilka razy miałam pecha. Czasami prosili o różne perwersje albo chcieli seksu w wyszukanych pozycjach. Niektórzy lubili, żeby ich wychłostać albo oddać na nich mocz, co w naszym slangu nazywa się „złotym deszczem”.

Wszystko zawsze było uzgadniane z góry. Klienci mówili, czego chcą, i ustalano cenę. Recepcjonistka przyjmująca zgłoszenia wiedziała, co każda dziewczyna robi i gdzie jest. Ona też decydowała, która z nas weźmie zlecenie. Wszystko, nawet prostytutka, jest w Ameryce bardziej cywilizowane. Agencja miała stronę internetową z naszymi zdjęciami i krótkimi, oczywiście wymyślonymi, życiorysami.

Po dwóch tygodniach pracy zaczęła mi się podobać różnica między seksem małżeńskim w zamian za podbite oko, a seksem z nieznajomymi w zamian za pieniądze. Wrażenia są

mniej więcej takie same, a z kimś obcym bywa nawet czasem prościej. Miałyśmy do wyboru: mogłyśmy pracować jako prostytutki lub jako tancerki albo też robić obie te rzeczy.

Najpierw wybrałam i jedno, i drugie, bo strasznie byłam zachłanna na pieniądze. W życiu nie widziałam tyle gotówki i chciałam zarabiać jak najwięcej. Ale też odpowiednio więcej wydawałam. Trzeba było dbać o siebie, żeby wyglądać atrakcyjnie. Na początku więc starałam się zarobić każdego możliwego dolara. Potem człowiek staje się bardziej wybredny. Ja wolałam prostytutkę, inne koleżanki taniec. Nasza agencja należała do uczciwych - takich, które nie wykorzystują dziewczyn. Wszystkie podpisałyśmy zgodę na pracę przez rok na ustalonych warunkach. Miałyśmy odpracować pieniądze wyłożone przez szefa na wizę i bilet, a potem oddawać procent ze swoich zarobków. Dostałyśmy rok na spłatę wszystkich długów, po czym mogłyśmy zdecydować, czy wracamy, czy jeszcze zostajemy.

Gdy podliczyłam zarobki na czysto z pierwszego tygodnia pracy, okazało się, że jest tego całkiem sporo. Wiele dziewczyn pochodziło z krajów dawnego Związku Radzieckiego. Rzadko zatrudniano miejscowe kobiety, ponieważ nasze są ładniejsze, solidniejsze i godne zaufania. Pracowałam dwa lata i zaprzyjaźniłam się z wieloma dziewczynami.

Szef traktował mnie z szacunkiem i nawet czasem pytał o radę. Ochroniarze wypłakiwali mi się na ramieniu, jak mieli jakieś problemy. Wszyscy przychodzili do mnie z kłopotami. Pomogłam rozwiązać sporo trudnych spraw życiowych. Pewnego dnia nasz szef Jurik wezwał mnie do siebie.

- Nastia, ty jesteś niegłupia - zagał. - Dużo wiesz, dużo widzisz. Zastanawiałem się ostatnio, czy coś nie szwankuje

w naszej wielkiej rodzinie. Zatrudniam ginekologa i lekarza. Dziewczyny mają zapewnione dobre zarobki, ochronę i odpoczynek. W każdej chwili mogą zadzwonić do kraju. Ale zauważyłem, że ciągle któraś idzie do ciebie i coś tam po kątach szepczecie. Ufam ci. Wiem, że nie postąpiłabyś wbrew mnie ani moim interesom. Jeśli więc coś twoim zdaniem jest nie tak, powiedz mi wprost. Postaram się wyjść wam naprzeciw. Przecież dbam o was. To wy zarabiacie dla mnie pieniądze, a ja wam daję pracę i opiekę. Jeśli czegoś jeszcze trzeba, to mów. Na pewno się nad tym zastanowię. Staram się dbać o swój personel i jego potrzeby.

Między sobą nazywałyśmy Jurika „Pan Inteligent”. Nigdy nie podnosił głosu, nie używał wulgarnych słów. Każdego traktował z szacunkiem i nie wykorzystywał nas, choć przecież mógł. Po chwili namysłu odparłam, że moim zdaniem dziewczyny potrzebują wsparcia psychologa. Są młode, samotne, wiele z nich przeżyło gorzki zawód miłosny. Jurik słuchał mnie uważnie.

- Oj, chyba starczy już tego bycia prostytutką. Jesteś naprawdę inteligentna, masz swój rozum. Pomyśl, Nastiu, co chciałabyś dalej robić. A jutro jeszcze wrócimy do tej rozmowy.

Była to ostatnia noc przepracowana przez mnie w zawodzie prostytutki. Zarobiłam już sporo, miałam trochę oszczędności i nazajutrz obudziłam się z myślą, że przecież ja mogłabym zostać psychologiem, takim telefonem zaufania dla naszych dziewczyn. I tak Jurij poznał mnie z profesjonalną terapeutką, która poważnie rozmawiała ze mną o tym, jak należy doradzać ludziom z depresją i myślami samobójczymi. Sporo już o tym wiedziałam z doświadczenia, ale nie znałam teorii ani naukowej terminologii. Musiałam się jeszcze wiele nauczyć.

Terapeutka pomogła mi zapisać się na wydział psychologii miejscowego uniwersytetu, gdzie zaczęłam uczęszczać na różne kursy i szkolenia, także na kursy letnie. Aż do zrobienia dyplomu udzielałam porad koleżankom z agencji. Pracowałam na okrągło, bo albo byłam na zajęciach, albo zajmowałam się poradnictwem. Za godzinę mojej pracy Jurik kazał im płacić sto dolarów.

Zrobiłam dyplom. Najbardziej jednak cieszy mnie uznanie ze strony dziewczyn i ich spokój ducha. Zarabiam więcej niż jako prostytutka, a one ustawiają się do mnie w kolejce, żeby porozmawiać o swoich problemach. Każdy chce być kochany i każdy chce kochać. Tak jak to sobie kiedyś wymarzyłam, mam dobrą pracę. W dodatku pomagam kobietom w sytuacji podobnej do mojej. Dla rodaczek ważne jest, że mogą mówić

o swoich sprawach w ojczystym języku. Lubię to, co robię, i wierzę, że każda z nich, jak tylko stanie na własnych nogach, rzuci tę pracę, znajdzie sobie męża, założy rodzinę i będzie szczęśliwa.

Skoro nie można zlikwidować prostytutki, przynajmniej zadbajmy o jak najlepsze warunki dla dziewczyn i nauczmy innych, by lepiej je rozumieli i bardziej je szanowali. Nie osądzam ich. Mnie się udało zrealizować w Ameryce marzenia i teraz pora, bym dała coś z siebie, skoro w końcu, po wielu ciężkich chwilach, mam to swoje wymarzone bajkowe życie.

Zycie toczy się dalej

Urodziłam się na głębokiej Syberii czterdzieści pięć lat temu. Mama była księgową, ojciec wojskowym. Przyszłam na świat przez cesarskie cięcie, a ponieważ mężczyźni nie wpuszczano na salę operacyjną ani porodową, ojciec wdrapał się na drzewo, żeby przez okno zobaczyć, co się dzieje. Kiedy lekarze rozcięli mamie brzuch, zemdłał, spadł na twardą zamarzną ziemię i sam znalazł się w szpitalu, bo połamał sobie żebra. Tak wygląda początek mojej historii.

Rodzice kochali mnie i rozpieszczali. Najpierw mieszkaliśmy w mieszkaniu, a potem — miałam wtedy jedenaście lat — przeprowadziliśmy się do domku, w którym były dwie sypialnie, pokój stołowy, kuchnia i łazienka. Mieliśmy centralne ogrzewanie, ciepłą i zimną wodę.

W ciężkim syberyjskim klimacie występują wyraźne pory roku: cudowna wiosna, piękna jesień, straszliwie długa zima i króciutkie lato. W związku z tym rodzice musieli ciężko pracować, żebyśmy przez cały rok mieli co jeść. Owoce i warzywa pochodziły z naszego ogrodu, który wymagał wiele wysiłku, zwłaszcza uprawa ziemniaków. Na zimę mama robiła prze-

twory, które jedliśmy przez długie mroźne miesiące. Wiele było przy tym zachodu, ale Rosjanie kochają jedzenie i w naszym domu nigdy go nie brakowało. W piątki mama piekła chleb i bułeczki. Podczas długiej syberyjskiej zimy ważne jest mięso - pamiętam, jak mama spotykała się w niedzielę ze swoimi siostrami i razem lepiły pielmienie, czyli pierożki z mięsem. Zamrażało się je na dworze - na Syberii zimą zamrażarki w ogóle nie są potrzebne. Pierożki były pyszne i łatwe do przyrządzenia. Jedliśmy też dużo kapusty i przygotowanych z niej surówek. Na obiad była przeważnie zupa i kotlety mielone z ziemniakami.

W szkole, do której chodziłam również w soboty (ale już tylko na pół dnia), wiele od nas wymagano. Nauczyciele zadawali dużo do domu, a rodzice zapisywali dzieci na wszystkie dodatkowe zajęcia, więc po szkole mieliśmy jeszcze kółko plastyczne, gimnastykę albo chór. Bardzo lubiłam tańce ludowe i dobrze tańczyłam.

Nasz ośrodek zdrowia obsługiwał cały region. Jak ktoś zachorował, to tam szedł do lekarza. Czasami czekało się i z godzinę w kolejce, ale na ogół było wystarczająco wielu lekarzy, żeby wszystkim pomóc. Po wizycie szło się do apteki po lekarstwa. W przypadku poważnej choroby i wysokiej gorączki można było wezwać karetkę. Przyjeżdżała do domu, lekarz badał, wypisywał receptę, a jeśli trzeba - dawał zastrzyki. System opieki zdrowotnej działał bardzo dobrze.

Gdy miałam trzynaście lat, spodobał mi się mieszkający niedaleko chłopak, ale nigdy mu o tym nie powiedziałam. Był dużo starszy, miał wtedy osiemnaście lat. Pewnego dnia wyprowadził się i zniknął z mego życia. Nigdy go więcej nie wi-

działam. W ósmej klasie moja koleżanka zaszła w ciążę i pamiętam, jaki to był dla mnie szok. Nic nam nie mówiono o tych sprawach, poza tym, że trzeba poczekać, aż się skończy osiemnaście lat i wyjdzie za mąż. Rodzice wychowali mnie na porządną, skromną dziewczynę.

Kilka lat później, będąc już w szkole średniej, poznałam pewnego mężczyznę. Po raz pierwszy się wtedy całowałam. Był siedem lat starszy ode mnie i pracował w showbiznesie. Bardzo go kochałam. Zginął w wypadku samochodowym, przynajmniej tak twierdziła milicja. Ale człowiek nigdy nie może być pewien, czy to prawda.

Po skończeniu szkoły zaczęłam tańczyć w profesjonalnym zespole tańca ludowego. Pewnego dnia ukazało się w gazecie ogłoszenie, że w cyrku poszukują asystentki iluzjonisty. Nie powiedziałam nic rodzicom, bałam się, że mi nie pozwolą na taką pracę. Poszłam na rozmowę i zostałam przyjęta. Rodzice byli zaskoczeni, kiedy się dowiedzieli, że wyjeżdżam z cyrkiem. Przez dwa i pół roku podróżowałam po całym Związku Radzieckim. Za każdym razem, kiedy cyrki wyjeżdżał na występy do Japonii, Jugosławii czy gdzieś indziej, mnie z jakichś powodów nie puszczano. Nie miałam wtedy pojęcia, że moja rodzina jest pod nadzorem KGB, ponieważ mama siedziała kiedyś w stalinowskim łagrze.

W latach pięćdziesiątych w Leningradzie* rozpętała się wielka nagonka na Żydów. KGB aresztowało wtedy każdego, kto miał żydowskie pochodzenie lub był z innego powodu podejrzany.

Za czasów Piotra I wprowadzono nazwę Sankt Petersburg. W styczniu 1924 roku nazwę miasta zmieniono na Leningrad. W listopadzie 1991 roku przywrócono dawną nazwę (przyp. red.).

Jako dziecko nie wiedziałam, że moja mama jest Żydówką i że spędziła kilka lat w obozie. Przed śmiercią Stalina rodzina wyciągnęła ją stamtąd, ale pięć lat zajęło, nim ją „zrehabilitowano”. Jej siostrę spotkał podobny los. Była aresztowana razem z mamą i też uwięziona. Ją również rodzina starała się uwolnić, ale ponieważ zginęły jej papiery, trwało to aż dziesięć lat.

Rehabilitacja oznaczała, że mama mogła wrócić do domu i na tym był koniec. Nikt jej za nic nie przeprosił, nikt słowem się nawet nie zająknął. Po prostu pewnego dnia dowiedziała się, że jest wolna. Całymi latami rodzina składała kolejne apelacje i w końcu zapadła decyzja, że mama została niesłusznie oskarżona. To wszystko musiało być dla niej straszne. Ale wtedy wiele osób siedziało w więzieniu bez powodu, marząc jedynie, żeby wyjść, wrócić do domu i żyć na wolności. Nikt nie oczekiwał żadnych przeprosin. Przez wiele lat KGB miało naszą rodzinę na oku i ponieważ mama siedziała kiedyś w obozie, nie wolno mi było opuścić kraju. Później się okazało, że inwigilacja ta trwała do lat osiemdziesiątych i dopiero, kiedy do władzy doszedł Gorbaczow, wszystko się zmieniło. To dlatego nie udało mi się nigdy wyjechać z cyrkiem. Za każdym razem odmawiano mi paszportu. Rzuciłam więc w końcu cyrk i wróciłam na Syberię.

Skończyłam kurs projektowania odzieży i zaczęłam robić kostiumy do przedstawień teatralnych w Moskwie. Poza projektowaniem zajmowałam się też krawiectwem. W Moskwie poznałam kogoś. W naszym związku od samego początku to on o wszystkim decydował, a ja mu się podporządkowywałam. W Rosji mężczyźni zwróci uwagę na kobietę, jest to dla niej takie szczęście, że zgadza się na wszystko. Zaczęliśmy żyć ze sobą i wkrótce oka-

zało się, że spodziewam się dziecka. Szybko przekonałam się, że mój wybranek jest człowiekiem trudnym, a odkąd zaszłam w ciążę, stał się wręcz okrutny.

W którymś momencie, kiedy mój synek był jeszcze malutki, doszłam do wniosku, że dłużej nie wytrzymam, i postanowiłam odejść. Pakowałam właśnie rzeczy, kiedy niespodziewanie ten drań wrócił do domu i zobaczył, co się święci. Dostał szału, podarł na mnie ubranie i zgwałcił mnie, a wszystko to w obecności dziecka. Płakałam strasznie, nie z bólu i strachu, tylko że zrobił coś takiego przy własnym synu, który miał dopiero półtora roku i był przerażony. Za bardzo się bałam, żeby komukolwiek o tym powiedzieć. Przez wiele lat nigdy się nie skarżyłam, bowiem jak inne kobiety w Rosji, zrobiłabym wiele, byle tylko zadowolić swojego mężczyznę. Czara goryczy jednak się przelała i wyprowadziłam się do małego jednopokojowego mieszkanca. Nadal szylałam kostiumy teatralne. Nie miałam więcej kontaktu z ojcem mojego dziecka. Nigdy nie wspomógł nas finansowo ani nie wyraził chęci zobaczenia syna. Nikogo nie da się zmusić do miłości rodzicielskiej, więc nawet nie próbowałam. Skoro uparcie uchylał się od odpowiedzialności, sama musiałam wychowywać malucha.

Pewnego dnia poznałam Amerykankę, która podróżowała statkiem po Rosji. Nie mówiłam dobrze po angielsku, ale ona, wyraźnie czując się samotna, polubiła moje towarzystwo. Razem z koleżanką zaprosiłyśmy ją na kilka tygodni do Moskwy, starałyśmy się ugościć jak najlepiej i pokazać miasto. Nagle - ni stąd, ni zowąd - zaprosiła nas obie do Stanów Zjednoczonych. „Miriam, ja nie mogę tak po prostu wyjechać, mam dziecko” - odparłam. Synek był w tym czasie u moich rodziców na Syberii. Ale jak przemyślałam sobie wszystko, doszłam do wniosku, że

jest to dla mnie ogromna szansa. W Rosji w tym czasie panował jeden wielki chaos i gorzej już na pewno być nie mogło. I tak wyjechałam do Stanów na zaproszenie znajomej.

Termin okazał się wręcz idealny. W lutym 1992 roku, sześć dni po moim przyjeździe do USA, Związek Radziecki przestał istnieć i powstała Rosja. Mieszkańcy musieli zmieniać paszporty, obywatelstwo i mnóstwo innych rzeczy. Ponieważ przyjechałam ze Związku Radzieckiego, który już nie istniał, łatwiej mi było załatwić sobie kartę stałego pobytu w Ameryce.

Nie miałam pojęcia, jak tu będzie. W Rosji wszyscy podlegaliśmy głębokiej indoktrynacji i do lat dziewięćdziesiątych do ludzi nie docierały prawdziwe informacje o Ameryce. Nie tyle więc chciałam wyjechać na inny kontynent, co uciec z Rosji. I tak zrobiłam. Znalazłam się we Flint w stanie Michigan, gdzie mieszkała Amerykanka, której byłam gościem. Z początku życie w Michigan wydawało mi się trudne. Nie znałam wystarczająco angielskiego, nie miałam znajomych, wkrótce jednak poznałam mężczyznę, który mi się spodobał. Nauczył mnie prowadzić samochód i pomógł mi podszkolić angielski. Zaprzyjaźniliśmy się. Staraliśmy się jakoś dać mu do zrozumienia, co do niego czuję, ale on jakby się tym nie interesował. W końcu powiedziałam wprost: „Przecież nawet jeśli jesteś gejem, nie szkodzi, możemy być przyjaciółmi”. Zostaliśmy kochankami, a potem okazało się, że jestem w ciąży. Na wieść o tym zdenerwował się i zarzucił mi, że chcę go złapać na ciążę i dziecko, bo chodzi mi o jego pieniądze. Nie była to prawda i kazałam mu się wynosić. Krzyczałam, że nie potrzebuję jego pieniędzy. Wyniósł się.

Znam paru tutejszych Rosjan, ale na ogół trzymam się od nich z daleka. Dziś rozmawiałam z jedną Rosjanką z Flint.

Zamierza rozwieść się z mężem i potrzebuje prawnika, który by jej w tym pomógł. Zabawne, że Rosjanie przypominają sobie o mnie dopiero, gdy mają problemy. Wtedy od razu wiedzą, gdzie mnie szukać. Na siedem dziewczyn z Rosji, które znam i które wyszły za mąż za Amerykanów, pięć jest szczęśliwych, a dwie, po mniej więcej pięciu latach małżeństwa - nie.

Tutejsi mężczyźni są zupełnie inni niż Rosjanie. W Rosji nawet morderstwo może im ująć na sucho. Jest ich mniej niż kobiet i wielu chętnie ten fakt wykorzystuje. Mają żony i kochanki, a kobiety tak bardzo boją się zostać same, że godzą się na każdą sytuację i nie protestują. W Ameryce kobiety nie są dla mężczyzn takie wyrozumiałe. Miałam w Rosji przyjaciółkę z dwójką dzieci, której mąż był alkoholikiem, a ona jakoś z tym żyła. Amerykanie żartują z naszego picia, ale to wcale nie jest śmieszne. Pijani Rosjanie często stają się agresywni i wiele jest przypadków przemocy fizycznej w rodzinie. Kobiety na tym cierpią.

W 1995 roku przyznano mi azyl polityczny, co wymagało wielu biurokratycznych zachodów, ale teraz jestem tu w pełni legalnie i sprowadziłam nawet mojego pierwszego syna. Mam zapewnioną pomoc od władz stanu Michigan oraz dobrą pracę w ośrodku rehabilitacyjnym dla osób niepełnosprawnych, gdzie zarabiam dziesięć dolarów za godzinę. Mieszka z nami koleżanka mojego młodszego syna. Kilka razy rano zastałam ją śpiącą u nas w saloniku i w końcu spytałam, co się dzieje. Okazało się, że jej ojciec zmarł, kiedy miała dwa lata, a matka jest w więzieniu. Babcia, u której dotąd mieszkała, znalazła sobie faceta i nie życzy sobie wnuczki w domu. Więc wzięłam ją do nas i w zasadzie mam teraz troje dzieci.

Chodzę tu do cerkwi prawosławnej, co daje mi wiele radości. Śpiewam w chórze; czasem myślę sobie, że po to chodzę do cerkwi, żeby móc pośpiewać. Niedawno pojechałam do Rosji, ale była to smutna wizyta. Wszyscy ciągle powtarzali: „Nie uwierzysz, jak Rosja się zmieniła”. Moim zdaniem wcale się nie zmieniła. Z pozoru, powierzchownie, tak. Rzeczywiście inaczej wygląda. Buduje się nowe domy, jest czyściej, jest więcej nowych samochodów i tego rodzaju rzeczy. Ale ludzie pozostali tacy sami. Nie uśmiechają się. Raz podszedł do mnie na ulicy mężczyzna.

- Pani nie jest stąd? - spytał.

- Skąd pan wie? - zdziwiłam się. Myślałam, że to przez ubranie, bo miałam na sobie jaskrawożółtą kurtkę. A tymczasem on wyjaśnił krótko:

- Pani się uśmiecha.

- Tak - odparłam. - Mam powód, żeby się uśmiechać. Jestem zadowolona z życia i zadowolona z siebie.

Czułam się szczęśliwa, mogąc tam pojechać, a jeszcze szczęśliwsza byłam, wracając do domu. Teraz Michigan jest moim domem. Nie wyobrażam sobie życia gdzie indziej. Mogę pracować, zarabiać, żyć własnym życiem, być wolna. Nie chcę nigdzie stąd wyjeżdżać na dłużej. Chętnie natomiast jeżdżę na krótko do Rosji, bo za wieloma miejscami wciąż tęsknię. Na przykład za Sankt Petersburgiem. Byłam tam raz wiele lat temu, kiedy mieszkałam w Związku Radzieckim, i bardzo chciałabym pojechać tam teraz jako turystka i nacieszyć się tym miastem jak turystka.

W Rosji, jeśli ma się pieniądze, można bardzo dobrze żyć, ale nie wiadomo, jak długo. Dobra materialnie mogą zostać w każdej chwili zabrane, a wtedy człowiek znów staje się nikim i musi

walczyć o przetrwanie. Nie ma się pewnego gruntu pod nogami. Ale jeśli przyjeżdża się tylko z wizytą, Rosja wydaje się cudowna. Uwielbiam zwłaszcza chodzić po pięknych parkach. Bardzo chciałabym, żeby moje dzieci je zobaczyły. A w ogóle to marzę, by zwiedzić cały świat, nie tylko Rosję.

Najwięcej radości w życiu daje mi patrzenie na to, jak moje dzieci wyrastają na porządnych ludzi. Starszy syn jest uzdolniony manualnie i choć chodzi jeszcze do szkoły średniej, pracuje też na budowie. Przychodzi do domu brudny i zmordowany, ale kocha tę pracę. Młodszy jest moim księżkowym, czyta o zwierzętach wszystko, co mu wpadnie w ręce, i uwielbia Harry'ego Pottera. Jest po prostu fantastyczny. Ja też lubię czytać i bardzo lubię śpiewać. Lubię pomagać ludziom na miarę moich możliwości i staram się to robić jak najlepiej. Kocham moją pracę, bo dzięki niej jestem z tymi, którzy naprawdę potrzebują pomocy. Praca z osobami niepełnosprawnymi sprawia, że bardziej doceniam, jakie to wielkie szczęście, iż jestem w stanie żyć i pracować samodzielnie. Moi podopieczni nie mają takiej możliwości. Staram się być stale czymś zajęta, żeby nie myśleć o samotności. Moja rosyjska dusza wciąż do mnie szepcze, że powinnam mieć mężczyznę. Żeby o tym zapomnieć, ciągle coś robię i jak najczęściej pomagam ludziom.

Chciałabym być kochana i chciałabym się zakochać. Piękno tego świata dopiero wtedy cieszy prawdziwie, gdy ma się je z kim dzielić. Na co mi uroda i rozum, jeśli nikt tego nie docenia. Gorąco pragnę spotkać dobrego człowieka, silnego i mądrego. Staram się żyć dla moich dzieci, lecz nie tracę nadziei, że kiedyś jeszcze spotkam wielką miłość.

Nie wszystko złoto, co się świeci.

Mam na imię Natalia. Z kamieni, jakimi we mnie rzucano, dałoby się wznieść sporą budowlę. Rosjanki mają już taką naturę, że albo zamykają się w sobie, albo idąc na skróty, zmierzają prosto do samouniżenia. Ich dramatyczne historie, prawdziwe, podkoloryzowane bądź całkiem zmyślane, często mają za zadanie budzić współczucie, otworzyć drogę do portfela, a czasem przewrócić do góry nogami życie niczego niespodziewających się mężczyzn. Takie pułapki czyhają na stronach internetowych, gdzie młode Rosjanki skutecznie zastawiają sidła na Bogu ducha winnych Amerykanów.

Życie to często jedna wielka próba i ciągle dawanie świadectwa. Czasem cierpienie ma sens i prowadzi do rzeczy wielkich, a czasem człowiek ugrzęźnie w układzie ofiara-prześladowca i potem innym robi to, co jemu zrobiono - z zemsty. Uśmiecha się przy tym słodko do swojej ofiary, która święcie wierzy, że to wszystko z miłości. Tymczasem droga do szczęścia i sukcesu nigdy nie biegnie na skróty i wymaga ofiar, wielkich i małych - podobnie jak wiary, niezłomności, wytrwałości, ciężkiej pracy, a przede wszystkim ustalenia, co się chce osiągnąć.

Gdyby dano mi wybór, wolałabym żyć w innych czasach. Jednak trafił mi się los taki, a nie inny, i należało coś z tym fantem zrobić, aby zyskać, a nie stracić, oczywiście nie uniknąwszy po drodze licznych błędów. Ale na tych błędach wiele się nauczyłam, a przy tym ani razu nie postąpiłam wbrew sobie i zawsze patrzyłam w przyszłość, nigdy nie oglądałam się za siebie. Wierzę, że nie ma czystych przypadków, a życie na pewno nie jest chaotycznym ciągiem niepowiązanych ze sobą wydarzeń. Realia, w których przyszło mi żyć, ukształtowały mnie jako człowieka, i wyrobiły we mnie zdolność czynienia dobra.

Mama pochodziła z portowego miasta Rosji, ojciec mieszkał w Leningradzie. Babka ze strony matki była krawcową, a dziadek wysokim urzędnikiem miejskim. Było to odpowiedzialne i ważne stanowisko, ale że w skorumpowanym systemie nie ma miejsca na dobrą, uczciwą pracę, pewnego dnia dziadek miał dosyć. Działanie wbrew prawu nigdy nie może być jednocześnie zgodne z prawem, mimo to dziadek poświęcił swoją wiedzę, zdolności i stosunki dla sprawy nielegalnego przerzutu z Leningradu do Chin ludzi prześladowanych przez władzę. Przez dwa lata jakoś mu się udawało, po czym aresztowany przez bolszewików, trafił do tego samego więzienia, którym dawniej kierował. Niedługo potem go zamordowano. Mama miała wtedy trzy latka. Póki dziadek żył, codziennie dawał znak, machając białą chusteczką przez zakratowane okienko celi. Pewnego dnia chusteczka nie ukazała się w oknie.

Po śmierci dziadka reszta rodziny wystraszyła się, że teraz na nich przyjdzie kolej. Opłacono przewodnika, który miał przeprowadzić ich przez Amur do Chin. Człowiek ów wziął pieniądze, po czym ograbił moich krewnych z całego dobytku. Mimo trapiących ich chorób i przypadłości zdołali jednak jakoś dotrzeć do Harbinu. Mama miała wszy i wrzody i ledwo przeżyła podróż. W Chinach zaczęli od zera.

Dziadek ze strony ojca przybył do Chin w znacznie mniej dramatycznych okolicznościach. Był carskim oficerem i pracował w

Harbinie, po czym postanowił nie wracać do Rosji. Ojciec i stryjowie urodzili się zatem w Chinach i tu dorastali, Z dała od bratobójczych walk i prześladowań w ojczyźnie.

Ojciec był dość zamknięty w sobie, ale miał fantazję, lubił dobrze się zabawić i nigdy nie brał życia na poważnie. Jakoś udało mu się pokończyć szkoły. Mama była kobietą piękną i inteligentną. Gdy ojciec pierwszy raz ujrzał ją w jakiejś restauracji, od razu zrobiła na nim duże wrażenie i to nie tylko swoim urokiem, lecz także tym, że wyglądała na osobę, która dobrze wie, czego chce. Kochała się wówczas w radzieckim żołnierzu, który pracował na kolei. To właśnie Wiktor był największą miłością jej życia. Do późnej starości w jej oczach pojawiały się łzy, gdy wspominając go, słuchała piosenek Klaudii Szulzenko. Mając siedemnaście lat, pojechała za nim do Związku Radzieckiego. Wiktor obiecał, że ją sprowadzi do siebie i będą razem, ale nie dotrzymał słowa. Z bolesnego zawodu miłosnego mamy korzyść odniósł ojciec. Mama przypominała nieco Ingrid Bergman, była silną kobietą o twarzy anioła i naj-bystrzejszą osobą w rodzinie, ukrywającej swe żydowskie korzenie w obawie przed prześladowaniami. Ojciec podobny był do Tonyego Curtisa: niesamowicie przystojny utracjusz, który lubił dobrą zabawę, hazard, szastanie pieniędzmi i rozrywki.

Urodziłam się w Harbinie 5 czerwca 1954 roku. Moje najwcześniejsze wspomnienie z dzieciństwa wiąże się z kampa-

nią rządu chińskiego na rzecz ograniczenia liczby urodzin. Na ulicach *wszędzie* wisiały ogromne plakaty demonstrujące, jak nakładać prezerwatywę. Dzieci w Chinach były dosłownie *wszędzie*. Gdy miałam trzy latka, przyniosłam raz do domu chińskie niemowlę. Najgorsze było to, że nie potrafiłam pokazać, gdzie je znalazłam.

W 1957 roku w Chinach nastąpiły ogromne zmiany i kazano nam wyjechać z kraju. Będąca głową rodziny babcia postanowiła, że udamy się do Chile. W Santiago zaopiekowały się nami katolickie zakonnice. Mieszkaliśmy u nich, dopóki ojciec nie dostał pracy jako inżynier elektryk. Powodziło mu się całkiem nieźle i jakoś udało nam się przetrwać najtrudniejszy okres. Po pewnym czasie stryjowie, którzy wcześniej wyjechali do Ameryki, ściągnęli nas wszystkich do siebie.

W chwili przyjazdu do USA miałam dwanaście lat i nie znałam angielskiego, za to biegle mówiłam po hiszpańsku i rosyjsku. Na samym początku nie znosiłam Stanów. Zamieszkaliśmy w wielkim i hałaśliwym San Francisco. Stryjowi Igorowi udało się tam całkiem nieźle urządzić. Był właścicielem rosyjskiej restauracji „Lucina”, znajdującej się przy Clement Street. Czekał na nas na lotnisku i zawiózł prosto do swojego lokalu.

Bardzo tęskniłam za moimi psami, które zostały w Chile, i byłam przekonana, że nigdy nie przyzwyczaję się do Ameryki. Kiedy opuszczaliśmy dom w Chile, moja ukochana papuga uciekła przez otwarte okno, a ja miałam wielką ochotę zrobić to samo. Przyzwyczajona byłam do tamtejszej kuchni, a teraz jadaliśmy głównie rosyjskie potrawy. Mama gotowała barszcz, rybę faszerowaną i pielmienie.

Potem Igor sprzedał „Lucinę” i kupił hotel „Best Western” w San Jose. Następnie sprzedał go i kupił „Ramada Inn” w Merced w Kalifornii. „Ramadę” sprzedał za trzynaście milionów dolarów, co było sporym sukcesem, szczególnie biorąc pod uwagę fakt, że przybył do Stanów bez pieniędzy, fachu, kontaktów i nie znając angielskiego.

Stopniowo przyzwyczajałam się do San Francisco i nawet je polubiłam. Młodzież rosyjska chętnie wstępowała w szeregi amerykańskich hipisów, a San Francisco było ich ośrodkiem, więc znalazłam się w samym centrum tego ruchu. Z nowymi przyjaciółmi chodziliśmy na koncerty Santany i Grateful Dead. Polubiłam moje nowe życie i coraz lepiej się tu czułam. Na początku barierę stanowiła słaba znajomość angielskiego. Pilnie starałam się więc pozbyć rosyjskiego akcentu i nie znosiłam, jak mówiono na mnie „imigrantka” — w moich uszach brzmiało to jak obelga.

W wieku dziewiętnastu lat podjęłam pierwszą samodzielną pracę: organizowanie imprez i uroczystości. Wcześniej sporo się w tej dziedzinie nauczyłam, pracując w hotelu „Fairmont”. Doceniono tam moje umiejętności i szybko dostałam odpowiedzialne stanowisko. Miałam to szczęście, że mogłam się uczyć od najlepszych. Po jakimś czasie zaczęłam sama organizować uroczystości dla klientów, których poznałam w „Fairmont”.

W którymś momencie pojechałam z mamą do Rosji i wtedy poznałam mojego pierwszego chłopaka. Był typowym Francuzem, ja - amerykańską hipiską, w dodatku strasznie rozpieszczoną przez rodziców. W Rosji zapowiedziałam mamie, że nie chcę mieć nic wspólnego z tymi komunistycznymi bydlakami. W Laurencie kochałam się szaleńczo, ale nie

poszliśmy do łóżka. Dzisiaj zostały mi po nim jedynie zdjęcia i wspomnienia.

Po powrocie do San Francisco upierałam się, że nie mogę żyć bez Laurenta i muszę do niego pojechać. Na szczęście wciągnęła mnie praca i pomału amory wywietrzały mi z głowy. Przez jakiś czas korespondowaliśmy. Mama cały czas doradzała mi cierpliwość i podsuwała płyty z francuską muzyką, między innymi z piosenkami w wykonaniu Edith Piaf.

W końcu wyszłam za mąż za kogoś innego — za lenia i obiboka, którego poznałam na uniwersytecie stanowym San Francisco, gdzie studiował dzięki specjalnemu stypendium rządowemu. Alex był bardzo przystojny, ale strasznie dumny. Pewnego dnia przyprowadziłam go do domu i oznajmiłam rodzicom, że się kochamy i zamierzamy razem zamieszkać. Rodzice błagali, byśmy przynajmniej wzięli ślub i zamieszkali u nich. Choć mój wybranek był beznadziejny, uważali, że małżeństwo będzie lepsze niż życie w grzechu i przynoszenie wstydu całemu rosyjskiemu środowisku. Wyprawili nam huczne wesele, po którym małżeństwo przetrwało niecały rok.

W 1980 roku odeszłam z „Fairmont” i zaczęłam pracować jako konsultantka w Association of Independent Television Stations (INTV). Choć byłam jeszcze nowicjuską w tym fachu, zachowałam się w pełni profesjonalnie, gdy firma oddelegowała mnie do urządzania konwencji Hermana Landa w Waszyngtonie. Wprawdzie byłam jeszcze niedoświadczona, ale poradziłam sobie znakomicie i z konwencją, i z Landem. W sumie przepracowałam tam dziesięć lat. Robiłam duże imprezy, pracowałam też dla Paramountu, Warner Brösa i innych wytwórni filmowych. Odeszłam z INTV, kiedy pozna-

łam mojego drugiego męża, przystojnego Sheltona Merrila. Wyszłam za niego, urodziłam piękną córkę Katię i zostałam producentem. Był to pomyślny zwrot w mojej karierze. Dzisiaj przygotowuję widowiska telewizyjne z moim obecnym mężem Rodionem Nachapetowem.

Poznaliśmy się na promocji reżyserowanego przez niego filmu, zakupionego przez stację Fox, a zatytułowanego *Na ischodzie noczi*, który opowiada o miłości radzieckiego żołnierza i niemieckiej Żydówki w czasie drugiej wojny światowej. Dosłownie zakochałam się w tym filmie, obejrzawszy go na festiwalu filmowym w UCLA (University of California w Los Angeles), i bardzo chciałam poznać jego twórcę. Znajomy zaproponował, że przedstawi mnie Rodionowi, który właśnie przyjechał do miasta. Byłam wtedy mężatką.

Teraz dopiero widzę, że przedtem z uporem wychodziłam za mąż za mężczyzn nadających na zupełnie innych falach niż ja. Jakoś nie mogłam trafić na tego odpowiedniego. Mój trzeci mąż, Alec Lavitsky, był moim dobrym kolegą. Gdy się rozwodziliśmy, dostał ode mnie czterdzieści tysięcy dolarów rekompensaty. Nie miałam wyjścia. Wreszcie spotkałam prawdziwą miłość.

Rodion Nachapetow był aktorem i reżyserem. Najpierw zakochałam się w jego filmie, a w chwili, gdy go ujrzałam, zrozumiałam, że to jest ten mężczyzna, z którym chcę spędzić resztę życia. Przekroczyłam już trzydziestkę, dawno przestałam być małą głupiutką dziewczynką. Wreszcie przyszła prawdziwa miłość i nie zamierzałam jej stracić.

Jesteśmy małżeństwem od szesnastu lat, a ja wciąż czuję to samo, co na początku, czyli błogie szczęście. Nieprzyjemne było jedynie to, że oboje musieliśmy zerwać poprzednie

związki. On był żonaty z rosyjską gwiazdą filmową i miał z nią *dzieci*. Uchodzili za idealną parę, w Rosji wszyscy ich uwielbiali. Nasza sytuacja na początku była więc trudna nie tylko pod względem finansowym i zawodowym, ale i towarzyskim. Okazało się, że jestem w Rosji źle postrzegana jako ta trzecia, która rozbiła związek popularnej pary. Podczas oficjalnych wizyt i publicznych wystąpień pomijano mnie, a nawet ignorowano. Zaczęto nas lepiej postrzegać, kiedy oboje z Rodionem rozpoczęliśmy działalność na rzecz niepełnosprawnych dzieci. Jednak wciąż Rosja akceptuje mnie bardziej jako działaczkę charytatywną niż jako jego żonę.

Fundacja powstała, kiedy przeżywaliśmy największe trudności. Pewnego wieczoru do męża niespodziewanie zadzwonił nieznajomy człowiek, którego chora na serce córeczka była w krytycznym stanie. Zrozpaczony błagał o pomoc, licząc na to, że Rodion jako Rosjanin mieszkający w Ameryce będzie miał kontakty w środowisku lekarskim w Los Angeles. Sama poszłam do doktora Yokoyamy i poprosiłam o pomoc dla tej dziewczynki. W ciągu dwóch tygodni siedmiomiesięczna Ania przyleciała samolotem do Los Angeles i doktor uratował jej życie. Postanowiliśmy dalej w ten sposób pomagać dzieciom. Dzięki naszej fundacji od 1995 roku uratowaliśmy życie ponad dwustu dzieci. Czasami wysyłamy zespoły chirurgów z UCLA lub Uniwersytetu Stanforda do Rosji i tam na miejscu wykonywane są operacje. Działalność ta jest dla nas czymś niezwykle ważnym.

Dzisiaj uważam się za Amerykankę. Jestem patriotką i wszędzie, gdzie trzeba, bronię swojego kraju. Rosja nienawidzi Ameryki i jej ideałów. Kiedy ostatnio tam byliśmy, akurat wypadło święto 4 lipca i chcieliśmy wziąć udział w jego obcho-

dach w ambasadzie amerykańskiej. Odradzano nam to ze względu na antyamerykańskie demonstracje skinheadów i nie tylko. W końcu ambasada sama zrezygnowała z uroczystości, bojąc się zamieszek.

Kiedy pobraliśmy się z Rodionem, wywołało to tak ostrą i nieprzyjemną reakcję jego otoczenia, że musieliśmy przerwać nasze kariery zawodowe, a potem jeszcze wyprowadzić się z domu i wynająć go, żeby mieć z czego żyć. Zamieszkaliśmy u mojej kuzynki. Ciężko walczyliśmy o przetrwanie i w końcu wróciliśmy do pracy. Zrobiliśmy serial telewizyjny zatytułowany *Rosjanie w Mieście Aniołów* i oparty na tych samych motywach film pełnometrażowy. Rodion napisał scenariusz, reżyserował, był producentem, obydwójce też zagraliśmy w serialu. Wystąpili w nim również Erie Roberts, Gary Busei, Sean Young, Karen Black i inni. W filmie pokazaliśmy różne style życia Rosjan w Stanach, między innymi mafię i handlarzy narkotyków. Rodion przygotował dwanaście odcinków. Serial okazał się wielkim hitem w Rosji i był wyświetlany w wielu krajach Unii Europejskiej.

Jesteśmy szczęśliwi. Moja córka radzi sobie świetnie, a jedna z córek Rodiona, ta, która tańczy w balecie, zaręczyła się i spodziewa się pierwszego dziecka.

Uważam, że Rosjanki mają niezwykle praktyczne podejście do wyboru życiowego partnera. Miłość nie jest u nich na pierwszym miejscu. Z moich obserwacji wynika, że w Ameryce niewiele kobiet z Rosji realizuje swoje oczekiwania i w rezultacie sporo marzeń pozostaje niespełnionych. Człowiek to istota niezwykle skomplikowana i jeśli nie trafi swój na swego, nici z udanego związku. Gdybym wyszła za mąż dla pieniędzy,

jak robi wiele moich rodaczek, oszukiwałabym nie tylko drugiego człowieka, ale i samą siebie. Myślę, że te kobiety są z natury dobre, lecz wszystko przysłoniło im dążenie do dobrobytu. Wychowano je w przeświadczeniu, że pieniądze decydują w życiu o wszystkim, a tak wcale nie jest. Rosjanki często mają obsesję na punkcie markowych rzeczy i luksusów, które widziały w amerykańskich serialach. Wydaje im się, że w Ameryce każdy musi być bogaty.

Gdy pytają mnie o zdanie, odradzam młodym Rosjankom wyjazd do Ameryki. Tłumaczę, że nie czeka na nie kariera Vivian Lee, bo ładne buzie są tu na każdym kroku. Naprawdę lepiej zostać w Moskwie i tam starać się dojść do czegoś w życiu. Aktorzy i aktorki w Rosji zarabiają dziś nawet milion dolarów za film. Eric Roberts jeździ ze mną do Rosji nie ze względu na ambitne role, ale ponieważ dobrze się tam zarabia.

Moje przesłanie dla młodych Rosjanek marzących o emigracji do Ameryki brzmi: „Nie róbcie tego. Nie warto. Macie błędne wyobrażenie o Ameryce i drogo przyjdzie wam za to zapłacić. Nie wszystko złoto, co się świeci, a tu można go wcale nie znaleźć.

Dzisiaj w Rosji jest wiele możliwości pracy. Nie ma co przekreślać dotychczasowego dorobku. W Ameryce czeka ciężka harówka. Nie wystarczy udawać, że jest się królową po przejściach, żeby od razu trafił się książę z bajki. Smutna przeszłość niewiele pomoże, bo tu mało kto się tym wzrusza. Trzeba brać od losu, co dobre, a nie robić z siebie ofiarę i czekać na dzielnego rycerza, który uratuje od zguby, a potem już będzie się żyć długo i szczęśliwie. Tak bywa tylko w bajkach”.

Latarnia na Rasputnej

Od najwcześniejszych lat poznawałam życie od najgorszej strony, ale zdarzały się w nim też dobre chwile. Byłam zwykłą dziewczynką, wychowującą się głównie na ulicach Mińska. Moją rodzinę można określić jako dysfunkcyjną. Rodzice zarabiali niewiele, a pili dużo, więc nie starczało nawet najedzenie.

Mama pracowała na stacji na trzy zmiany jako zawiadowca, ojciec w magazynie sklepu spożywczego. Mama była prawosławną Rosjanką, ojciec muzułmaninem. W domu było jeszcze trzech młodszych braci i piesek Maks.

Miałam trzynaście lat, gdy ojciec zaczął mnie nachodzić w te noce, kiedy mama pracowała. Zakradał się do mojego pokoju, podnosił koldrę i trzęsącymi się rękami dotykał moich piersi i nóg. Wchodził do łazienki, kiedy się myłam. Usiłował mnie zmusić, żebym zaspokoila go oralnie. Czasami udawało mi się przed nim uciec, ale nie zawsze. Na szczęście nie pozbawił mnie dziewictwa, ale i tak stale powtarzał, że żaden mężczyzna się ze mną nie ożeni, w co głęboko wierzyłam.

Nie chodziłam do szkoły, ale codziennie musiałam czytać Koran. Dzień w dzień siedziałam w domu, czytałam Koran

i spełniałam seksualne zachcianki ojca. Raz pozwolił mi pojechać na wycieczkę, a potem w końcu zgodził się, żebym chodziła do szkoły religijnej, gdzie też czytałam i studiowałam Koran. W tej szkole wreszcie poczułam się jak normalne dziecko.

Bałam się powiedzieć mamie, co ojciec mi robi. Za bardzo była w niego zapatrzona. Z pracy gnała do domu jak na skrzydłach, niosąc butelkę wódki i pierogi z farszem z jajek na twardo i cebuli. Nie mogła wprost doczekać się spotkania z ukochanym mężem. Jadaliśmy przy owalnym stole nakrytym starą gazetą. Rodzice pili wódkę i obejmując się czule, wspominali przeżycia z młodości. Wieczory na ogół kończyły się awanturą i wyzwiskami. Moi biedni bracia w śmiertelnym strachu kryli się wtedy pod stołem. W Rosji mówi się, że jak mężczyzna bije, to znaczy, że kocha, i wiele kobiet żyje w tym przeświadczeniu.

Szcześliwym trafem do naszej szkoły przyjechał pastor z Ameryki, który chciał zorganizować wyjazd dla trojga dzieci i jakimś cudem znalazłam się w gronie wybrańców. Dzieciom bez problemu wydawano wtedy wizy. Miałam zostać w Stanach Zjednoczonych do końca ważności mojej wizy.

Kiedy mama dowiedziała się o tym, wpadła w szal. Nazwała mnie zdrajczynią, krzyczała, że mam gdzieś rodzinę i jak jakiś kundel uciekam z rodzinnego kraju. Ale nic nie wskórała. Była to moja jedyna szansa na lepsze życie. Przed wyjazdem odważyłam się powiedzieć mamie o molestowaniu. Nazwała mnie podłą, niewdzięczną zmiją. Zarzuciła, że zmyśliłam całą tę historię po to tylko, żeby zatruć jej życie. Z tej okazji rodzice znowu się upili. Ostatni raz widziałam ich wtedy razem.

Piętnaste urodziny obchodziłam w Ameryce, wśród dobrych, serdecznych ludzi, od których dostałam wiele prezentów

i moc życzeń. Nigdy nie otrzymałam tyle wsparcia, co wtedy. W Ameryce po raz pierwszy poznałam takie rzeczy jak smaczne jedzenie, ładne ubrania i spacery po parku. Dowiedziałam się, że istnieje coś takiego jak bezinteresowność. Było dla mnie oczywiste, że tak właśnie powinno wyglądać normalne życie. Bardzo chciałam tak żyć, a dobrzy, głęboko religijni ludzie, u których mieszkałam, zaproponowali, że mnie adoptują. Nie musiałabym wtedy wracać na Białoruś.

Kiedy dzwoniłam do domu, telefon odbierał albo płaczący brat, albo pijany ojciec lub matka. Za każdym razem przypominała mi się dawna nędzna egzystencja i utwierdzałam się w przekonaniu, że nie chcę tam wracać.

Nadszedł czas podjęcia decyzji. Musiałam wybrać: Ameryka czy Białoruś. Zadzwoiłam do Mińska. Mama była tak pijana, że ledwo mogła mówić. Dowiedziałam się, że ojciec dostał udaru i po tygodniu umarł, a ona przez pijaństwo straciła pracę. Rodzina została bez żywiciela. Nie mieli za co kupić jedzenia. Bracia przestali chodzić do szkoły. Zbierali puste butelki po wódce, sprzedawali je i za te pieniądze kupowali chleb i mleko. To był ich jedyny zarobek. Wszystko to w jednej chwili stanęło mi przed oczami: wiecznie pijana matka, niedożywieni bracia, którzy nawet nie mogli się uczyć. Bałam się, że w końcu umrą z głodu albo zaczną kraść i skończą w więzieniu. Nie miałam

wyboru, musiałam wracać. Czułam się za nich odpowiedzialna. Byłam pewna, że na Białorusi znajdę jakąś pracę, na przykład w sklepie spożywczym. Wtedy mogłabym nie tylko coś zarobić, ale i wynosić stamtąd jedzenie.

A zatem po zasmakowaniu życia w Ameryce i pobycie w kochającej rodzinie wróciłam na Białoruś, żeby pomóc mamie

w wychowaniu braci. Zaraz na wstępie wytknęła mi skargę na molestowanie ze strony ojca i dodała, że jestem małą dziwką. „Czemu tracę tu czas?” - pomyślałam wtedy. Matka dodała jeszcze zjadliwie, że jak suka nie chce, to pies na nią nie wskoczy. Zarzuciła mi, że próbowałam skłócić ją z ojcem. Dowiedziałam się też, że będę jeszcze jedną gębą do wyżywienia i zamiast bez sensu wyrzucać ostatnie pieniądze na gazety z ogłoszeniami, powinnam pójść na ulicę i w ten sposób jej pomóc. To mnie naprawdę przeraziło. Nie sądziłam, że byłabym do czegoś takiego zdolna.

Przez dwa tygodnie usiłowałam znaleźć zatrudnienie jako sprzedawczyni i za każdym razem walczyłam ze sobą, żeby nie ukraść ze sklepu choć pęta kielbasy. Nie dla siebie. Po prostu nie do zniesienia była dla mnie myśl, że bracia pójdą spać głodni i obudzą się z pustymi żołądkami. Nikt nie chciał mnie przyjąć. Uważano, że jestem za młoda i za mało odpowiedzialna, żeby liczyć pieniądze i sprzedawać jedzenie. Odbyłam dziesięć rozmów

o pracę, za każdym razem z takim samym rezultatem. Nogi mi spuchły od chodzenia całymi kilometrami, bo nie miałam pieniędzy na autobus. To była rażąca niesprawiedliwość. W wieku czternastu lat mogłam dostać paszport i mieć aborcję, a teraz nie chciano dać mi zwykłej pracy. Wszystko się we mnie buntowało.

Pewnego dnia szłam ulicą Rasputną. Stało na niej sporo mocno wymalowanych dziewczyn w butach na wysokich obcasach. Nie sposób było ich nie zauważyć. Podeszłam do jednej

i spytałam, czy dużo zarabia. Odparła, że tak, po czym pokazała palcem czerwoną toyotę corollę, która właśnie podjechała. Otworzyło się okno i kierowca, młody człowiek w ciemnych okularach, skinął na mnie.

Był Gruzinem, miał na imię Selim. Skinął, żebym wsiadła do samochodu. Posłuchałam, bo cóż mi innego pozostało. Rozpaczliwie potrzebowałam pieniędzy. Spytał, czy chcę pracować. Potwierdziłam i wtedy odjechaliśmy kawalek. Chciał wiedzieć, czy wcześniej się tym zajmowałam. Ze strachu skłamałam, że tak. Wyznaczył mi miejsce pod trzecią latarnią na Rasputnej i dodał, że nikt oprócz mnie nie będzie tam stał. Kiedy mi przyprowadzi klienta, podzielę się z nim zarobkiem po połowie. Napiwki będą dla mnie. Uprzedził, że ceny są wszędzie takie same. Nie wiedziałam, ile żądać, więc wyjaśnił, że normalnie dwadzieścia dolarów, w usta dziesięć, a dwadzieścia pięć za seks analny. Aż się spociłam z wrażenia. Miałam pracować sześć dni w tygodniu, a potem przysługiwał mi dzień wolny. Musiałam być seksownie ubrana i wyzywająco umalowana. Powiedziałam, że się jeszcze zastanowię. Nazajutrz byłam umówiona na ostatnią już rozmowę w sprawie posady w sklepie. Dobry Boże, myślałam, zlituj się nade mną i pomóż mi dostać tę pracę. Nie dostałam jej jednak, choć tak strasznie jej potrzebowałam. To była potworna niesprawiedliwość. Życie w ogóle jest niesprawiedliwe. Bracia zapomnieli już, jak to jest zjeść coś ciepłego, matka patrzyła na mnie z nienawiścią. Nie było zatem wyjścia, musiałam zostać prostytutką.

Bardzo się bałam. Wyciągnęłam spódnicę, którą nosiłam sześć lat wcześniej i która w związku z tym mogła uchodzić za minispódniczkę. Wzięłam buty mamy na wysokim obcasie. Zrobiłam makijaż, zakreśliłam włosy. Byłam gotowa na wszystko, ale co zrobię, jak nikt mnie nie zechce?

Przyjrzałam się sobie krytycznie w lustrze. Żadne ze mnie чудо. Wąskie usta, małe brązowe oczy, piegi i cienkie włosy.

Wpadłam w rozpacz, sama już nie wiedziałam, co robić. Cały czas błagałam Boga o wybaczenie. Zapomniałam zabrać torebkę, a jestem przesadna. Jeśli zapomni się czegoś, nie wolno po to wracać, inaczej cały dzień będzie do tyłu. Nie chciałam, żeby mój pierwszy raz wypadł źle, więc postanowiłam w ogóle nie iść, tylko zacząć nazajutrz. Bałam się i odwlekałam tę chwilę, jak się dało.

Następnego dnia starałam się jak najmniej o tym myśleć. Powtarzałam sobie twardo, że pójdę na wyznaczone miejsce i rano przyniosę do domu pieniądze. Zaprowadził mnie tam Selim. Nogi się pode mną uginały, a w za dużych butach mamy moje cienkie łydki wyglądały jak nóżki kasztanowego ludzika. Koniecznie musiałam kupić jakieś inne albo trochę przytyć. Konkurencję miałam sporą, wszystkie dziewczyny mniej więcej w moim wieku, od szesnastu do osiemnastu lat. Bałam się, że będą na mnie krzywo patrzeć.

Podobno nowicjusze mają szczęście. Mój pierwszy klient podjechał rozklekotanym dostawczakiem, zatrzymał się tuż przy mnie i kazał mi podejść, bo chciał mnie najpierw obmacać. Miałam ochotę napluć w tę starą, pomarszczoną gębę i wodniste lubieżne oczka. Podszedł Selim i zainkasował pieniądze. Facet zabrał mnie do taniego hotelu. Pokój miał dwa metry na dwa, pościel była brudna. Nie spytał, jak mam na imię, i całe szczęście, bo nic jeszcze nie zdążyłam sobie wymyślić. Ja też nie pytałam, jak on się nazywa, w ogóle mnie to nie obchodziło. Ze strachu mało co nie zsiusiałam się w majtki.

To pierwsze doświadczenie w sztuce miłości było bardzo nieprzyjemne. Klient był odrażający, budził we mnie wstręt. Ohydne było to coś dyndające między jego nogami. Nie przy-

szło mi wcześniej do głowy, że członek we wzwodzie może budzić takie uczucie zagrożenia. Wróciły upiorne wspomnienia tego, co robił ze mną ojciec.

W mojego klienta jakby coś wstąpiło. W jednej chwili zdarł z siebie ubranie i zwałił na mnie swoje owłosione cielsko. Dyszał z żądy. Idiota, podarł mi nowy stanik. Byłam wściekła. Mruczał cały czas pod nosem: „Córeczko, moja mała córeczko”. Drań był pedofilem jak nic. Wdarł się we mnie wyjątkowo brutalnie, aż jęknęłam i krzyknęłam. Mówiono mi, że utrata dziewictwa boli nie więcej niż ukąszenie komara, ja tymczasem miałam wrażenie, że gwóźdź wwierca mi się w żołądek. Mój krzyk jeszcze bardziej go podniecił. Pewnie myślał, że jest świetny w łóżku. A ja wiłam się z bólu. Wreszcie miał orgazm i, Bogu dzięki, było po wszystkim.

Leżałam nieruchomo jak kawał drewna, czułam w sobie pustkę i chłód, jakby mnie całą zmiażdżył i zniszczył, pozbawiając tego, co tak gorąco pragnęłam zachować dla przyszłego męża. Rozpłakałam się, a on poszedł sobie, nawet na mnie nie spojrzawszy. Zerwałam się z brudnego barłogu i pobiełam pod prysznic. Godzinę szorowałam się mydłem i wydawało mi się, że zawsze już będę brudna, że nigdy więcej nie poczuję się czysta. Po wyjściu spod prysznic znalazłam na stole sto pięćdziesiąt rubli, równowartość dziesięciu dolarów. Tyle byłam warta. Wystarczyło, by kupić chłopcom jedzenie. Brzuchy mieli już spuchnięte z głodu. Tego dnia byłam niemal pewna, że jednak nie będę tego w stanie więcej robić. Zbyt brudne to było i odrażające.

Minęło pół roku. Pewnego dnia miałam trzech trudnych klientów. Jeden gorszy od drugiego. Pierwszy był karłem.

Zrobiłam mu loda, ponieważ miał za mały penis, żeby nałożyć kondom. Drugi był Grekiem. Zapłacił, ile zażądałam, ale potem długo nie mogłam usiąść normalnie, tak mnie bolało. Trzeci, Rosjanin, był potwornie skąpy. Targował się dosłownie

o każdego rubla. Ale na koniec kupiłam ubrania dla chłopców i książki do szkoły. Nareszcie dorobiłam się własnych butów na obcasie i nowej minispódniczki i wtedy po raz pierwszy pomyślałam, że jednak jakoś sobie poradzę. Moją najlepszą przyjaciółką była czerwona szminka, a przyjacielem paczka papierosów „Polet”. Prezerwatywy stały się równie niezbędne do życia jak woda i powietrze.

Przy każdym kliencie udawałam, że mi się strasznie podoba jako facet, ale chodziło wyłącznie o pieniądze. Za dnia ci mężczyźni pewnie w ogóle by mnie nie poznali. Patrzyłam wtedy na świat pustym, obojętnym wzrokiem. Nocą moje oczy nabierały blasku, prowokowały i kusiły, gdy sprzedawałam ten fałszywy obraz samej siebie. Upadłam bardzo nisko, stałam się wyjątkowo nędznym stworzeniem, ale to wszystko po to, by ocalić braci. Do Nowego Roku 2005 zostały cztery dni, a ja zarobiłam właśnie sto dolarów. Chciałam kupić prezenty dla rodzeństwa, mandarynki i słodycze, a dla matki butelkę stolicznej, żeby mogła się upić i zasnąć. Musiałam tylko pamiętać, żeby zostawić sobie na prezerwatywy. W święta jest wielu klientów.

W sylwestra, kiedy zegar wybije dwunastą, a prezydent Aleksander Łukaszenka będzie życzyć całemu narodowi wszystkiego najlepszego, wypowiem w duchu życzenie, żebym w nadchodzącym roku rzuciła pracę prostytutki i zaczęła chodzić do szkoły wieczorowej. I żeby moi bracia byli zdrowi, a mama przestała pić.

Postscriptum

W połowie 2006 roku rosyjska tłumaczka tych wspomnień pojechała na Białoruś, by odszukać Nataszę. Nie udało się i dopiero od jej znajomej, Mariny, dowiedziała się, że dziewczyna została zamordowana właśnie w sylwestra 2005 roku. Ciało znaleziono w podmiejskim lesie, a prowadzący sprawę śledczy orzekł, że denatka, jak to się często zdarza w tym środowisku, została zabita albo przez klienta, albo przez alfonsa, który postanowił dla przykładu ukarać ją za to, że przynosiła za mało pieniędzy. Natasza marzyła o wyjeździe do Stanów Zjednoczonych. Miała osiemnaście lat.

Po jej śmierci matka Nataszy upiła się i rzuciła pod pociąg. Braci rozdzielono i wysłano do różnych sierocińców. Tłumaczka dała Marinie sto pięćdziesiąt dolarów za pamiątnik Nataszy. Za te pieniądze Marina postawiła na grobie Nataszy pomnik.

Marzyc nie grzech

W piątej klasie, gdy w programie nauki pojawiły się lekcje angielskiego, postanowiłam nieodwołalnie, że jak tylko dorosnę, pojedę do Ameryki i zrobię karierę muzyczną. Z początku wszyscy pobłażliwie kiwali głowami, uważając to za dziecinne rojenia. Jak mówi rosyjskie przysłowie: „Marzyć nie grzech, grzechem jest nie marzyć”. Ciągłe mi powtarzano, że moje kontakty z Ameryką skończą się na oglądaniu filmów i czytaniu kolorowych czasopism. Szansa, że ktoś u nas doceni mój talent, była raczej niewielka. Mogłam liczyć co najwyżej na kilka występów w miejscowym konserwatorium, a potem przez resztę życia czekało mnie uczenie muzyki w szkole za nędzne grosze.

Mam na imię Lika. Urodziłam się w Woroneżu, pochodzę z biednej rodziny. Mam dwadzieścia trzy lata i niezłą figurę, choć niektórzy twierdzą, że jestem za chuda. Może zabrzmiałoby to śmiesznie, gdy powiem, że mam duszę muzyka, skoro zarabiam na życie tańcem erotycznym. Nie straciłam jednak dawnej romantyczności i jeszcze wierzę w cuda, choć dawno już zapomniałam, jak wygląda życie podporządkowane wyłącznie muzyce.

A zatem, kiedy nie odsypiam pracy, siedzę w klubie nocnym „VIP Gentlemens Club”, w którym nawet w razie choroby nie wolno mi wziąć zwolnienia. Mam jeszcze wiele do zrobienia, a czasu mało. W najbliższej przyszłości nic się nie zmieni, chyba że stanie się cud i jakiś książę z bajki uratuje mnie z tego straszliwego zamczyska, pełnego półnagich wiedźm łasych na każdego dolara, którego mężczyźni wsuwają im za stringi.

Rano budzik mi niepotrzebny, ponieważ z klubu wracam koło siódmej, a po południu budzi mnie kierownik klubu, pilnujący, bym na pewno stawiała się wieczorem w pracy. To nieprzyjemny moment, w którym wraca smutna rzeczywistość i niezmiennie popadam w bardzo podły nastrój. Gdy się już pozbieram, szykuję się, piore wczorajszą sukienkę i wybieram strój na kolejny wieczór - głęboko wyciętą kreację wampa albo szkolny mundurek niewinnej uczennicy.

Stale mam przed oczami rodzinne miasto. Tam byłam wśród swoich, w dobrze znanym otoczeniu. Miałam przyjaciółki, koleżanki z klasy, dom mego dzieciństwa i rodzinę. Tęsknię za Woroneżem, za zadrzewionymi ulicami i obskurnymi blokami z czasów Chruszczowa. Właśnie w takim bloku mieszkaliśmy, w małych pokoikach, z kuchnią o powierzchni dwóch metrów kwadratowych. Gorąca woda była tylko w zimie i tylko przez kilka godzin. Moja obecna sytuacja jest zupełnie inna i w pełni przewidywalna: codziennie dzwonią te same osoby, wkładam te same sukienki i te same buty i przez cały czas modłę się o lepszą przyszłość.

Mieszkam w jednopokojowym mieszkaniu, które dzielę z kolonią mrówek i społecznością karaluchów. Nie trzeba mi nic lepszego. Staram się jak najwięcej zaoszczędzić. Przyznaję

jednak, że smród z pobliskich śmietników jest dokuczliwy. Tancerce z taniego klubu nie jest łatwo przetrwać i jeszcze coś odłożyć. Przy życiu trzyma mnie tylko marzenie, żeby kiedyś zostać prawdziwym muzykiem.

Byłam zdolna. Mówiono mi, że odznaczam się wyjątkowym muzycznym wyczuciem i w lot umiem uchwycić każdą nutę. Z dużą łatwością komponowałam piękne melodie. Grałam na skrzypcach i na fortepianie, często występowałam na szkolnych koncertach. Koledzy z klasy nazywali mnie muzycznym geniuszem. Teraz trwonię talent, rozbierając się i kręcąc tyłkiem, a mężczyźni płacą mi za to, że mają na mój widok erekcję.

Urodziłam się w biednej, patologicznej rodzinie, więc mimo niewątpliwych talentów muzycznych na żadną sensowną przyszłość liczyć nie mogłam. Pieniądzy z trudem starczało najedzenie dla mnie i trzech młodszych sióstr. Nosiliśmy zniszczone ubrania, które po sobie dziedziczyliśmy. Miałam szczęście, bo byłam najstarsza, więc zdarzało się, że dostawałam coś nowego, przeważnie jednak były to poprzerabiane stare ubrania mamy.

Rodzice nie mieli z czego płacić za dalszą naukę, więc poszłam do szkoły gastronomicznej. Ponieważ były nieustanne kłopoty z zaopatrzeniem i wszystkiego brakowało, musiałam przynosić z domu własne produkty, żeby mieć w szkole z czego gotować. Na niezliczone sposoby nauczyłam się przyrządzać marchew -jedyną rzecz do jedzenia, która zawsze była pod ręką.

W wieku osiemnastu lat podjęłam decyzję o *wyjeździe*. Marzyłam o tym niemal od pieluszek. Pamiętam, jak przechwalałam się w klasie: „Jeszcze wszyscy o mnie usłyszycie! Niedługo będę sławna”. Albo: „Będziecie przysyłać mi kartki na święta i oglądać mnie w telewizji. Dzieciom i wnukom opowiecie, jak to bawiliście się ze mną w chowanego. Jeszcze pokażę światu, na co mnie stać. Ameryka padnie mi do stóp”.

Byłam absolutnie przekonana, że szybko odniosę sukces i wszyscy będą dumni, że mnie znają. Oczami wyobraźni widziałam artykuły w prasie na temat niebywałego triumfu młodej Rosjanki, która w jeden wieczór zdobyła sławę i miliony. Koleżanki naśmiewały się ze mnie, że co najwyżej będę śpiewać na ulicy, żebrząc. Przysłowie mówi, że lepszy wróbel w garści niż kanarek na dachu, i one też tak uważały. Aleja i tak wierzyłam w szczęśliwą gwiazdę, która zabłyśnie, gdy tylko zdołam skończyć Z beznadziejnym życiem w Woroneżu. Wszystko wtedy wydawało się takie proste i oczywiste.

W filmach akcja rozwija się w sposób przewidywalny, a zakończenie jest szczęśliwe. W ostatniej chwili śnieżnobiałym mercedesem przybywa książę i chętny do spełniania marzeń oferuje wybrane portfel wypchany studolarówkami. Niestety, w prawdziwym życiu książę okazuje się najczęściej żabą w starej hondzie, a marzenia rzadko się spełniają. W obcym kraju, gdzie nie zna się nikogo, trudno nawiązać przydatne znajomości. Pracodawcy spoglądają na biedną imigrantkę z góry i musi ona pokonać wiele trudności, a niejednokrotnie przejść prawdziwe piekło, nim zostanie uznana za Amerykankę. Imigrantka nikogo nie interesuje, podobnie jak jej marzenia czy talent. Jest zbyt biedna, aby zainwestować w siebie, więc jeśli nie ma wpływowego protektora (zazwyczaj w wieku emerytalnym), którego miłosne zachcianki spełnia, to z kariery nici.

W Rosji wytrwale uczyłam się samodzielnie angielskiego. Pracowałam najpierw jako kelnerka w ormiańskiej kawiarni na

targu, potem jako sprzątaczką w kilku sklepach. Łatwiej wymienić miejsca, w których nie pracowałam. Wszystkie zaoszczędzone pieniądze odkładałam do pudełka po czekoladkach „Marzenie” i chowałam pod materac. Rodzice nie zajmowali się nami. Od rana siedzieli przy wejściu do metra z tabliczką „Dobrzy ludzie, wesprzyjcie inwalidów trzeciej grupy, dajcie nam na leki i jedzenie dla naszych dzieci”. W Rosji są trzy klasy inwalidztwa, trzecią objęci są najciężej schorowani. Nieco później można ich było spotkać w okolicy budek z piwem, jak zbierali do plastikowych toreb puste butelki. Sprzedawali je i kupowali dla siebie wódkę, zamiast jedzenia dla nas. Tak było codziennie. Strasznie się wstydziłam. Serce darło mi się na strzępy na widok tego ich wiecznego pijaństwa. Wieczory zawsze kończyły się awanturami, sąsiedzi nieraz wzywali milicję. Nie chciałam skończyć tak jak oni. Dla mnie nie byli to rodzice, tylko jakieś nędzne karykatury matki i ojca.

Od dzieciństwa nienawidziłam dwóch rzeczy: dentyстів i wódki. Dentyści nie zawsze mieli nowokainę lub inne środki znieczulające i pacjenci musieli je zdobyć we własnym zakresie, na czarnym rynku lub w aptece, często za łapówkę. Kiedy matka prowadziła mnie do dentysty, brała ze sobą butelkę z „lekarstwem”, które kazała mi wypić, zanim zaczęto mi borować ząb. Nie wiedziałam, co gorsze: lekarstwo czy borowanie. Nie pamiętam już, kiedy zdałam sobie sprawę, że owo „lekarstwo” wciskane mi na siłę przez matkę to po prostu wódka. Obiecałam sobie, że nigdy nie będę jej pić. Zbyt wiele się napatrzyłam na to, co zrobiła z moimi rodzicami. Do dziś dentyści i wódka kojarzą mi się ze sobą.

Od życia pragnęłam czegoś więcej niż zbierania pustych butelek i kupowania za to czarnego chleba i mleka. Marzył mi się sukces, a nie żeby ludzie wytykali mnie palcami i na mój widok uciekali na drugą stronę ulicy, jakby się bali czymś ode mnie zarazić. Za nic nie chciałam stać się taka jak moi rodzice.

Moja koleżanka uważała, że w Woroneżu też można znaleźć ciekawą pracę i dobrze zarobić. Przekonywała, że powinnam tu zostać, wyjść za mąż za porządnego człowieka, mieć z nim dzieci i żyć dostatnio. Dawała przykłady osób, którym się powiodło, mających zajęcie, rodzinę i dom. Oni wcale nie musieli nigdzie wyjeżdżać, żeby to osiągnąć. To jej zdaniem dowodziło, że można całkiem nieźle żyć również w swoim rodzinnym mieście. Aleja chciałam stąd uciec. Wierzyłam, że każdy jest kowalem swojego losu i wystarczy czegoś mocno chcieć i bardzo się starać, a wtedy nie ma rzeczy niemożliwych. Wydawało mi się, że koleżanka po prostu mi zazdrości.

Pół roku później znalazłam ogłoszenie w gazecie. Szukano dziewczyn w wieku od osiemnastu do dwudziestu pięciu lat,

o atrakcyjnej powierzchowności, znających angielski. Nie wzbudziło to we mnie żadnych podejrzeń. Gdy oglądałam telewizję, wydawało mi się, że po ulicach Nowego Jorku chodzą sami piękni ludzie. Uznałam, że ogłoszenie spada mi z nieba

i dzięki niemu pomyślnie rozwiążę swoje problemy. W ogłoszeniu była mowa o pracy kelnerki w nowojorskiej restauracji. Jak przeczytałam te słowa, serce zabiło mi żywiej. Byłam pewna, że wreszcie pojawiła się moja wielka szansa. Aż szepnęłam w myślach: „Dzięki ci, Boże, że wysłuchałeś moich modlitw i dałeś mi taką szansę. Spełnia się moje największe marzenie”. I pomyślałam też: „Ameryko, nadchodzę!”

W euforii udałam się pod wskazany w ogłoszeniu adres. Przyjęto mnie bardzo grzecznie. Dowiedziałam się, że to jedna

z elegantszych restauracji w Nowym Jorku, niedawno otwarta. Cieszy się powodzeniem i potrzebnych jest więcej kelnerów mówiących po rosyjsku. Pokazano mi zdjęcia restauracji, powiedziano, jacy klienci tam przychodzą i jakie napiwki zostawiają — o tym zwyczaju nigdy przedtem nie słyszałam. Wyobrażałam sobie, że wieczorem będę pracować w restauracji, a w ciągu dnia chodzić na przesłuchania i prezentować mój talent. Pracodawcy zapewniali mi mieszkanie. Nawet się dobrze nie zastanowiłam, podpisałam wszystkie papiery i zgodziłam się przyjąć tę pracę. Nie przyszło mi do głowy, że w tym może kryć się jakaś pułapka. Pewnie w ogóle nie chciałam brać takiej możliwości pod uwagę. Myślałam jedynie o tym, że już za parę tygodni mój amerykański sen się ziści. Pożegnawszy się z rodziną i przyjaciółmi, wyruszyłam na lotnisko w tę swoją wytęsknioną „podróż do szczęścia”. Po wielu godzinach czekania wreszcie zapowiedziano, że Aeroflot zaprasza pasażerów na pokład samolotu.

„Nareszcie szczęście, wolność i kraj, gdzie moje marzenia się spełnią” - zapisałam w pamiętniku. W Nowym Jorku zawieziono mnie od razu do obiecane mieszkanie, w którym jestem teraz. Z lotniska odebrał mnie Dmitrij, mój przyszły „menedżer”. Jeszcze tego samego dnia pojechaliśmy do centrum handlowego po odpowiedni strój do pracy. Po drodze Dmitrij wyjaśnił, że restauracja zmieniła właściciela i teraz jest to klub nocny. Kelnerki mają też tańczyć i zabawiać klientów. Dodał, że dzięki temu będą wyższe napiwki.

Mój nowy strój kupiliśmy w sklepie Victoria's Secret. Tak byłam zachwycona piękną bielizną, że rzeczywistość zupełnie do mnie nie docierała. Nadszedł pierwszy dzień nowej pracy.

Miałam zmianę od *trzeciej* po południu do *trzeciej* rano. Był to okres Bożego Narodzenia, więc ubrano mnie jak Świętego Mikołaja - w kaptur, czerwone buty i czerwony stanik obszyty futerkiem. Spytali,

czy umiem tańczyć, a ja, wypiwszy właśnie mój pierwszy kieliszek szampana, odparłam brawurowo, że mam wykształcenie muzyczne, wielkie zdolności i uczyłam się baletu.

Najpierw dwie dziewczyny ubrane tak samo jak ja weszły na scenę. Z początku tylko tańczyły wolno, a potem zdjęły staniki przy tych wszystkich mężczyznach. Zszokowana i przerażona patrzyłam, jak uśmiechają się i zachęcająco odchylają majtki, pozwalając się dotykać i wkładać za nie banknoty. Nagle zapowiedziano, że na scenę wychodzi Lika, a ja w tym momencie się załamalam. Zdałam sobie sprawę, że za nic nie zdejmę bielizny i nie będę się zachowywać jak w filmie porno. Dziewczyny przekonywały mnie, że to przecież tylko udawanie. Jak w teatrze. Chodzi o to, żeby facetów jak najbardziej podniecić i dostać jak najwyższy napiwek. Uciekłam z klubu na dwór.

Dmitrij wyszedł za mną i poczęstował mnie papierosem. Pierwszy raz w życiu wtedy zapaliłam. Wyjaśnił spokojnie, że w Rosji podpisałam kontrakt, a oni zapłacili za mój bilet lotniczy i wizę, a także sprawili mi garderobę i zapewnili mieszkanie. Mówił rzeczowo, nie podnosząc głosu. Nikt nie będzie mnie zmuszać do tańca czy zabierać paszport. Zrobię, jak zechcę. Jeśli jednak zdecyduję, że nie będę dla nich pracować, muszę zwrócić poniesione przez nich koszty, czyli siedem tysięcy dolarów, i opuścić mieszkanie. Cały mój majątek wynosił sto dolarów, więc kompletnie nie wiedziałam, co robić. Wszystkie moje marzenia w jednej chwili legły w gruzach.

Siedziałam na schodach przed klubem i zalewałam się łzami. Znalazłam się w pułapce i nikąd nie było pomocy. Nie znałam tu nikogo, a do Woroneża nie było jak wracać. Zresztą za nic nie wróciłabym do dawnego życia w biedzie. Nie miałam zamiaru siedzieć z tabliczką na szyi i żebrać albo zostać kurą domową, żeby moją jedyną pociechą i rozrywką był alkohol, a znajomi mieli satysfakcję, że mi się nie powiodło.

Z klubu wyszła rosyjska striptizerka Lolita i usiadła obok na schodku. Objęła mnie i starała się uspokoić. Tłumaczyła, że klubem zarządzają porządni ludzie i jeśli nie chcę tańczyć, to tylko muszę oddać im pieniądze, które jestem winna, i nie będą mnie wcale zatrzymywać. Dorzuciła rosyjskie przysłowie: „Lepiej spróbować i żałować, niż żałować, że się nie spróbowało”. Przekonywała, że szybko się nauczę, i obiecała, że pokaże mi kilka rzeczy, które mogą się przydać. Wróciłyśmy do garderoby i Lolita przyniosła butelkę szampana. Ona mnie uczyła, a ja popijałam. Potem powtarzałam to, co mi pokazała, a wtedy ona piła. Jedna butelka nie wystarczyła. Kiedy didżej oznajmił „Nasza gwiazda Lika”, byłyśmy po trzech butelkach szampana.

Byłam rozgrzana i gotowa. Zaczęłam tańczyć w stylu latino. Nie wiem, gdzie się tego nauczyłam. Mężczyźni gapili się na mnie z rozdziawionymi gębami, dzięki czemu poczułam się dużo pewniej i nawet przyszło mi do głowy, że może w poprzednim wcieleniu byłam właśnie tancerką. Raz zrobiłam energiczny wymach nogą, a wtedy pantofel na wysokim obcasie wyleciał w powietrze i trafił jakiegoś faceta w czoło. Bez oporów zdjęłam stanik i wtedy dostałam pierwszy w moim życiu „deszcz”. Tak się mówi, kiedy klient rozmienia sto dolarów na jednodolarówki, a kelnerka wchodzi na scenę i obrzuca

mnie nimi. Po kolejnym kieliszku szampana didżej miał trudności ze ściągnięciem mnie ze sceny. Tego wieczoru zarobiłam trzysta dolarów i nawet nie zamieniłam słowa z klientami. Wszystko dostałam za taniec. Od tej chwili moje życie potoczyło się banalnie i oczywiście zupełnie inaczej, niż się kiedyś spodziewałam.

Następnego dnia znów miałam zmianę i bardzo się denerwowałam. Za moje trzysta dolarów kupiłam w centrum handlowym długą czerwoną sukienkę z głębokim dekoltem i maskę diabła. Tego wieczoru podeszłam do czterdziestoletniego brodatego mężczyzny siedzącego przy barze. Był to motocyklista ubrany w skórę. Zapytałam go, czy nie miałby ochoty na łap dance. Poszliśmy na górę. Bardzo się starałam, żeby wypaść sexy, choć niezupełnie wiedziałam, co robić. Naśladowałam więc kopulację konia, co mu się wyraźnie spodobało. Ciągłe powtarzał: „Dalej, dalej, mała!” i „Ale z ciebie diablica”. Czulałam się panią sytuacji i nawet mi się to podobało. Miałam poczucie władzy nad mężczyznami, pomyślałam, że łatwo ich trzymać w garści za pomocą seksu lub samej obietnicy seksu. Żaden nie oprze się atrakcyjnej kobiecie, która do tego jest tygrysią w łóżku. A zatem zostałam tygrysią. Traktowałam mężczyzn obcesowo i z góry, a oni byli zachwyceni. Byłam diabolicą w masce, bez najmniejszych oporów potrafiłam klepnąć faceta poufale czy nawet uderzyć, pociągnąć za krawat albo zaprosić do tańca. Przekonałam się, że właśnie ci bogaci i wpływowi najbardziej lubią czuć się podporządkowani i bezradni.

Lolita jest moją jedyną przyjaciółką, ale nasza przyjaźń zaczyna się i kończy w klubie. Dorobiłam się adoratora, żonatego i po pięćdziesiątce, który nazywa się aż niewiarygodnie, bo

Lenon. Ma troje dzieci i dwoje wnuków i jest szczęśliwym człowiekiem. Na moje pytanie, dlaczego tu przychodzi, odparł, że żał mu takich dziewczyn jak ja. Dał mi raz dwa tysiące dolarów za trzy godziny spędzone na osobności. Rozmawiamy, całujemy się, a potem zostawia mi tysiąc dolarów napiwku. Uważa, że wcale nie oszukuje żony. Twierdzi, że się starzeje, a ona nie chce się z nim już całować. Ale na całowaniu nie poprzestaje. Czasami myślę, że nie powinnam z nim romansować, ale jest dla mnie taki dobry, że trudno mi pogodzić się z myślą, że miałabym go stracić. Poza tym mam siostry na utrzymaniu, a Lenon bardzo mi pomaga materialnie.

Moja muzyczna kariera jeszcze się nie zaczęła. Raz starałam się o pracę w rosyjskiej restauracji z muzyką na żywo. Ale nic z tego nie wyszło, gdy okazało się, że nie mam zielonej karty. Zresztą tam chodziło o współczesny pop, a ja gram klasykę.

Spędziłam w Ameryce już cztery lata. Zarobione zielone banknoty wkładam do kopert podpisanych: „Nowe mieszkanie w Woroneżu”, „Pomoc dla sióstr”, „Powrót do domu” i „Ameryka”. Pod koniec roku mam zamiar je przeliczyć i podjąć decyzję, czy zostaję tu, czy wracam do Rosji. Nie znam jeszcze odpowiedzi. Niewątpliwie życie, które tu prowadzę, jest zupełnie inne niż moich koleżanek z Woroneża. Aleja też nie jestem taka jak one. Czasem już sama nie wiem, kim teraz jestem, i chwilami nawet żałuję, że wyjechałam do Ameryki. A jednak, choć dorosłam tu i zmądrzałam, wciąż jeszcze wierzę, że może stanie się cud.

Po drugiej stronie teczny

Moja historia zaczyna się w jednym z tych rosyjskich I miast, gdzie wszystko wygląda tak, jakby dawno temu ktoś nacisnął guzik z napisem PAUZA i czas się zatrzymał. Dla wielu ludzi jedynym sposobem na życie jest pijaństwo, a dzieci od najmłodszych lat muszą umieć same zatroszczyć się o to, żeby jakoś przeżyć. Teraźniejszość bywa tak trudna, że nie ma czasu ani sił martwić się o przyszłość.

Moje miasto nazywa się Lipieck i leży w obwodzie moskiewskim. Urodziłam się w biednej rodzinie. Nie wiem, kto był moim ojcem, a on pewnie nawet nie wie o moim istnieniu. Mam dwóch przyrodnych braci, każdy z innego związku matki. Ona mówi, że to wszystko byli jej „mężowie”.

Jeden z chłopców, Sasza, jest upośledzony, ma zespół Downa. Zapewne należy za to podziękować naszej wiecznie pijanej i palącej matce oraz biologicznemu ojcu. Oboje prowadzili podobny tryb życia, a kiedyś mężczyźni nie zawracali sobie głowy takim luksusem jak prezerwatywa. Sasza też nie zna ojca. Wszyscy mężczyźni, z którymi matka zaszła w ciążę, zostawiali ją, jak tylko dowiedzieli się o jej stanie. Nikt nie

chciał dodatkowej odpowiedzialności. Ledwo byli w stanie wyżywić siebie.

Co można powiedzieć o kobiecie, która zachodzi w kolejną ciążę, a nie pracuje i ma już małe dzieci? Moja nieszczęsna matka stale zmieniała partnerów, a oni często ją bili. Nas zresztą też, ale rzadko kiedy była na tyle trzeźwa, by się tym przejmować. Mężczyźni pojawiali się nagle i po paru miesiącach równie nagle znikali, za każdym razem łamiąc matce serce. Po każdym rozstaniu straszliwie cierpiała i piła jeszcze więcej wódki, co w Rosji jest powszechnym sposobem topienia smutku. Ja od dziesiątego do czternastego roku życia pracowałam na targu, sprzedając świeże i mrożone ryby. Staralam się pomóc mamie, jak umiałam. Pracowała wtedy jako motorniczka tramwaju. Nie obchodziło jej za bardzo, czy chodzę do szkoły, czy nie, więc nie bywałam tam często. Trudno zatem powiedzieć, że bym się dużo uczyła, ale coś niecoś starałam się robić. Jednak jeśli już zjawiałam się w klasie, przeważnie zasypiałam na lekcji. A prace domowych nie odrabiałam z braku czasu.

Musiałam pracować i zarabiać, żebyśmy jakoś wzięli koniec z końcem. Codziennie dźwigałam piętnastokilogramowe skrzynki z rybami. Nawet nie zdawałam sobie sprawy, że aż tyle ważą. Z naszego domu niemal na kilometr - zależnie od tego, jak powiał wiatr - rozchodził się rybny zapach. Kilka razy dziennie myłam się cała, a potem spryskiwałam maminy-mi perfumami „Krasnaja Moskwa”. Ale bez większego rezultatu. Do dziś pozostał mi nawyk częstego brania prysznicu.

Na targu, gdzie pracowałam, przezywano mnie „Waga”, bo wszyscy uważali, że sprzedaję ryby dobrej jakości i nie oszukuję na wadze. Tak naprawdę to oszukiwałam, ale ostrożnie, więc

nikt nic nie zauważył. Zdrapałam z wagi starą podziałkę i narysowałam nową. Różnica nie była duża, zaledwie kilka deko i nikt się nigdy nie poskarżył. Dzięki temu na każdym kliencie zarabiałam dodatkowo rubla lub dwa. Pod koniec dnia mogłam za to kupić kilka pomarańczy. Zawsze przynosiłam coś dla braci.

Matka miała wpisane w akta wiele nagan za wulgarne słownictwo i za picie. W Rosji takie akta ma każdy pracownik. Zakłada się je w pierwszym miejscu zatrudnienia. Notuje się tam stanowisko, zarobki i różne uwagi, a także powód zwolnienia, jeśli takowe nastąpi. Wśród uwag są zarówno pochwały, jak i nagany, na przykład: „dobry pracownik”, „stale się spóźnia”, „kradnie”, „pije”, „bierze narkotyki” itd. Matka straciła pracę za pijaństwo i nieodpowiednie zachowanie. Potrafiła być w ciągu kilkanaście dni. Siadała wtedy w kuchni Z kilkunastoma półlitrowkami wódki i kiełbasy. Kiedy byłam mała, mówiłam na wódkę „gorzka woda”. Matka próbowała się usprawiedliwiać, mówiąc: „Mam gorzko w sercu, więc piję gorzką wodę”.

Jedliśmy głównie ryby przynoszone przeze mnie z pracy. Przyrządzaliśmy je na wszelkie możliwe sposoby: smażone, gotowane, a także struganinę. Jest to zamrożona surowa ryba, którą kroi się na cienkie płaty i podaje albo z czosnkowym keczupem, albo z solą i pieprzem. Ta pyszna potrawa pochodzi z północy Rosji.

Kiedy skończyłam piętnaście lat, zamieszkałam w wynajętym mieszkaniu z moim chłopakiem Siergiejem. On miał wtedy dwadzieścia dwa lata. Nie byłam bardzo zakochana, raczej pragnęłam uciec od wiecznie pijanej i nieszczęśliwej matki,

która nawet potrafiła mi ukraść pieniądze odłożone na lekarstwa dla brata i na lepsze jedzenie.

W wieku osiemnastu lat zaczęłam pracować jako kelnerka w restauracji „Nadzieжда”. To jedyna lepsza restauracja w Lipiecku, gdzie jedzenie było w miarę jadalne, to znaczy nie zawierało karaluchów, martwych much ani mysich ogonów. Zatrudnili mnie bez problemu. Byłam szczupłą, ładną i w sam raz nadawałam się do gości. Raz przyjechała amerykańska delegacja w związku z otwarciem jedynej w naszym mieście fabryki włókienniczej. Inwestorzy przyszli potem świętować do naszego lokalu. Kierownictwo był podenerwowane, ponieważ cudzoziemcy rzadko gościli w naszym prowincjonalnym mieście. Rozpoczął się bankiet. Podawałam na stoły czerwony kawior, nadziewane bliny i aromatyczne wędliny. Aż miałam miękkie nogi z wrażenia, gdy patrzyłam na te delicje. Nigdy nie jadłam tak wykwintnych potraw. Bałam się, że upuszczę półmisek jakiemuś Amerykaninowi na głowę i potracą mi z zarobków. Jakoś na szczęście obyło się bez żadnej wpadki.

Richard, tłumacz jednego z Amerykanów, spytał, czy nie chciałabym popracować w Ameryce jako kelnerka. Mnie aż zatkało, gdy to usłyszałam. W najśmielszych marzeniach nic takiego nie przyszłoby mi do głowy. Wyjąkałam, że nie znam angielskiego. Odparł, żeby się nie przejmować, bo przed dziewczynami takimi jak ja w Ameryce są duże możliwości. Wieczorem opowiedziałam Siergiejowi o propozycji, jaką dostałam na bankiecie. Stwierdził, że trafiła mi się świetna okazja, żeby uciec od dotychczasowej biedy i nędznej wegetacji. Jakby na wiecznie zachmurzonym niebie ukazała się tęcza. A ja głupia przepuściłam taką szansę.

A jednak los dał mi ją po raz drugi. Następnego dnia Richard przyszedł do mnie do pracy i powiedział, że chętnie zatrudni mnie na lato w swojej restauracji w Ameryce. Obiecał darmowe mieszkanie, dobre napiwki i miłą atmosferę. Dał trzy dni do namysłu. Tym razem z miejsca się zgodziłam.

Zaczęłam starania o wizę i wzięłam się za naukę angielskiego. Nadszedł dzień wyjazdu. Rzewnie płakałam, żegnając się z braćmi. Nawet z matką było mi żal się rozstawać. Pocieszałam się w duchu, że za trzy miesiące wrócę i będę mieć mnóstwo pieniędzy - w Lipiecku nigdy w życiu nie dałabym rady tyle zarobić. Ciężko mi też było zostawiać Siergieja. Mieszkaliśmy razem trzy lata i przywykliśmy do siebie.

Richard czekał na mnie na lotnisku i zawiózł do centrum miasta. Po drodze podziwiałam Nowy Jork - miasto świateł, drapaczy chmur i dziwnych zapachów. Pojechaliśmy do niego do domu, przypominającego wiejski dom w Rosji. Poznałam jego żonę Lizę, też Rosjankę. Była po trzydziestce i miała dość zaokrąglone kształty - pewnie dlatego, że w restauracji Richarda mogła jeść bez ograniczeń.

Liza prowadziła dom i oboje z mężem chcieli mieć dzieci. Była uprzejma, ale mało wylewna. Potem przekonałam się, że rosyjscy emigranci nie zawsze serdecznie witają przybyszów z kraju. Tak to już jest, że w nowym miejscu i wśród nowych ludzi chce się zapomnieć o dawnym życiu. Zamieszkałam w dwupokojowym mieszkaniu z dwiema sympatycznymi Rosjankami, Lubą i Swietą, które przyjechały tu w podobnym celu co ja. Niestety, nie miałyśmy okazji zaprzyjaźnić się bliżej, ponieważ chodziłyśmy do pracy na różne zmiany i widywałyśmy się głównie w restauracji. Pracowałam z nas najwięcej, bo one wydawały tylko

na siebie i swoje przyjemności, a ja musiałam pomagać rodzinie - miałam na utrzymaniu dwóch braci, z których jeden był upośledzony, i bezrobotną matkę. Jeszcze w Lipiecku ustaliliśmy z Richardem, że nie będę brać dni wolnych.

Pizzeria Richarda znajdowała się przy Trzydziestej Czwartej ulicy na Manhattanie. Wnętrze było jasne i sympatyczne, a w karcie widniało wiele rodzajów pizzy. Po raz pierwszy w życiu spróbowałam wtedy tej potrawy i stałam się jej wielką entuzjastką. Jadłam ją niemal codziennie, więc po jakimś czasie przybrałam na wadze. Zaczęłam się więc ograniczać, rozumiejąc już, dlaczego żona Richarda jest okrągłutka jak pączek.

Od samego początku pracowałam po dwanaście godzin dziennie. Po pierwszym tygodniu posłałam Siergiejowi trzysta dolarów i poprosiłam, żeby kupił jedzenie i rzeczy potrzebne mamie i braciom. Nie dałam pieniędzy matce, ponieważ by je przepiła.

Na początku w Ameryce dziwiło mnie, że wszyscy się uśmiechają bez powodu. U nas nigdy tak nie było. Myślałam nawet, że uśmiechają się na mój widok, bo jestem ładna. Później dopiero zrozumiałam, że tu po prostu panuje taki zwyczaj. Richard tłumaczył, że gdy się popełni jakiś błąd albo strzeli gafę, uśmiech często ratuje sytuację. Bywało więc tak, że uśmiechałam się ciągle, aż pod koniec dnia bolały mnie szczęki.

W Nowym Jorku bardzo mi się podobało, że na każdym kroku słychać najróżniejsze języki. Z początku nie rozumiałam nic z tego, co do mnie mówiono, potem szło mi lepiej. A bycie cudzoziemcem ma swoje zalety. Jak się mówi w swoim języku, Amerykanie nie rozumieją, natomiast znając angielski, rozumie się, o czym oni mówią. Czasem to bardzo przydatne.

Rodzinie odpowiadał taki układ, że co kilka tygodni przychodzi ode mnie pieniądze, a ja z kolei zapragnęłam zostać tu na stałe. Bywa tak, że gdy człowiek pierwszy raz coś widzi lub czegoś próbuje, ma wrażenie, że to już zna. Kiedy przyjechałam do Ameryki, wydawało mi

się, że byłam tu już kiedyś. Może w poprzednim wcieleniu? Nigdy nie miałam problemów z poruszaniem się po Manhattanie. Nawet wśród wieżowców i z zamkniętymi oczami wiedziałam, gdzie są właściwe strony świata. W USA czułam się jak w domu.

Sam fakt poznania Richarda był dowodem na to, że jestem na dobrej drodze. Wszystko to przeznaczenie: gdyby nie tamten uroczysty obiad i nasze spotkanie, nie byłabym tu teraz, bo jakim cudem, skoro nigdy w życiu nie stać by mnie było nawet na bilet. A nie mając wykształcenia, nie mogłam zostać objęta żadnym programem wymiany studentów.

Czas jednak biegł nieubłaganie i niebawem kończyła mi się wiza. Uparłam się, żeby zostać w Ameryce i dalej zarabiać na utrzymanie braci. Od współlokatorek dowiedziałam się, że jeśli wyjdę za mąż za Amerykanina, dostanę zieloną kartę. Wtedy mogłabym tu mieszkać i pracować legalnie, a nawet pojechać do Lipiecka i wrócić. Zupełnie nie miałam jednak czasu na szukanie męża, a poza tym nie chciałam angażować się w żaden poważny związek. O dziwo, tęskniłam do Siergieja, a on czekał wiernie na mój powrót. Nikt poza nim dla mnie nie istniał — ale może dlatego, że za bardzo pochłaniała mnie praca. Całymi dniami harowałam, a nocami płakałam w poduszkę, myśląc o Siergieju.

Po naradzie z koleżankami doszłam do wniosku, że jedyne wyjście, to zapłacić za taki ślub. Przez ogłoszenie w gaze-

cie znalazłam trzydziestoletniego Amerykanina, który chciał tylko dziesięć tysięcy dolarów - na ogół żądano więcej - i mogłam spłacić tę sumę po tysiąc dolarów miesięcznie w dziesięciu ratach. Stać mnie było na to, ponieważ z samych napiwków wyciągałam siedemset dolarów tygodniowo.

Umówiłam się na spotkanie z moim przyszłym mężem, który miał na imię Steve. Na moje pytanie, jak go poznam, odparł, że jego nie można nie poznać, i dodał, że wygląda dość oryginalnie. Niezbyt mnie zachwycała ta odpowiedź, ale pomyślałam, że może jest ostrożny, bo boi się policji albo służb imigracyjnych. Mimo to nie zrezygnowałam z naszego spotkania. Pojechałam na stację metra Sheepshead Bay w Brooklynie. Od razu się domyśliłam, że to on. Chudy, średniego wzrostu, w okularach i z plecakiem. Widać było, że potrzebuje pieniędzy, ale intuicyjnie wyczułam, że mnie nie oszuka. Poszliśmy do kawiarni i postawiłam mu kawę. Szybko wszystko ustaliliśmy, wyznaczyliśmy datę ślubu, zaplanowaliśmy, jakie przygotujemy dowody na to, że jesteśmy razem, i co będziemy zeznawać podczas rozmowy. Postanowiliśmy spotykać się raz w tygodniu, żeby sobie robić wspólne zdjęcia. Zobowiązałam się do pokrycia wszystkich wydatków podczas tych spotkań. Pobraliśmy się w City Hall w asyście prawnika z Brighton Beach i od razu złożyłam podanie o zieloną kartę.

Kiedy braliśmy ślub, myślałam sobie, jak to by było cudownie, gdyby zamiast Steve'a stał koło mnie mój Siergiej. Zabawne, ale ze Steve'em pasowaliśmy do siebie jako para. Oboje byliśmy szczupli i stale uśmiechnięci.

Cały czas ciężko pracowałam i raz w tygodniu spotykałam się ze Steve'em. Dość dziwnie się ubierał. Miał trzydzieści lat, a wyglądał jak ubogi student. Nosił sportowe spodnie lub tanie džinsy oraz sprane bawełniane koszulki, czarne albo żółte. Nie rozumiałam, jak można

żyć od urodzenia w tak bogatym kraju i być biednym. Lubiłam z nim rozmawiać. Był inny i dlatego mnie fascynował. Miał w sobie coś dziecięco naiwnego. Najważniejsze jednak, że nie próbował mnie naciągać, a wręcz przeciwnie, z dużym zażenowaniem brał ode mnie co miesiąc pieniądze. Nie rozumiałam, czemu to go tak krępuje. Wykonywał swoją pracę, grał rolę mojego męża, a więc wynagrodzenie mu się należało. Tymczasem widać było, z jakim zażenowaniem przyjmuje moje ciężko zarobione dolary. Trudno mi to było pojąć, ale sprawiał mi tym przyjemność.

Nadeszła zima. Coraz rzadziej dzwoniłam do Siergieja, a potem całkiem przestałam. Oddaliliśmy się od siebie. On pozostał szarym człowieczkiem z Lipiecka, który liczy się z każdym groszem i nie myśli o przyszłości. Mieszkał w zupełnie innym świecie i nie buntował się przeciwko nędznemu bytowaniu, które traktował jak przeznaczenie. Powtarzał mi zawsze, że od swego losu i tak się nie ucieknie, bo Bóg przewidział dla nas wszystko. Zawsze podcinał mi w ten sposób skrzydła i odbierał ducha walki.

Zaprzyjaźniliśmy się ze Steve'em, sporo już wiedziałam o jego życiu, a on o moim. Na samym początku ustaliliśmy, że będziemy sobie mówić prawdę, bo tylko wtedy wypadniemy wiarygodnie podczas rozmowy kwalifikacyjnej. W kłamstwach łatwo się pogubić. Prawda jest zawsze jedna i niezmienna.

Rodzice Steve'a zginęli w wypadku samochodowym, kiedy miał osiemnaście lat. Studiował programowanie komputerowe w Boston College i uczelnia zatrudniła go na część etatu. Pisał

programy komputerowe. Pieniądze po rodzicach ledwo starczały na naukę i na utrzymanie. W pracy go doceniono i po zrobieniu dyplomu dostał propozycję pełnego etatu. Nie przyjął oferty, wolał wrócić do Nowego Jorku. Tu chodził od jednej firmy do drugiej, próbując znaleźć posadę z dobrą pensją. Kiedy spytałam go, dlaczego nie ma żony ani dziewczyny, odparł, że kobiety w Ameryce są niezależne i nastawione na robienie kariery. Nie lubią nieudaczników takich jak on. Jeśli już się jakiejś spodobał, to ona mu nie odpowiadała. Poza tym dopóki nie jest w stanie zapewnić stabilnego bytu rodzinie, nie powinien jej zakładać. Zgodził się na lipne małżeństwo ze mną, żeby podreperować finanse. Z każdym dniem lubiłam go coraz bardziej. Rozumiał rosyjską mentalność i zawsze starał się mi pomóc. Rosjanki zazwyczaj nie proszą o pomoc, nawet jeśli bardzo jej potrzebują, a Steve, choć nie rozumiał takiej postawy, zawsze był gotów stanąć po mojej stronie.

Postanowiliśmy razem spędzić Boże Narodzenie i zrobiliśmy sobie wtedy mnóstwo „mażeńskich” zdjęć. Było to najmiłsze Boże Narodzenie i Nowy Rok w moim życiu. Steve zaprosił mnie do swego skromnego mieszkania i przygotował kolację. Dużo rozmawialiśmy i było bardzo wesoło. Nawet tańczyliśmy. Kiedy w styczniu chciałam mu wręczyć kolejny tysiąc dolarów, odmówił, tylko spytał, czy go lubię. Odparłam, że w życiu nie spotkałam nikogo tak fajnego jak on.

Nagle mnie pocałował i wyznał, że zakochał się we mnie od pierwszego wejrzenia. Zaimponowałam mu, gdy poważnie i rzeczowo rozmawiałam z nim o naszym układzie. I gdy postawiłam sprawę jasno, że może liczyć co miesiąc na pieniądze, ale z seksu nici. Nie wiedziałam, jak zareagować na te nie-

spodziewane wynurzenia, więc co prędzej wzięłam taksówkę i wróciłam do domu. Jeszcze jedną rzecz dziwiła mnie u niego. Całe życie spędził w Ameryce, był tu u siebie w domu, a jednak w jego mieszkaniu brakowało ciepła i przytulności.

Następnego dnia pod koniec zmiany przyszedł do mnie do pracy, a ja, jeśli mam być szczerą, z utęsknieniem czekałam na niego. Przyniósł mi kwiaty i oświadczył, że nie może beze mnie żyć. Serce zaczęło mi bić mocno. Czułam, że naprawdę go kocham. Dotąd byłam w życiu bardzo samotna i musiałam polegać głównie na sobie. Poszliśmy na spacer, a on zaproponował, żebym się do niego przeprowadziła.

Obiecał, że jeśli zgodzę się być z nim, to choć nie ma mi wiele do zaoferowania i raczej nie zapewni finansowej stabilizacji, zawsze będzie mnie kochał. Dodał, że jeśli nie zechcę z nim zamieszkać, to i tak możemy się przyjaźnić. Poza tym dobrze by było, gdybym się przeprowadziła, dopóki nie zostaną załatwione formalności związane z kartą. Podczas rozmowy mogą go pytać nawet o mój cykl menstruacyjny i gdzie trzymamy zapasy papieru toaletowego. Musimy się na to przygotować.

Steve rzeczywiście był moim przyjacielem. Nigdy nie lubiłam mieszkać sama, więc zgodziłam się, ale co do formy naszej relacji obiecałam dać odpowiedź za kilka dni. Uzgodniliśmy datę przeprowadzki. Miał przyjechać po mnie furgonetką i pomóc przewieźć rzeczy. Tego dnia zrozumiałam, jak bardzo go kocham i że razem możemy wiele w życiu zdziałać, tylko musimy iść ramię w ramię i wspierać się. Gdy przyjechał, powiedziałam mu to wszystko szczerze. Uścisnął mnie mocno i podziękował za to, że daję mu szansę. Załadowaliśmy moje rzeczy do furgonetki. Patrzyłam na niego, gdy siedział za kierowni-

ca, i wszystko mi się w nim podobało. Przywykłam już do jego stylu ubierania się, do okularów na czubku nosa i sposobu mówienia. Kochałam go takim, jaki jest. W pewnym momencie zorientowałam się, że jedziemy na Manhattan. Zatrzymaliśmy się przed luksusowym budynkiem z portierem i kamerami. Nic z tego nie rozumiałam.

Wjechaliśmy na siódme piętro. Pamiętam, że jak naciskał guzik w windzie, pomyślałam, że może to mój szczęśliwy numer. Sądziłam, że wstąpiliśmy odwiedzić jakichś jego znajomych, bo nie wzięliśmy z dołu moich rzeczy. Steve poprosił, bym chwilę zaczekała, i po kilku minutach otworzył drzwi. Weszłam do środka.

Całe mieszkanie przystrojone było świeżymi kwiatami, płonęło mnóstwo świec. Steve ukląkł, w rękę trzymał pudełeczko od jubilera. Oniemiałam, wszystko działo się jak w bajce. Patrzyłam na niego w osłupieniu, bo zmienił się nie do poznania. Miałam przed sobą eleganckiego mężczyznę w kosztownym garniturze, a mieszkanie było pięknie i bogato urządzone. Ale pieniądze w tym momencie były najmniej ważne. Uśmiechałam się do niego i miałam wielką ochotę rzucić mu się na szyję.

Steve wyznał, że wymyślił tę historię z małżeństwem dla papierów, ponieważ wszystkim dziewczynom chodziło zawsze o jego majątek. Postanowił, że jednak znajdzie kobietę, której by zależało na nim samym. I udało mu się. Prosił, bym wybaczyła mu wszystkie kłamstwa, ale to był jedyny sposób.

Od roku jesteśmy prawdziwym małżeństwem. Jestem w ostatnim trymestrze ciąży. Kocham go do szaleństwa i cokolwiek się stanie, zawsze z nim będę. I tak Steve z biednego programisty jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki przemienił się w bogatego biznesmena. Nim się poznaliśmy, stracił już wszelką nadzieję na znalezienie dobrej, kochającej żony i założenie rodziny. Wszystkie kobiety domagały się od niego tylko pieniędzy i prezentów. Żadnej nie zależało na przyjaźni i wzajemnym zrozumieniu.

Steve dał mi najszcześniejsze lata mojego życia. Jest dla mnie wszystkim, bratem, kochankiem, przyjacielem i ojcem naszego dziecka. Już nie pracuję, tylko dbam o mego męża i urządzam pokój dziecinny. Dwa razy w tygodniu chodzimy do szkoły rodzenia. Steve uczy się opieki nad niemowlęciem, ćwicząc na lalce. Rodzina w Lipiecku ma w nas duże oparcie. Mój mąż załatwił leczenie dla mamy i zapłacił za nie. Najpierw przestała pić, a potem, naczytawszy się o związku palenia z rakiem, przestała też palić. Razem z braćmi przyjadą do nas latem. Moją braciśką zaprowadzimy do najlepszych specjalistów od zespołu Downa. Jestem najszcześniejszą kobietą na świecie. Kiedy robi się coś w życiu z otwartym sercem i szczerymi intencjami, wtedy wszystko idzie w dobrym kierunku. Wystarczy postępować uczciwie wobec siebie i innych, a po drugiej stronie tęczy czeka prawdziwe szczęście.

Z miłości i dla pieniędzy

Przyjechałam z Kijowa 4 lipca 1999 roku, w dniu ważnym dla mojego nowego kraju, a także dla mnie. Wybieraliśmy się tu razem z moim mężem, Wiktorem. Bardzo go kochałam, wiele dla mnie znaczył. Miał wtedy czterdzieści lat, ja dwadzieścia trzy. Była to wielka wzajemna miłość od pierwszego wejrzenia. Poznaliśmy się w moje osiemnaste urodziny, a kiedy miałam dziewiętnaście lat, wzięliśmy ślub. Żyliśmy szczęśliwie i dostatnio, byliśmy bratnimi duszami. Kłopoty nas omijały, a szczęście maciło jedynie to, że nie mieliśmy dzieci. Bardzo się staraliśmy, ale nic z tego nie wychodziło. Każdy lekarz mówił co innego. Jedni twierdzili, że Wiktor jest bezpłodny, inni uważali, że między nami jest konflikt. Wymyślali najróżniejsze medyczne przyczyny, a nam nie na wiele się to zdało. W innych krajach leczono wtedy takie pary jak my i Wiktor zarzekał się, że jak tylko nam się uda wyjechać, poddamy się kuracji albo sztucznemu zapłodnieniu.

Urodziłam się w Kijowie w niezbyt zamożnej rodzinie. Byłam jedynaczką. Raczej nie okazywano mi miłości. Nasze codzienne życie, podobnie jak w przypadku większości miesz-

kańców naszego miasta, skupiało się na tym, jak zdobyć pieniądze i jakoś przeżyć. Mama pracowała w przedszkolu. Ojciec był malarzem na budowie i hydraulikiem. Rodzice nie byli zadowoleni ze swego losu. Zazdrościli ludziom, którym żyło się lepiej niż nam. Często nie było nas stać na różne rzeczy.

Moje dzieciństwo nie należało do radosnych. Z zabawek miałam jedną jedyną lalkę i drewniane klocki z ukraińskim alfabetem, które miały ułatwiać naukę czytania i pisania. W szkole niezbyt się przykładałam do nauki i miałam raczej średnie stopnie. Nikt się zresztą wtedy chętnie nie uczył, bo szansę pójścia potem na uniwersytet mieli tylko nieliczni. Wybrałam więc krawiecką szkołę zawodową, po której czekała mnie tylko jedna rzecz — praca krawcowej i robienie za grosze drobnych poprawek. Nie napawało to zbytnim optymizmem, trudno się było spodziewać kokosów w przyszłości. Od dzieciństwa miałam problemy z odręcznym narysowaniem prostej kreski, a o szyciu nie miałam w ogóle zielonego pojęcia. W sklepach leżały tylko cztery rodzaje materiału: bawełna, perkal, len i wełna, więc nawet nie bardzo było z czego szyc.

Nie ukończyłam tej szkoły. Rodzice zawsze mówili, że edukacja nie jest najważniejsza, bo i tak o dobrym życiu w przypadku kobiety decyduje odpowiednie małżeństwo. Mieli na myśli bogatego męża, który zatroszczy się nie tylko o ich córkę, więc im też coś niecoś skapnie.

W domu najczęściej jadaliśmy zupę gotowaną na mrożonym kurczaku, który był sinego koloru wskutek długiego leżenia w zamrażarce. Sprytnie sprzedawczynie farbowały taki drób na kolor zbliżony do naturalnego, więc przed włożeniem kurczaka do garnka mama najpierw zmywała farbę, a wtedy ptak

wracał do swej ciemnosinej barwy. Nie było na nim ani grama tłuszczu, źle go po prostu karmiono. Rosół z takiej kury był czysty jak woda, ale przynajmniej pachniał mięsem. Jedliśmy go z makaronem domowej roboty. Na deser była szarlotka z nadgniłych jabłek, które mama kupowała taniej. Po kilku godzinach taka szarlotka stawała się niejadalna i zlatywały się do niej muchy.

Gdy byłam całkiem mała, rodzice trzymali owce, kaczki i kury, więc często mieliśmy na obiad świeże mięso. Ojciec prowadził handel wymienny z sąsiadem, który pędził wódkę. Choć było to nielegalne, wiele osób robiło własny bimber, bo kosztował dużo mniej niż wódka kupowana w sklepie. Był mocniejszy i nie dawał nieprzyjemnych objawów nazajutrz rano.

Sąsiedzi mieli kompost, gdzie składali wszystkie odpadki. Pewnego dnia nasze kaczki przedostały się na podwórko sąsiada i poszły na ten kompost. Gdy mama wieczorem wróciła do domu, wszystkie leżały martwe. Aż się rozplakała na myśl, ile dobrego jedzenia się zmarnowało. Ponieważ najwyraźniej czymś się otruły, strach było je jeść. Mama więc tylko starannie je oskubała, żeby mieć pierze na poduszki i kołdry, a martwe ptaki wyrzuciła na śmietnik. Następnego dnia nie wierzyła własnym oczom. Kaczki ożyły i wcale nie były zachwycone tym, że je oskubano. Okazało się, że nie zdechły, tylko zwyczajnie się upiły, zjadając ze śmietnika resztki zacieru. Jeszcze długo przechodzący ulicą ludzie śmiali się z gołych kaczek.

Tak wyglądała nasza codzienność. Nie mieliśmy wielu powodów do radości, ale problemów też było mało. Życie toczyło się monotonnie. Podczas drugiego roku nauki w szkole krawieckiej poznałam Wiktora i wkrótce się pobraliśmy. Mój mąż był

sierotą, nawet nie znał swoich rodziców, i między innymi dlatego tak szybko zdecydował się na ślub - bardzo chciał mieć własną rodzinę. Wiktor pracował dla mafii. Takich jak on uważano za najgorszych kryminalistów, ale w moich oczach był bohaterem i powodem do dumy. Koleżanki mi zazdrościły, bo w porównaniu z ich chłopakami mój mąż był bardzo męski, a nowy samochód, taki jak jego toyota, był wtedy nieosiągalnym marzeniem każdego. To, że nie chodził do pracy na określoną godzinę, dawało poczucie wolności i swobody. Świetnie nam się wiodło, nie mieliśmy żadnych trosk, a pod koniec miesiąca mogliśmy liczyć na stały przyływ dużej gotówki. Życie nie umierało. Tak to u nas wtedy było. Kto miał pieniądze, z tym się ludzie liczyli.

Kiedy miałam dwadzieścia dwa lata, Wiktor otrzymał amerykańską zieloną kartę. Niesamowicie się ucieszył i wierzył, że teraz stanie się cud i będziemy mieć dziecko, bo przecież amerykańscy lekarze na pewno poradzą sobie z naszym problemem. Dostaliśmy wizy. Podczas rozmowy przedstawiciel amerykańskiego konsulatu wyraził zdziwienie, że chcemy jechać do nieznanego kraju, nie znając języka. Kiedy spytał, co będzie, jeśli się nie przyzwyczaimy do życia w Ameryce, Wiktor odparł, że wrócimy na Ukrainę i zaczniemy wszystko od początku. Urzędnik nie mógł zrozumieć, jak można porzucić wygodne i dostatnie życie i jechać tam, gdzie człowiek nie ma pracy i zdany jest tylko na siebie.

Wszystko zostało dopięte na ostatni guzik. Sprzedaliśmy mieszkanie, walizki czekały spakowane. Do wyjazdu do Ameryki, naszej nowej ojczyzny, zostały trzy tygodnie. Mówi się, że nieszczęścia chodzą parami. W naszym przypadku

przyszło ich całe stado. Najpierw ojciec spadł z dziesiątego piętra domu, który malował, i się zabił. Na pogrzebie matka dostała zawału i umarła, ściskając w ramionach jego ciało. W ciągu trzech dni zostałam sierotą jak mój mąż. Przedtem miałam sen, że wypadł mi ząb, co oznacza podobno śmierć bliskiej osoby. Byłam zatem pewna, że chodziło o rodziców. Ale później przyśniło mi się, że wszystkie zęby mi wypadły, i zaczęłam bardzo niepokoić się o Wiktora. Na dwa tygodnie przed naszym wyjazdem Wiktor zniknął. Pojechał na jakieś spotkanie i więcej go nie zobaczyłam. Wiedziałam tylko, że mieli w nim brać udział ludzie spoza naszego miasta, którzy przyjeżdżali, aby ustalić zasady współpracy i spłaty długów oraz wyznaczyć strefy wpływów. Nie zdążyłam mu nawet powiedzieć, jak bardzo go kocham. Trzy dni później poznałam jego bossa, który miał ksywkę „Mucha”. Wyglądał, jakby nieraz już siedział w więzieniu, i ciągle kaszłał, pewnie wskutek niezdrowego trybu życia. Pokryty był tatuażami, nawet na powiekach miał wytatuowany napis: „Nie budzić”. Na małym palcu prawej ręki nosił wielki złoty sygnet z olbrzymim brylantem. Oddał mi złoty krzyżyk na łańcuszku, który należał do Wiktora. Złożył kondolencje i namawiał, żebym jak najszybciej opuściła Ukrainę. Podobno Wiktor mocno naraził się konkurencji i przypłacił to życiem. Ostrzegł, że ludzie ci mogą domagać się ode mnie pieniędzy, które był im winien. Radził, żebym jak najszybciej wyjechała do Ameryki. Jak to się mówi, nie ma człowieka, nie ma problemu.

Bilet miałam już wykupiony, do wyjazdu pozostało sześć dni. W sercu czułam gniew, strach, ból i kompletną bezradność. Pierwsze trzy dni piłam wódkę, wpatrując się w stojące przede

mną zdjęcie roześmianego Wiktora i gorzko płacząc. Zgodnie z tradycją postawiłam przed jego zdjęciem drugi kieliszek wódki nakryty kawałkiem czarnego chleba z solą. Wierzymy, że dusza zmarłego po śmierci przychodzi wypić ostatni kieliszek wódki i pożegnać się z tymi, którzy go oplakują. Po kilku dniach wódka zniknęła z kieliszka, a chleb się skurczył. Nie przyjmujemy do wiadomości, że alkohol wyparował, a chleb wysechł. Wierzymy, że to zmarły przyszedł do nas. Po prostu robimy tak, jak robiono przed nami i zapewne będzie się robić długo po nas.

Po czterech dniach wreszcie coś zjadłam - kawałek chleba z czerwonym kawiolem. Piątego dnia odebrałam telefon z pogroźkami, ktoś żądał spłacenia jakiegoś długu, o którym nie miałam pojęcia. Byłam przerażona. Zadzwoiłam do znajomej i umówiłam się z nią. Kiedy wychodziłam z mieszkania, zorientowałam się, że ktoś mnie śledzi. Zaczęłam biec, upadłam i starłam sobie do krwi kolano. Bardzo nie chciałam wyjeżdżać, bo wolałam być blisko grobu męża. W nocy przez okno mojego sprzedanego już mieszkania wpadł spory kamień. Zmieniłam decyzję, zadzwoniłam do „Muchy” i poprosiłam o bezpieczne odwiezienie mnie na lotnisko. W dniu wyjazdu pod domem zjawił się kuloodporny mercedes metalik, który przypominał czołg. „Mucha” przyjechał osobiście z dwoma wysokimi ochroniarzami. W samochodzie siedziałam między nimi. W drodze na lotnisko boss Wiktora poradził mi, żebym została za granicą co najmniej pięć lat, aż sprawa przycichnie.

W samolocie przepłakałam całą drogę. Zupełnie nie wiedziałam, co zrobię w Ameryce bez Wiktora, znając jedno słowo po angielsku. Przy sobie miałam dziesięć tysięcy dola-

rów, a to bardzo niewiele jak na początek, co uświadomił mi rosyjski taksówkarz, który za dwieście dolarów zawiózł mnie Z lotniska JFK na Brooklyn.

Trafiłam do dziwnej kobiety, która miała na imię Clara. Była tak gruba, że nie dałoby rady jej objąć. Stale żuła liście kapusty, tłumacząc, że od tego robią się większe piersi. Nie miałam pojęcia, po co chce mieć jeszcze większe piersi, skoro te jej już przypominały dwa worki kartofli. Clara pomagała imigrantom znaleźć pracę i mieszkanie. Uważała, że bierze za to naprawdę niewiele. Na przykład żądała pięciuset dolarów za załatwienie posady pomocy domowej z mieszkaniem przy rodzinie. Trzeba jej też było dać równowartość pierwszych trzech wypłat, to jest około tysiąca dolarów.

Postanowiłam, że sama znajdę sobie pracę. Wynajęłam mieszkanie w suterenie za sto pięćdziesiąt dolarów za noc. Pokój był bardzo mały, z wielkim materacem na podłodze, ubikacją, kuchenką i lodówką. Codziennie szukałam pracy i jakiegoś lepszego lokum. Pod koniec miesiąca zostało mi tysiąc pięćset dolarów.

Pewnego dnia po powrocie zastałam w mieszkaniu jakąś kobietę, która siedziała na materacu i płakała. Była to moja nowa współlokatorka. Na imię miała Natasza, tak przynajmniej twierdziła. Wydała mi się dobrym człowiekiem i byłam bardzo szczęśliwa, że wreszcie mam z kim pogadać. W nocy opowiedziałyśmy sobie swoje dzieje i nabrałyśmy do siebie sympatii. Od tej pory wszystko postanowiłyśmy robić razem.

Następnego ranka przeżyłyśmy wielkie zaskoczenie, okazało się bowiem, że wyglądamy niemal tak samo. Tyle że włosy Nataszy były dłuższe od moich i proste. Miałyśmy nawet identyczne znamiona na twarzy. To było bardzo dziwne. Ja byłam z Ukrainy, ona z Krasnodaru.

Pewnego dnia przyszła moja kolej zrobić zakupy. Wróciwszy po paru godzinach nieobecności, nie zastałam Nataszy w domu, a w dodatku okazało się, że ukradziono mi wszystkie dokumenty. Nie wiedziałam, co robić. Zapłakana czekałam na powrót Nataszy, żeby jej o tym powiedzieć. Nie mogłam poradzić się Klary, bo wyjechała na weekend do Miami. Natasza nie pokazywała się przez najbliższe dwa dni, więc zaczęłam się niepokoić i nawet powiedziałam Klarze, gdy ta już wróciła, że Nataszę mógł ktoś porwać. Wtedy dowiedziałam się, że Natasza wyjechała przed trzema dniami, twierdząc, że rozwiązała już swoje problemy.

Dopiero wtedy zrozumiałam wszystko. Clara odradzała mi zgłaszanie kradzieży na policji, chyba że chcę wylądować w więzieniu dla imigrantów i tam czekać na deportację. Nie znałam się na tutejszym prawie, nie miałam żadnego dowodu tożsamości, a powrót do kraju nie byłby dla mnie bezpieczny. Nie wiedziałam zatem, co robić. Clara powiedziała, że wyglądam na inteligentną kobietę i że znajdzie mi pracę, nie biorąc prowizji. Zgodziła się też, żebym mieszkała u niej za sześćset dolarów miesięcznie; miała wolny pokój na górze. Miałam akurat tyle pieniędzy, żeby zapłacić za pierwszy miesiąc i jakoś się wyżywić. Prześladowała mnie myśl, że Nataszy wystarczyło skrócić włosy i je podkreślić, by spokojnie posługiwać się moimi dokumentami. Również zieloną kartą.

Po paru dniach Clara załatwiła mi rozmowę w sprawie pracy. Miałam pójść do cukierni Dunkin' Donuts i spotkać się z Gruzinem Goga. Uprzedziła, że poznam go po dużym nosie

i że będzie miał na sobie sportowe spodnie, kapelusz i klasyczne półbuty.

Jakby mi ktoś dodał skrzydeł. Prędko się umalowałam, włożyłam elegancki kostium, który Wiktor przywiózł mi z Turcji, i pobiegłam na spotkanie. Byłam naprawdę ładna. Miałam opadające na ramiona kasztanowe loki, duże niebieskie oczy i pełne różowe usta. Po dwóch miesiącach życia w Ameryce schudłam kilka kilogramów i wyglądałam dużo lepiej. Nadal nosiłam stanik 32D, ale miałam szczupłą talię i jędrne pośladki.

Już z daleka rozpoznałam Gogę. Duży nos to było dość delikatnie powiedziane. Jak mówi stare porzekadło, nos urósł dla siedmiu ludzi, lecz tylko jeden człowiek go dostał. Zaraz na wstępie Goga stwierdził, że wyglądam jak laleczka i mam figurę seksbomby. Dodał, że takie dziewczyny nigdy nie leżą na półce i nie kurzą się beczynn timer. Zapytałam, jaką ma dla mnie pracę. Z uśmiechem odparł, że zatrudni mnie na stanowisku asystentki ministra stosunków seksualnych w skorumpowanym społeczeństwie amerykańskim. Nic nie zrozumiałam, ale zabrzmiało to jak jakaś solidna posada. Byłam ciekawa, jakim cudem daje mi taką pracę, skoro nie znam języka. Odparł, że jak nie będę zadawać pytań, to dłużej pożyję. Jedyne, czego mi trzeba, to odpowiednie ciało, a to jego zdaniem miałam. Obiecał zarobki w wysokości dwóch tysięcy dolarów tygodniowo, miałam pracować pięć dni w tygodniu po szesnaście godzin, od siedemnastej do dziewiątej rano. Niewykluczona była dalsza kariera, jeśli uda mi się awansować ze zwykłej dziewczyny do towarzystwa na VIP-owską dla ważnych klientów z naprawdę dużymi pieniędzmi. Nie dałabym rady przetrwać inaczej, więc nie namyślając się długo, przyjąłam jego propo-

zycję. Tak zaczęła się moja *praca*.. Trzy lata harowałam *ciężej* niż inne dziewczyny. Klienci potrafili być trudni i nieprzyjemni. Pierwszy trafił mi się trzydziestopięcioletni Meksykanin, który był tak brutalny, że potem przez tydzień miałam problemy z oddawaniem moczu. Zdarzali się rodacy. Taki najczęściej zamawiał mnie na kilka godzin i najpierw wygłaszał moralne nauki, że hańbię nasz naród. Potem proponował pomoc, następnie był seks, a na koniec wyznawał miłość i prosił o numer komórki. Chciał się koniecznie spotkać po pracy, oczywiście za darmo.

Miałam stałego klienta Chińczyka, który brał mnie na cały wieczór. Jedliśmy kolację przy świecach, potem szliśmy do sypialni i próbowaliśmy kolejną pozycję z otwartej na chybił trafił *Kamasutry*. Interesował go nie tyle sam stosunek, ile dokładne powtórzenie pozycji z książki. Jestem pewna, że autorzy *Kamasutry* sporo by dali za to, żeby zobaczyć, co też ludzie wyprawiają, chcąc powtórzyć te łóżkowe fantazje. Zrzuciliśmy wszelkie eksperymenty, kiedy nadwerężył sobie penis.

W seksbiznesie pracowałam trzy lata, dopóki nie zachorowałam. Ginekolog stwierdził poważne schorzenie macicy, a do tego złośliwy guz. Jedynym wyjściem była operacja, po której nie można mieć dzieci ani przeżyć orgazmu. Trafiłam na bardzo dobrego lekarza, Rosjanina Miszę. Trzydzieści lat, blondyn, lekko zniewieściały. Wiedział, w jaki sposób zarabiam, i nie gorszył się tym. Powiedział coś takiego, że człowiek musi najpierw pracować dla pieniędzy, żeby potem pieniądze pracowały dla człowieka.

Przez dwa tygodnie po operacji musiałam zostać w domu i nie mogłam pracować. Policzyłam wtedy dokładnie, ile zarobiłam

w ciągu tych trzech lat, i okazało się, że jest tego trzysta tysięcy dolarów. Zastanawiałam się, co zrobić, i postanowiłam otworzyć własną agencję towarzyską. Potrzebowałam współnika, zwróciłam się więc z propozycją do Miszy, z którym się zaprzyjaźniłam i czasem chodziłam na kawę do Starbucksa. Chętnie się zgodził i zainwestowaliśmy w ten interes sto tysięcy dolarów. Wynajęliśmy pięciopokojowe mieszkanie, umeblowaliśmy je i zatrudniliśmy dziewczyny. Misza zaproponował, że skoro pracujemy razem, to może byśmy razem zamieszkali. Widząc zdziwienie w moich oczach, wyjaśnił, że nie mam się czego bać, bo on jest po prostu nieszczęśliwy i ma dosyć samotności. Zamieszkaliśmy więc razem. Interes szedł świetnie i przynosił spory dochód. Wszyscy byli zadowoleni, oprócz naszej konkurencji. Pewnego dnia policja zrobiła nalot i większość dziewczyn została aresztowana. Co gorsza był tam wtedy Misza, który trafił do aresztu razem z nimi. Znalazłam prawnika, który załatwiał takie sprawy. Zapłaciłam czterdzieści pięć tysięcy dolarów i po kilku dniach wszyscy byli wolni. Misza wykazał się sporym sprytem, zmyślając bajeczkę, że jest klientem, który przyszedł tam, zobaczywszy ogłoszenie w gazecie. Upiekło mu się.

Pewnego dnia szłam ulicą w wyjątkowo podłym nastroju, opłakując w duchu los swój i Wiktora, kiedy niespodziewanie znalazłam się przy sierocińcu dla niepełnosprawnych dzieci. Gdy zobaczyłam te dzieciaki, dotarło do mnie, że nie mam się co nad sobą użalać. Przyglądały mi się z nadzieją w oczach i nazajutrz znów tam poszłam, a one wyraźnie mnie pamiętały. Zaczęłam odwiedzać je regularnie. Zachwyił mnie zwłaszcza Jayson, który na swoim wózku inwalidzkim towarzyszył mi wszędzie, ciągle na mnie patrzył i się uśmiechał.

Przebywając wśród tych dzieci, pojęłam, że w porównaniu z ich losem moje życie wcale nie jest ciężkie. Ileż te biedactwa musiały się nacierpieć. Wobec ich tragedii nie miałam prawa uskarżać się na swoje problemy. Postanowiłam jakoś im pomóc, a nie tylko przychodzić i roztkliwiać się nad nimi. W końcu to nie zoo ani cyrk, one potrzebowały konkretnej pomocy, miłości i ciepła, które mogłam im dać. Zaczęłam przynosić prezenty i lekarstwa. Opłacałam występ klaunów, żeby je rozweselić. Powiedziałam

o wszystkim Miszy i postanowiliśmy zaadoptować dwójkę, a pozostałe wspierać w miarę naszych sił i możliwości.

Przygarnęliśmy małego Jaysona i pięcioletnią Japoneczkę Vanesę. Agencja towarzyska znów działała, ale już bez udziału Miszy. Gdyby wpadł w kłopoty, stracilibyśmy dzieci i szansę na dalsze adopcje.

Owszem, pracuje dla mnie sporo młodych dziewczyn. Ich głównym celem są pieniądze, niewiele więcej się dla nich liczy. Ale nie mam prawa mówić o nich nic złego ani tym bardziej ich osądzać, bo kiedyś sama taka byłam. Teraz już nie wydaję na luksusy i fanaberie, tylko niemal wszystko, co zarobię, przeznaczam dla dzieci, żeby miały lepsze życie.

Niedawno wzięliśmy z Miszą ślub. Sam to zaproponował, żeby ułatwić mi zalegalizowanie pobytu. Nie potrzebuję mężczyzny do łóżka. Dla mnie Misza jest najlepszym przyjacielem i wielkim wsparciem, a dla czwórki naszych dzieci wspaniałym ojcem. Nie jestem zazdrosna o panów, z którymi się czasem umawia, ale

i tak nie robi tego często. Jestem teraz spełnioną kobietą. Mam przy sobie bliskich, mam po co żyć, mam komu zapewnić przyszłość. Ktoś mógłby się zgorszyć, że taka grzesznica jak ja nie ma prawa do szczęścia. Ja jednak nie widzę w tym nic niemoralnego.

Po prostu zyc

Urodziłam się w czepku, ale szczęście okazało się nietrwałe. Rodzice, rosyjscy Żydzi, przyjechali do Ameryki z Izraela, kiedy mama była w szóstym miesiącu ciąży. Trzy miesiące później przyszedłam na świat w ich nowej ojczyźnie. Rodzicom dobrze się powodziło. Oboje byli cenionymi okulistami. Po przyjeździe do USA najpierw pracowali w państwowych szpitalach. Byli lubiani przez pacjentów i uważani za specjalistów od chorób oczu. Wkrótce otworzyli własny gabinet i szybko zyskali sławę najlepszych chirurgów plastycznych okolic oka.

Moim pierwszym językiem był angielski. Mówiłam też płynnie w jidysz i po rosyjsku. Dzieciństwo upłynęło mi głównie w towarzystwie opiekunek. Co dzień wieczorem rodzice bawili się ze mną przez godzinę, nawet jak byli bardzo zmęczeni, i nigdy niczego mi nie odmawiali. W wieku pięciu lat chodziłam na basen, balet, kółko plastyczne i jazdę figurową na lodzie. Zapisali mnie na wszystkie możliwe zajęcia, żebym nie czuła się samotna. Rozpieszczali mnie, a jednak samotność mi dokuczała.

Mieszkaliśmy w luksusowym apartamencie w centrum Chicago. Mama nie gotowała, jadaliśmy na mieście albo zamawialiśmy

jedzenie do domu. Nie było w Chicago takiej restauracji, w której byśmy nie byli (oczywiście mam na myśli tylko te dobre lokale).

Chciałam profesjonalnie tańczyć na lodzie i wzięłam udział w zawodach w Minnesocie. Nie tylko nie wygrałam, ale w dodatku upadłam na lód i złamałam nogę tak fatalnie, że dopiero po roku rehabilitacji zaczęłam normalnie chodzić. Przez długi czas byłam praktycznie unieruchomiona. Przed wypadkiem miałam tylko jedno marzenie: zostać zawodową łyżwiarką. Nie umiałam przegrywać albo też raczej nie wiedziałam, jak to jest przegrać, ponieważ zawsze wygrywałam. Po raz pierwszy doznałam porażki i potem przez dłuższy czas nie byłam w stanie w ogóle nic robić. Nie umiałam rozmawiać z chłopcami, nie flirtowałam, w ogóle nie zwracałam na nich uwagi. Widziałam, że się podobam, ale wszyscy wydawali mi się nieodpowiedzialnymi smarkaczami.

Szkołę średnią skończyłam, mając siedemnaście lat. Rodzice postanowili wysłać mnie do Izraela na studia w dwuletniej szkole biznesu. Była to okazja, żeby zobaczyć kraj, w którym zostałam poczęta. Dwa lata szybko minęły. Dwukrotnie przyjeżdżałam na wakacje do Ameryki, a raz rodzice odwiedzili mnie w Izraelu.

Nigdy się nie nudziłam. Od wczesnego dzieciństwa byłam przyzwyczajona do samotności i zawsze znalazłam sobie coś do roboty. Izrael był dla mnie cudownym krajem o bogatej, wspaniałej historii. Chodziłam ulicami, oglądałam nowe, nieznane rzeczy, poznawałam ludzi. Bardzo lubiłam moją szkołę. Tu zdobyłam konkretną wiedzę. Zajęcia prowadzili znani prezesi międzynarodowych firm i od nich można się było nauczyć strategii sukcesu. Potrafiłam nawiązywać dobre kontakty

z ludźmi, ale bliżej nie zaprzyjaźniłam się z nikim. Wciąż pokutował wzorzec z dzieciństwa, kiedy z powodu licznych zajęć brakowało czasu na przyjaźń.

W Izraelu mieszkałam u sympatycznych ludzi, którzy bardzo dobrze mnie traktowali. On miał na imię Zulya, ona Sara, i prowadzili razem piekarnię. Dwa razy w tygodniu Sara zabierała mnie na zakupy, a we troje robiliśmy sobie wycieczki do historycznych miejsc w Izraelu. Na szczęście nie byli przesadnie pobożni, podobnie jak moi rodzice. Nie lubiłam chodzić do synagogi.

Po skończeniu szkoły biznesu wróciłam do Ameryki. Przez ten czas moja figura się zmieniła. Stałam się bardziej kobieca, ale nadal nie spotykałam się z żadnym mężczyzną. W wieku dziewiętnastu lat wstąpiłam na uniwersytet w Chicago i jako kierunek studiów wybrałam marketing. Oceny miałam doskonałe. Rodzice nie chcieli, żebym pracowała podczas studiów, cały czas płacili za wszystko i dawali sporo pieniędzy na osobiste wydatki. Byłam zwykłą dziewczyną jak inne studentki i miałam własne zdanie na każdy temat.

Na trzecim roku studiów poszłam na przyjęcie, na którym było około dwudziestu osób, mnóstwo piwa, muzyka i dobra zabawa. Do tańca poprosił mnie niejaki George. Patrzył mi głęboko w oczy i mówił, że jestem piękna. Szeptał, że im bardziej będę nieprzystępna, tym bardziej chłopcy będą za mną szaleć. Miło było usłyszeć, że jestem atrakcyjna, i wzięłam sobie jego rady do serca.

Tego samego wieczoru zaproponował, żebyśmy chodzili ze sobą. Byłam pijana, zgodziłam się i w nocy straciłam dziewictwo. Stało się to na łóżku kolegi, który poszedł spać gdzie indziej. Nie żałowałam, ale nie doświadczyłam też żadnej przy-

jemności. Po prostu nic to dla mnie nie znaczyło. Spotykałam się z Georgeem przez jakieś dwa lata. Dla mnie była to tylko miła znajomość, nic więcej. On się pewnie we mnie kochał, inaczej nie chodzilibyśmy ze sobą tak długo. Wiązał ze mną plany na przyszłość, ale ja miałam własne, w których nie było dla niego miejsca.

Skończyłam studia z dobrym wynikiem i zaczęłam szukać pracy. Bardzo szybko dostałam zaproszenie na rozmowę do firmy w Nowym Jorku. Wolałam być niezależna, więc zerwałam z Georgeem. Rodzice i tak go nie lubili, uważali, że nie pasujemy do siebie. Mama twierdziła, że mam duży potencjał i dla takiego prostaczka jestem za mądra i za dobrze wykształcona. Jemu wystarczy zwykła, prosta dziewczyna. Skromność nigdy nie była zaletą mojej rodziny, moją też nie. Koleżanki twierdziły, że jestem ładna. Mam jasnozielone oczy, miły uśmiech, długie rude włosy i szczupłą figurę.

W Nowym Jorku znalazłam pracę w dziale badań rynku w dobrej firmie produkującej i sprzedającej napoje alkoholowe. Było to duże przedsiębiorstwo i moi szefowie byli bardzo wymagający, jeśli chodzi o dyscyplinę. Zaprzyjaźniłam się z jedną dziewczyną, która nazywała się Nicole. Pracowała od dawna i wiedziała wszystko o wszystkich - kogo zwolnią, kogo wyślą w delegację, komu dadzą podwyżkę.

Po pół roku moją uwagę zwrócił Frank. Był przystojny, miał trzydzieści parę lat i też wyraźnie się mną interesował. Wreszcie wyznał, że od pierwszego wejrzenia zakochał się we mnie. Spytał, czy może się o mnie starać. Roześmiałam się i powiedziałam, że zabronić mu nie mogę. Ale uprzedziłam, że to nie będzie łatwe, bo Rosjanki są trudne. Uważałam siebie

przede wszystkim za Rosjankę. Byłam pewna, że on tylko żartuje. Tymczasem podczas przerwy na kawę Nicole potwierdziła, że Frank mówił poważnie. Po miesiącu byliśmy parą. Wszystko działało się bardzo szybko. W firmie sporo mówiło się na nasz temat, z czego Nicole wydawała się bardzo zadowolona. Ciągłe wypytywała mnie o różne rzeczy, doradzała to i owo. Lubiła wiedzieć wszystko. Ja byłam w siódmym niebie. Wariowałam na punkcie Franka, a on był we mnie bardzo zakochany.

Po raz pierwszy w życiu uwierzyłam, że naprawdę istnieje miłość, o jakiej piszą w książkach. To było cudowne! Chwili nie mogliśmy wytrzymać bez siebie. Z niecierpliwością wyczekiwaliśmy końca pracy, a rano strasznie nie chciało nam się wychodzić z łóżka. Mówi się, że człowiek zakochany jest w stanie przenosić góry. Oboje z Frankiem pracowaliśmy na najwyższych obrotach i szefowie ciągle nas chwalili.

Zbliżało się Boże Narodzenie. Wprost nie mogłam się doczekać pierwszych świąt spędzanych wspólnie z ukochanym. W połowie grudnia Frank wyjechał na tydzień w delegację. Wtedy po raz pierwszy rozstaliśmy się na dłużej. Liczyłam dni do jego powrotu.

Nadszedł dzień, kiedy miał wrócić. Szef wyszedł na jakieś spotkanie, a ja poprosiłam Nicole, żeby coś wymyśliła, jakby o mnie pytał. Do przyjazdu Franka zostały trzy godziny i chciałam przygotować dla niego kolację przy świecach. Wszystko było gotowe w ciągu kilku kwadransów. Wtedy zadzwoniła Nicole z wiadomością, że muszę wrócić do biura, zanim szef przyjdzie, bo mu powiedziała, że wyszłam tylko na chwilę do sklepu. Mieszkałam blisko pracy, ale wzięłam taksówkę. Było mi smutno, że z moich planów nic nie wyszło.

W tym momencie miałam żal do całego świata. Byłam wściekła, że Frank wróci do domu i mnie nie zastanie.

Ku mojemu zdziwieniu w pracy nie spotkałam Nicole. W gabinecie szefa paliło się światło, więc tam był. Postanowiłam, że zadzwonię do niego i spytam, czy mogę wcześniej wyjść, ale jego telefon był zajęty. Usiadłam przy biurku i zaczęłam przeglądać papiery. Od czasu do czasu dzwoniłam do szefa, ale stale było zajęte. Raz niechcący włączyłam się do rozmowy. Przestraszyłam się, że zaraz wypadnie z gabinetu i skrzyczy mnie za podsłuchiwanie. Mówił właśnie komuś, że niebawem będzie — od razu się rozłączyłam. Zadzwoniłam raz jeszcze, ale znów było zajęte. Uspokoilałam się; to znaczyło, że niczego nie zauważył.

Zadzwoniła moja komórka. To był Frank. Powiedział, że się spóźni i wróci do domu około północy. Byłam coraz bardziej zła. Kiedy się czeka na ukochaną osobę, to nawet dziesięciominutowe spóźnienie jest nie do zniesienia. A tu musiałam czekać jeszcze pięć godzin. Co za męka! Ostatni pracownik wyszedł z biura o osiemnastej dwadzieścia. Dzień pracy skończył się dwadzieścia minut temu. Sprzątnęłam papiery na biurku, wzięłam torebkę i już miałam wyjść, ale postanowiłam zajrzeć jeszcze do szefa i uprzedzić, że następnego dnia przyjdę dwie godziny później. Gotowa byłam skłamać, że mam wizytę u lekarza. Byłam pewna, że po tygodniu rozłąki Frank chętnie zostanie ze mną w łóżku trochę dłużej.

Czasami żałuję, że od razu nie pojechałam do domu, bo wtedy wszystko mogło potoczyć się inaczej. Gdy weszłam do gabinetu, nie mogłam wprost uwierzyć własnym oczom. Szef całował się z mężczyzną! W pierwszej chwili przyszło mi do głowy, że widzę coś, czego nie powinnam była zobaczyć. Druga

myśl była *znacznie* gorsza - uświadomiłam sobie, że mężczyzną tym jest Frank. W tym szoku stałam jak skamieniała, zupełnie nic nie rozumiejąc. Mój Frank całuje się z facetem, z naszym szefem! Wybiegłam i wtedy Frank mnie zobaczył. Wołał za mną, prosił, żebym czekała, że wszystko mi wyjaśni. Nie pamiętam, jak długo szłam przed siebie ulicami.

Kiedy znalazłam się na Madison Avenue, było już późno i padał deszcz. Przemoknięta i zrozpaczona zatrzymałam taksówkę i odruchowo podałam adres Franka. Nie byłam w stanie powstrzymać łez. Weszłam do jego mieszkania. Frank siedział na kanapie z twarzą ukrytą w dłoniach. Obok stały spakowane walizki z moimi rzeczami. Podniósł głowę, ale nie poprosił mnie, żebym została. Nie błagał o wybaczenie. Oczy miał przerażająco puste.

Wróciłam do rodziców do Chicago. Frank zadzwonił i próbował coś tłumaczyć, ale nie chciałam słuchać. Co takiego zresztą mógł mi powiedzieć. Kilka dni później przyleciała Nicole. Opowiedziałam jej o wszystkim, bo poza nią nie miałam komu się wypłakać. Rodzicom nie mogłam o tym powiedzieć, należeli do starszego pokolenia. Nicole potwierdziła, że Frank jest biseksualny. Jakiś czas temu spotykała się z nim, ale w końcu się rozstali, ponieważ on nie chciał zakończyć związku z naszym szefem. Myślała, że wiem o tym i że będę starała się go zmienić. Dziwiło mnie tylko, że Nicole, która tyle wiedziała i wiecznie wszystko rozpowiadała, nigdy przedtem ani słowem się na ten temat nie zająknęła.

Frank dzwonił do mnie jeszcze kilka razy, ale nie miałam ochoty z nim rozmawiać. Po dwóch miesiącach znalazłam pracę w Chicago i bolesne wspomnienia zaczęły się zacierać.

Ale nie umawiałam się z nikim. Każdy *mężczyzna*, z miejsca wydawał mi się podejrzany.

Pewnego dnia pod kawiarnią spotkałam koleżankę z dawnej pracy. Bardzo się ucieszyłam. Tymczasem dowiedziałam się od niej o czymś, co mocno mnie zraniło. Otóż Frank i Nicole niedawno się pobrali. Mimo wszystko kochałam jeszcze Franka i pamiętałam nasze wspólne plany na przyszłość. Jednocześnie nienawidziłam go, ponieważ to on zniszczył nasz związek. Nie wiadomo, co gorsze: gdy mężczyzna zdradza z inną kobietą, czy też z drugim mężczyzną.

Po dwóch latach, kiedy najgorszy ból minął, dostałam list od Nicole. Gdy go przeczytałam, doznałam prawdziwego szoku. Pisała:

Droga Maszo,

nie wiem, czy kiedykolwiek uzyskam Twoje przebaczenie, ale pamiętaj, że niewiele już mi w życiu pozostało. Czas biegnie nieubłaganie i mam go coraz mniej, dlatego bardzo Cię proszę, byś spróbowała mi wybaczyć. Całe zło, jakie spotkało mnie w życiu, było wyłącznie z mojej winy. Po zerwaniu z Frankiem zrozumiałam, że nie potrafię bez niego żyć. Staralam się tego nie okazywać. Bardzo go kochałam i byłam gotowa wiele mu wybaczyć, ale nie mogłam znieść trzeciej osoby w naszym związku.

Niespodziewanie pojawiłaś się w naszym biurze i okazałaś się doskonałą pracownicą. Zostaliście z Frankiem parą, a on kochał Cię tak bardzo, jak chyba nie kochał nikogo. Liczyłam na to, że wpłyniesz na niego, by wyrzekł się tej swojej obsesji. Wymyśliłam sobie, że kiedy już uda Ci się go zmienić, to znajdę jakiś sposób, żeby się Ciebie pozbyć. Przepraszam. Czekałam tylko na odpowiedni moment. Byłam pewna, że kochając Ciebie, zerwie w końcu z szefem. Obmyślałam sobie, jak go wtedy od Ciebie odciągnę.

Tego dnia, kiedy wyszłaś wcześniej, zadzwonił Frank i spytał, czy widziałam szefa. Powiedziałam mu, że wyszedł dawno temu na spotkanie i miał już nie wrócić. Piętnaście minut później zjawił się szef i wtedy zrozumiałam, że umówili się z Frankiem w firmie. Coś we mnie pękło. Wciąż byłam zazdrosna o szefa. Zadzwoniłam do Ciebie i skłamałam, że musisz przyjść. Wybacz mi to, błagam Cię.

Myślałam, że po konfrontacji z Tobą Frank zakończy ten związek. Ale stało się inaczej. Nie walczyłaś o swoją miłość, tylko odeszłaś. Nie masz pojęcia, jak Frank cierpiał. On chyba jednak Ciebie kochał najbardziej i sama nie wiem, dlaczego w końcu ożenił się ze mną. Ale w tym czasie nie zastanawiałam się w ogóle nad tym, liczyło się tylko to, że wreszcie miał być mój. Dopiero później okazało się, że nie do końca.

U szefa wykryto wirus HIV. Frank też był zarażony i zaraził mnie. Miesiąc temu Frank umarł na AIDS. Nie mam wiele życia przed sobą. Nie śmiem prosić, byś przyjechała mnie odwiedzić. Błagam tylko o wybaczenie. Będzie mi dużo lżej. Pewnie się już nie zobaczymy. Nicole.

Ostatnie linijki czytałam przez łzy, które tak ścisnęły mi gardło, że z trudem oddychałam. Jakże nienawidziłam w tym momencie mego byłego szefa. I jak bardzo było mi żal Franka, Nicole i siebie. Wszystkie tamte bolesne chwile dawno odeszły w przeszłość, a ja mimo zdrady Franka nadal go kocham i czasem czuję zapach jego włosów. Pamiętam jego dotyk, ciepłe dłonie na mojej skórze. Pamiętam oczy, w których można było zatonać. Nie zapomniałam jednak tamtego rozgoryczenia i bólu. Trudno z tym żyć i nie ufam już mężczyznom, skoro potrafią odejść nie tylko do innej kobiety, ale i do innego męż-

czynny, i rozbić *czyjeś życie* w drobny mak. Zarazić śmiertelną chorobą.

Nie chcę drugi raz przez coś takiego przechodzić i jednocześnie boję się, że mogłabym próbować odgrywać się na kimś za to, co mi zrobił Frank. Po prostu żyję i pracuję, nic się w moim życiu nie zmienia. Jestem sama i chyba tak zostanie. Miłość, pocałunki, wszystko to mam już za sobą.

Umarlam, aby sie narodzie

Nazywam się Marina i mam trzydzieści jeden lat. Niedługo minie osiemnaście lat od mojego przyjazdu z rodzicami z Sankt Petersburga do Ameryki. Miałam wtedy trzynaście lat, ojciec był profesorem filozofii i stosunków międzynarodowych, a mama — wielkim dla niego wsparciem i dobrą towarzyszką życia. Ze względu na charakter swojej pracy ojciec musiał się dobrze i zdrowo odżywiać, ważna też była dobra atmosfera w domu. Zapewnienie tego wszystkiego stanowiło zadanie mamy.

Ojciec pochłonięty był pracą i to głównie mama chciała mieć dziecko. Wydawało się, że nic nie stoi na przeszkodzie. Ojciec nieźle już zarabiał i liczył się w środowisku naukowym. Okazało się jednak, że mama nie jest w stanie donosić ciąży. Za pierwszym razem straciła dziecko w pierwszym trymestrze, mając dwadzieścia sześć lat. Za drugim razem, w wieku trzydziestu ośmiu lat; była już w szóstym miesiącu ciąży, kiedy lekarze odkryli jakieś nieprawidłowości i trzeba było wywołać przedwczesny poród.

Po takich przeżyciach rodzice nie próbowali więcej mieć dzieci. A jednak gdy mama miała czterdzieści dwa lata, a ojciec pięćdziesiąt sześć, znów zaszła w ciążę. Rodzice aż bali się

uwierzyć, że ich marzenie w końcu się spełni. W dodatku nie byli już tacy młodzi i ryzyko było tym większe. Tymczasem przyszedłem na świat jako zupełnie zdrowe dziecko.

Rodzice byli niezwykle szczęśliwi. W naszej rodzinie zawsze okazywano sobie dużo miłości. Jako późne dziecko byłem kochana ponad wszelki rozsądek. Dawali mi wszystko, spełniali każdy kaprys i zachciankę. A ja dobrze się uczyłam, lubiłam sport i brałam lekcje fortepianu. Rodzice planowali już dla mnie bezpieczną i dostatnią przyszłość.

Kiedy skończyłam trzynaście lat, Związek Radziecki przestał istnieć i wielu naukowców pracujących dla rządu w bardzo krótkim czasie znalazło się bez pracy i dalszych perspektyw. Na szczęście ojciec był na tyle znany i ceniony, że zaproszono go na wykłady do Nowego Jorku.

W szkole z nikim się specjalnie nie przyjaźniłam i nie byłem lubiana. Inne dzieci zazdrościły mi stopni i uważały za rozpieszczoną jedynaczkę. Mama też nie miała przyjaciółek. Zajęcie w ciąży w tak późnym wieku budziło dezaprobatę otoczenia. Dla niektórych było nie do pomyślenia, że kobieta w czterdziestym drugim roku życia zdecydowała się urodzić pierwsze dziecko. Mama nie miała więc bliskich koleżanek, jedynie upragnione dziecko i ukochanego męża. Ojciec zaczął poważnie myśleć o przeprowadzce do Ameryki. Miałby tam większe szanse na karierę i mógłby zapewnić lepszy byt rodzinie oraz odpowiednie wykształcenie dla mnie.

Nigdy dotąd nie leciałam samolotem. W dawnym Związku Radzieckim nie wyjeżdżało się za granicę tak łatwo i dlatego była to dla mnie wielka przygoda. Rodzice kupili mi na podróż różowy plecak. Pomagałam pakować moje ubrania.

Przed podróżą mama wyczytała w *gazecie*, że na ulicach Nowego Jorku pełno jest złodziei, którzy potrafią okraść swoją ofiarę tak, że tego w ogóle nie zauważą. Powstała zatem kwestia, jak bezpiecznie przewieźć pieniądze uzyskane ze sprzedaży daczy i samochodu. Mama była bardzo zapobiegliwa. Podzieliła pieniądze na pół i część zaszyła w staniku, a część w bieliźnie ojca, którą włożył na drogę. Nie dałoby się ich ukraść niepostrzeżenie.

Długo lecieliśmy stalowym ptakiem, na którego skrzydłach pobłyskiwały promienie słońca. Po przyjeździe do Nowego Jorku czuliśmy się bezradni i zagubieni. Z wrażenia zapomnieliśmy wszystkich pilnie wyuczonych angielskich słów. Ojciec zawiadomił osoby, które nas zaprosiły, i z lotniska wzięliśmy na uniwersytet taksówkę. Po przyjeździe na miejsce taksówkarz wymienił sumę należną za kurs. Okazało się, że trzeba się dobrać albo do gatek ojca, albo do biustonosza mamy. Na wszelki wypadek oboje sprawdzili najpierw starannie wszystkie kieszenie, czy nie uda się uzbierać stu dolarów gotówką, a kierowca z wyraźną ciekawością obserwował te przedziwne zabiegi. Jednak mimo rozpaczliwych wysiłków nie udało się zebrać całej sumy. Ojciec dał więc na razie pięćdziesiąt dolarów, a gdy taksówkarz zaniepokoił się, że nie dostanie całej kwoty, uspokoił go, żeby się nie martwił, po czym wsadził rękę w spodnie i spojrzał znacząco. Kierowca wyraźnie się zmieszał, pokręcił głową i powiedział: „Nie, tylko forsa”. Rosjanie tak łatwo się nie poddają. Ojciec najpierw skrzyczał mamę za pomysł zaszywania pieniędzy tak, by nie było do nich żadnego dostępu. Kierowca był coraz bardziej zaniepokojony. Potem *ojciec* wyciągnął pustą rękę z majtek i powiedział: „Jedną chwi-

leczkę, proszę pana. Zona zaraz panu zapłaci". Matka wsunęła rękę za biustonosz, podtrzymujący wydatne piersi, i uśmiechnęła się przy tym z rumieńcem zażenowania. Patrzyła kierowcy w oczy, bo ojciec wcześniej nas pouczał, że jak w Ameryce chce się z kimś dogadać, to trzeba patrzeć w oczy i się uśmiechać. Biedny kierowca najpierw szybko spuścił wzrok, a potem jeszcze szybciej odjechał. Machaliśmy za nim, żeby zaczekał, ale zniknął nam z oczu. Ojca zachwyciło, jacy Amerykanie potrafią być mili i że nawet darują długie. Teraz już wiem, że kierowca, Arab zresztą, po prostu wystraszył się, że ma do czynienia z molestowaniem seksualnym.

Życie w Ameryce zaczęliśmy w dwupokojowym mieszkaniu z widokiem na ocean. Lubiliśmy je, a na Brooklynie czuliśmy się jak w Sankt Petersburgu. W Brighton Beach, gdzie mieszkaliśmy, osiedliło się wielu Rosjan, wszędzie rozbrzmiewał język rosyjski i bez problemu można było dostać rosyjskie jedzenie.

Pomału przywykliśmy do nowych warunków. Ja poszłam do szkoły, ojciec zaczął wykłady, mama uczyła się angielskiego i prowadziła dom. Z początku naukę utrudniała mi bariera językowa. Ponieważ byłam wysportowana, rodzice posłali mnie do szkoły, gdzie duży nacisk kładziono na sport. Nie chciałam się wyróżniać, więc zachowywałam się tak samo jak moje koleżanki, czyli zaczęłam palić papierosy i pić alkohol. Dzięki temu przyjęły mnie do swego grona. Miałam dużo znajomych, z którymi chodziłam na imprezy i do kawiarni. Zdawać by się mogło, że nic strasznego się nie dzieje, bo przecież wszystkie nastolatki tak się zachowują. Dla mnie było to zupełnie normalne życie, polegające na próbowaniu nowych rzeczy i zdobywaniu nowych doświadczeń.

Miałam piętnaście lat, kiedy na imprezie poznałam paru hipisów. Bardzo mi zaimponowali, byli tacy niezwykli. Mieli długie włosy, nosili stare podarte dżinsy i zachowywali się inaczej niż wszyscy. Odnosiło się wrażenie, że nie mają żadnych trosk i tylko cieszą się życiem. Zastanawiałam się, jak to się dzieje, że są tacy radośni. Jak można być szczęśliwym bez pieniędzy, drogich ciuchów oraz różnych życiowych wygod i przyjemności. Zaciekawili mnie, zapragnęłam poznać ich bliżej. Paliliśmy razem trawkę, gadaliśmy, śmialiśmy się, tańczyliśmy. Oni grali na gitarach, ja słuchałam. Bardzo mi to odpowiadało. Wtedy nie wiedziałam, czym są narkotyki. W dawnym Związku Radzieckim nie było narkomanów, a przynajmniej nie mówiło się o tym głośno. Skąd miałam zatem wiedzieć, czym może się skończyć taka zabawa.

W którymś momencie nowi znajomi zaproponowali mi coś bardziej odjazdowego. Chętnie spróbowałam i było to moje pierwsze doświadczenie z heroiną. Bardzo mi się spodobało, przy czym w ogóle nie miałam pojęcia, jakie będą skutki. Przez całe wakacje beztrudnie brałam heroinę, aż nadszedł wrzesień, czas powrotu do szkoły. Wstałam rano z mocnym postanowieniem, że odtąd koniec z herą, biorę się za sport i naukę. Tymczasem szybko okazało się, że nie jestem w stanie chodzić do szkoły, bo potwornie źle się czuję. Najpierw myślałam, że złapałam jakiegoś wirusa. Gdy zadzwoniły dziewczyny, żeby spytać, dlaczego nie przyszedłam do szkoły, odparłam, że mam mdłości i jestem chora.

Wtedy dowiedziałam się od nich, że wcale nie jestem chora, tylko moje ciało domaga się narkotyku. W swojej naiwności do razu chciałam pobiec do nich po działkę. Odparły, że narkotyki sporo kosztują, ale pomogą mi je załatwić, tylko muszę im potem oddać pieniądze. Nie miałam pieniędzy, no bo skąd. Doskonale wiedziałam, jak w podobnych sytuacjach radzą sobie niektóre koleżanki, ale przecież ja przenigdy nie upadłabym tak nisko. Rodzice wychowali mnie na porządną dziewczynę i nie przeżyłabym takiego wstydu.

A jednak zaczęłam chodzić na Ósmą Aleję na Manhattanie i sprzedawać się, żeby mieć na narkotyki. Zatrzymywałam samochody i proponowałam stosunek w usta za pięćdziesiąt dolarów, seks za osiemdziesiąt. Potem musiałam brać coraz większe dawki heroiny, żeby zabić w sobie to koszmarne uczucie poniżenia i bycia traktowaną jak śmieć. Kiedyś, jak każda dziewczynka, marzyłam o wielkiej miłości i rycerzu na białym koniu. Wyobrażałam sobie wtedy, że księżę z bajki już do mnie podąża, pewnego dnia się spotkamy, a ja ofiaruję mu całą moją miłość i oddanie. A teraz sprzedawałam swoje ciało przypadkowym facetom. Marzenia o księciu dawno wywietrzały mi z głowy, uznałam, że miłość to romantyczna bajka, która zdarza się tylko w książkach. Zresztą co to za miłość, skoro od blisko dwóch lat brałam narkotyki. Rodzice niczego nie zauważyli, ponieważ w tygodniu nie było mnie w domu, a w weekendy starałam się zachowywać normalnie, wzięwszy przedtem odpowiednią dawkę.

Miałam siedemnaście lat, kiedy przyznałam się mamie, że jestem narkomanką. Przeżyła szok, od razu zaczęła wydzwaniać po klinikach, próbując znaleźć dla mnie pomoc. Nie mówiłyśmy nic ojcu, ponieważ był to akurat trudny moment w jego karierze. Zresztą zdaniem mamy i tak nic by nam nie pomógł, a taka wiadomość mogłaby go wręcz zabić. Zadęczała się,

że wybrała dla mnie akurat tę szkołę *i jeszcze* bardziej żałowała, że nie pilnowała mnie lepiej, gdy miałam czternaście lat.

Po dwóch tygodniach odwyku uciekłam ze szpitala. Organizm domagał się narkotyku i wróciłam do niszczącego nałogu. Zawarłyśmy układ z moją koleżanką Alishą. Zarabiałymy jako prostytutki, dopóki obie nie miałyśmy tego dosyć. Nienawidziłyśmy mężczyzn, całego świata i tego, czym stało się nasze życie. Postanowiłyśmy z tym skończyć.

Zaczęłyśmy robić coś innego. Zatrzymywałyśmy samochody i proponowałyśmy usługi w domu. Tam wrzucałyśmy klientowi środek nasenny do drinka, a potem znęcałyśmy się nad nim, rozładowując napięcie. Przepelniała nas nienawiść i obrzydzenie. Okradałyśmy delikwenta i sprzedawałyśmy kradzione rzeczy. Uznałam wówczas, że w życiu liczy się tylko przyjaźń, i żyłam w tym przeświadczeniu, dopóki pewnego dnia nie obrobiłyśmy gościa na sumę znacznie większą niż zwykle. Po tym zdarzeniu Alisha zniknęła, zostawiając mnie bez pieniędzy i bez narkotyków. Przeżyłam bolesny zawód i nareszcie dotarło do mnie, że narkomani nie mają przyjaciół.

Gdy miałam dwadzieścia jeden lat, przyszło mi do głowy, że tylko macierzyństwo może mnie uratować. Postanowiłam urodzić dziecko, a potem się nim opiekować i przestać brać. Na ojca wybrałam jednego ze znajomych hipisów. Zaszłam w ciążę i urodziłam chłopca. Był to straszny cios dla mojego ojca. Do tego stopnia go to załamało, że czekając na porodówce, dostał zawału i umarł, nie zdążywszy zobaczyć wnuka. Dziecko w momencie urodzenia miało we krwi heroinę. Lekarze przeprowadzili detoksykację, zmniejszając stopniowo stężenie narkotyku.

Po powrocie do domu przez pierwsze dwa tygodnie byłam szczęśliwa, wreszcie miałam kogo kochać. Już jednak trzy miesiące później okazało się, że dziecko wcale mi nie pomogło, a tylko skazałam je na okropny los. Nadal potrzebowałam narkotyków i nic nie było w stanie tego zastąpić. Przestałam zajmować się własnym dzieckiem i tylko kupowałam drogie zabawki, żeby zabić poczucie winy. Co roku zgłaszałam się na leczenie, za każdym razem w innym nowojorskim szpitalu, ale nawet w tych najlepszych nic z tego nie wyszło. Zaraz po opuszczeniu kliniki i powrocie do normalnego życia przychodziła pokusa, że wystarczy, jak nie będę brać dużo i często, a tylko wtedy, kiedy naprawdę będę musiała. Było to ewidentne okłamywanie siebie i po kilku tygodniach wracałam do punktu wyjścia. Nie widziałam już dla siebie żadnego ratunku.

Raz przedawkowałam i tylko cudem przeżyłam. Mama Z dwuletnim już Dimą, którym się opiekowała, modlili się za mnie gorąco, błagając Boga o pomoc. Modlitwa okazała się skuteczna. W szpitalu przeżyłam śmierć kliniczną. Znalazłam się w głębokim ciemnym tunelu, na którego końcu ujrzałam światło, i wtedy zrozumiałam, że moje dotychczasowe życie było jednym wielkim błędem, ale mogę je jeszcze naprawić. Jak zwykle próbowałam pójść najłatwiejszą drogą i po prostu chciałam umrzeć. Nie udało się. Śmierć mnie nie chciała, za to ogarnął mnie nieznośny wprost strach.

Przeżycie to uzmysłowiło mi, że istnieje życie po śmierci i że może być dużo gorsze od ziemskiego. Zaczęłam bać się śmierci. Po piętnastu dniach pobytu w szpitalu wypuszczono mnie z diagnozą: rak krwi. Lekarze delikatnie uprzedzili, że to nieuleczalna choroba i że pozostało mi siedzenie w domu i czeka-

nie na śmierć. Z początku strach skutecznie bronił przed narkotykami, ale długo to nie trwało i wkrótce znów nie mogłam żyć bez działki. To było błędne koło.

Pewnego dnia w moim domu zjawili się ludzie zupełnie inni niż ci, z którymi dotąd miałam do czynienia. To mama ich gdzieś poznała i zaprosiła do nas. Mówili, że Jezus umarł za mnie, że kocha mnie taką, jaka jestem, i chce zmienić moje życie. Nie wierzyłam im, bo na co Bogu prostytutka, narkomanka, złodziejka i ludzki wrak. Moje trawione rakiem ciało stało się bezużyteczne. Nie mogłam się już sprzedawać. Żyły miałam zapadnięte, na skórze pojawiły się bolesne czyraki. Goście nie rezygnowali, z uporem argumentując, że Bóg wszystko może wybaczyć i całkowicie odmienić życie człowieka. Nie dawałam się przekonać, myślałam, że po prostu czegoś ode mnie chcą. Zawsze ktoś czegoś ode mnie chciał. Aż wreszcie dotarło do mnie, że oni naprawdę mi pomagają, nie żądając niczego w zamian. Zdałam sobie w tym momencie sprawę, że nie zostało mi wiele czasu. Nic już nie miałam do stracenia, postanowiłam więc pójść do cerkwi i na klęczkach błagać Boga, aby wybaczył mi całe zło, które popełniłam w życiu. Jeszcze tego samego dnia mama taksówką zawiozła mnie do cerkwi na Brooklynie. Prosiłam Boga, aby - jeśli istnieje - dał mi jeszcze jedną szansę i pomógł zmienić moje życie. W drodze powrotnej doznałam niezwykłej duchowej ulgi, a nieznośny ból zniknął. Do mieszkania weszłam po schodach, nie musiałam jechać windą. Kompletnie nie rozumiałam, co się ze mną dzieje, ale coś na pewno się działo.

Teraz mam trzydzieści jeden lat, przez szesnaście byłam narkomanką. Moja przeszłość jest przerażająca, a dusza pełna grzechów. Byłam pewna, że nikt i nic mi już nie pomoże. Tymczasem po dwóch miesiącach chodzenia do cerkwi przybrałam na wadze, i to całe trzynaście kilo, a co najważniejsze - zniknął narkotykowy głód. Nie biorę i nawet nie myślę o braniu. Od tamtego pamiętnego dnia nie piłam alkoholu ani nie zapaliłam papierosa. Bóg wypełnił sobą bolesną pustkę w mojej duszy.

Jestem szczęśliwa. Budząc się co rano, dziękuję Panu, że mnie ocalił i dał nowe życie. Nie miewam już nastrojów depresyjnych. Mój synek Dima jest całkowicie zdrowy. Chodzi do szkoły, ma jedenaście lat i wielu kolegów. Bóg dał mi nawet męża. Andrew też był narkomanem i teraz oboje odkrywamy na nowo piękno świata. Dawniej na ulicy ludzie uciekali na mój widok, bojąc się, że czymś ich zarażą albo że dzieci się wystraszą. Teraz jest inaczej. Razem z mężem pracujemy w instytucji, która pomaga takim jak my. Tak naprawdę to Bóg pomaga ludziom, a my jesteśmy tylko Jego narzędziami. Gdy człowiek czuje się samotny, przygnębiony, nie chce mu się żyć, powinien zwrócić się do Stwórcy, który jest życiem samym i kocha nas, bo wszyscy jesteśmy Jego dziećmi. On nigdy nie opuści w potrzebie, jeśli tylko się w niego wierzy.

Nie ma już dawnej złej Mariny. Umarłam, narodziłam się na nowo i więcej nie zrobię sobie krzywdy. Dowiodłam, że w życiu nie ma rzeczy niemożliwych. Takim nieszczęśnikom, jak sama kiedyś byłam, mówię: „Wam też się uda”.

Zaczac na nowo

Ludzie często mówią mi, że jestem piękna i wyglądam jak modelka z kolorowego czasopisma. Mam duże zielone oczy i długie kasztanowe włosy, opadające falami aż do bioder i okrywające mnie jak peleryna, gdy tańczę na scenie klubu na Long Island. Tak, jestem tancerką erotyczną, nie skończyłam studiów i kiepsko mówię po angielsku. Ale w końcu po co mi wykształcenie? W tej pracy liczy się umiejętność rzucania spojrzeń spod rzęs i kręcenia pupą, zachęcający uśmiech i zapach dobrych perfum.

Przyjechałam rok temu z Niżnego Nowogrodu, miałam wówczas dwadzieścia jeden lat. Do tańca erotycznego potrzebny jest talent oraz odrobina rozumu. No i oczywiście uroda. Pierwsza zjawiała się tu moja przyjaciółka Marina. Przedtem znałyśmy się osiemnaście lat. W przeciwieństwie do mnie miała miękkie lądowanie, bo wcześniej do Stanów przenieśli się jej ojciec i macocha. Załatwili jej mieszkanie i nie musiała ciężko pracować, żeby jakoś przetrwać.

Zacząła do mnie wydzwaniać i opowiadać cuda o życiu w Ameryce. Twierdziła, że byłoby nam cudownie razem, tak

jak to wyobrażałyśmy sobie, kiedy jeszcze mieszkała w Rosji. Marzyłyśmy wtedy o wystawnym życiu, drogich samochodach i szalowych ciuchach. Doskonale pamiętam nasz wymaginowany rozkład dnia: wstawanie z łóżka koło dziesiątej, potem siłownia, masaż, kosmetyczka i lunch w zacisznej restauracji. Następnie zakupy w drogich butikach, dobra kolacja i randka z bogatym i przystojnym mężczyzną, który by chętnie za wszystko płacił. I oczywiście co noc wspaniały seks.

Marina pochodziła z biednej rodziny, wychowywała ją matka. Ojciec zostawił je, kiedy miała trzy latka. Raz na miesiąc przysyłał pieniądze, raz na rok dzwonił. Marina bardzo cierpiała, bo z matką ciągle się kłóciły. Do ojca zbliżyła się dopiero w wieku siedemnastu lat, kiedy na plaży została zgwałcona przez nieznanego mężczyznę. Bała się i ukryła to przed matką. Kiedy nie pojawiła się miesięczka, zadzwoniła do ojca, przyznała się, że wpadła w kłopoty i poprosiła o pieniądze na aborcję. Była pewna, że jej pomoże, bo skoro o nią nie dbał, pewnie nie miałby ochoty utrzymywać jeszcze wnuka. Miała rację. Ojciec pomógł i wtedy pierwszy raz w życiu nawiązali ze sobą kontakt. Potem żona ojca wygrała w losowaniu zieloną kartę i do podania o wizę amerykańską dołączyli też Marinę,

Przyjaciółka przez telefon zapewniała, że nie będę miała żadnych problemów po przyjeździe, bo Ameryka to kraj, w którym wszystko jest możliwe. W tym czasie moje życie w Nowogrodzie było pod każdym względem beznadziejne. Po rozmowie z nią zamarzył mi się wyjazd do innego świata. Oczami wyobraźni już widziałam siebie w Nowym Jorku - młodą, piękną i bogatą rosyjską damę. Marina obiecała, że znajdzie mi dobrze płatną pracę. Wyobrażałam sobie, jak po

przyjeździe idę od razu do dużej firmy, a ram, ubrana w elegancki kostium, nie rozstaję się z laptopem. Rozpisywałam się w pamiętniku, jak to będę święcić triumfy w Ameryce.

Zaplanowałam wszystko. Zezwolenie na stały pobyt zamierzałam zdobyć, wychodząc za Amerykanina, który będzie mnie kochał do szaleństwa. Przecież przy takiej urodzie bez trudu znajdę odpowiedniego kandydata, zakocham się, wyjdę za mąż i założę rodzinę. Będę miała najnowszy model samochodu znanej marki, towarzyszącego mi wszędzie małego pieska i zawsze przy sobie co najmniej tysiąc dolarów gotówką na drobne wydatki. Już lecąc samolotem, wyznaczyłam sobie termin na spełnienie tych ambitnych planów. Rok, góra dwa i będzie po wszystkim. Wyjeżdżając z Rosji, niewiele traciłam, a w końcu moja najlepsza przyjaciółka na pobyt w Stanach nie narzekała. Pozostałe znajome z Nowogrodu miały zupełnie inne problemy i cele w życiu, a moje plany ich nie interesowały. Rodzicom nie zwierzałam się, ale wiedziałam, że się zgodzą. Mój wyjazd oczywiście ich zasmuci, ale miałam jeszcze starszą siostrę, która z nimi zostanie.

W Rosji żyłam dość skromnie, nie stać mnie było na luksusowe rzeczy, choć moi rodzice nie byli biedni. Poza tym dość już miałam monotonii. Przeważnie spotykaliśmy się u kogoś w domu, piliśmy piwo, paliliśmy papierosy i graliśmy w karty. Albo szliśmy do dyskoteki i tam też piliśmy i paliliśmy. Dziewczyny liczyły na to, że spotkają odpowiedniego faceta, to znaczy odpowiednio bogatego.

Mama jako lekarz zarabiała czterdzieści pięć dolarów miesięcznie. Ojciec był taksówkarzem i wyciągał sto dolarów miesięcznie. Dużo pracowali, stać nas było na ubrania, jedzenie i naukę. Najprzyjemniej było latem. Jeździliśmy na daczę,

gdzie rosło mnóstwo świeżych owoców i warzyw, a niedaleko znajdowało się jezioro.

Przerwałam studia, licząc na to, że bez problemu przyjmą mnie na uniwersytet Harvarda. W końcu lepiej mieć dyplom znanej na całym świecie amerykańskiej uczelni niż jakiegoś tam uniwersytetu w Nowogrodzie. Zresztą była to jedyna amerykańska uczelnia, o jakiej słyszałam.

Spotykałam się z Wadimem, który miał dwadzieścia trzy lata. Chodziliśmy ze sobą już blisko cztery lata i myślałam, że się pobierzemy, będziemy mieli dzieci i wszystko dobrze się ułoży. Był moim pierwszym facetem. Koleżanki mi go zazdrościły, bo w porównaniu z innymi miał znacznie więcej pieniędzy. Kupował mi kwiaty, biżuterię, zapraszał do dobrych restauracji. Nie dostrzegłam w jego życiu nic podejrzanego. Całe dni spędzałam na uczelni, wieczory były dla nas. Od czasu do czasu Wadim zniknął na tydzień. Mówił wtedy, że jedzie do rodziców albo w interesach.

Wkrótce zdarzyła się tragedia, mój ukochany trafił do więzienia za serię napadów rabunkowych. Kiedy się o tym dowiedziałam, chciałam najpierw popełnić samobójstwo, a potem ciągle płakałam. Marina była już wtedy w Stanach.

Rodzice nigdy mnie nie rozumieli i nie lubili Wadima. A ja strasznie cierpiałam. Siedziałam zamknięta w czterech ścianach i codziennie pisałam do niego listy. W pierwszym roku odsiadki mogłam odwiedzić go tylko dwa razy. Chciał ze mną zerwać, twierdził, że wcale nie był zakochany, tylko mnie wykorzystał. A potem przysyłał esemesy, zapewniając o miłości i błagając, żebym na niego czekała. Byłam bardzo przygnębiona i propozycja Mariny wydawała mi się jedynym sensownym

wyściem. Przed wyjazdem do Stanów pojechałam jeszcze raz do Wadima, chcąc się pożegnać, poczuć zapach jego ciała i po raz ostatni się z nim kochać. W rosyjskich więzieniach jest to dozwolone, można nawet zostać na noc. Pragnęłam na zawsze zachować jego obraz w pamięci, a poza tym wiedziałam, że nowe drzwi się nie otworzą, póki nie zamknę starych.

Włożyłam obcisłe dżinsy, białą kurteczkę z dużym dekoltem i buty na wysokim obcasie, do tego starannie ułożyłam włosy i umalowałam się. Patrząc na swoją smutną twarz w lustrze, doszłam do wniosku, że wyglądam doskonale. Wszystko starannie przemyślałam.

Pytacie, dlaczego szłam do więzienia wystrojona jak na imprezę? Z kilku powodów. Po pierwsze, żeby zapamiętał, jaka jestem piękna i jeszcze więcej cierpiał po naszym rozstaniu. Drugi powód zrozumie tylko Rosjanka. My zawsze pragniemy wyglądać atrakcyjnie i jeśli trzeba się zdecydować, czy ostatni tysiąc rubli wydać na jedzenie, czy na sukienkę, bez namysłu wybierzemy nowy ciuch. Taką już mamy naturę.

Wyrazisty makijaż i wyzywający wygląd stanowiły element mojej gry. Rozstanie z piękną kobietą bardziej boli, a jeszcze do tego zamierzałam się przy nim rozplakać. Emocjonalna reakcja była mi potrzebna, by wraz ze łzami wyrzucić z siebie całe cierpienie, którego on był przyczyną. Chciałam, by czarny tusz spłynął z rzęs na białą bluzkę, a tę, przesiąkniętą zapachem Wadima, zamierzałam zachować, aby na zawsze zapamiętać ten ostatni raz, gdy wziął mnie w ramiona.

Marina, jak już wspomniałam, obiecała, że znajdzie mi dobrą pracę. Miałam się też nie martwić o mieszkanie. Twierdziła, że na pewno nie będę głodować. Czekala na mnie na lotnisku JFK

i zamieszkałyśmy na Brooklynie. Po paru dniach powiedziała, że znalazła dla mnie zajęcie. Znajomość angielskiego nie była potrzebna, pozwolenie na pracę też, wystarczy uroda, a odpowiedni wygląd miałam. Będę tam tańczyć. Nie bałam się, bo zawsze lubiłam taniec. Nie uprzedziła mnie jednak, że w trakcie mam się rozbierać, o czym dowiedziałam się dopiero podczas rozmowy kwalifikacyjnej. Oczywiście nie zgodziłam się i nie przyjąłam tej pracy.

Wtedy moja najlepsza przyjaciółka zażyczyła sobie, żeby jej płacić za mieszkanie i jedzenie. Pokłóciłyśmy się. W końcu i tak mnie oszukała, bo wcale nie zapłaciła za nasze lokum, tylko wynajęła je na moje nazwisko i to ode mnie właściciel domagał się zapłaty. Kosztowało mnie to cztery tysiące dolarów. Nie miałam wyjścia - zaczęłam tańczyć w tym klubie. Później dowiedziałam się, że Marina dostała prowizję za ściągnięcie mnie do tej pracy. Nagle zniknęła i zostałam sama. Kilka razy dzwoniła, obiecywała, że wróci i zapłaci połowę czynszu, ale więcej się nie pojawiła. Nasza wieloletnia przyjaźń skończyła się z wielkim hukiem.

Pierwszy raz, kiedy tańczyłam, był bardzo trudny. Musiałam się rozebrać do bielizny, a potem pozwalać, by mężczyźni spoconymi rękami wsuwali mi za majtki jednodolarowe banknoty. Myny mieli przy tym takie, jakby to były co najmniej studolarówki. Podczas pierwszego występu byłam sama na scenie. Chuda jak patyk i sparaliżowana strachem, nie umiałam się jeszcze odpowiednio poruszać.

Później się tego nauczyłam, a w końcu zostałam dziwką. Szybko przyswoiłam sobie podstawowe zwroty przydatne w rozmowie z klientami. Po kilku tygodniach miałam już całkiem nie-

zły zasób słów. Nauczyłam się odrzucać zbyt natarczywe zaloty, co dawało większe poczucie bezpieczeństwa. Stawiałam sprawę jasno, że mam swoje zasady, które zarówno klienci, jak i inne dziewczyny muszą respektować. Żadna z nas zresztą nie afiszowała się z tym, że robi coś „ekstra”, bo mogłaby stracić pracę.

Zaczęłam posyłać pieniądze do domu. Rodzicom wmawiałam, że pracuję w restauracji, czasem w ciągu dnia, czasem wieczorem. Było to dla mnie bardzo bolesne, bo nigdy dotąd ich nie oszukiwałam. Ale mało która dziewczyna, pracująca w takim miejscu, zwierza się z tego rodzicom czy znajomym. Lepiej niech się cieszą, że jest w Ameryce, krainie spełnionych marzeń, i że daje sobie radę. Trudno nas zresztą za to potępiać. Każdy stara się przetrwać, jak umie, zgodnie z własnymi zasadami moralnymi.

Kiedy postanowiłam zostać w Ameryce na stałe, powiedziałam rodzicom, że dostałam pracę w banku, więc nie mieli nic przeciwko temu. Rozmawiając z nimi przez telefon, wyraźnie słyszałam dumę w ich głosie. Byli przeświadczeni, że mam przed sobą wspianą przyszłość.

Na tańcu dobrze zarabiałam, ale nie byłam oszczędna. Każdej nocy wychodziłam z klubu z torebką wypchaną banknotami i bólem głowy po tanim „szampanie”. Na stres i zmęczenie miałam jedno lekarstwo: zakupy. Przy takim trybie życia nie da się spać dłużej niż pięć, sześć godzin, potem więc wychodziłam na miasto i trwoniłam pieniądze w salonie piękności, na kosmetyki, kosztowne gadżety i całe mnóstwo niepotrzebnych rzeczy. Człowiek nie zdaje sobie wtedy sprawy, że zakupoholizm to próba ucieczki przed pogrążeniem się w rozpacz i bezskuteczne udowadnianie sobie, że rozbieranie się przed obcymi facetami ma jakiś głębszy sens.

Tancerka erotyczna nigdy nie wejdzie w poważny związek. Kto pogodzi się z tym, że jego ukochana pokazuje ciało setkom śliniących się na jej widok facetów? Tylko dla właścicieli klubów, kierowców, menedżerów i ochroniarzy jesteśmy zwykłymi kobietami, ale romans w pracy to też nic dobrego. W przypadku znajomości z kimś spoza tego środowiska trzeba raczej ukrywać, co się robi. Dziewczyny kłamią w obawie przed odejściem ukochanego, ale nadal pracują, żeby przetrwać. I wiecznie czują strach, że zostaną same.

W obcym kraju, z dala od swoich, słabo znając język, chciałoby się mieć kogoś bliskiego. Jednak ten rodzaj pracy szczególnie to utrudnia. Szuka się wtedy winnych i najłatwiej zrzucić tę winę na chłopaka. Gdyby bardziej pomagał finansowo i w ogóle był lepszy, to nigdy by się nie pracowało w takim miejscu. Ale to są tylko takie wykręty.

W mojej ojczyźnie mówi się, że Rosjanie wymyślili miłość, żeby nie płacić. Moim zdaniem to powiedzenie bardziej pasuje do Ameryki. Tutejsi Rosjanie doskonale wiedzą, że jeśli nie zatroszczą się odpowiednio o dziewczynę, to ta znajdzie sobie kogoś hojniejszego. A Amerykanie przeważnie obiecują gwiazdkę z nieba, a potem szybko o tym zapominają. Oczywiście, zdarzają się wyjątki.

Miałam chłopaka. Chris pochodził z Afryki, miał trzydzieści lat. Dobrze nam było ze sobą, mówiliśmy nawet o ślubie. Nie przeszkadzało mu, że pracuję w nocnym klubie. On sam był alfonsiem, nosił przezwisko Cry i do Nowego Jorku przyjechał z Szanghaju. Z naszego związku nic nie wyszło. Chris ciągle gdzieś wyjeżdżał, tłumacząc, że musi się zajmować interesami. Miałam dosyć wiecznego siedzenia w samotności.

Wygarnęłam mu to, a wtedy zaproponował mi ślub i przeprowadzkę do jego lokum, w którym mieszkało kilka jego prostytutek. Kochałam go i zgodziłam się z nim zamieszkać. A on po jakimś czasie zaczął mnie namawiać, żebym też pracowała dla niego jako prostytutka. Zarzekał się przy tym, że niczego to między nami nie zmieni.

Nie mogłam się na to zgodzić. Natychmiast się wyprowadziłam, zmieniłam numer telefonu i klub. To wtedy zrozumiałam, że nasi mężczyźni są o niebo lepsi. Później dowiedziałam się jeszcze, że mój ukochany znany był z tego, iż wyszukuje ładne dziewczęta, rozkochuje w sobie, a potem nakłania, żeby dla niego pracowały. Zakochana kobieta zgodzi się na wszystko. Sporo na nich zarabiał, a traktował potem jak śmiecie. Taki już był. A one mimo wszystko zostawały z nim i tym gorliwiej pracowały, byle tylko udowodnić, że są mu potrzebne. Nie chciały również odejść, bo starciłyby dobre zarobki. Bardzo się wtedy zawiodłam na mężczyznach.

Pewnego dnia zatelefonowała siostra z tragiczną wiadomością. Okazało się, że dwa miesiące wcześniej rodzice zginęli w wypadku samochodowym. Nie dzwoniła od razu, bo bała się, że natychmiast przyjadę i zaprzepaszczę moją dalszą karierę w Stanach. Teraz musiałam pomagać siostrze i babci, więc pracowałam jeszcze więcej. Rodzice często mi się śnili. Czułam się winna, że ich okłamywałam i że nie dzwoniłam tak często, jak powinnam.

Zarabiałam już całkiem sporo i nieźle mówiłam po angielsku. Dostawałam trzydzieści dolarów za półgodzinny lap dance i nie musiałam się przy tym nawet rozbierać. Połowę pieniędzy za pierwszy taniec oddawałam menedżerowi, za pozo-

stałe tańce brałam wszystko dla siebie. Już dość długo pracowałam i miałam na koncie coraz więcej pieniędzy.

Raz pewnemu panu w garniturze od Gucciego zaproponowałam lap dance za trzydzieści dolarów. Spojrzał na mnie wyniośle i spytał, czy mam wyższe wykształcenie, obywatelstwo amerykańskie, doświadczenie zawodowe i czy mówię dobrze po angielsku. Odpowiedziałam mu uczciwie na te wszystkie pytania. On na to, że w Ameryce nie każdy, kto ma wyższe studia, doświadczenie zawodowe i mówi biegle po angielsku, zarabia trzydzieści dolarów za godzinę. Nie widzi więc powodu, dlaczego miałyby mi tyle płacić za pięć minut i jeszcze kupować drogie drinki. Rosjanka długo nie myśli, nim otworzy usta. Nie szuka w słowniku odpowiedniego wyrażenia i nie zastanawia się specjalnie nad dyplomatyczną odpowiedzią. Wstałam, poprawiłam sukienkę i spojrzawszy mu prosto w oczy oświadczyłam, że do klubu przychodzi się dla pięknych kobiet, takich jak ja, i trzeba za to płacić. Dodałam z oburzeniem, że to nie jest żadne darmowe kino.

Po jakimś czasie zorientowałam się, że całkiem sporo zarobiłam i wtedy nareszcie przestałam uważać się nad sobą. Jak pieniądze są już w kieszeni, mniej ważne staje się to, jak się tam znalazły. Zaczęłam więcej oszczędzać. Jak odłożę dwieście tysięcy dolarów, wrócę do Nowogrodu i zamieszkam z siostrą i z babcią. Spróbuję kupić Wadimowi wolność, opłacając odpowiednich ludzi przez prawnika znającego układy. Teraz dopiero wiem, że go naprawdę kocham. Mając pieniądze, można dobrze żyć wszędzie. W Nowogrodzie nikt nie wie o mojej przeszłości. Wszyscy są przekonani, że pracuję w banku. Nie zamierzam zostawać w Ameryce na stałe ani wyrabiać sobie żad-

nych papierów. Nie chcę tu mieszkać. Stany mnie nie cieszą: ani ludzie, ani drapacze chmur, ani tutejsza kultura. Liczą się jedynie zrobione tu pieniądze. Po powrocie do Rosji postawię pomnik na grobie rodziców, zaopiekuję się rodziną. Otworzę salon piękności, kupię mieszkanie w centrum miasta i nowego mercedesa. Zapomnę o pracy w stroju topless. Będę mieć to, czego zawsze pragnęłam. Życie zacznie się na nowo.

Sen o Kalifornii

Urodziłam się trzydzieści lat temu we Władywostoku. Rodzice byli bardzo pobożni, należeli do kościoła baptystów i od najwcześniejszego dzieciństwa wychowywali mnie w zgodzie z przykazaniami bożymi, ucząc, bym była dobra, kochała i szanowała bliźnich. Wydawało mi się zatem, że doskonale wiem, jak powinnam postępować i odnosić się do rówieśników.

Moje dobroć i grzeczność przysporzyły mi jednak w szkole wiele kłopotów, bo byłam zupełnie inna niż moi koledzy i koleżanki. Nie mogłam pojąć, czemu tak jest, i rodzice tłumaczyli mi, że jestem inteligentniejsza i reprezentuję wyższe wartości duchowe, do których ludzie powinni dążyć.

Wtedy wystarczało mi takie wyjaśnienie. Mama i tata często wracali do domu późno, bo po pracy chodzili na tajne spotkania w domach innych wyznawców swojej wiary. Z początku zabierali mnie ze sobą, ale ponieważ nie wykazywałam zbyt dużego entuzjazmu, po jakimś czasie przestali i dzięki temu nie miałam pojęcia o wielu sprawach.

Nadszedł dzień, kiedy pierwszy raz w życiu spotkałam się z otwartą wrogością ze strony rówieśników. Była jesień, wra-

całam ze szkoły i nagle usłyszałam, że ktoś za mną krzyczy: „Walimy kamieniami w cholerną baptystkę. Niech ma za swoje”. Po chwili spory kamień zranił mnie w nogę. Połykając łzy, uciekłam stamtąd. Zastanawiałam się później, dlaczego do tego doszło. Czy byłam jak to niekochane, brzydkie kaczątko?

Któregoś dnia przypadkiem usłyszałam rozmowę rodziców w kuchni. Ojciec mówił mamie, że zwolnili go z pracy i że nic nie można na to poradzić. Potem zrobiło się jeszcze gorzej. Zaczęły się aresztowania.

Miałam osiem lat i był grudzień, kiedy napadło nas kilku osiłków z ogolonymi głowami i dziwnymi opaskami na ramionach. Nie pamiętam dokładnie, ilu ich było, chyba trzech. Zaatakowali nas, kiedy wyszliśmy z teatru. Wszystko działo się bardzo szybko. Ojciec usiłował bronić mamy, ja krzyczałam, żebyśmy uciekali. Pamiętam rodziców leżących na chodniku i zalanych krwią. Chwyciłam jednego z napastników za nogę i błagałam, żeby nie zabijał mi taty i mamy. Drugi bandyta splunął w moją stronę, wymierzył kopniaka i wrzasnął: „Piśnij tylko komuś, bezbożnico, to zakopiemy cię żywcem i nikt cię nie znajdzie!” Rodzice po tej napaści mieli liczne siniaki i złamania.

Aby uciec przed prześladowaniami, zdecydowaliśmy się na przeprowadzkę do Saratowa. Nowi sąsiedzi na początku nic o nas nie wiedzieli, ale tu też musiałam chodzić do szkoły. Jak tylko nauczyciele i dyrektor zobaczyli moje świadectwa i opinie z Władywostoku, ich stosunek do mnie diametralnie się zmienił. Dzieci w klasie nie chciały się ze mną zadawać. Spytałam mamę, dlaczego w nowym miejscu spotyka mnie to samo, co w poprzednim, a ona odparła: „Wiem, że cierpisz, córeczko, ale dusza przede wszystkim. Wiara to nasz największy skarb!”.

Wtedy do mnie dotarło, że nienawidzą nas z powodu przekonań religijnych rodziców. Nie rozumiałam, co to jest ten baptyzm, a odkąd ojciec przyszedł do domu pobity do krwi i ze złamanym nosem za to, że miał przy sobie ulotki i zaproszenia na modlitwę, słowo baptysta budziło we mnie jedynie strach. Okazało się, że szło za nim dwóch ludzi w mundurach i opaskach ze swastykami, a kiedy wyjął ulotki, zbili go łańcuchami. Mama modliła się żarliwie, ja siedziałam cichutko, przerażona tą sceną. Ojciec, cały pokrwawiony, rzekł uroczyście, że nasza wiara jest święta i musimy cierpliwie znosić najcięższe nawet próby.

Zgłosiliśmy pobicie na milicję, a tam po wysłuchaniu zeznań milicjant stwierdził, że gdyby on był jednym z napastników, to zatłukłby ojca na śmierć. Śmiał się tylko z pogardą, a potem dodał poważnym tonem, że tak to jest, jak się chce zniszczyć uczciwy naród i sieje zamęt w głowach młodych ludzi, którzy są przyszłością kraju.

Przez przekonania moich rodziców przeszłam w szkole wiele upokorzeń. Nauczyciele złośliwie obniżali mi stopnie, a na lekcjach historii i nauki o społeczeństwie specjalnie akcentowali wszystko, co dało się podciągnąć pod „kłamliwą demagogię służalców zgniłego Zachodu”. Po lekcjach inne dzieci mnie biły. Kiedy rodzice przyszli do szkoły na skargę, wychowawczyni i dyrektor odparli urągliwie, że w zdrowym społeczeństwie to normalna reakcja na bzdury wciskane na siłę porządnym ludziom.

Zaczęliśmy dostawać telefony z pogrózkami. Wsuwano nam pod drzwi i do skrzynki kartki, na przykład takiej treści: „Obyście zdechli marnie, bezbożnicy. Wara od porządnych prawosławnych ludzi. Wynoście się stąd”. Sytuacja się pogarszała, robiło się coraz niebezpieczniej. Mimo to rodzice nie zaprzesta-

li działalności i ze współwyznawcami zorganizowali dom modlitwy, na który wynajęli salę kinową. Mama zapewniała, że ludzie tam przyjdą, bo potrzebują światła, duchowej pociechy i mistycznego przeżycia, jakim jest uświadomienie sobie piękna świata stworzonego przez Boga. Ja przez baptyzm czułam się raczej jak wyrzutek wykluczony poza nawias społeczeństwa.

W wieku czternastu lat zakochałam się w Igorze. Był bardzo przystojny, stanowił przedmiot westchnień wszystkich dziewczyn w naszej szkole, ale wybrał mnie. Spędzałam z nim cały wolny czas i bardzo starałam się przekonać resztę rówieśników, że nie mam nic wspólnego z baptykami i jestem dobrą koleżanką. Byłam tak zakochana, że świata nie widziałam poza Igorem. On nic nie wiedział o mojej rodzinie.

Zdarzyła się kolejna tragedia. Pewnej niedzieli rodzice poprosili, żeby im pomóc przygotować dom modlitwy na spotkanie wiernych. Około południa przez okno wrzucono do środka butelki z łatwopalną cieczą. Sala wypełniła się dymem. Wybuchła panika. Z trudem stamtąd uciekłam, przedarłam się przez tłum i milicyjny kordon. Rodzice z ciężkimi poparzeniami zostali zabrani do szpitala.

Było oczywiste, że to milicja przy pełnej aprobacie miejscowych władz zorganizowała tę akcję. Od dawna chciano zamknąć dom modlitwy, ale nie dało się tego zrobić oficjalnie. Postanowiono zatem rozwiązać problem za pomocą podpalenia. I tak dom działał półtora roku. Potem w tym miejscu postawiono klub nocny.

Jeszcze przed tymi smutnymi wydarzeniami ojciec przeprowadził ze mną długą rozmowę, starając się obudzić we mnie wiarę. W którymś momencie poczułam nawet dziwną światłość, jakbym dotknęła jakiejś nieznanej mi dotąd tajemnicy. Ale strach okazał się silniejszy. Oświadczyłam, że nie chcę cierpieć za wiarę jak on i mama.

Pewnego dnia, gdy wróciłam ze szkoły, a mama z pracy, dokonaliśmy straszliwego odkrycia, które wciąż powraca do mnie w nocnych koszmarach. Na podłodze leżał martwy ojciec, z ust ciekła mu krew. Został uduszony, w rękę ścisnął kartkę ze słowami: „Giń, antychryście”. Mieszkanie było zdemolowane, na ścianie ktoś napisał czerwoną farbą: „Śmierć baptystom degeneratom”, i narysował całe mnóstwo swastyk. Wezwana milicja przekreśliła wszystkie fakty. Oficjalne orzeczenie brzmiało, że ojciec umarł na serce. Zastraszano mamę, że jeśli będzie się upierać przy wnoszeniu oskarżenia, to skończymy tak samo jak ojciec. Mama odparła, że przyjmujemy to jak próbę, doświadczenie nas przez Boga.

Wpadłam w ciężką depresję, straszne rzeczy się ze mną działy. Jak Igor dowiedział się o wszystkim, natychmiast mnie rzucił, więc jednocześnie straciłam i ojca, i ukochanego. Poddano mnie leczeniu w ośrodku neurologicznym dla młodzieży. Z każdym dniem psychiczny ból narastał i coraz mniej chciało mi się żyć na tym okrutnym świecie. Dlatego mama wysłała mnie do Europy, żebym trochę doszła do siebie. Pomyślałam sobie wtedy: „I na co to wszystko? Po co komu cierpienie i śmierć za wiarę? Czy cokolwiek dobrego z tego wyszło?”

Mama nadal potajemnie chodziła na spotkania baptystów. Otrzymywała telefony z pogrózkami, a ludzie odnosili się do niej z pogardą.

Wróciłam do kraju i w wieku szesnastu lat wstąpiłam na uniwersytet w Saratowie. Niespodziewanie na uczelnię przyszedł

Igor i wygadał moim kolegom, że pochodzę z rodziny baptystów. Aleja przestałam się już tego wstydzić. Nadal czułam ból i smutek, że straciłam ojca, ale nie byłam religijna i teraz też nie jestem. Jeśli Bóg istnieje, to czemu zesłał na mnie to wszystko? I dlaczego moje cierpienie nie ma końca?

Pewnego dnia koledzy z roku zobaczyli, jak mama rozdawała ulotki niedaleko stacji metra. Donieśli na uczelni i wezwano mnie na rozmowę. Dowiedziałam się, że tylko mącimy ludziom w głowach tym naszym sekciarstwem. Nie próbowałam niczego tłumaczyć, cały czas stałam ze spuszczoną głową.

Kiedyś tuż przez Nowym Rokiem mama rozdawała przechodniom zaproszenia na modlitwę i religijne książki. Podeszłam do niej, chcąc uprzedzić, że tego dnia wrócę później. Akurat mijał nas radiowóz, zatrzymał się i milicjant spytał, co robimy, a potem kazał pokazać dokumenty. Mama miała je przy sobie, ja nie, więc zabrali mnie na komisariat, bym złożyła wyjaśnienia. Zostałam brutalnie wepchnięta do radiowozu i najpierw objechaliśmy całe miasto, a potem zatrzymaliśmy się w odludnym miejscu i tam milicjanci robili mi okropne rzeczy. Oddawali na mnie mocz, bili, wymyślali od najgorszych, a potem zawieźli na komendę i zeznali, że znaleźli mnie taką pobitą i brudną, jak się sprzedawałam za butelkę wódki. Dwa dni przesiedziałam w celi, aż odnalazł mnie jeden ze współwyznawców mamy i zabrał do domu. Chciał wnieść oskarżenie przeciwko milicjantom o pobicie i bezprawne przetrzymywanie, ale powiedziano mu, że nie ma na to żadnych świadków, a sprawa sądowa tylko pogorszy moją sytuację. Spędziłam potem wiele dni w szpitalu.

Miałam siedemnaście lat i szłam główną ulicą miasta, spiesząc się na egzamin, kiedy kilku chuliganów siłą wciągnęło mnie do

samochoду, a potem czterech mnie zgwałciło. W naszym mieście takie historie były na porządku dziennym. Wiele kobiet padło ofiarą przemocy. Za bardzo się bały o życie, żeby stawiać opór. Wiem od paru moich koleżanek, że im przydarzyło się to samo. Milicja nie robiła nic. Jak zresztą miałyśmy udowodnić, że zostałyśmy zgwałcone? Najgorsze jednak było to, że zaszłam w ciążę i musiałam mieć aborcję. Gdy coś takiego się stanie, wszyscy uważają, że to kobieta jest winna. Społeczeństwo nie robi nic, żeby pomóc — tak wygląda nasza rzeczywistość.

Mężczyźni raczej nie zwracali na mnie uwagi, więc myślałam, że nigdy nie będę szczęśliwa ani kochana. Nie wierzyłam, że znajdę męża czy choćby chłopaka. Zresztą w naszym mieście byli prawie sami alkoholicy, narkomani i bumelanci. Kiedy miałam osiemnaście lat, w moim życiu pojawił się Maksym, sympatyczny dwudziestopięcioletni Rosjanin. Poznaliśmy się w bibliotece publicznej, gdzie przygotowywałam się do egzaminu magisterskiego. Maksym był historykiem i pisał pracę

o epoce lodowcowej. Poprosił mnie o pożyczenie długopisu i tak zaczęliśmy rozmawiać. Podobał mi się. Sprawiał wrażenie bardzo inteligentnego i czułam się bezpiecznie w jego towarzystwie. Zaczęliśmy się spotykać i wszystko między nami układało się dobrze. Poznał mnie ze swoją rodziną, a ja przedstawiłam go mamie, nie mówiąc nic, że jest baptystką. Wiedział o mnie tylko, że ojciec zginął w wypadku i że zostałam zgwałcona przez bandę zwyrodnialców.

W tym okresie życia, pod koniec studiów, zdecydowanie wyładniałam i dobrze się ubierałam. Maksym coraz bardziej mi się podobał, niepokoiła mnie w nim tylko jedna rzecz. W łóżku potrafił być brutalny i wulgarny, obrzucał mnie wyzwiskami

typu: „Ty głupia suko” albo „Ty dziwko”. Myślałam, że po ślubie przestanę się tak zachowywać. Pobraliśmy się, kiedy miałam dwadzieścia lat. Bałam się, że nie będę mogła mieć dzieci, a Maksym bardzo ich pragnął. Jednak szybko zaszłam w ciążę, a on był bardzo szczęśliwy, kiedy się o tym dowiedział. Ale kiedy dziecko się urodziło, okazało się, że ojcostwo mu nie odpowiada. Często mnie bił, nie zważając na rozpaczliwy płacz syna. W końcu, kiedy maluch miał półtora roku, doszłam do wniosku, że dłużej tego nie zniosę.

Powiedziałam mu, że odchodzę, a on wtedy zgwałcił mnie w obecności dziecka, które cały czas krzyczało histerycznie. Uciekłam do matki i zaczęłam szukać jakiegokolwiek pracy. Renta po ojcu nie wystarczała nam na życie. Po rozwodzie Maksym zostawił nas bez żadnego finansowego wsparcia. Ale i tak niczego od niego nie chciałam. Pragnęłam jedynie, żeby jak najszybciej zniknął z naszego życia.

Pewnego dnia w międzynarodowej agencji pracy zaproponowano mi posadę gospodyni domowej u bogatego amerykańskiego wdowca z wynagrodzeniem w wysokości pięciuset dolarów tygodniowo i mieszkaniem. Nie mogłam uwierzyć własnemu szczęściu i natychmiast przyjąłam ofertę. Musiałam wprawdzie zostawić synka na jakiś czas u mamy, ale przecież zamierzałam wrócić. Była to dla mnie wielka szansa, żeby zarobić godziwe pieniądze i wyrwać się z nędzy. Mamie mogłam zaufać, że dobrze zaopiekuje się dzieckiem, a ja posyłałabym im pieniądze. I tak zgodziłam się wyjechać do Minnesoty.

Z lotniska w Minneapolis odebrała mnie Rosjanka o imieniu Bella. W samochodzie ze zdumieniem dowiedziałam się, że moja nowa znajoma prowadzi burdel. Nim zdążyłam przetrwać tę wiadomość, zaproponowała mi, żebym pracowała dla niej, to dużo więcej zarobię. Podobno wdowiec, który miał mnie zatrudnić, potrafił zatruć skutecznie życie, a ostatniej dziewczynie w ogóle nie zapłacił i w

dodatku zwolnił ją za jakieś głupstwo. Nie uwierzyłam w tę historyjkę, więc przyznała, że wdowiec w ogóle nie istnieje, jest to tylko jej sposób na ściągnięcie z Rosji ładnych dziewczyn. Bardzo mnie namawiała na pracę u siebie. Mieszkać też mogłam u niej. Obiecała mi pieniądze, o jakich w Rosji nigdy by mi się nie śniło. Nie do końca jej wierzyłam, ale byłam zmęczona i skołowana, a gdzieś tam tłukła się myśl, że przecież muszę utrzymywać moją biedną mamę i synka. Nieważne, co będę robić, byle bym zarobiła. Rozplakałam się gorzko i w końcu uległam.

I tak rodaczka Rosjanka zrobiła ze mnie prostytutkę. Klient płacił trzy tysiące dolarów, z czego ona brała połowę. Miałam czterech, pięciu klientów dziennie. O dziwo, szybko przywykłam do tej pracy. Ludzie w Minnesocie mają pieniądze, a moi klienci chętnie wspomagali biedną dziewczynę z Rosji. Dla mnie była to tylko praca, nic osobistego. Pierwszy trafił mi się Grek, który żądał seksu trzy razy w ciągu godziny. Był to dla mnie bardzo trudny moment, ciągle nachodziły mnie myśli o synku, o mamie i o tym wszystkim, czego uczyła mnie w dzieciństwie - żebym była dobra i miła dla ludzi. A tu moja dobroć dla bliźnich miała polegać na rozkładaniu nóg. Ale Grek zostawił mi pięćset dolarów napiwku.

Pracowałam dla Belli dwa dni w tygodniu. Zatrudniała wiele dziewczyn i każda miała swój dyżur. Ja pracowałam we wtorki i niedziele od dziesiątej rano do ostatniego klienta. Bardzo potrzebowałam pieniędzy. Gdy przyjechałam do Ameryki,

nie znałam w ogóle angielskiego. Pomału zaprzyjaźniłam się z kilkoma dziewczynami. Jedna z nich, Griszkina, pracowała w barze go-go i załatwiła mi tam pracę w te wieczory, kiedy nie byłam potrzebna Belli. Tańczyłam na scenie, a szybko zarobione pieniądze od razu mogłam posyłać mamie. Dostawała ode mnie trzysta dolarów miesięcznie, co w Rosji było sporą sumą. Na cały etat zarabiano tam wtedy około stu pięćdziesięciu dolarów. Dzwoniłam do niej co kilka dni. Rozmawiając z synkiem, często zaczynałam płakać, tak strasznie za nim tęskniłam. Nie umiałam mu nawet powiedzieć, kiedy się zobaczymy. Może jak będzie już w szkole podstawowej. A może nawet w średniej.

Po pewnym czasie postanowiłam złożyć dokumenty o legalny pobyt. Za zarobione pieniądze planowałam sprowadzić mamę i dziecko do Ameryki. Marzyłam, że mój syn pójdzie do amerykańskiego college'u, a my wszyscy zapomnimy o tragicznych przeżyciach w Rosji. Mama będzie mogła wierzyć i praktykować bez problemu, chodzić do swego kościoła i modlić się po rosyjsku. Postanowiłam wziąć lipny ślub. Znalazłam kandydata, miał na imię Alex. Kosztowało mnie to sporo, ale on też dużo ryzykował, mógł przecież wylądować w więzieniu. Za bilet do nowego życia w Ameryce zapłaciłam dwadzieścia pięć tysięcy dolarów, sumę tę spłacałam po tysiąc dolarów miesięcznie. Alex udawał przed władzami, że jesteśmy małżeństwem, i dzięki temu mogłam starać się o zieloną kartę.

Pierwsze sześć czy siedem lat w Ameryce harowałam bardzo ciężko. Nic tylko praca i praca, a do tego częste upokorzenia i przykrości. W końcu miałam dosyć, a że do Belli należała nie tylko agencja towarzyska, lecz także kilka klubów, zaproponowała mi występy w jednym ze swoich lokali w centrum Minneapolis. Zgodziłam się, bo pieniądze ciągle były mi potrzebne. Wiele kobiet, które zaczynały od tańca erotycznego, wpadało w narkotyki lub zostawało prostytutkami. Ja trzymałam się z dala od używek. W niektórych barach były trudne warunki pracy, w innych lżejsze. Zdarzało się, że byłam na nogach dwadzieścia cztery godziny na dobę. Musiałam też odpalać dolę Belli - sto dolarów za dzień. Ale miałam u niej zapewnione mieszkanie i wyżywienie.

Obecnie pracuję jako tancerka, striptizerka i masażystka. Niedługo wybieram się do domu i wreszcie zobaczę synka, który ma już dziewięć lat. Nie zamierzam zostać w Rosji. Uzbierałam sporo oszczędności - blisko pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Chcę sprowadzić rodzinę do Stanów i kupić tu mieszkanie. Za pół roku będę miała obywatelstwo. Na razie cały czas pracuję. Jak przyjadę z Rosji, zamieszkać w Kalifornii, gdzie nikt mnie nie zna. Zacznę nowe życie, znajdę nową pracę, stanę się kimś zupełnie innym.

Podroz do szczescia

Nazywam sie Katia i mam dwadziescie trzy lata. Do Ameryki przyjechałam trzy lata temu. Urodziłam się w Tomsku, małym syberyjskim mieście położonym tam, gdzie diabeł mówi dobranoc. Jestem jedynaczką. Rodzice mieli własny biznes i jak na miejscowe warunki byliśmy bardzo bogaci. Zarabiali od tysiąca pięciuset do dwóch tysięcy dolarów miesięcznie. Na wakacje jeździliśmy za granicę, kupowaliśmy drogie ciuchy, jedliśmy wykwintne przysmaki, a wszystko to w czasach, gdy posiadanie własnego klozetu uważane było za luksus. Rodzice mieli dwa sklepy w dwóch różnych dzielnicach. Sprzedawali chleb, masło, mleko, wędliny oraz inne artykuły spożywcze niezbędne w gospodarstwie domowym.

Miałam szczęśliwe dzieciństwo, rodzice bardzo mnie kochali. Przyjaźniłam się z dziećmi z rodzin o podobnej pozycji społecznej i takim samym statusie finansowym. Razem chodziliśmy do dyskotek, na wakacje wyjeżdżaliśmy do Turcji i Grecji. Moje życie toczyło się gładko, lecz jednocześnie wydawało mi się strasznie monotonne, szare i nieciekawe.

Szkołę średnią skończyłam z wyróżnieniem, miałam same bardzo dobre oceny. Wstąpiłam na wydział prawa uniwersytetu w Tomsku. W wieku osiemnastu lat zaczęłam prowadzić własny mały biznes: wydzierżawiłam kiosk w sklepie rodziców, zainwestowałam w pirackie wideokasety i otworzyłam wypożyczalnię filmów. Były z tego nieduże pieniądze. Po pewnym czasie na rynku pojawiła się konkurencja i moje dochody spadły, ale nadal coś zarabiałam. Miałam przystojnego chłopaka, Aleksa. W szkole siedzieliśmy w tej samej ławce i kochaliśmy się w sobie od dziewiątej klasy. Mama i tata nie byli zachwyceni, ponieważ jego rodzina była biedniejsza niż moja. Rodzice woleliby, żebym związała się z kimś solidnym i bogatym. Ale miłość bywa ślepa. Świącie wierzyłam, że wyjdę kiedyś za mąż za Aleksa i będziemy mieli dzieci.

Kiedy wyjechałam na dwa tygodnie z koleżankami do Egiptu, Aleks znalazł sobie inną dziewczynę, pochodzącą z lepiej sytuowanej rodziny niż moja. Jego rodzice chcieli, żeby bogato się ożenił i zapewnił sobie w ten sposób lepsze życie. Był bardzo przystojny, dziewczyny zawsze się za nim uganiały. Szybko związał się z tamtą, o mnie zapomniał. Złamał mi serce, ale dzięki temu zyskałam nowe życiowe doświadczenie. Z początku strasznie cierpiałam, nie chciałam jeść, pić ani nic robić, tylko leżałam na łóżku i z płaczem wpatrywałam się w jego zdjęcie. Rodzice byli zadowoleni z takiego obrotu rzeczy i z tej okazji otworzyli nawet najdroższy szampan ze swojego sklepu, co mnie do głębi zraniło.

Czas jednak leczy rany i po paru miesiącach zaczęłam wychodzić z domu, a nawet się uśmiechać. Wybaczyłam Aleksowi i na zawsze wyrzuciłam go ze swojego serca. Pomału życie zaczynało toczyć się jak dawniej, ale wciąż czegoś mi brakowało. Marzyłam

o czymś innym, niekoniecznie o tym, co zaplanowali dla mnie rodzice. Chciałam sama do czegoś dojść. Po trzecim roku studiów nadarzyła się okazja wyjazdu do Ameryki na stypendium

i rodzice się zgodzili. Pozdawałam egzaminy, złożyłam podanie o wizę, potem długo żegnałam się ze wszystkimi, a w przeddzień wyjazdu spotkaliśmy się jeszcze z przyjaciółmi w klubie.

Najbliższe lotnisko znajdowało się w Nowosybirsku -stamtąd miałam lecieć do Moskwy, gdzie była przesiadka do Nowego Jorku. Wiadomo było, że nie wrócę szybko, na lotnisko odprowadzała mnie więc cała rodzina i wszyscy przyjaciele. Całowano mnie, ściskano serdecznie i obiecywano, że po moim powrocie odbędzie się wielkie przyjęcie na moją cześć. Pomyślałam sobie wtedy, że może przyjęcie będzie wielkie, ale nieprędko. Odlatywałam wcześniej rano, więc nie umalowałam się, założyłam niezobowiązujący strój. Z odtwarzaczem i słuchawkami na uszach wyglądałam jak nastolatka. W samolocie usiadłam na swoim miejscu, zamknęłam oczy i zaczęłam słuchać muzyki. Po chwili jakiś elegancko ubrany pan przeprosił mnie grzecznie, przecisnął się i usiadł obok. Przepuściłam go bez słowa i wróciłam do muzyki. On starał się nawiązać rozmowę, przywitał się i spytał, jak mija podróż. Nie byłam w nastroju do pogawędek i podczas lotu zamierzałam poważnie przemyśleć swoje plany na przyszłość, jednak uznałam, że będzie niegrzecznie, jeśli go całkiem zignoruję. Przyjrząwszy mu się, oceniłam go na dwadzieścia pięć lat. Miał na sobie garnitur od Armaniego i lśniące buty Gucciego.

Andriej pochodził z Moskwy. Do Nowosybirska przyleciał w interesach, spotkać się ze współnikiem. Wiele mi opowiedział o swoim życiu. Po godzinie wiedziałam, że jest roz-

wiedziony, i zdążyłam zobaczyć zdjęcie pięcioletniej córeczki. Miał fabrykę tekstylną w Turcji. Zauważył, że sporo osób przyszło mnie pożegnać, i dodał znacząco, że taka piękność jak ja musi budzić powszechny zachwyt.

Podobno stał za mną w kolejce do odprawy bagażowej. Nie pamiętałam go zupełnie, ale ja raczej nie zwracam uwagi na ludzi. Podpatrzył, jaki mam numer miejsca, i poprosił stewardessę, żeby zamieniła jego pierwszą klasę na dużo tańsze miejsce koło mnie. Pasażer, który miał siedzieć obok mnie, na pewno chętnie się zamienił. Przez pierwszą godzinę po prostu przyjemnie mi się z nim rozmawiało, a potem nagle przyszło mi do głowy, że chyba się zakochałam w tych cudownie niebieskich oczach. Andriej zaproponował, żebyśmy się przesiedli nieco dalej, bo tu naszą rozmowę przeszkadzamy innym. Poprosiliśmy stewardessę o wino. Ja wzniosłam toast za moje przyszłe życie w Ameryce, on — za nasze spotkanie. Ciekaw był, czemu jadę akurat do Ameryki, a ja skłamałam, że dla uczelni robię badania na temat rozwoju turystyki i organizacji podróży. Nie mogłam mu się przecież przyznać, że jestem studentką, mam pracować w McDonalddie za siedem dolarów za godzinę i zamierzam zostać w Stanach na dłużej.

Po pierwszej butelce wina zachciało nam się palić, a w samolocie nie wolno. Ale zakazany owoc ciągnie, więc udaliśmy się w tym celu do toalety. Było tam ciasno i nasze twarze znajdowały się tuż koło siebie. Wcale nam to nie przeszkadzało. Nie wiem sama, jak to się stało, ale po kilku minutach zaczęliśmy się całować i pieścić. Nie myślałam w tym momencie o niczym, wiedziałam tylko, że za nic nie chcę przestać. Później dostaliśmy burę od stewardessy za długie zajmowanie toalety,

pod która ustawiła się kolejka. Wróciliśmy na miejsca, byłam już zmęczona i drzemałam na jego ramieniu. Andriej przykrył mnie marynarką. Muskał moje włosy i szeptał, że całe życie mnie szukał i nie może mnie teraz stracić. Słyszałam każde słowo, ale udawałam, że śpię.

Gdy w Moskwie wychodziliśmy z samolotu, wyglądaliśmy jak małżeństwo. Andriej szedł za mną i niośł moje walizki, jakbym była jego żoną. Przyjechał po niego kierowca i mój nowy znajomy odwiózł mnie do ciotki, gdzie miałam przenocować, bo samolot do Ameryki odlatywał nazajutrz po południu. Zapewniał gorąco, że musi się jeszcze ze mną pożegnać. Wymieniliśmy adresy mailowe. Dał mi też swój numer telefonu, ale nie zadzwoniłam. Nie wiem, dlaczego. Chyba po prostu uważałam, że i tak nie mamy wspólnej przyszłości. Ja wyjeżdżałam, on zostawał. Już z Ameryki wysłałam mu mail. W odpowiedzi przeproszał mnie i mocno się tłumaczył, że pomylił drogę i utknął w korku. Spóźnił się na lotnisko, dotarł tam, gdy mój samolot już odleciał.

Po przylocie na JFK wzięłam taksówkę na Manhattan i nie bardzo wiedziałam, co dalej robić. Taksówki były tu żółte, a taksówkarze przeważnie czarni. Byłam onieśmielona, nie znałam za dobrze angielskiego. Okazało się też, że na miejscu wcale nie czeka na mnie żadna posada. Niedaleko Uniwersytetu Columbia poznałam Ritę i Zinę z Krasnodaru, podobnie jak ja oszukane przez agencję, załatwiających wyjazd do Ameryki. Obiecane prace nie istniały, nie miałyśmy stypendium ani mieszkania. Nie było nawet dokąd pójść.

Jednym z powodów mojego wyjazdu do Ameryki było to, że tu można szybko „zrobić” magisterium. Jak? Otóż już za

pięćset dolarów można kupić „dyplom” dowolnego uniwersytetu, potem mailem wysłać skan na wybraną uczelnię, gdzie trafia do bazy danych, a następnie informacje te są przesyłane na inną uczelnię, gdzie niby mają się odbywać studia podyplomowe. Dlatego u lekarza czy dentysty nigdy nie sugeruję się dyplomami wiszącymi na ścianie. Zawsze bezpieczniej jest polegać na opinii kogoś zaufanego.

Postanowiłyśmy trzymać się razem, bo wtedy łatwiej walczyć z trudnościami. Zina знаła trochę angielski, Rita i ja umiałyśmy powiedzieć tylko: „How do you do?”. Zrobiło się późno, nie miałyśmy żadnego noclegu, a nie stać nas było na hotel na Manhattanie za kilkaset dolarów. Pierwszą noc spędziłyśmy na ogrzewanej stacji metra przy Pięćdziesiątej Ósmej ulicy, razem z bezdomnymi Murzynami. Bałyśmy się zasnąć, toteż po kolei opowiadałyśmy sobie historie naszego życia. Drugą noc spędziłyśmy na stacji Union Square, trzecią na Canal Street. Cały tydzień spałyśmy na peronach metra. Było to niebezpieczne i nieprzyjemne. Już niemal gotowe byłyśmy poddać się i wracać do Rosji, żeby pozwać do sądu agencje, które wystawiły nas do wiatru.

Na szczęście poznałyśmy rosyjskich studentów, którzy pomogli nam znaleźć tanie lokum i pokazali rosyjskojęzyczne gazety z różnym przydatnymi ogłoszeniami. Tam natrafiłam na ofertę pracy na Manhattanie i postanowiłam, że biorę, cokolwiek to będzie. Zadzwoiłam i dowiedziałam się, że potrzebują kogoś do sprzedawania obrazów. Byłam tym bardzo podekscytowana. Zostawiłam swój numer telefonu i niecierpliwie czekałam na spotkanie i rozmowę. Byłam pewna, że się nadam do tej pracy. Od dziecka dobrze rysowałam, a potem intereso-

wałam się twórczością artystów z różnych epok. Miałam sporą wiedzę i mogłam śmiało wypowiadać się na wiele tematów.

Nadszedł dzień rozmowy. Włożyłam buty na wysokim obcasie, białą bluzkę i spódnicę. Z przyszłym szefem spotkałam się w kawiarni Starbucks, bo w biurze chwilowo był remont. Okazało się, że moje umiejętności nie będą do niczego potrzebne. Doświadczenie handlowe też nie było wymagane. Szef uprzedził, że trzeba wstawać wcześniej i pracować do późna, ale praca na razie nie wydawała się bardzo ciężka. Jedyną niedogodnością było to, że musiałam dotrzeć na Times Square już

o szóstej rano, a ja zawsze lubiłam sobie rano pospać.

Rano najpierw szłam do magazynu, pakowałam obrazki, po czym ładowałam je na wózek ze stolikiem i krzesłem. Następnie wyruszałam na ulice Manhattanu, wyszukiwałam odpowiednie miejsce, rozstawiałam stolik i zaczynałam handel. Z początku bardzo się tego wstydziłam. Kiedy szłam do magazynu, mężczyźni oglądali się za mną i próbowali mnie podrywać. Nie reagowałam. Pół godziny później, gdy wracałam z ciężkim wózkiem, byłam zaczerwieniona i spocona z wysiłku, bo wózek ważył więcej niż ja sama. Wtedy jakoś nikt mnie nie zaczepiał.

Mój dzień zaczynał się o czwartej rano od filiżanki kawy

i papierosa Newport, następnie szykowałam się do wyjścia. Do metra miałam piętnaście minut piechotą, potem półtorej godziny jazdy na Manhattan. O szóstej trzydzieści już wędrowałam z wózkiem, rozglądając się za odpowiednim miejscem, żeby się rozstawić. Panowała duża konkurencja, zwłaszcza między Rosjanami a Chińczykami. Walczono o dobre miejsca, bo od tego zależał utarg. Im korzystniejsze miejsce się zdobyło

- na zasadzie kto pierwszy, ten lepszy - tym wyższe były obroty. Pracowałam od szóstej rano do pierwszej w nocy. Niektórzy sprzedawcy, żeby nie stracić dobrego stanowiska, spali na ulicy na skrzynce z obrazami. Czasami dochodziło do konfliktów, ale mnie na szczęście nigdy nie przytrafiło się nic złego.

Z początku zarabiałam niewiele, głównie przez wstyd, który mnie paraliżował. Pierwszego dnia rozłożyłam obrazki na stoliku, po czym sama schowałam się z boku, tak bardzo głupio się czułam. Rosjanom handel kojarzy się z oszukiwaniem, więc jakoś nie mieściło mi się w głowie, że ja, atrakcyjna młoda kobieta po trzech latach studiów na dobrej uczelni w Tomsku, sprzedaję na ulicy kiczowate bohomy. Miałam wielką ochotę zapaść się pod ziemię, a tymczasem wysokość moich zarobków Zależała od tego, ilu turystów wyda piętnaście dolarów na kolorowy widoczek Nowego Jorku. Dla mnie te obrazy nie przedstawiały żadnej artystycznej wartości. Ale w Ameryce sprzedaje się i kupuje wszystko, nawet najgorszą szmirę i tandetę.

Zaraz na początku mojej kariery ulicznego handlarza do stolika, który ustawiłam na rogu Czterdziestej Szóstej i Broadwayu, podeszli turyści i zapytali, kto sprzedaje te obrazki i ile kosztują. Strasznie się zaczerwieniłam i nie byłam w stanie wykrztusić słowa. Turyści nie rezygnowali, wyraźnie uparli się, żeby coś kupić. Ja stałam z boku i tylko patrzyłam na nich z przerażeniem. W końcu zauważyli mnie, a ja, nie mając dokąd uciec, z trudem wykrztusiłam z siebie cenę, gotowa wręcz oddać im obrazek za darmo. Wtedy właśnie zarobiłam moje pierwsze trzydzieści dolarów, z czego połowę wziął szef.

Czas mijał, powodziło mi się nietęgo, bo handel nie był moim powołaniem. Czułam się głupio, miałam ogromne wyrzuty su-

mienia, że rodzice zainwestowali tyle pieniędzy w moją przyszłość, a ja tu stoję i handluję na ulicy. Nie byliby szczęśliwi, znając prawdę. Pracowałam sześć dni w tygodniu. Jednak z czasem zaczęło mi iść nieco lepiej. Zdarzało się, że miałam nawet pięćset dolarów utargu dziennie.

Andriej codziennie przysyłał maile. Posłałam mu swoje zdjęcie, odpowiedział od razu, że je oprawił i postawił na biurku w gabinecie. Nie mógł się doczekać mojego powrotu i zaklinał się, że nigdy dotąd nie zdarzyło mu się tak silne uczucie. Nie mógł normalnie pracować, bo cały czas myślał o mnie. Brzmiało to wszystko szczerze, jednak ciągle nie umiałam powiedzieć, kiedy wrócę, bo sama tego nie wiedziałam. Nie miałam odwagi przyznać się, gdzie pracuję, tak bardzo się tego wstydziłam. Rodzicom powiedziałam tylko, że zajmuję się sztuką. Właściwie nawet nie skłamałam, bo wciskanie ludziom takich szkaradzeństw to naprawdę wielka sztuka.

Postanowiłam zostać w Ameryce. Czułam, że mam w życiu dobry okres i że to jest moje miejsce. Zadzwoiłam więc do Tomska i powiadomiłam rodziców o swojej decyzji. Zmartwili się, ale jasne było, że i tak zrobię po swojemu. Miałam wizę turystyczną ważną pół roku, którą można było przedłużać cztery razy, złożyłam więc stosowne podanie. Cały czas pracowałam.

Raz podeszła do mnie grupa Japończyków. Gdy dowiedzieli się, że jestem Rosjanką, orzekli: „No, no, rosyjska ślicznotka! Ale pewnie niedostępna, co?” Spyтали, czy mogą sobie zrobić ze mną zdjęcie, co mnie rozbawiło. Potem wszyscy - Arabowie, Hiszpanie, Chińczycy — chcieli robić sobie ze mną zdjęcia. Postanowiłam więc na tym zarabiać. Brałam dziesięć dolarów za zdjęcie ze zwykłymi turystami i piętnaście z takimi,

którzy wyglądali na bogatych. Dzięki temu nawet jak obrazki szły kiepsko, zarabiałam około stu dolarów, fotografując się z przedstawicielami najróżniejszych narodowości. Pracowałam tak w deszczu i w skwarze, chwilami szczerze nienawidząc Ameryki, zwłaszcza ulic Manhattanu.

Po roku pracy pod gołym niebem i dźwigania ciężarów nabawiłam się infekcji nerek. Bolało okropnie, ale że zawsze byłam okazem zdrowia, usiłowałam to ignorować. Jak się pierwszy raz w życiu poważnie choruje, to nie chce się tego na początku przyjąć do wiadomości.

W październiku karetka zabrała mnie z Times Square do szpitala. Na szczęście nie miałam przy sobie dokumentów i po drodze wymyśliłam fałszywe nazwisko i numer ubezpieczenia. Stałam się Valerie Modło, pożyczwszy sobie panięskie nazwisko babci. Jako numer ubezpieczenia podałam datę urodzin mamy, wiedząc, że w ten sposób na pewno będę go pamiętać i nic nie pokręcę. Prawdziwy podałam jedynie adres do korespondencji, bo ciekawa byłam, ile będzie mnie to kosztowało. W szpitalu zatrzymano mnie na jeden dzień, dwa tygodnie później przyszedł rachunek na osiem tysięcy dolarów. Szok. Tak naprawdę za nic. Całe szczęście, że skłamałam. Czasem kłamstwa mogą człowieka ocalić.

Znowu dostałam mail od Andrieja. Dopytywał się, kiedy wracam, bo bardzo chciał się ze mną zobaczyć. Skłamałam, że mam nową pracę i nie wiem, kiedy przyjadę. Koniecznie chciał dostać mój adres w Nowym Jorku. Napisał, że przyjedzie do mnie, gdziekolwiek będę.

Rzuciłam handel obrazkami i zostałam opiekunką do dziecka w rosyjskojęzycznej rodzinie. Dostawałam za to pięćset do-

krów za sześć dni pracy. Dziwni to byli ludzie. Pani domu cały dzień nic nie robiła, głównie leżała w wannie obłożona plastrami ogórka. Utrzymywała, że musi zadbać o siebie po porodzie. Nieszczęsny mąż harował na trzech posiadach i wracał wieczorem do domu w stanie zupełnego wyczerpania. Pani ciągle wydawała mi polecenia i pilnowała, abym ani przez chwilę nie była bez zajęcia. Sama ubierała się elegancko i dbała o swój wygląd. Kiedyś weszła do pokoju, gdy przewijałam jej dziewięciomiesięczną córeczkę, i stwierdziła, że to dziecko jest właściwie nasze, jej i moje. Nie zwróciłam wówczas na to uwagi. Wystraszyłam się dopiero, gdy po jakimś czasie niespodziewanie próbowała mnie pocałować. Wyznała, że mnie kocha i obiecała, że da mi wszystko, czego zechcę, bo na to zasługuję. Byłam w takim szoku, że nie wróciłam tam więcej, nie poszłam nawet odebrać ostatniego czeku.

Andriej znów prosił mnie o adres, chciał przyjechać i zabrać mnie do Rosji. Podałam mu, myśląc, że to tylko taki Żart. Tydzień później stanął w progu z dużym bukietem czerwonych róż. Przez te dwa tygodnie jego pobytu w Nowym Jorku nie wychodziliśmy z mieszkania, a z łóżka tylko po to, żeby coś zjeść. Nadszedł dzień jego wyjazdu. Błagał, żebym jechała z nim i wyszła za niego. Nie chciałam. Za dobrze mi było w Ameryce i za bardzo odpowiadała mi niezależność. Nie miałam łatwego życia, ale przynajmniej to ja decydowałam o wszystkim. Długo trzymaliśmy się za ręce, tak trudno było nam się rozstać. Smuciło mnie, że kończy się szczęście, jakiego zaznałam przez ostatnie dwa tygodnie. Ale nie było żadnej gwarancji, że mamy przed sobą wspólną przyszłość.

Wyjechał, a ja płakałam przez cały tydzień. Dzwonił, zapewniał, że mnie kocha. Prosił, żebym za niego wyszła, obiecywał mi cudowną przyszłość. Ja też go kochałam, ale nie chciałam, żeby uważał, iż zależy mi na jego pieniądzach. Podobało mi się w Ameryce, miałam wielką ochotę do wszystkiego dojść sama. Umierałam z tęsknoty za nim, ale nie zdecydowałam się na to małżeństwo.

Tymczasem nie pojawiła się miesięczka i okazało się, że jestem w ciąży. Andriej pisał pięć razy dziennie, a ja nie odpowiadałam na jego maile. Nawet teraz nie chciałam zgodzić się na ślub, żeby sobie nie pomyślał, że chodzi mi o jego pieniądze albo że nie powiodło mi się w Ameryce. Ze względu na stan zdrowia aborcja nie wchodziła w grę, ale i tak za nic nie pozbyłabym się dziecka. Wyznałam wszystko mamie, a ona obiecała mi pomoc, ale nalegała przy tym, żebym koniecznie powiadomiła Andrieja, że zostanie ojcem. Wahałam się, czy to zrobić. Mieliśmy wystarczająco dużo pieniędzy, żeby wychować dziecko bez jego finansowej pomocy.

Obiecałam mamie, że urodzę w Rosji, ale postanowiłam zostać w Ameryce prawie do końca ciąży. Tak było lepiej także ze względów zdrowotnych. Lekarka uprzedziła, że istnieje ryzyko poronienia i kazała bardzo uważać przez pierwsze miesiące, kiedy dziecko przechodzi ważną fazę rozwoju. Rodzice przysłali mi pieniądze, miałam także nieco własnych oszczędności. Cały ten czas starałam się myśleć pozytywnie. Chodziłam do muzeów i teatrów. Andriejowi napisałam, że wracam do Rosji na początku lutego. Zainteresował się, co też sprawiło, że zmieniałam zdanie i wyjeżdżam z mojej ukochanej Ameryki. Nie powiedziałam mu prawdy.

Do Moskwy wróciłam 23 lutego i pojechałam prosto do domu ciotki. Nie zdążyłam pobyć tam nawet pięciu minut, kiedy ktoś zapukał do drzwi. Otworzyłam, w progu stali dwaj milicjanci. Okazało się, że przyszli do mnie. Pokazali zdjęcie Andrieja i spytali, czy znam tego człowieka. Potwierdziłam. Przesłuchiwali mnie przeszło półtorej godziny. Wypytywali o jego interesy i o to, czym się zajmuje. Odpowiadałam zgodnie z prawdą, że nie wiem. Na koniec powiadomili mnie, że Andriej siedzi w więzieniu za działalność antypaństwową i że go raczej więcej nie zobaczę. Zapytałam, gdzie jest i czy mogę go odwiedzić, na co dowiedziałam się, że lepiej dla mnie, jeśli zapomnę o tej znajomości i potraktuję ostrzeżenie poważnie, jeżeli zamierzam zostać w Rosji na stałe. Uświadomiłam sobie wtedy, że zrobiłam poważny błąd. Moskwa nie była dla mnie bezpiecznym miejscem.

Zadzwoiłam do rodziców, stęskniona i gotowa wypłakać się w ich kochających ramionach, a tu czekała jeszcze gorsza wiadomość. Ojciec odmówił zapłacenia haraczu miejscowej mafii i tego samego dnia oba sklepy zostały zdemolowane. Zniszczono znaczą część wyposażenia i towaru. Następnie gangsterzy przyszli do ojca i kazali mu się jeszcze raz zastanowić. Odparł, że przemyśli i da odpowiedź za tydzień. Okazało się, że to dla nich za długo. Ponieważ ojciec wyraził powątpiewanie, czy się zgodzi, następnego dnia miał wypadek samochodowy. Zginął na miejscu, mama wylądowała w szpitalu, gdzie walczy o życie, ale najprawdopodobniej nigdy nie odzyska przytomności. W Rosji, w przeciwieństwie do Ameryki, ludzi nie trzyma się długo w szpitalach, bo państwa na to nie stać.

Nie miałam dokąd wracać, więc zostałam u ciotki i tu urodziłam moją śliczną córeczkę Nastię. Od razu po porodzie zaczęłam się gimnastykować, żeby wrócić do dawnej figury i formy. Wkrótce byłam równie atrakcyjna jak przed ciążą. Miałam licznych adoratorów, ale z żadnym nie wiązałam planów na przyszłość.

Zostały mi niewielkie oszczędności, z których korzystałam w razie potrzeby, ale koniecznie chciałam znaleźć jakiś sposób, żeby znów pojechać do Ameryki. Nic mi nie przychodziło do głowy, a wtedy koleżanka opowiedziała o agencji, która nazywa się „Swietłana”. Przez tę agencję można na przyjęciu poznać Amerykanów, którzy chętnie żenią się z Rosjankami, także z takimi, które mają już dziecko. Uznałam, że przynajmniej powinnam spróbować. Wpłaciłam trzysta dolarów i zaczęłam chodzić na takie przyjęcia. Za trzecim razem poznałam Rogera. Nie był już pierwszej młodości ani też specjalnie przystojny, ale za to bardzo miły. Obiecywał mi cudowne życie w Saint Louis. Miał tam własny dom, służbę i basen. Dla Nastii byłoby to wręcz idealne. Często byśmy gdzieś wyjeżdżali, nie musiałabym pracować, a moja córka miałaby zapewnioną dobrą przyszłość.

Bardzo ujął mnie tym, że był wobec mnie miły i troskliwy. Zdusiłam więc w sobie wątpliwości i zgodziłam się. Roger zapłacił „Swietłanie” dwa tysiące dolarów za przygotowanie niezbędnych dokumentów. Dwa tygodnie później, z biletem w jedną stronę, siedziałam w samolocie Lufthansy do Frankfurtu, skąd miałam lecieć do Nowego Jorku, a na koniec do Saint Louis. Mój przyszły mąż czekał na mnie na lotnisku i zawiózł do swojego domu, który okazał się zwykłym dom-

kiem na osiedlu. Basen był wspólny dla wszystkich mieszkańców. Niezupełnie tak to przedtem przedstawiał, ale dla mnie najważniejsza było, że Nastia będzie mieć dom i że ktoś zaopiekuje się nami obiema.

W podróż poślubną pojechaliśmy do Las Vegas. Tam zatrzymaliśmy się w hotelu „Stardust”, w pokoju za pięćdziesiąt dolarów za noc. W życiu nie widziałam czegoś takiego jak Las Vegas. Podobało mi się tam wszystko, nawet to, że korzystaliśmy z trzech bezpłatnych posiłków, przysługujących gościom grającym na hotelowych automatach. Jak tylko skonsumowaliśmy nasze małżeństwo, Roger cały czas grał, zostawiwszy mnie samej sobie. Tak minął weekend i taką miałam podróż poślubną.

Po powrocie do Saint Louis okazało się, że życie znacznie odbiega od wcześniejszych obietnic. Roger zapowiedział, że musimy żyć oszczędnie, żeby odłożyć coś na przyszłość i na naukę Nastii, w związku z tym ja miałam zajmować się domem. Oznaczało to, że sprzątałam, prasowałam i gotowałam. Kolejna sprawa, to nasze wspólne wieczory. Roger uprzedził, że dużo pracuje, co oczywiście w pełni rozumiałam. Ale często wracał do domu bardzo późno, a w jego oddechu czuć było alkohol. Raz odważyłam się spytać, dlaczego pije i co sobie w ogóle myśli, a on kazał mi się zamknąć i nazwał mnie ruską suką.

Szybko rozviała się iluzja o szczęśliwym małżeństwie i kochającym mężu; wszystko okazało się fikcją. Musiałam z nim wytrzymać jeszcze rok, żeby dostać zieloną kartę. W sprzyjających okolicznościach trwa to właśnie tyle, ale jemu nie zawsze chciało się iść ze mną na rozmowę czy dotrzymać terminów różnych spraw, więc papiery dostałam dopiero po dwóch

latach. Zapewne uważał, że nie mam dokąd pójść, więc - tak czy siak - z nim zostanę.

W dniu, w którym dostałam zieloną kartę, zmieniłam się w potulną żonę niewolnicę. W domu zawsze czekał ciepły posiłek, niezależnie od tego, o której Roger wrócił, a obok kanapy leżały przygotowane papierosy. Kiedy zasiadał przed telewizorem, żeby obejrzeć sport, na stoliku natychmiast pojawiał się popcorn z masłem. Jak zachciało mu się seksu, spełniałam wszystkie zachcianki i zgadzałam się na różne fanaberie. Stałam się idealną żoną, grzeczną lalką Barbie, czekającą w domu na męża, który w tym czasie upija się i robi, co mu się żywnie podoba. Znajomym opowiadał, że nieźle mnie wytresował i że jestem najlepszą żoną w Saint Louis. Raz przyniósł mi w prezencie pudełko słodczy, ale już otwarte i z nadjedzoną zawartością. Robiąc zakupy, uważnie wydawałam jego pieniądze, zawsze przy tym podkradając kilka dolarów, które dołączałam do oszczędności ukrytych pod podszewką walizki.

Wykonywałam wszystko tak, jak sobie życzył, niezmiennie z promiennym uśmiechem. Jak tylko się rano obudził, w te pędy robiłam śniadanie i przynosiłam mu kawę do łóżka. Czuł się usatysfakcjonowany, ale cały czas strasznie na wszystko skąpił. Największy luksus, jaki mi fundował, to raz w miesiącu kino albo stek w pobliskiej smażalni. Pół roku po otrzymaniu zielonej karty ugotowałam wspaniałą kolację z sufletem na deser. Tej nocy w łóżku robiłam wszystko, co mu przyszło do głowy, udając zachwyt nad jego męskością, aby połechtać jego ego. Kiedy nazajutrz wieczorem wrócił z pracy, nie zastał ani

mnie, ani Nastii. Zniknęły wszystkie nasze rzeczy, przy czym starannie zatarłam za nami ślady. Pewnie przez resztę życia bę-

dzie się zastanawiał, gdzie się podzialiśmy, i gorzko żałował, bo nikt nie da mu tyle, ile ja dałam. Nigdy nie dowie się, co się z nami stało.

Obecnie pracuję w przedszkolu na Brooklynie, a moja córka chodzi tu do szkoły. Mieszkamy w Brighton Beach. Moje życie jest naprawdę udane i nareszcie jestem szczęśliwa.

Długa droga do domu

Urodziłam się w Leningradzie, ale w chwili wyjazdu stamtąd byłam za mała, żeby zapamiętać cokolwiek z życia w Rosji. Miałam dwa lata, kiedy mama wyszła za Paula, czterdziestodwuletniego rosyjskiego emigranta, i to on sprowadził nas do Ameryki. Przed ślubem mama pracowała jako przewodniczka turystyczna. Pokazywała zagranicznym gościom zabytki kultury i pomniki wojenne. Zawsze mówiła, że dobrze jej się żyło w Związku Radzieckim.

Kiedy miałam siedemnaście lat, znalazłam w papierach mamy świadectwo adopcji. Gdy dowiedziałam się, że Paul nie jest moim ojcem, przeżyłam szok. Mama wszystko mi opowiedziała. Paul miał piętnaście lat, kiedy jego rodzina wyemigrowała do Ameryki, i ćwierć wieku później przyjechał odwiedzić kraj swego dzieciństwa. Poznali się, gdy mama samotnie wychowywała półtoraroczną córeczkę, czyli mnie. Przez jakiś czas się spotykali i zaczęła się wielka miłość. Paul bardzo chciał mieć dzieci, ale nie mógł, mamie zaś dużo łatwiej było wychowywać dziecko z kimś niż samej, więc mnie zaadoptował.

Wszystko to mi spokojnie wyjaśniła, ale wciąż byłam na nią zła. Nie mogłam jej wybaczyć, że mnie okłamywała przez te

wszystkie lata. Paul zawsze mnie kochał i *rozpieszczał*, więc do głowy by mi nie przyszło, że nie jest moim ojcem. Mama argumentowała, że prawdziwy ojciec to niekoniecznie ten biologiczny, lecz taki, który troszczy się o *dzieci* i dobrze się nimi opiekuje. W końcu wyjawiała nazwisko mego prawdziwego ojca. Anatolij Wasiliew, zwany Tolikiem, studiował na tej samej uczelni co mama. Po jakiejś zakrapianej imprezie poszli do łóżka, no i wkrótce okazało się, że mama jest w ciąży. Tolik uważał, że są za młodzi na rodziców i że najpierw powinni ułożyć sobie życie. Był niedojrzały i nieprzygotowany do roli ojca ani do odpowiedzialności. Namawiał mamę na aborcję, ale lekarz powiedział, że mogłoby to przekreślić szansę na dzieci w przyszłości, bo potem — nawet jeśli mama zaszłaby w ciążę — prawdopodobnie poroniłaby w ciągu pierwszych miesięcy.

Działo się to na ostatnim roku studiów. Mama zdecydowała, że mnie urodzi. Wieczorami siedziała w domu i zarabiała na chleb, pisząc prace za leniwych studentów. W dziewiątym miesiącu ciąży intensywnie przygotowywała się do ostatnich egzaminów, cały czas strasznie się bojąc, że z wrażenia zacznie rodzić przed komisją egzaminacyjną. Na szczęście profesorowie tak się przejęli jej zaawansowanym stanem, że nie zadawali dużo pytań, żeby jej przypadkiem nie zdenerwować i nie wywołać porodu. Bez problemu zaliczyła wszystkie egzaminy.

Tolik z początku pomagał, ale potem zwyczajnie zniknął. Przeniósł papiery na inną uczelnię i zaczął nowe życie, a ona została ze mną sama. Mocno zranił jej dumę i nie próbowała go szukać, tylko postanowiła, że samodzielnie mnie wychowa. Była sierotą i w ogóle nie знаła swoich rodziców. Uważała,

że będę z nią zawsze i że samotna matka z córką mogą stanowić bardzo szczęśliwą rodzinę.

Na studiach miała młodszą od siebie przyjaciółkę, Lusię, która dużo jej pomagała i zostawała ze mną, kiedy ona biegała po mieście w poszukiwaniu jakiejś posady. Tej Lusi mama też napisała pracę, więc była to przysługa za przysługę i obie były w pełni zadowolone. W końcu mama zatrudniła się jako przewodniczka turystyczna i oprowadzała po mieście turystów. Lusia siedziała wtedy ze mną, za co dostawała upominki, które mamie dawali turyści.

Byłam ładna, miałam jasnoniebieskie oczy, kasztanoworu-de loki, szczupłą sylwetkę i duży biust. Zawsze się podobałam, chłopcy oglądali się za mną, bo miałam ponętne kobiece kształty, a to ich strasznie kręciło. Wcześniej zaczęłam chodzić na randki. W wieku osiemnastu lat balowałam często ze starszymi studentami. Razem z koleżankami traktowałyśmy ich trochę jak sponsorów. Byli sympatyczni i rozrywkowi.

Pewnego wiosennego dnia sporo wypiałam na przyjęciu u Paata i zaczęłam się z nim całować. Było to bardzo podniecające, w całym ciele czułam rozkoszne pulsowanie. On zaciągnął mnie do swojego pokoju i zaczął rozbierać. Dopiero wtedy zdałam sobie sprawę, o co mu chodzi. Przestraszona, rozplakałam się. Nie zważając na moje krzyki i protesty, przytrzymał mnie siłą, mruczając coś w rodzaju: „Niegrzeczna dziewczynka droczy się ze mną, ale przecież wiem, że tego chcesz”. Całował mnie dziko, a potem to zrobił. Później przeproszał, usprawiedliwiając się, że nie uwierzył w moje zapewnienia, iż jestem dziewicą. Strasznie mi było wstyd. Nie powiedziałam o tym mamie ani nikomu. Bolało mnie potem wszystko i całą noc przeplakałam w poduszkę.

Kiedy mama miała czterdzieści lat, okazało się, że będą mieć z Paulem dziecko. Uznali to za cud i byli bardzo, bardzo szczęśliwi. Paul chciał się wyprowadzić z Brooklynu, natomiast ja wolałam stąd nie wyjeżdżać, bo miałam tu przyjaciół i szkołę. Rodzice postanowili zatem nie sprzedawać mieszkania i pozwolili mi w nim zostać, a sami kupili dom w stanie Nowy Jork. Odwiedzali mnie raz na tydzień albo ja jeździłam do nich. Mama dawała mi pieniądze na życie.

Odkąd poznałam prawdę o moim przyjściu na świat, miałam jedną obsesję: zobaczyć biologicznego ojca. Mama i Paul byli temu przeciwni, przekonywali mnie, że to szukanie igły w stogu siana. Nie mogąc liczyć na ich wsparcie finansowe w tej sprawie, postanowiłam więc sama zdobyć fundusze na poszukiwania w Rosji. Obliczyłam nawet, ile będę potrzebować na samolot, hotel i detektywa. Oczywiście nie było to proste, gdyż cały czas chodziłam do szkoły.

Miałam wtedy dziewiętnaście lat, mama z Paulem wyjechali na miesiąc do Europy. Nie pojechałam z nimi ze względu na zbliżające się egzaminy. Przyszło mi do głowy, że pod ich nieobecność nadarza się okazja, żeby pchnąć do przodu sprawę odnalezienia ojca. Zaczęłyśmy przeglądać z koleżanką gazety i znalazłyśmy ogłoszenie, w którym szukano dziewczyn do klubu odnowy biologicznej i spa. Nazajutrz tam poszłam. Kiedy stojący przy drzwiach ochroniarz je otworzył, ze środka buchnęła para. Poznałam tam przeuroczą Amerykankę Jessikę, z którą od razu przypadłyśmy sobie do gustu. Zaprowadziła mnie do dalszych pomieszczeń, gdzie urzędowały cztery dziewczyny, z których dwie były bardzo ładne. One wyjaśniły, na czym polega ta praca, że to taki specjalny masaż. Wcześniej

słyszałam tylko o masażach leczniczych. Pracować mogłam, bo skończyłam już szkołę i specjalnie nie zapisałam się do college-'u, żeby mieć więcej czasu.

W pierwszym tygodniu dziewczyny uczyły mnie sztuki masowania i wtajemniczały w sekrety tego, co mężczyźni najbardziej lubią. Były tu cztery pokoje ze stołami do masażu, lustrami i prysznicem. W tle grała dyskretna muzyka. W pracy używałam imienia Stella. Wprawdzie wolałabym Lolita, ale było już zajęte. Pozostałe dziewczyny nazywały się Tina i Barbara. W normalnym życiu traktowałam mężczyzn dość szorstko, natomiast w pracy stawałam się kobieca i bardzo w tej kobiecości profesjonalna. Wydawało mi się, że zarabiam krocie, bo dostawałam od pięciuset do sześciuset dolarów dziennie. Pracowałam tak przez trzy miesiące, aż pewnego dnia zjawiała się policja i wszystko się skończyło. Byli po cywilnemu i udawali zwykłych klientów. Nawet pokazali fałszywe dokumenty i dopiero gdy dziewczyny zaprowadziły ich do pokoi, wyciągnęli policyjne odznaki.

Wszystkich zabrano na komisariat. To było duże przeżycie. Umieścili nas w osobnych pokojach i próbowali zastraszyć. Potem zjawił się policjant, który udawał „dobrego”. Obiecał, że nas wypuści, jeśli tylko będziemy współpracować, złożymy zeznania i zdradzimy nazwisko naszego pracodawcy. Na szczęście szefostwo zareagowało dość szybko, zapłacono komu trzeba i wypuścili nas bez żadnych dalszych konsekwencji. Przeżyłam wtedy taki stres, że przez jeden dzień wypaliłam cztery paczki papierosów i schudłam dwa kilo. Oczywiście przestałam tam pracować.

Przez następne pięć miesięcy biegałam od jednego spa do drugiego, ale nigdzie nie było tak dobrze jak w tym pierwszym.

Bardzo mnie to złościło, bo przywykłam już do szybkich pieniędzy. Teraz na klientów czekałyśmy w małym pokoiku, gdzie stał telewizor. Dziewczyny w tym czasie się malowały albo stroiły. O wizycie informowała nas recepcjonistka, która przyjmowała zgłoszenia i robiła rezerwacje. Gdy ktoś pukał do drzwi, musiałyśmy najpierw dokładnie przyjrzeć się przez okno, czy nie wygląda na kogoś z policji. Potem jeszcze sprawdzałyśmy dokumenty. Kiedyś przyszło dwóch Arabów. Wybrali mnie i drugą dziewczynę. Poszłyśmy z nimi do pokoju. Mój klient chciał za dwieście dolarów zrobić pełny masaż ciała - nie lubili dużo płacić, ale usługa musiała być jak najlepsza. Potem próbował pchać mi łapy za majtki. Zdjęłam jego rękę z uda, po czym walnęłam go w głowę, aż zemdlął i spadł ze stołu. Tłumaczył się później, że on tylko chciał mi zrobić dobrze. Ale mnie robiły dobrze tylko ich pieniądze. Ten gość był zresztą wyjątkowo odrażający. Nikt nie kwapił się płacić nic ekstra ani dawać napiwków, a myśmy musiały się zdrowo nabiegać przy stole masażowym. Codziennie każda z nas miała około ośmiu klientów i pod koniec dnia byłyśmy wykończone. Dziewczyny sporo paliły albo piły, żeby jakoś wytrzymać. Nic innego zresztą nie było do roboty, gdy czekało się na klienta. Najtrudniej znosiłam właśnie tę beczynność.

Pewnego wieczoru zostałam zgwałcona przez naszego stałego klienta. Był to Włoch po czterdziestce, potężnie zbudowany mężczyzna z dużym penisem. Zmuszał mnie do różnych rzeczy, a kiedy skończył, zostawił mi sporą sumkę na otarcie łez. To było straszne przeżycie, tym bardziej, że nie miałam komu się poskarżyć. Byłyśmy właściwie jak prostytutki, prowadziłyśmy nielegalną działalność. Jestem zresztą pewna, że za dodat-

kowe wynagrodzenie dziewczyny zgadzały się czasem na seks oralny lub klasyczny stosunek. Klienci miewali swoje dziwactwa: trafiali się sadyści, geje i tacy, którzy lubili być upokarzani przez kobiety. Po tej historii z Włochem zrozumiałam jedno: cokolwiek się dzieje w życiu, należy rozwiązywać problemy w sposób *uczciwy*, a. już na pewno nie wolno *narażać życia* dla pieniędzy. Pieniądze to tylko papier, a zdrowia się już nie odkupi. Rzuciłam więc tę pracę, co nie przyszło wcale łatwo, ponieważ byłam zatrudniona przez włoską mafię i zapowiedziano mi, że jeśli pójdę do innej agencji albo będę odbierać im klientów, to czekają mnie poważne kłopoty. Doskonale zdawałam sobie sprawę, że to nie są żarty. Wycofałam się zatem całkiem i nic złego mnie nie spotkało.

Zacząłam prowadzić normalne życie jak każdy człowiek. Często chodziłam do mojej ulubionej kawiarni Starbucks w Brighton Beach i tam pisałam pamiętnik. Pewnego dnia przysiadł się do mnie przystojny Amerykanin, który najpierw długo mi się przyglądał, a potem spytał, czemu moje oczy są smutne. Odpowiedziałam wymijająco, ale on nie dał się łatwo zbyć i zapewnił, że chętnie by coś zrobił, żebym tylko była szczęśliwa. Uśmiechnęłam się, a nieznajomy orzekł, że mam najpiękniejszy uśmiech na świecie. Spytał, co piszę, a ja się wtedy rozplakałam. Byłam zgnębiona, a jednocześnie niemal opętana ideą odnalezienia ojca, i życie wydawało mi się cholernie niesprawiedliwe. Było mi wstyd, wręcz nienawidziłam siebie za to, w co się z własnej winy wpakowałam.

Zaczęliśmy rozmawiać. Larry miał dwadzieścia pięć lat, zajmował się nieruchomościami. Przyjechał z Kalifornii w odwiedziny do przyjaciół. Ucieszył się, że jestem Rosjanką. Zwierzył

się, że zawsze chciał mieć dziewczynę z Rosji, że podoba mu się nasza emocjonalność i sposób patrzenia na świat. Pocieszał mnie, że życie jest jak zebra, w czarno-białe paski, więc skoro teraz jest pasek czarny, to następny będzie biały, radosny. Zaczęliśmy się spotykać. Przez dwa weekendy w miesiącu odwiedzał mnie w Nowym Jorku, a w pozostałe dwa ja jeździłam do niego do Kalifornii.

W tym samym roku urodziła mi się młodsza siostra. Rodzice dali jej na imię Melissa. Paul był bardzo szczęśliwy, mama z przejęciem opiekowała się córeczką. Mieli teraz co robić i nie zajmowali się specjalnie moim życiem, ale raz, gdy Larry przyjechał do mnie, zaprosili nas na kolację. Był to cudowny wieczór. Podczas kolacji Paul wywołał mnie na chwilę do drugiego pokoju i pochwalił Larry ego, że dobrze mu z oczu patrzy, na pewno zaopiekuje się mną i jest mądry. Potem mama wzięła mnie na spytki i zadała wprost pytanie, czy go kocham. W tym czasie moje życie było mocno skomplikowane, więc sama nie wiedziałam, co do niego czuję. Zbyt wiele się zmieniło przez ostatnie pół roku.

Na moje dwudzieste pierwsze urodziny pojechaliśmy z Larrym do Sankt Petersburga. Przeżył tam szok kulturowy. Ojca odnaleźliśmy przez jego matkę, która dała nam adres. Byłam za mała, wyjeżdżając stąd, żeby zapamiętać, jak wygląda tutejsza szara rzeczywistość. Ojciec mieszkał w dwupiętrowym budynku, starym i obdrapanym, gdzie w łazience nie było światła. Wyglądał okropnie i nie mogłam wprost uwierzyć, że to mój ojciec. Nie pamiętał nawet o moim istnieniu. Kiedy powtórzyłam relację mamy, rozplakał się i zaczął mnie przeproszać. Nie chciałam wcale jego przeprosin. Po prostu byłam

ciekawa, jaki on jest, i szybko zaspokoiliam tę ciekawość. Nie załuję tamtego wyjazdu. Przynajmniej wiem, że zupełnie nie jestem do niego podobna.

Gdy dowiedziałam się prawdy o adopcji, czułam wielki żal do Paula i koniecznie chciałam znaleźć mojego prawdziwego ojca, żeby zapytać, czemu nas zostawił. Teraz jestem dorosła i mądrzejsza. Mój biologiczny ojciec na zawsze pozostanie dla mnie zwykłym draniem. Jako nastolatka, a także później, często tak o nim myślałam, a życie to potwierdziło. Zrozumiałam, że moim prawdziwym ojcem zawsze będzie Paul, a nie ten kompletnie obcy człowiek z twarzą spuchniętą od pijaństwa. Nie mieliśmy o czym ze sobą rozmawiać, o nic już nie miałam ochoty go pytać. Ze zgrozą patrzyłam na degenerata, który kiedyś przecież był normalnym człowiekiem. Śmierdzący, w przeпоconym ubraniu, alkoholik o trzęsących się rękach i nieświeżym oddechu. W lodówce miał tylko jakieś stare jajka, trochę czarnego chleba i odrobinę mleka. Nie zaproponowałam, że pójdziemy coś zjeść. Przed naszym wyjściem powiedział do mnie: „Jak już jesteś moją córką, to może dasz biednemu ojcu parę rubli, żeby to uczcić”. Larry dał mu sto dolarów i wyszliśmy.

Larry poprosił moich rodziców, żeby pozwolili mi zamieszkać z nim w Kalifornii, gdzie mogłabym wstąpić na uniwersytet. Im odpowiadało takie rozwiązanie, a dla mnie była to okazja, żeby nie tylko jak najwięcej czasu spędzać z Larrym, ale i zdobyć wykształcenie. Zamieszkaliśmy w komfortowym apartamencie. Zaczęłam studiować dziennikarstwo, było nam **Z**e sobą dobrze i nigdy się nie kłóciliśmy. Po roku mieszkania razem Larry mi się oświadczył. Wtedy już nie wyobrażałam

sobie życia bez niego, tyle dla mnie zrobił. Byłam w pełni gotowa na to małżeństwo i na założenie rodziny. Bardzo chciałam przypieczętować nasz związek. Wszystkim się chwaliłam zaręczynami i z dumą pokazywałam pierścionek.

Ślub odbył się w lipcu. Rodzice byli bardzo szczęśliwi i bardzo nam pomogli. Ja też byłam szczęśliwa i jedyny cień stanowił niechlubny epizod z mojej przeszłości. Nigdy nie powiedziałam prawdy mężowi i nie zamierzałam tego robić. Nieudane spotkanie z ojcem było wielkim rozczarowaniem, nie tylko dlatego, że okazał się alkoholikiem i degeneratem. Uświadomiłam sobie wtedy, że po to, by go odszukać, zostałam prostytutką. Zupełnie nie był wart takiego poświęcenia. Nawet nie pamiętał o moim istnieniu. Pomyśleć tylko, ile przeszłam, żeby się z nim zobaczyć.

Kiedy miałam dwadzieścia dwa lata, zaszłam w ciążę. Dziewięć miesięcy później urodziłam bliźniaki niezwykle podobne do Larry ego. Mój mąż jest najlepszym ojcem na świecie, kochającym i czującym. Moja młodsza siostra Melissa zaczęła już chodzić i pierwsze wypowiedziane przez nią słowo to mama. Ale widać, że Paula też bardzo kocha. Oboje rodzice są szczęśliwi i świetnie się spisują w nowej roli. Ja jeszcze studiuje i kiedy muszę iść na zajęcia, dziećmi zajmuje się Larry.

Życie jest piękne. Martwi i niepokoi mnie jedynie to, że mąż nic nie wie o mojej przeszłości. Czasami śnią mi się dawne czasy i obleśni klienci. Trudno o tym zapomnieć, a jeszcze trudniejsze jest udawanie, że czegoś takiego w ogóle nie było. Wciąż zadaję sobie pytanie, dlaczego właściwie tak bardzo chciałam poznać biologicznego ojca. Przecież gdyby tylko przyszło mi do głowy, że może już nie żyje, czy gdzieś wyjechał, nie robiłabym

tych wszystkich obrzydliwości. A tak upadłam i ciężko zgrzeszyłam. Czuję się zbrukana i szczerze żałuję dawnych błędów. Staram się dawać z siebie jak najwięcej rodzinie. Nie zna się drogi swego przeznaczenia, dopóki się na nią nie wejdzie.

Kto nie ryzykuje, szampana nie pije

Chyba każdy choć raz w życiu wyrzekł słowa: „kocham cię”. Wiele kobiet zadaje sobie pytanie: „Czy rzeczywiście kocham tego człowieka?”. Ukochanej osobie przypisuje się różne zalety, w ten sposób starając się znaleźć uzasadnienie dla miłości, bo wtedy można wiele przebaczyć. Nie wiadomo, kto kocha mocniej, kobiety czy mężczyźni. Nie wiadomo, czym tak naprawdę jest to uczucie.

Nie wiem, czy na początku w ogóle da się odróżnić prawdziwą miłość od zauroczenia. Czasem wydaje się, że to miłość, a tak naprawdę jest to chwilowe oczarowanie, nieprowadzące do żadnych zobowiązań i niemające poważniejszych konsekwencji. Na przykład, gdy mężczyzna zapewnia, że kocha, ale ciągle nie ma czasu, żeby się spotkać. Albo też snuje fantazje na temat wspólnych wakacji we Włoszech, a nie daje się namówić na weekend we dwoje w domu. Albo obiecuje cuda, a kiedy przychodzi czas wywiązania się z obietnic, ciągle to odkłada. Podobno charakter drugiego człowieka poznaje się dopiero po trzech latach wspólnego życia. Tylko czy starczy cierpliwości, by czekać tak długo, gdy płonie się z namiętności?

Kiedy jest się zakochanym, trudno oddzielić prawdziwe uczucie od pięknych słówek i obietnic. Trwały związek to rzecz rzadka. Ciągłe wydaje się, że ta prawdziwa i jedyna miłość dopiero się w naszym życiu pojawi. Zbyt późno uświadamiamy sobie, że szansa spotkania drugiej połowy, naszej bratniej duszy, przychodzi tylko raz. Stracić ją to straszna rzecz. Każdy chciałby spotkać swego idealnego partnera.

Podobno kobieta czuje się najszcześliwsza, gdy jej ukochany jest blisko. Ale w przypadku wielu kobiet ten wymarzony mężczyzna musi mieć najnowszy model luksusowego samochodu, eleganckie garnitury i grubo wypchany portfel. W dzisiejszych czasach nad potrzebą prawdziwej miłości góruje chęć zapewnienia sobie wygodnego życia. A jednak przez to wszystko przebija czasem tęsknota za wielkim uczuciem.

Dla mądrej kobiety prawdziwym szczęściem nie jest wcale ślub z milionerem, wyjazd za granicę i wielka kariera. Najważniejsze to spotkać porządnego i mądrego człowieka, który będzie dobry dla niej i dla dzieci. Oczywiście każda marzy o olśniewającej sukni ślubnej, białej limuzynie i drogim pierścionku z wielkim brylantem. Ale czy to daje szczęście?

Urodziłam się w Moskwie. Moim rodzicom dobrze się powodziło. Mama była utalentowaną malarką, ojciec jubilerem. Oba te zawody nie były szczególnie cenione w dawnym Związku Radzieckim, za to w latach dziewięćdziesiątych nastąpiły czasy, kiedy rodzice mieli mnóstwo zamówień. Wtedy w Rosji pojawiły się tak zwane brygady, czyli grupy przestępcze robiące duże pieniądze. Ludzi z tego środowiska nazywano „nowymi Rosjanami”, co było dla nich powodem do dumy, podobnie jak w przypadku „nowych fortun” w Ameryce. Nowi

Rosjanie byli dobrze ubrani, jadali w eleganckich restauracjach i mieszkali w zamożnych dzielnicach. Krótko mówiąc, żyło im się nieźle.

Dzięki tym nowym bogaczom rodzice otworzyli niewielką pracownię, gdzie mama malowała na zamówienie portrety, a ojciec robił złote pierścionki z brylantami. Nowi Rosjanie bardzo dbali o swój wizerunek, prestiż i wygląd. Często też zmieniali żony, a wtedy zamawiali nowe portrety i nowe pierścionki, z reguły droższe niż poprzednie. Rodzice harowali więc od świtu do nocy. Ale nawet w czasach prosperity nie rozpieszczali mnie pod względem materialnym. Czasem klienci płacili zagranicznymi produktami spożywczymi, takimi jak wykwintne sery czy wędliny, i zdarzało nam się jadać wymyślne przysmaki -albo u nas w ogóle nieznane, albo bardzo drogie.

Chodziłam dużo lepiej ubrana niż moi rówieśnicy. Przed laty mama namalowała portret znanej krawcowej, która szła z zagranicznego magazynu „Burda Moden”, i obie z mamą nosiłyśmy kreacje od niej. Dość wcześnie zaczęłam sama zarabiać. Rodzice woleli nie polegać za bardzo na dobrej passie. Ojciec zawsze powtarzał: najpierw praca, później odpoczynek.

Od siódmego roku życia pomagałam im w pracowni. Mieszałam farby i napełniałam nimi słoiczki, ojcu pomagałam ważyć złoto i liczyć brylanty, dbałam o czystość i porządek. Rodzice przyzwyczajali mnie do pracy, a zarobione przeze mnie pieniądze wkładaliśmy do skarbonki, którą zgodnie z umową miałam otworzyć dopiero wtedy, gdy skończę dwadzieścia jeden lat.

W szkole byłam dobrą uczennicą. Pisałam piękne wiersze. W liceum pracowałam na część etatu w piśmie dla nastolatków

„Mołodioż”. Zamieszczałam w nim artykuły o imprezach sportowych, w których brali udział uczniowie moskiewskich szkół. Pod koniec szkoły postanowiłam studiować dziennikarstwo.

Wstąpiłam na Uniwersytet Moskiewski. Studia były bardzo ciekawe i marzyłam o tym, żeby zostać dziennikarką. Znani dziennikarze i ludzie z telewizji prowadzili zajęcia i dzielili się z nami swoim doświadczeniem zawodowym. Raz takie seminarium poprowadził znany producent Leonid, a ja się w nim zakochałam. Cały tydzień chodziłam na jego zajęcia, na których opowiadał o porażkach i sukcesach w telewizji. Chciałam wyróżnić się z tłumu studentów, sprawić, żeby mnie zapamiętał, toteż zasypywałam go pytaniami. Miałam wtedy dziewiętnaście lat.

Leonid faktycznie zwrócił na mnie uwagę. Pewnego dnia podszedł do mnie i spytał, czy chciałabym zobaczyć stację telewizyjną. Omal nie zemdlałam z wrażenia. Poszłam do kosmetyczki i do fryzjera, ufarbowałam włosy na czarno, uszyłam czarny kostium ze spodniami i dwie bluzki z prostym kołnierzykiem. Chciałam wyglądać jak najlepiej. Leonid był moją wielką szansą, której nie mogłam zaprzepaścić. Trzymał w ręku klucz do mojej kariery.

Postanowiłam go przekonać, że nie jestem tylko zwykłą ciekawską pannicą. Byłam zdolna, chciałam nauczyć się więcej niż to możliwe na uniwersytecie. Do studia przyszedłam akurat w dniu moich dwudziestych urodzin. Miałam proste włosy do ramion, rzęsy grubo pomalowane czarnym tuszem i uszminekowane na czerwono usta. Wyglądałam na więcej lat niż miałam w rzeczywistości i bardzo mi to odpowiadało. Leonid pracował nad swoim nowym projektem. Zamierzał zrobić reality

show o nastolatkach i relacjach między nimi. Poprosił, żebym wyszukała mu ciekawe historie oraz znalazła osoby, które zgodzą się wystąpić w programie. Tak dostałam pierwsze zlecenie dla telewizji, w dodatku w dniu swoich urodzin, o których wiedział tylko on, nikt więcej.

Dużo się od niego nauczyłam. Był niesamowicie przystojny, wyglądał bardzo poważnie. Na jego widok serce zaczynało mi bić szybciej. Ja miałam metr sześćdziesiąt osiem wzrostu, on - metr osiemdziesiąt pięć, czyli idealna para. Z uwagą słuchał moich pomysłów i opinii. Podpowiedział mi parę rzeczy dotyczących początku szkicu scenariusza i dał kilka godzin na jego przygotowanie. Solidnie przyłożyłam się do pracy, zrobiłam to najlepiej, jak umiałam, i pierwszy odcinek programu był gotowy. Leonid wezwał mnie do siebie i pochwalił, stwierdzając przy tym, że nie popełnił błędu, wybierając na współpracowniczkę osobę tak kreatywną, a jednocześnie tak piękną kobietę. Byłam bardzo z siebie dumna. Opłacało się pisać wieczorami scenariusze, zamiast spędzać noce w dyskotecce.

Naprawdę warto było się przyłożyć. Nikt mnie dotąd tak nie chwalił. Tego samego dnia zaprosił mnie na kawę do bufetu i zaproponował pracę. Przyznał się, że mnie szczerze polubił. Oboje doskonale wiedzieliśmy, że moja dalsza kariera w znacznej mierze zależy od tego, jak ułożą się stosunki między nami. Ja potrzebowałam go bardziej niż on mnie, z czego doskonale zdawałam sobie sprawę. Zaproponował, żebyśmy się spotkali po pracy i uczcili moje urodziny.

Tłumaczył się, że nie złożył mi życzeń przy wszystkich, bo nie chciał robić w pracy zamieszania i od pierwszego dnia stwarzać wrażenia, że między nami coś jest. To było dla mnie

oczywiste. Poszliśmy do restauracji i wypiliśmy butelkę szampana. Rozmawialiśmy, śmialiśmy się, Leonid wypytywał, co jest dla mnie w życiu ważne. Zakochałam się w tych jego lśniących oczach. Nigdy dotąd nie byłam zakochana. Podobałam się mężczyznom, ale sama nie zwracałam na nich uwagi. W porównaniu z nim, cała reszta to byli mali chłopcy. Tego wieczoru obsypał mnie komplementami. Stwierdził, że sam nie wie, jak to się stało, że mógł żyć tak długo - czterdzieści trzy lata -nie znając tak uroczej i pięknej kobiety.

Kiedy płacił rachunek, zadzwoniłam do rodziców i powiedziałam, że zanocuję u koleżanki. Nie chciałam jeszcze kończyć wieczoru. Leonid ofiarował mi bukiet róż, a wtedy gotowa byłam zrobić dla niego wszystko. Spytał, czy bardzo spieszę się do domu. Odparłam, że wcale nie. Jechaliśmy wolno ulicami Moskwy, trzymając się za ręce. Udaliśmy się do hotelu. Bałam się, nie wiedziałam, jak mu powiedzieć, że jeszcze jestem dziewicą. Wyszliśmy na balkon. Moskwa nocą jest przepiękna. Leonid pocałował mnie i rzekł cicho, że szukał mnie przez całe życie.

Sama nie wiem, jak znaleźliśmy się na szerokim mosiężnym łóżku. Wszystko stało się bardzo szybko i bolało. Spytał, czemu nie uprzedziłam, że jestem dziewicą. Nie odpowiedziałam. I tak niczego by to nie zmieniło. Byłam szczęśliwa, że to on został moim pierwszym kochankiem. Przystojny i sławny Leonid. Miałam przeczucie, że czeka nas jeszcze wiele niezapomnianych chwil. Zapadając w sen, słuchałam roztaczanych przez niego rozkosznych wizji przyszłości. Obudziłam się rano jako bardzo szczęśliwa kobieta, a on przyniósł mi śniadanie do łóżka. Wypiliśmy razem kawę i zjedliśmy świeżutkie

rogaliki. Przypomni mi, e w pracy nikt nie powinien wiedziec o naszym romansie. Zgadzaam si z nim, ja tez woaam uniknac plotek.

Pojechaam do pracy metrem, moj szef wzi taksowk. Nasz zwiazek trwa blisko rok. Przez ten czas robiam dyplom, pracujac jednoczenie w telewizji, i z kadym dniem coraz bardziej kochaam Leonida. On czasami bywa chodny albo nie mia dla mnie czasu. W weekendy bardzo za nim tęskniam i liczyam dni do nastepnego spotkania. Zawsze jedzilimy do tego samego hotelu i przewanie bralimy ten sam pokoj. Rano ronymi srodkami komunikacji jechalimy do pracy. Rodzice niczego nie podejrzewali, byli zbyt pochonieni prac. W ich oczach cay czas byam dobr, posuszn cork, ktora si uczy, pracuje i pomaga w domu.

Nadeszy moje dwudzieste pierwsze urodziny. Z wielk niecierpliwoci wyczekiwaam niespodzianki od Leonida. Nie miaam innych przyjacio, bo kolezanki byy o mnie zazdrosne, a koledzy wydawali si maymi chopcami w porownaniu z moim ukochanym. Tego dnia dostaam now ciekaw propozycj. Kierownictwo stacji postanowio wysac na kilka miesicy do Ameryki dwie osoby, eby przygotoway materia o rosyjskich emigrantach, ktorym najpierw dobrze powodzio si w Rosji, a potem odnieli sukces take w Ameryce. Leonid zarekomendowa mnie i Misz. Misza by operatorem i fotografem. Zoylimy podanie o subowe wizy.

Tego wieczoru Leonid urzadzi mi prawdziwe przyjecie urodzinowe. Na poczatek poszlimy na zakupy do eleganckich butiko, nastepnie pojechalimy na weekend do wynajetego domu na wsi. Po raz pierwszy od poczatku naszej znajomo-

ści spędziliśmy razem dwie noce z rzędu. Było mi jak w niebie. Leonid okazywał mi wiele czułości i zapewniał o swoim uczuciu. Ciągłe przy tym powtarzał, jak bardzo żałuje, że spotkał mnie tak późno. Myśląc, że chodzi mu o te dwanaście lat różnicy między nami, uśmiechałam się wyrozumiale, całowałam go w czoło i zapewniałam gorąco, że wszystko będzie dobrze. Bardzo chciałam mieć z nim dziecko. Każda kobieta chce mieć dziecko z pierwszym mężczyzną, którego pokocha.

Żałowałam, że muszę jechać do Ameryki. Nie wyobrażałam sobie, jak wytrzymam bez niego tyle czasu. Gotowa byłam nawet zrezygnować, ale przekonał mnie, że jest to dla mnie wielka szansa na szybką karierę i zarobienie pieniędzy. Cóż, miłość miłością, ale coś jeść trzeba. Rozumiałam to doskonale, bo tak wychowali mnie rodzice. Powtarzali zawsze, że trzeba polegać tylko na sobie i całe życie ciężko pracować. Od dzieciństwa zarabiałam i nie bałam się pracy. Kiedy raz Leonid chciał mi dać kilkaset dolarów na osobiste wydatki, odebrałam to niemal jak obelgę. Przywykłam do zarabiania na siebie i umiałam sama się utrzymać. O to pierwszy raz się pokłóciliśmy. Byłam młoda i pełna energii, nie chciałam być dla nikogo ciężarem ani tym bardziej kochanką-utrzymanką.

W drodze powrotnej Leonid był jakiś przygaszony i cały czas trzymał mnie za rękę. Mieliśmy dalej świętować moje urodziny. Najpierw poszliśmy do baru, gdzie wypiliśmy butelkę szampana i wtedy - ku mojemu zaskoczeniu - Leonid zaprosił mnie do siebie. Odebrałam to jako bardzo ważny gest, zapowiedź jeszcze większego zbliżenia między nami i umocnienia naszego związku. Wreszcie miałam się znaleźć w niedostępnym dotąd zamku, a więc w końcu zasłużyłam na jego zaufanie

i szacunek. Pojechaliśmy do jego ekskluzywnego apartamentu. Dosłownie płonęłam z ciekawości, jak wygląda.

Zaraz po wejściu do środka spostrzegłam portret pięknej kobiety namalowany przez moją matkę. A potem z przerażeniem odkryłam zdjęcie jego żony i dwóch synków. Zamurowało mnie. Leonidowi strasznie było wstyd i prosił mnie o wybaczenie. Twierdził, że nie wiedział, jak ma mi powiedzieć prawdę. Przyznał szczerze, że zachował się jak ostatni tchórz. Wiedziałam, że szczęście nie trwa wiecznie, ale nie spodziewałam się takiego ciosu. Uderzyłam go w twarz. Chciałam to zrobić jeszcze raz, lecz on złapał mnie za rękę i powiedział: „Nie!”. Wybiegłam z płaczem, wsiadłam do autobusu, potem do pociągu i wróciłam do domu. Była druga w nocy, płakałam aż do rana. Następnego dnia nie byłam w stanie iść ani na uczelnię, ani do pracy. Miłość często łączy się z cierpieniem. Tamtego dnia zostałam tak bardzo zraniona, czułam niemal fizyczny ból. Tak bardzo kochałam Leonida. Od początku uważałam, że jest mój, i byłam pewna, że on czuje to samo w stosunku do mnie.

Za tydzień miałam odebrać dyplom. Nic nie mogłam jeść, schudłam ponad siedem kilo, przestałam chodzić do pracy. Umierałam bez niego. Użalałam się nad sobą, ale przyznaję też, że współczułam jego żonie. Obie cierpiałymy przez niego. Na uroczystość wręczania dyplomu Leonid przyniósł mi bukiet kwiatów. Urwałam się z przyjęcia, które było potem. Poszliśmy nad rzekę, rozmawialiśmy, a on błagał mnie o wybaczenie. Nie chciał, żebym odchodziła z pracy, którą mi kiedyś załatwił. Czuł się winny, że wciągnął mnie w związek od początku skazany na niepowodzenie. Proponował pomoc i różne rozwiązania, aleja nie zniosłabym teraz przebywania blisko

niego. Nie potrafiłabym udawać, że jesteśmy tylko kolegami z pracy. Choć miałam ogromną ochotę go pocałować, nie zrobiłam tego. Postanowiłam, że odtąd będę żyć samotnie.

Miałam dwadzieścia dwa lata, kiedy przyznano mi amerykańską wizę. Oboje z Miszą zaczęliśmy przygotowania do podróży. Leonid był mocno przygnębiony i czułam, że za mną tęskni. Bez wzajemności. Nie żałowałam, że to właśnie on był moim pierwszym kochankiem — i to wszystko. Teraz przede wszystkim chciałam jechać do Ameryki, zmienić otoczenie. Rozstaliśmy się jak przyjaciele. Dostrzegłam autentyczny ból w jego oczach i to mnie poruszyło.

Przed wyjazdem wyjęłam zawartość skarbonki: sześćset dolarów. Dzięki temu nie musiałam prosić rodziców o dodatkowe wsparcie. Byli bardzo zadowoleni z moich projektów i cieszyli się, że mam przed sobą ciekawe perspektywy zawodowe. Nie pamiętam, bym kiedykolwiek zauważyła oznaki miłości i czułości między nimi. Kochali swoją pracę, pieniądze i mnie, a poza tym spali, jedli, pili, pracowali i liczyli zarobione pieniądze. Interesowali się polityką, wydarzeniami ze świata, podróżami. Każde żyło w swoim świecie i to było wygodne dla nich obojga. Prawdopodobnie dlatego zostali razem i się nie rozwiedli. Nigdy sobie wzajemnie nie przeszkadzali.

W samolocie sporządziliśmy z Miszą listę zakazanych potraw, ponieważ bardzo nie chcieliśmy przytyć. Znalazły się na niej hot-dogi, pizza i frytki. W czasie lotu rozmawialiśmy tylko po angielsku. Zachowywałam spokój, czułam się tak, jakby ta Ameryka, do której leciałam służbowo, była po prostu jakimś innym miastem w Rosji. Misza był znacznie bardziej podekscytowany. Ciągłe powtarzał, że Ameryka to kraj spełnionych

marzeń i wielkich możliwości. Na lotnisku czekali na nas pracownicy z amerykańsko-rosyjskiej stacji telewizyjnej. Mieszkanie mieliśmy wynajęte przy Manhattan Beach na Brooklynie, żeby być jak najbliżej ludzi, o których robiliśmy materiał. Z początku było nam trudno. W supermarkecie usiłowaliśmy przeliczać ceny na ruble i doznaliśmy takiego szoku, że w końcu nie kupiliśmy nic do jedzenia i poszliśmy spać głodni. Okazało się, że bochenek zwykłego białego chleba kosztuje tyle, co sześć bochenków w Rosji. Później zrozumieliśmy, że porównywanie cen nie ma sensu, bo w Ameryce są znacznie wyższe zarobki.

Pracowaliśmy, zarabialiśmy, wydawaliśmy pieniądze i staraliśmy się jak najlepiej wykorzystać pobyt. Polubiłam Nowy Jork, chwilami przypominał mi Moskwę. Były tu podobne sklepy, restauracje i drapacze chmur. Jak ma się pieniądze, można żyć w każdym mieście na świecie.

Mieszkaliśmy niedaleko miejsca, w którym spotykali się Rosjanie. Wielu z nich miało kiedyś w Rosji powiązania z mafią, a w Ameryce zajmowali się podobną działalnością. Jeździli drogimi autami, modnie się ubierali i jadali w najlepszych restauracjach. Na obczyźnie zachowali rosyjskie zwyczaje i styl życia. Było wśród nich kilku zwyczajnych bandziorów, którzy w Rosji dorobili się pieniędzy w nieuczciwy sposób, a potem wyjechali do Ameryki i tu mieszkali w równie wspaniałych rezydencjach, tyle że nad oceanem. Pławili się w luksusie jak przedtem w Rosji.

Któregoś dnia, wydawszy przedtem krocie na prezenty i na ciuchy, poszliśmy z Miszą na urodzinowe przyjęcie jednego z mafiosów do restauracji w Brighton Beach. Czekala nas tam prawdziwa uczta. Nasze żołądki, stęsknione rosyjskiej domowej kuchni, otrzymały wszystko, o czym tylko mogliśmy zamarzyć. Spróbowaliśmy też różnych nowości kulinarnych. Przyjęcie urządzono niebywale

wystawnie, stoły ugięły się od jedzenia. Zjadłam kaczkę nadziewaną pomarańczami, wędzonego węgorza i marynowane kalmary w śmietanie.

Nowi rosyjscy Amerykanie nie bardzo mi się podobali. Byli nieco sztywni, bez poczucia humoru. Jednak rozmowy z nimi należały do moich obowiązków służbowych, więc nie miałam wyboru. Wszyscy pachnieli drogą wodą toaletową, mieli wypielegnowane paznokcie i włosy. Ubrani byli w garnitury i koszule od Armaniego oraz Hugo Bossa i buty Gucciego. Ależ to było nudne. Przez cały wieczór prowadzili rozmowy o niczym. Musieliśmy z Miszą zaczekać, aż wódka rozwiąże języki - wtedy rzeczywiście przełamali opory i zaczęli opowiadać prawdziwe historie o swoim życiu w Rosji i Ameryce. Głównie porównywali życie tu i tam.

Przyjęcie zorganizowano na cześć mafijnego bossa, którego nazywano Pirat. Był to niski mężczyzna z wydatnym brzuchem i opaską na jednym oku. Nosił drogi markowy garnitur i koszulę w paski. Podobno walczył tylko na noże i broń białą. Kiedy goście byli już mocno pijani, nareszcie mogłam posłuchać bardziej szczerych wyznań na interesujące mnie tematy, ale po jakimś czasie zaczęłam przysypiać. Misza zbeształ mnie, wysyczał, że jestem kompletną idiotką. W zasięgu ręki jest tylu bogatych Rosjan i mam natychmiast otwierać oczy. Chyba że zgłupiałam do reszty i chcę zaprzepaścić szansę na lepsze życie. A mnie po bolesnych przeżyciach z Leonidem wszyscy mężczyźni wydawali się płytkcy i obłudni. Nie chciałam być niczyją niewolnicą, utrzymanką ani lekarstwem na stres. Byłam przy-

zwyczajona do samodzielnego zarabiania pieniędzy. Nie należałam do kobiet, które patrzą przede wszystkim na stan konta bankowego mężczyzny. Usiłowałam to wytłumaczyć Miszy.

Przy stole obok siedział mężczyzna, wyglądający na jakieś trzydzieści pięć lat, i przyglądał mi się z wyraźnym zainteresowaniem. Żenowało mnie to, wręcz oburzało. Pewnie uważał się za Bóg wie jakiego supermana i był przekonany, że nie posiadam się ze szczęścia, iż zwrócił na mnie uwagę. Kiedy Misza poszedł zrobić zdjęcia tańczącym, człowiek ów spytał grzecznie, czy może się przysiąść. No dobrze, pomyślałam, może powie coś ciekawego i wreszcie zdobęde jakieś naprawdę interesujące informacje.

Nazywał się Marat Gorky. Był właścicielem sieci gabinetów dentystycznych „Smile” na Brooklynie, Manhattanie i w Queens. Chciałam też się przedstawić, ale przerwał mi w pół słowa, mówiąc, że wie, kim jestem. Chwilę rozmawialiśmy, a on ni stąd, ni zowąd wyznał, że jest zachwycony moją inteligencją i podejściem do życia. Przyszło mi do głowy, że może zechce wystąpić w programie Leonida, i spytałam, czy nie miałby ochoty pojechać do Moskwy. Odparł, że ma dla mnie inną propozycję, a mianowicie, żebym została jego żoną. Wyraził przy tym grzecznie nadzieję, że nie poczułam się urażona tym, co powiedział. Patrzyłam na niego jak na wariata. Dużo wiedziałam o życiu, sporo czytałam, ale jeszcze nie słyszałam, żeby ktoś w takim tempie się oświadczał. Dość szorstko odmówiłam mu. Doszłam do wniosku, że albo to wariat, albo coś mu nie wyszło w poprzednim związku i próbuje robić jakieś rozpaczliwe posunięcia. Mężczyźni, jak wiadomo, miewają różne dziwne pomysły.

A jednak mnie zaintrygował. Nie dał się łatwo zbić z tropu, zaczął roztaczać przede mną wizję, jak to zamieszkam u niego w domu, który przypomina pałac z bajki. Przysięgał, że będę mogła uczyć się na wszelkie kursy i zajęcia, jakie mi się zamarzą. Mam tylko chodzić regularnie na siłownię, zawsze wyglądać elegancko, być idealną panią domu, stworzyć ciepłą atmosferę i czasem coś ugotować. Dodał, że znalezienie dziewczyny na jedną noc nie stanowiłoby dla niego większego problemu (co do tego nie miałam najmniejszych wątpliwości, był naprawdę elegancki i przystojny), ale jemu chodziło o małżeństwo.

Po przyjęciu wróciliśmy z Miszą do naszego mieszkania, po czym dokonaliśmy przeglądu zrobionych przez niego zdjęć i zebranych przeze mnie informacji. Było to jedno z naszych ostatnich zadań przed powrotem do Moskwy. W Ameryce bardzo mi się podobało, choć niewiele dowiedziałam się o samych Amerykanach. A przecież zawsze lubiłam poznawać nowe, nieznane rzeczy.

Zwierzylałam się Miszy z propozycji otrzymanej na przyjęciu. Spiorunował mnie wzrokiem i oznajmił, że jak zmarnuję taką szansę, to nigdy więcej się do mnie słowem nie odezwie. Przecież to idealna okazja, żebym się przekonała, jaka będzie ze mnie żona, bez konieczności bycia żoną tak naprawdę. Wahałam się jednak, czy byłabym w stanie mieszkać z Maratem pod jednym dachem. Najpierw musiałabym go choć trochę polubić.

Nagle przyszło mi do głowy, że właściwie to on mi się nawet podoba. Był w moim typie, wysoki blondyn, wykształcony i inteligentny. Nie miałam pojęcia, dlaczego nie chce założyć prawdziwej rodziny, tylko szuka takiej dziwacznej relacji. Różne

rzeczy przychodziły mi do głowy, aż doszłam do wniosku, że pewnie jest gejem i ze względu na interesy woli, żeby się to me wydało. Żona skutecznie odwróci uwagę otoczenia od homoseksualnych skłonności.

Nazajutrz Marat zadzwonił do mnie. Nie miałam pojęcia, skąd wziął mój numer telefonu. Spokojnie spytał, czy zgodzę się zostać jego żoną za siedem tysięcy dolarów miesięcznie. Zdenerwowana odparłam, że może bym się i zgodziła. Jednak wciąż miałam wątpliwości. Wprawdzie proponował mi blisko dwadzieścia razy tyle, ile zarabiałam w Moskwie, ale czy to nie będzie sprzedawanie się za pieniądze? Z drugiej strony zaś była to praca. Trochę jak praca aktorki.

Pocieszałam się, że jeśli coś pójdzie nie tak, to zawsze mogę zerwać kontrakt i wrócić do dawnego życia. Po ślubie z Maratem mogłabym postarać się o zieloną kartę, musiałabym tylko wytrzymać z nim dwa lata. A przez te dwa lata zarobię sto sześćdziesiąt osiem tysięcy dolarów. Koniec martwienia się o finanse przez najbliższych kilka lat. Wahałam się jeszcze, czy warto rezygnować z kariery w telewizji, i nagle powiedziałam sobie: „Do diabła z tym wszystkim”. I zgodziłam się.

Zadzwoniłam do rodziców i skłamałam, że dostałam propozycję pracy w telewizji BBC i w związku z tym na razie zostaję w Ameryce. Tę samą bajkę wcisnęłam znajomym i Leonidowi, który bardzo się ucieszył i był dumny z siebie, że postanowił mnie wtedy zatrudnić. Nawet Miszę okłamałam. Gratulował, ale widać było, że trochę mi tego BBC zazdrości. Wrócił do Moskwy sam.

Miałam wielki pokój z widokiem na ocean. Marat od rana do nocy był w pracy. W tak ogromnym domu mogliśmy zupeł-

nie sobie nie przeszkadzać. Były tu dwa piętra i osiem sypialni. Dzień najemnej żony zaczynał się o piątej rano, od wstania **Z** łóżka i przyrządzenia śniadania. Marat lubił świeżo wyciskany sok, świeżo parzoną kawę oraz kanapki z masłem i czerwonym kawiozem. Oczywiście miał służbę, ale jak to Rosjanin -nie ufał obcym. Nigdy by się też nie zgodził, żeby ktoś ze służby został w domu na noc. Po śniadaniu wychodził do pracy, a ja zajmowałam się domem i własną urodą.

Przekonałam się, że życie rosyjskich Amerykanów wcale nie jest takie różowe, jak się o tym pisze w gazetach. Musiałam wstawać wcześniej rano, cały czas wyglądać sztywno, kierować służbą, układać menu i listę zakupów, wydawać polecenia ogrodnikowi i zarządzać domowymi wydatkami. Najbardziej męczące zaś było chodzenie do salonów piękności, butików i na siłownię. Słyszę już te pełne oburzenia protesty, że każda kobieta marzyłaby o czymś takim. Może i tak, ale ja szczerze nienawidziłam chodzenia po domu na obcasach i w eleganckiej sukni. Nawet po wzięciu prysznic musiałam wkładać drogi jedwabny szlafrok i ranne pantofle na obcasiku. Pod wieczór czułam się strasznie zmęczona. Miałam ochotę wciągnąć stare dzinsy i sweter i położyć się przed telewizorem bez makijażu i eleganckiej fryzury. Marzyłam, żeby wziąć sobie miskę popcornu i obejrzeć film albo poczytać książkę. Nic z tego. Cały czas musiałam się dobrze prezentować. Kiedy narzekałam, Marat zaproponował mi, żebym zapisała się na kurs psychologii i masażu gorącymi kamieniami.

Wieczorem zgodnie **Z** jego życzeniem zasiadaliśmy na balkonie, gdzie piliśmy herbatę, patrzyliśmy na zachód słońca i rozmawialiśmy na najróżniejsze tematy. Był wymagający. Ciągłe

wynajdywał jakieś niedociągnięcia i wypominał, że to przecież moja praca i że mi za to płaci. Przez pierwsze pół roku codziennie chciałam zerwać kontrakt i uciec do Moskwy od tej jego ciągłej kontroli. A jednak co dzień rano posłusznie wstawałam i robiłam mu śniadanie.

Wkrótce moje wysiłki na siłowni i wizyty w salonach piękności zaczęły dawać rezultaty. Stałam się bardziej atrakcyjna, przeobraziłam się w prawdziwie elegancką damę. Zaczęliśmy chodzić do teatrów, restauracji, muzeów i na spotkania towarzyskie. Mężczyźni patrzyli na mnie z zachwytem, kobiety z zazdrością. Moje zdjęcia pojawiały się w gazetach, także tych docierających do Moskwy. Bałam się, że znajomi mnie rozpoznają i moje kłamstwa wyjdą na jaw. Wstydziałam się, a jednocześnie byłam dumna. Znalazłam się w gronie najbardziej stylowych żon rosyjskich imigrantów w Nowym Jorku.

Raz Marat zadzwonił po południu i uprzedził, że wróci późno, a może nawet wcale nie wróci. Powiedziałam: „Dobrze”, i odłożyłam słuchawkę. Nagle ogarnęła mnie panika i wybuchnęłam płaczem. Nie wiem, kiedy z kontraktowej pracownicy stałam się prawdziwą żoną, autentycznie zatroskaną o swoje małżeństwo. To był błąd, tego nasz kontrakt nie przewidywał. Układ czysto biznesowy zaczęłam traktować jak coś osobistego i od razu pojawiła się zazdrość. Bardzo bolesne było to, że mnie odrzucił — nawet jeśli nie żyliśmy ze sobą — i poszedł na noc do innej. Odebrałam to jako obelgę, choć nasza największa zażyłość nie wychodziła poza przyjacielski pocałunek w policzek. Spaliśmy przecież w oddzielnych sypialniach. Tej nocy Marat nie wrócił. Nie mogłam zasnąć aż do rana. Dopiero teraz zrozumiałam, że go kocham i pół roku temu zgodziłam się na

jego propozycję nie ze względu na wysokie zarobki, tylko dlatego, że mi się podobał. Gdyby na jego miejscu był jakiś gruby i stary facet, żadne pieniądze świata by nie pomogły.

Marat wrócił nazajutrz koło jedenastej. Przywitałam go jak zawsze, ale byłam smutna. Udał, że niczego nie zauważył. Od chwili, gdy zdałam sobie sprawę, że go kocham, praca stała się dla mnie prawdziwą torturą. Nie potrafiłam odejść, bo chciałam być blisko niego, choćby tylko jako zatrudniona przez niego pracownica. On był jak zwykle uprzejmy, ale daleki. Zaczęłam się starać. Przyrządzałam coraz smaczniejsze śniadania, piekłam jego ulubione owsiane ciasteczka. Nie mogłam doczekać się chwili, kiedy po jego powrocie z pracy usiądziemy razem i napijemy się miętowej herbaty. Naprawdę byłam ciekawa, jak minął mu dzień. Wiele robiłam, żeby jak najładniej wyglądać. Zapisalam się na kurs psychologii, na który mnie wcześniej wysyłał, licząc na to, że tam się dowiem, co zrobić, żeby zostać jedyną kobietą w życiu ukochanego mężczyzny. Marat zauważył moje wysiłki i... podwyższył mi pensję o pięćset dolarów miesięcznie, czym mnie tylko upokorzył. Raz podczas weekendu flirtował z kimś przez telefon. Żartował i śmiał się, co mnie bardzo rozzłościło. Wobec mnie nigdy nie przybierał tak wesołego tonu. Po raz kolejny pomyślałam wtedy, że on przecież nic do mnie nie czuje i łączy nas wyłącznie relacja pra-codawca-pracownica.

W końcu podjęłam męską decyzję i oświadczyłam, że zrywam kontrakt, bo nie potrafię tak dłużej żyć. Spoważniał i spytał, co jest przyczyną takiej decyzji. Rozpłakałam się tak bardzo, że nie mogłam wydusić słowa. Objął mnie mocno. Wtulona w jego ramię wyznałam, że kocham go i nie chcę już dłużej tak

cierpieć. Zaczął mnie gorączkowo całować, *szepcząc*, że od dawna czeka na tę chwilę, bo szaleje za mną. Myślał, że ja nic do niego nie czuję i dla mnie to tylko jest biznes. Czekał, aż wyznam mu miłość od chwili, gdy zawarliśmy naszą umowę. Dawno temu przygotował romantyczną scenerię dla naszych miłosnych uniesień, a ja głupia myślałam, że to jeden z licznych pokoi gościnnych. Potem kochaliśmy się całą noc, w przerwach opowiadając

o sobie i swoim dawnym życiu. Nie kryłam prawdy o Leonidzie, a on o kobietach, którym zależało głównie na jego majątku.

Następnego ranka to on wstał o piątej. Zrobił mi jajecznicę z pomidorami, zaparzył świeżą kawę i wycisnął sok. Na tacy położył małe pudełeczko, w którym znalazłam pierścionek z brylantem. Znów mi się oświadczył, tym razem naprawdę, a ja się zgodziłam. Nie mieściło mi się w głowie, że w ogóle mogłam kiedyś żyć bez niego.

Ślub wzięliśmy w moskiewskiej cerkwi Wasyla Błazennego. Obecni byli na nim moi rodzice, bardzo z tego powodu szczęśliwi. Marat zamówił u mamy nasz portret, który teraz wisi u nas w holu. Ojciec zrobił nam złote serca z brylantami i kazał je zawsze nosić. Ja mam z niebieskim ornamentem, Marat z różowym. Na wesele przyjechali znajomi i przyjaciele z Moskwy

i z Nowego Jorku. Zadzwoił do mnie Leonid i przysięgał, że zostawi żonę i dzieci, jeśli tylko zgodzę się, abyśmy zaczęli wszystko od początku. Zrobiło mi się nawet przyjemnie, ale on nie znaczył już dla mnie nic, pozostał mglistym wspomnieniem.

Niedawno wróciliśmy z Maratem do Nowego Jorku. Jedyne, o czym teraz marzymy i o co bardzo się staramy, to dziecko. Czy mogło mnie spotkać w życiu coś lepszego?

Tajemnice dwojga serc

Narodziny małej dziewczynki to początek nowej, niepowtarzalnej historii. Kobiety noszą w sercu wielkie, nieznane nikomu sekrety. Mężczyźni uważają nas za sentymentalne marzycielki, tęskniące do życia niczym w telenoweli, pełnego miłości, łez, smutku i rozstań. Jeśli tak jest w Ameryce, to w Rosji tym bardziej.

W życiu kobiety piękne marzenia przeplatają się z twardą rzeczywistością, a prawdę o sobie, ukrytą głęboko w sercu, zna tylko ona sama. Staramy się znaleźć jakiś punkt odniesienia, jakieś wytłumaczenie, dlaczego tak się dzieje, a nie inaczej. Po to chodzimy do wróżek. Bardzo często los matek znajduje swoje lustrzane odbicie w życiu córek, a potem wnuczek i kolejnych pokoleń.

Usiłujemy zrozumieć, po co żyjemy i jaki to życie ma sens. Staramy się dokonywać takich wyborów, żeby później nie żałować. Każda z nas po swojemu dąży do szczęścia. Mamy swoje najgłębsze tajemnice i skrywane głęboko uczucia.

Podobno wspomnienia pomagają przetrwać trudne chwile. W życiu kobiety najważniejsza jest miłość. Każda pragnie kochać i być kochana, ale pełnia szczęścia możliwa jest

tylko wtedy, kiedy oba te warunki zostaną spełnione za sprawą tego samego mężczyzny. Gdy jesteśmy zakochane, stajemy się piękne i promienne. Miłość w zamian za dobra materialne i wygodne życie bez trosk nie daje szczęścia. Bardzo często trzeba wtedy prowadzić podwójne życie, a to bywa trudne do zniesienia. Jedno życie, oficjalne, wybrane z własnej woli lub pod przymusem, pozostaje obce sercu, nienawistne i fałszywe. Drugie, to prawdziwe, toczy się w ukryciu i najwyżej można pisać o nim w pamiętniku, jak robiła to moja matka. Miała swój wielki sekret i przez całe życie żałowała dokonanego wyboru.

Mężczyzna nie pozna do końca zagadki kobiecego serca. Zresztą jemu wystarcza, że kobieta zgodziła się związać z nim swój los, rodzi jego dzieci i zajmuje się domem.

Mama nigdy mi nie opowiadała o swojej wielkiej miłości. Prawdziwe życie trzymała w sekrecie i przede mną, i przed ojcem. O wszystkim dowiedziałam się dopiero z prowadzonego przez nią pamiętnika, który znalazłam po jej śmierci. Schowany był w pudełku po butach, w kącie szafy.

Była niezwykle uzdolniona muzycznie. Ukończyła z wyróżnieniem konserwatorium. Odznaczała się dużym wdziękiem i dobrymi manierami, lecz w oczach mężczyzn największy atut stanowiła jej zgrabna figura. Była ładna, nieśmiała, miała słuch absolutny i zręczne palce. Za mąż wyszła po to, by mieć lepsze życie. Ojciec miał wtedy czterdzieści pięć lat, czyli był dwadzieścia lat od niej starszy. Poznali się w sprzyjającym momencie. On był generałem i przy jego pozycji brakowało mu jedynie reprezentacyjnej żony i potomka. Koniecznie chciał mieć dziecko, póki był w miarę młody. Poznali się zaraz po przyjeździe

ojca do Moskwy. Za wieloletnią ciężką pracę został nagrodzony czteropokojowym mieszkaniem w centrum stolicy i nową dobrą posadą.

Fizycznie ojciec niczym się nie wyróżniał. Był postawny, w kasztanowych włosach pojawiały się już pierwsze nitki siwizny. Pytania zadawał wprost i bez ogródek, odpowiedzi udzielał krótko i konkretnie. Mówił takim tonem, jakby wszyscy byli jego podkomendnymi, a on wydawał im rozkazy.

Rodzice poznali się w kolejce przed kinoteatrem „Rasswiet”. Ze strony mamy nie była to żadna wielka miłość. Generałowie może i umieją wygrywać bitwy, ale nie zawsze potrafią podbić kobiece serce. Po kinie poszli na spacer, a potem na kawę i lody do kawiarni. Nie było żadnych wyznań miłosnych, poezji ani romantycznej muzyki. Mój przyszły ojciec opowiadał o czołgach i życiu w wojsku. Mama kiwała głową, jak na pełną zrozumienia kobietę przystało, i przytakiwała mu, cokolwiek powiedział. Tak naprawdę nie miała zielonego pojęcia o sprawach, o których mówił, i ani trochę jej nie interesowały. Poruszyła mnie uwaga w jej pamiętniku, że czuła wtedy w sercu wielką pustkę i smutek. „Patrząc w moje oczy, orzekł, że są smutne. Nic nie odpowiedziałam. Miał rację. Wszystko we mnie w środku krzyczało. Dusza rwała się na kawałki. Chciałam uciec daleko, a potem paść na ziemię w takim miejscu, gdzie nikt by mnie nigdy nie znalazł”.

Po kinie ojciec odprowadził mamę do domu, a trzy dni później zapukał do drzwi i odtąd na stałe zagościł w jej życiu. Z pierwszą wizytą przyszedł w idealnie odprasowanym generalskim mundurze, bez zapowiedzi, i z miejsca oznajmił: „Aleftyno, myślałem o nas. Powinniśmy się pobrać. Nie jestem

już najmłodszy, a dla ciebie to odpowiednia pora. Zapewnie ci dostatek i życie bez trosk. A ty będziesz dobra żona i dasz mi syna". Do akcji natychmiast wkroczyła moja babcia - co było wtedy w Rosji zjawiskiem dość powszechnym - i wyraziła w imieniu córki zgodę. Ustalono datę ślubu, mama cały tydzień płakała w poduszkę, ale wyszła za męża, jak jej kazano.

Babka, z zawodu kardiochirurg, była bardzo apodyktyczna i przede wszystkim zależało jej na tym, żeby mama nie przyniosła wstydu rodzinie. Przedtem mama bardzo długo wojowała z babcią, bo nie chciała zostać lekarzem, jak sobie tego matka życzyła. Babcia przeżyła II wojnę światową i uważała, że zawód lekarza jest ważny zarówno w czasach wojny, jak i pokoju. Tymczasem mama mdlała na widok krwi i raczej trudno było ją sobie wyobrazić ze skalpelem w ręku. Pewnego dnia mama wyniosła ze szpitala babci strzykawkę i na bazarze wymieniła je na stare skrzypce. Pokazała w ten sposób charakter i upór. Potem godzinami wystawała pod otwartym oknem szkoły muzycznej, gdzie odbywały się lekcje skrzypiec. Jakimś sposobem zdała egzamin do konserwatorium. Babcia nie odzywała się do niej wtedy przez dwa tygodnie i przez ten czas nie dawała jej żadnych pieniędzy. Mama nie miała na autobus ani na obiad. Chodziła więc piechotą, co zajmowało jej trzy godziny, a po drodze zrywała cudze jabłka, żeby cokolwiek zjeść.

Nauczyciele uważali, że jest bardzo utalentowana i przepowiadali jej wielką karierę. W czasach, gdy studiowała, odbywał się Międzynarodowy Festiwal Muzyczny imienia Piotra Czajkowskiego, będący bardzo ważnym wydarzeniem kulturalnym. Mama miała wtedy zaledwie dwadzieścia lat, wielkie niebieskie oczy i piękny uśmiech.

Na festiwal przyjechał z Ameryki dwudziestoletni czarnoskóry Bruno. Całkiem niezłe mówił po rosyjsku i też był skrzypkiem. Mama i Bruno zakochali się w sobie od pierwszego wejrzenia. Festiwal trwał półtora tygodnia i w tym czasie spędzali razem każdą wolną chwilę. Tak napisała o nim w pamiętniku: „Jest inny niż wszyscy. Ma cudowne oczy, a jego źrenice lśnią jak gwiazdy. Uwielbiam jego białe zęby i szczerzy uśmiech. Smukłymi palcami z jednakową perfekcją potrafi poruszyć struny skrzypiec i moje serce. Chyba go kocham. Mama mnie zabije, jak się dowie”.

Razem słuchali płyt Jimmyego Smitha i Cannonballa Adderlyego, które Bruno przywiózł z Ameryki. Dzięki temu mama poznała jazz. W latach sześćdziesiątych skrzypce przeżywały swój renesans jako instrument jazzowy, ale u nas nikt o tym nie wiedział. Związek Radziecki zamknięty był na wszelkie nowości, a amerykańska muzyka rozrywkowa nie cieszyła się aprobatą władzy.

Pewnego razu mama i Bruno, trzymając się za ręce, spacerowali po parku i niespodziewanie natknęli się na babcię. Babka urządziła straszliwą awanturę i natychmiast zabrała mamę do domu, zagroziwszy przedtem, że jeśli Bruno nie zostawi jej córki w spokoju, to będzie mieć kłopoty, bo nie da się grać bez palców. Mama wiedziała, do czego babcia jest zdolna, i bała się

o Bruna. Murzyni nie byli w Moskwie lubiani, a babcia jako znany chirurg miała kontakty nie tylko w kołach rządowych, lecz także wśród rosyjskiej mafii. Za karę mama przesiedziała zamknięta w swoim pokoju aż do końca festiwalu. Całymi dniami płakała i nie chciała nic jeść.

Bruno wyjechał, ale zostawił w konserwatorium swój adres i mama napisała do niego. Korespondowali ze sobą. Pamiętał

o niej, zapewniał o swojej miłości i obiecywał, że przyjedzie na następny festiwal. Nie mogła się doczekać spotkania. Powiesiła duży kalendarz na ścianie i skreślała kolejne dni.

Minął rok, mama wypiękniała. Kończyła już studia i na koncert egzaminacyjny babcia kupiła jej białą suknię z naszytymi czarnymi perłami. Bruno przyjechał, ale na wszelki wypadek trzymał się od mamy z daleka. Mimo to mama była szczęśliwa. Tym razem postanowili być ostrożniejsi. Spotykali się potajemnie na ulicy Malinowskiej i tam spacerowali, kryjąc się w cieniu przed wzrokiem przechodniów. Pilnie strzegli swojego sekretu, uważając, żeby tym razem nie dać się przyłapać. B Byli bardzo zakochani.

Po egzaminach mamy Bruno wyjechał, obiecawszy przedtem, że sprowadzi ją do siebie, jak tylko sytuacja polityczna na to pozwoli. Mama była gotowa czekać, ile będzie trzeba. Przysięgli sobie, że cokolwiek się stanie, kiedyś będą razem. Trzy miesiące później mama zauważyła, że ma obrzmiałe piersi i większy brzuch, a do tego pojawiły się mdłości. Z początku nie przyszło jej do głowy, że może być w ciąży. Kochali się tylko raz, a potem przez trzy miesiące miała miesiączkę. Któregoś dnia zasłabła i babcia zawiozła ją do szpitala, a tam prawda wyszła na jaw. Lekarz stwierdził, że czasem zdarza się, iż okres występuje do piątego miesiąca ciąży. Wykorzystując znajomości w środowisku lekarskim, babcia załatwiła aborcję. Nieślubne dziecko, w dodatku czarnoskóre, byłoby straszliwą hańbą dla rodziny. Mama miała wtedy dwadzieścia jeden lat. Miłość dwojga ludzi z tak różnych światów nie miała racji bytu. Związek Radziecki nie była krajem tolerancyjnym, nieślubne dziecko stanowiło powód do wielkiego wstydu. W tym

czasie nie mówiło się głośno o takich *rzeczach*. Nawet myśleć o tym nie wypadało. Babka prędzej zabiłaby własną córkę, niż pozwoliła jej urodzić bękarta.

Po aborcji mama wpadła w głęboką depresję. Całymi dniami płakała i godzinami grała na skrzypcach „Kołysankę” Brahmsa. Dopiero po kilku latach ból zelżał, ale pamięć o Brunie cały czas trwała w jej sercu. Babcia zakazała jej korespondować z nim. Na pocztę zatrzymywano listy obojga i oddawano jej, a ona je zapewne paliła. Miała nad mamą pełną władzę i decydowała o jej losie.

Z wolna mama wróciła do normalnego życia i podjęła pracę w konserwatorium jako nauczycielka skrzypiec. Wciąż żywiła cichą nadzieję, że w końcu połączy się ze swym ukochanym. Nie otrzymała od niego więcej wiadomości, nie przyjechał też już na żaden festiwal. Mimo to marzyła, że pewnego dnia znów się zjawi i będą razem szczęśliwi. Głęboko wierzyła, że ten moment w końcu nadejdzie, tylko trzeba cierpliwie czekać. Mogę jedynie próbować się domyślać, co czuł Bruno, bo nie wiem, jaka była jego reakcja na to, że mama nie odpowiadała na listy. Czy domyślił się, że za wszystkim stoi babka? Trudno powiedzieć.

Lata mijały i nadszedł czas, żeby mama, jak każda normalna kobieta, pomyślała o przyszłości, rodzinie i dzieciach. Ale serce nie służy, trudno nakazać mu przestać kochać. Nikt się jej nie podobał, a wielu mężczyzn wręcz ją irytowało. Tego dnia, kiedy poznała ojca, poszła po pracy z koleżankami do kina. Zazdrościły jej potem, że wpadła w oko generałowi. Poślubienie wojskowego tak wysokiej rangi uważane było za wielki życiowy sukces, zapewniający szacunek społeczny

i dostatek do końca życia. Mamie aż tak to nie imponowało. Sto razy bardziej wolałaby spędzić życie z Brunem, choćby nawet w nędznej klitce, a zamiast wędlin i szynki jeść jajka na twardo i pić herbatę bez cukru.

Ślub rodziców był cichy, bez rozgłosu. Ojciec bardzo kochał mamę. Po zamążpójściu przestała pracować w konserwatorium i stała się wzorową żoną i panią domu. Kierowała domową służbą, dbała o męża oraz o siebie, by zawsze dobrze wyglądać i elegancko się prezentować. Ojciec nigdy nie żałował grosza na stroje dla mamy. Jej to jednak nie cieszyło. Pamiętam, jak nieraz mówił: „Alefityno, czemu ciągle jesteś smutna? Tak bardzo się staram, żebyś była szczęśliwa, a ty ciągle masz w oczach ten sam smutek co przed laty”. Teraz rozumiem. Mama nie kochała taty. Szanowała go oczywiście, ale jej serce przez całe życie pozostało wierne innemu.

Po jej śmierci znalazłam pamiętnik ukryty na dnie szafy i czytając go, przeżyłam szok. Nie mieściło mi się w głowie, że przez te wszystkie lata mama potrafiła tak dobrze skrywać swoje uczucia, a smutek przelewała jedynie na karty pamiętnika, nie dopuszczając nikogo do swoich sekretów. Tylko ona знаła prawdę, nikt więcej. Ale nigdy nie dała ojcu żadnego powodu do wstydu. Babcia umarła miesiąc po ślubie rodziców. Jestem ostatnią kobietą z naszego rodu.

* * *

Dobrze wspominam dzieciństwo. Miałam talent do tańca, więc chodziłam do szkoły baletowej. Potem przyjęto mnie do Państwowej Wyższej Szkoły Baletowej w Moskwie. Tata bardzo mnie kochał. Ten surowy generał był naprawdę dobrym

i troskliwym mężem i ojcem, starającym się zapewnić swojemu dziecku wszystko, co najlepsze. Na naszym stole pojawiały się najwykwintniejsze przysmaki: importowane wędliny, szwajcarskie sery, wędzone ryby i delikatne jogurty. Ubierałam się zawsze modnie, czego koleżanki bardzo mi zazdrościły. Nie zdarzyło się, bym dłużej niż jeden sezon nosiła jakąś sukienkę. Ojciec ciągle kupował mi nowe. Jego śliczna baletniczka Arina musiała opływać w dostatek. Aż dziw bierze, że nie stałam się zepsutym dzieckiem. Może dlatego, że tę gorącą miłość ojca równoważyły chłód i surowość mamy. Teraz, po latach, widzę wyraźnie, że ona zmieniła się w swoją własną matkę, jakby przejęła po niej pałeczkę. Zrobiła się wymagająca, mówiła zawsze nieznoszącym sprzeciwu tonem. Nigdy nie byliśmy sobie naprawdę bliskie. Trudno byłoby mi nazwać ją przyjaciółką, była raczej moją zwierzchniczką. O swoich problemach mogłam rozmawiać tylko z ojcem.

Na myśl o dzieciństwie powracają wspomnienia przyjęć z okazji moich urodzin, wyprawianych w naszym dużym, bogato urządzonej mieszkaniu. Zapraszałam koleżanki i kolegów oraz ulubionych nauczycieli, w sumie około czterdziestu osób. Mama sama przyrządzała wszystkie potrawy. Gotowała wtedy cały dzień i całą noc. Cieszyła się, że doceniam jej pracę, ja zaś uważałam, że nikt nie gotuje tak dobrze i smacznie jak ona.

Na tych urodzinach zawsze były do wyboru rozmaite mięsa, na przykład kaczka nadziewana jabłkami, kurczaki faszerowane śliwkami lub steki z topionym serem i pomidorami, a do tego około dziesięciu sałatek. Przepisy mama brała z zagranicznych książek kucharskich i dlatego było to zupełnie inne jedzenie niż w większości domów. Lubiła popisywać się swoim

talentem kulinarnym. Na deser piekła szarlotkę i trzy rodzaje ciasta i robiła lody z mrożonym ananasem.

Koledzy i koleżanki ze szkoły bardzo lubili do mnie przychodzić i czekali na te urodziny cały rok. Miałam dość dziwne kryteria doboru gości, bo nie zapraszałam tych, których lubiłam, ale tych, co dobrze tańczyli i ładnie wyglądali. Dlatego przyjęcia bardziej przypominały bal na zakończenie szkoły niż urodziny. Aby znaleźć się na liście gości i móc jeść pyszne dania mojej mamy, koledzy z klasy musieli mieć dobre stopnie z tańca.

Sama nie lubiłam chodzić na czyjeś urodziny, bo zawsze wracałam do domu głodna. Od wczesnego dzieciństwa byłam pod tym względem bardzo grymaśna i trudna. Koniecznie musiałam wiedzieć, jak jedzenie zostało przyrządzone, i czy na pewno ten, kto je przygotowywał, umył najpierw ręce, a potem nie kaszłał lub nie kichał nad talerzem. Mama jednak kazała mi chodzić na przyjęcia, bo lubiła wiedzieć, co się podaje i ile było sałatek i deserów. To utwierdzało ją w przekonaniu, że ona jest najlepsza.

Zycie w Moskiewskiej Szkole Baletowej składało się z długich godzin ćwiczeń i przygotowywania się do egzaminów i występów. Chciałam, żeby ktoś dostrzegł mój talent, marzyłam o propozycji z teatru „Bolszoi”. Na drugim roku wystąpiłam na Uniwersytecie Przyjaźni Między Narodami w „Jeziorze łabędzim”. Po przedstawieniu z paroma koleżankami zostałyśmy jeszcze na bankiecie. Zabawa była świetna, towarzystwo międzynarodowe, wszyscy młodzi, weseli i uwielbiający taniec. W trakcie wieczoru zwróciłam uwagę na chłopaka, który wykonywał break dance przed zachwyconą studencką publicznością.

Niewiele myśląc, dołączyłam do niego ze swoją baletową lekkością i wdziękiem. Razem tworzyliśmy zgrany duet, widownia aż piszczała z uciechy. A my, spoceni i zziębnięci, czuliśmy się bardzo dobrze.

Chłopak nazywał się Smith, miał dwadzieścia dwa lata i był na ostatnim roku studiów. Podobał mi się jego strój: biała bawełniana koszulka, dżinsy Levi's i białe adidas. Wyglądało to wprost genialnie przy ciemnym kolorze skóry. Serce biło mi mocno z wrażenia. Zdarza się, że od pierwszej chwili wie się, iż to właśnie ten człowiek jest nam pisany i nie chce się już nikogo innego.

Smith miał za rok wracać do Ameryki, gdzie żyła jego liczna rodzina i czekały na niego propozycje pracy lepszej niż w Rosji. Przez ten rok chodziliśmy ze sobą, ale nie miałam odwagi przedstawić go rodzicom.

Byliśmy bardzo zakochani. Spacerowaliśmy najpierw po jesiennej Moskwie, tańcząc wśród opadających liści, a potem po zasypanych śniegiem ulicach, rzucając się śnieżkami, i było nam bardzo ze sobą dobrze. Uczyłam go rosyjskich piosenek, on mnie amerykańskiego rapu. Czułam, że jest moją drugą połówką, częścią mojej duszy. Rodzicom powiedziałam, że spotykam się z chłopakiem, który ma na imię Sasza, ale jest bardzo nieśmiały i jeszcze za wcześnie, żeby go im przedstawiać.

Tamtego roku miałam okazję wystąpić w teatrze „Bolszoi”. Tańczyłam w „Dziadku do orzechów” i „Giselle”. Zdawać się mogło, że los się do mnie uśmiechnął. Byłam zakochana, miałam pracę, którą bardzo lubiłam, i bogatych rodziców.

Po roku Smith wyjechał. Czułam się przygnębiona i smutna, zupełnie jakbym w połowie umarła. Obiecał, że będzie przyjeżdżać

dwa razy do roku, dopóki nie skończę szkoły. Nawet nauczył się jednego zdania po rosyjsku i to zupełnie bez amerykańskiego akcentu. Umiał powiedzieć: „Dzień dobry. Czy mogę mówić z Ariną?” Rodzice nic o nim nie wiedzieli, bo telefony i tak zawsze odbierała służąca, która wołała mnie i wracała do swoich zajęć.

Wiedziałam, że rodzice nie zaakceptują Smitha, że zawsze będzie dla nich obcy. Jego zdjęcia i listy trzymałam schowane na dnie szuflady biurka, podobnie jak matka kryła swój pamiętnik. Po ślubie ani razu nie wzięła do ręki skrzypiec, za to zdarzało się, i to nawet jak mieliśmy gości, że zamykała się w kuchni na klucz i pisała pamiętnik, otwierając przed nim swoją duszę. Zapamiętałam z niego takie zdanie: „Jak wyglądałoby moje życie z Brunem? Wciąż nie mam od niego żadnej wiadomości. Nie szuka mnie. Pani generałowa w kosztownym sobolowym futrze łyka gorzkie łyzy. Przez całe życie próbowałam się oszukiwać. Ale serca nie da się oszukać”.

Rok po wyjeździe Smitha dostałam propozycję wystąpienia w przedstawieniu na Broadwayu. Nie był to wprawdzie mój ulubiony balet, ale dzięki temu miałam okazję znaleźć się blisko ukochanego. Nareszcie czułam się szczęśliwa. Smith czekał na mnie, a rodzice pozwolili mi jechać. Ojciec uważał, że to moja wielka szansa i początek dalszej kariery. Matka podchodziła do sprawy bardziej sceptycznie.

Nadszedł dzień wyjazdu. Na lotnisku Szeremietiewo tata przytulił mnie i wydał generalski rozkaz, że mam być dobrym żołnierzem i pamiętać o kraju ojczystym. Mama była nieco zdenerwowana. Ukradkiem dała mi niewielką paczkę i poprosiła, żebym ją wrzuciła do oceanu. Otworzyłam ją w samolocie i znalazłam w środku dwie porysowane płyty: Jimmyego

Smitha i Cannonballa Adderly'ego. Teraz rozumiem, o co jej chodziło. Na zawsze *zegnała*, się z marzeniami o spotkaniu z Brunem.

Smith odebrał mnie z lotniska i zabrał do siebie. Zamieszkaliśmy razem. Uczył mnie angielskiego, a ja szybko chwytalam nowe słowa. Trudno mi powiedzieć, dlaczego tak bardzo podobało mi się w Ameryce. Może dlatego, że byliśmy razem i zaczęliśmy nasze wymarzone wspólne życie.

Tańczyłam w przedstawieniu, Smith pracował jako terapeuta w Maimonidas Hospital na Brooklynie. Wieczorami chodziliśmy po Manhattanie albo siedzieliśmy w domu i oglądaliśmy wypożyczony film, jedząc popcorn. Rano bardzo trudno było nam wyjść z łóżka.

Dzwoniłam do rodziców i opowiadałam im o Ameryce, ale ani słowem nie zająknęłam się o moim ukochanym. Ojca interesowało wszystko, mama wypytywała głównie o moje zdrowie i dietę. Podpisałam roczny kontrakt, wiza była ważna jeszcze przez kilka miesięcy po jego wygaśnięciu, więc zamierzałam zostać w Stanach dłużej. Któregoś wieczoru podczas przedstawienia zwichnęłam kostkę, poszłam więc do lekarza, a wtedy okazało się, że jestem w ciąży. Smith nawet nie chciał słyszeć o aborcji. Uważał, że jak ludzie się kochają, to powinni też przyjąć owoc tej miłości. W tej sytuacji nie było mowy o powrocie do domu. Nie miałam pojęcia, jak powiedzieć o tym rodzicom. To, co napęniało mnie taką radością, dla nich było poważnym ciosem. Raczej wątpliwe, by się pogodzili z sytuacją. Postanowiłam najpierw pomówić z tatą, żeby jakoś przygotował mamę na ten grom z jasnego nieba. Wydawało mi się, że dla niego najważniejsze powinno być to, że jestem szczęśliwa.

Smith dał mi pierścionek zaręczynowy i chciał, żebyśmy jak najszybciej wzięli ślub. W Rosji nie ma takiego zwyczaju, daje się tylko obrączkę w dniu ślubu. Pobraliśmy się i uczciliśmy to skromnie, tylko we dwoje. Dziwnie się czułam, kiedy Smith wkładał mi obrączkę nie na palec prawej ręki, jak w Rosji, tylko na palec lewej ręki. U nas to wdowy noszą obrączkę na palcu lewej ręki.

Teściowie mnie nie zaakceptowali. Gdy pierwszy raz poszliśmy do nich na kolację, podali frytki i hamburgery z McDonalda, a ja nigdy nie jem takich rzeczy, poza tym byłoby to niezdrowe dla dziecka. Poczuli się tym urażeni i kazali synowi wybierać: rodzina albo ja. Wybrał mnie.

Dopiero będąc w trzecim miesiącu ciąży, zadzwoniłam do domu. Przyznałam się, że nieprędko wrócę, po czym zaprosiłam ojca, żeby z mamą przyjechali do Ameryki odwiedzić nas - mnie, Smitha i nasze dziecko. Rozpętało się piekło. Pierwszy raz w życiu ojciec tak strasznie na mnie krzyczał. Nie chciał w ogóle przyjąć do wiadomości, że jego wnuk będzie kolorowy. Rzucił słuchawkę. Zadzwoniłam raz jeszcze, ale było zajęte. Postanowiłam dać mu trochę czasu, żeby ochłonął, i zatelefonować za parę dni. Po kilku dniach zadzwoniła do mnie mama. Ojciec, który miał już siedemdziesiąt dwa lata, umarł na zawał zaraz po naszej rozmowie. Byłam w szoku. Nie mogłam pojechać do Moskwy, bo właśnie złożyłam podanie o stały pobyt. Poza tym nie chciałam urodzić dziecka w Rosji. Spowodowałoby to mnóstwo komplikacji grożących nam rozdzieleniem.

Mama potraktowała mnie bardzo nieprzyjemnie. Powiadomiła chłodno, że znalazła w szufladzie moje zdjęcie z Murzynem, a potem krzyczała w słuchawkę, że przynoszę wstyd zmarłemu ojcu. Spytałam, czy domyślała się czegoś wcześniej. Okazało się, że nie. Wyznałam szczerze prawdę, na co ona oświadczyła, że odtąd drzwi rodzinnego domu są dla mnie zamknięte. Nie jestem już jej córką, mam więcej nie

dzwonić i nie absorbować jej swoimi sprawami. To była nasza ostatnia rozmowa. Telefonowałam potem jeszcze, ale rozmawiałam tylko ze służącą.

Pięć miesięcy później urodziłam maleńką Anastazję, moją słodką czarną kruszynkę. Od początku postanowiliśmy uczyć ją i angielskiego, i rosyjskiego. Smith dużo pomagał przy dziecku. Widział, jak bardzo mi smutno z powodu śmierci ojca i gorzkich słów mamy. Chcąc, żebym się wysypiała w nocy, sam wstawał do córki, przewijał ją, podgrzewał butelki, karmił i usypiał maleństwo.

Po czterech latach sielanki okazało się, że ma romans z koleżanką z pracy. Wystąpiliśmy o rozwód. Był to dla mnie trudny okres, zostałam mocno zraniona. Kochałam go, a on wybrał inną kobietę. Nie ma na to rady, jak mężczyzna przestanie kochać. Wolałam się rozstać w zgodzie i wzajemnym szacunku, żeby w przyszłości Anastazja miała jak najlepszy kontakt z ojcem. Na początku żyliśmy z pieniędzy, które dawał nam Smith, później znalazłam pracę w przedszkolu i teraz prowadzę tam zajęcia z baletu. Pracuję i mam blisko Anastazję. Daję też prywatne lekcje tańca i w sumie zarabiam około tysiąca dolarów tygodniowo. Smith opłaca nam mieszkanie i daje siedemset dolarów miesięcznie na dziecko. Na nas dwie wystarcza.

Niedawno zadzwoniła z Moskwy nasza służąca i zawiadomiła mnie o śmierci mamy. Poleciałam tam z dzieckiem. Wiele osób przyglądało się nam z niechęcią, szepcząc coś między sobą. Po tych trzech dniach pobytu zrozumiałam, za co kocham Amerykę.

Do Rosji nie wrócę. Bardzo żałuję, że rodzice nie żyją i nawet nie widzieli wnuczki. Lektura pamiętnika mamy była dla mnie szokiem. Ze smutkiem myślałam o jej życiu. Nadal nie rozumiem, dlaczego tak gwałtownie zareagowała na moją decyzję. Dziwne, jak często rodzice zapominają, że dopiero co sami mieli podobne problemy, gdy czegoś im zabraniano, i jakie to było cierpienie. Pół biedy, jeśli chodzi o zabawkę. Ale gdy w grę wchodzi miłość, ból jest ogromny i towarzyszy mu świadomość, że być może nic takiego więcej się w życiu nie zdarzy. Mama też była kiedyś młoda, kochali się z Brunem i kryli się z tym przed surową babką. Też przeżywali ból i smutek, czując się niezrozumiani.

Szczególnie poruszyły mnie ostatnie zdania, jakie mama zapisała w pamiętniku: „Mam nadzieję, że kiedyś Arina przebaczy mi moją surowość. Nie chcę, żeby miała do mnie żal. To wyłącznie moja wina, że tak mi się życie ułożyło. Nie walczyłam o szczęście, nie walczyłam o miłość. Płynęłam tak, jak unosił mnie prąd, ten sam, z którym płynęła moja matka. A potem się w nią zamieniłam. Dwadzieścia pięć lat jej nienawidziłam, po czym stałam się taka sama. To przez nią mam w środku ten lodowaty chłód i cierpię w milczeniu. Arinę może spotkać to samo. Ufam jednak, że tak się nie zdarzy, i modlę się o to. Oby poszła w ślady ojca i lepiej umiała w życiu walczyć o swoje”.

Nie mogę przestać o tym myśleć. A gdyby tak mama urodziła Brunowi syna? Jak wtedy wyglądałoby jej życie? To jest właśnie ta droga niewybrana, której już nigdy człowiek nie pozna. Chcę odnaleźć Bruna i opowiedzieć mu o miłosnej pieśni, którą serce mamy śpiewało tylko dla niego. Ona się nie skończyła. Odkąd przeczytałam pamiętnik, stale dźwięczy mi w uszach.

Opowiesc Rozowej Pantery

Do Bostonu przyjechałam dwa lata temu z Moskwy. Chciałam dokończyć studia na tutejszym uniwersytecie i mieć dyplom amerykańskiej uczelni. Do głowy mi nie przyszło, że mogłabym mieszkać na stałe w Stanach. Pochodziłam z bardzo bogatej rodziny i nie miałam powodu emigrować. W kraju żyło mi się całkiem wygodnie i przyjemnie.

Wizę dostałam bez problemu, bo mieliśmy bardzo wysokie dochody. Ojciec mógł udokumentować zarobki rzędu trzynastu tysięcy dolarów miesięcznie. Rodzice zawsze byli hojni i nie żalowali pieniędzy, żeby zapewnić mi dobrą przyszłość. Chodziłam do najlepszych prywatnych szkół, uczyłam się języków obcych i muzyki, byłam wysportowana. Ojciec był bogatym biznesmenem, właścicielem komercyjnego kompleksu budynków. Mama zajmowała się domem i nie pracowała zawodowo. Jej głównym zajęciem było dbanie o siebie i pilnowanie, żebym się uczyła.

Ojciec dużo pracował i prawie codziennie wracał do domu późno, a czasem w ogóle nie przychodził. Obie z mamą domyślałyśmy się dlaczego, ale żadna z nas nigdy głośno nie porusza-

ła tego tematu. Mężczyźni w Rosji często „wyjeżdżają służbowo”, a tak naprawdę w tym czasie spotykają się z kochankami lub prostytutkami. Żony na ogół się z tym godzą, bo kto daje pieniądze, ten rządzi. Finansowo całkowicie zależałyśmy od niego. To on opłacał moje wyjazdy, szkołę, uczelnię i skrupulatnie wywiązywał się z tego zadania. Rodzice żyli zgodnie. Nie pamiętam, żeby się kłócili, ale widać było od razu, że miłości już dawno między nimi nie ma. Przypuszczam, że nie rozstali się tylko ze względu na mnie. W Rosji mówi się, że przyzwyczajenie jest silniejsze od miłości.

Studiowałam w Moskwie na wydziale neofilologii. Jeździłam dobrym samochodem, nosiłam drogie markowe ciuchy. Na trzecim roku studiów dostałam propozycję wyjazdu na uczelnię amerykańską, gdzie mogłabym zrobić dyplom w ciągu dwóch lat. Ojciec uważał, że zapewni mi to lepszą przyszłość, więc pojechałam do Ameryki. Leciłam w klasie biznesowej liniami British Airways przez Londyn.

W pierwszym roku pobytu uczyłam się dobrze i wszystko mi się podobało, zarówno nowy kraj, jak i nowe życie. Wiedzę chłonełam jak gąbka. Pod koniec pierwszego roku, jak zwykle w niedzielę rano, zadzwoniłam do domu i wtedy dowiedziałam się o tragedii, która nas spotkała. Konkurenci ojca podpalili należące do niego budynki. Musiał sprzedać to, co mu jeszcze zostało, żeby nie popaść w większe długi. Stało się jasne, że rodzice nie mogą więcej łożyć na moją naukę i utrzymanie. Ta wiadomość była dla mnie szokiem, zwłaszcza że do tego czasu zdążyłam zadomowić się w Ameryce.

Mam teraz dwadzieścia dwa lata, a już czuję się jak stara, doświadczona przez życie kobieta. Na początku pracowałam

całe lato, żeby zbierać pieniądze na dalszą naukę. Nie chciałam przerywać studiów, bo bałam się, że wtedy ich w ogóle nie skończę. Żal byłoby pieniędzy, które rodzice we mnie zainwestowali. Oszukałam ich, że dostałam stypendium. Nie chciałam przysparzać im więcej problemów, bo i tak mieli czym się martwić. Zatrudniłam się jako pomy waczka i sprzątaczką w nocnym klubie. Wkrótce poznałam pracujące w klubie striptizerki i zaprzyjaźniłam się z jedną, która tańczyła już od dwóch lat. Żeby było taniej, zamieszkałyśmy razem. Pewnego dnia spytała, czy nie chciałabym spróbować, jak to jest na scenie. Siedziałyśmy tylko we dwie w domu, więc dla zabawy przymierzyłam jej sukienkę i buty na wysokim obcasie. Trzeba przyznać, że prezentowałam się całkiem nieźle. Przemyślawszy zatem sprawę, doszłam do wniosku, że może to dobry sposób, żeby więcej zarobić.

W Bostonie niełatwo zdobyć taką pracę, bo klubów jest niewiele, a chętnych dużo. Nie ma też stałej pensji. Właściciel klubu nie płaci tancerkom, a wręcz przeciwnie, to one muszą płacić sto dolarów za każdy wieczór, kiedy mają występ. Niektóre kluby ściągają jeszcze większy haracz. Nie ma dni wolnych, a jeśli striptizerka nie przyjdzie do pracy, to niezależnie od przyczyny nieobecności i tak musi swoje zapłacić. Są takie wieczory, kiedy nic się nie zarabia, a więc się traci, bo i tak trzeba zapłacić właścicielowi klubu.

W końcu jednak udało mi się znaleźć zatrudnienie. Przydzielono mnie do baru, gdzie w weekendy gromadziło się - lekko licząc - trzystu mężczyzn, a w tygodniu około stu pięćdziesięciu. Większość klubów zatrudnia kilkanaście dziewcząt i każda ma co godzinę pięciominutowy występ. Jedna tańczy

na scenie, pozostałe przebywają na sali albo w barze i tam, za dwadzieścia, trzydzieści dolarów, dotrzymują mężczyznom towarzystwa. W niemal wszystkich klubach są specjalne pokoje, gdzie za sto pięćdziesiąt dolarów można zamówić indywidualny piętnastominutowy seans lap dance. Połowę tej sumy dziewczyna oddaje klubowi.

Lubiłam wieczory kawalerskie. Jest to świetna zabawa, absolutnie bezpieczna, a co ważniejsze - bierze w niej udział najwyżej od dziesięciu do dwudziestu mężczyzn. Występowałam wtedy zawsze w peruce, która tak zmieniała mój wygląd, że nikt by mnie potem nie poznał na ulicy. Jeszcze lepiej jest na wieczorach panieńskich. Kobiety płacą za rzeczy, które nie mają nic wspólnego z seksem. Siedzi się z nimi, pije, pali papierosy i gada. Czasami proszą, żeby im pokazać, jak się ładnie rozebrać i seksownie kręcić biodrami. Po prostu dobrze się bawią. Jak tylko zaczynamy zdejmować sukienki, wszystkie gwizdzą i pohukują. Niektóre nawet z nami tańczą i rozbierają się przy akompaniamencie braw i śmiechu.

Kobiety nigdy nie traktują nas pogardliwie i nie upokarzają, jak to się często dzieje w przypadku mężczyzn, którzy za wszelką cenę usiłują popisać się przed kolegami. Dla nas i tak liczą się tylko ich pieniądze i doskonale wiemy, że większość z nich to żalosne pętaki, co przychodzą do klubu po to, żeby poprawić sobie samopoczucie. Normalna dziewczyna nawet by na takiego nie spojrzała. Płacąc za występ czy towarzystwo, od razu czują się strasznie ważni. Gdy skończą się pieniądze, na powrót stają się nieudacznikami.

Czasem pchają łapy, gdzie nie trzeba. Kiedy mówimy: „Nie”, dziwią się i obrażają - nieszczęśni frajerzy, wydaje im się,

że dla nas to taka straszna frajda. Akurat! Też mi przyjemność! Przecież widzę go pierwszy raz na oczy, a zaczepiam w przerwie między występami nie dlatego, że jest przystojny jak Johnny Depp, tylko żeby wyciągnąć od niego forszę, którą ma w kieszeni. Nie szukam miłości ani faceta. Poza tym jest dziesiątym czy nawet dwudziestym klientem, do którego podchodzę tego wieczoru. Jemu to sprawia przyjemność, natomiast mnie przyjemność sprawiają jedynie jego pieniądze.

Mężczyźni potrafią niesamowicie się napalić. Dopiero co jeden z drugim był grzeczny i spokojny w pracy albo w domu, a przy mnie bies w niego wstępuje. Naiwne głupki! Jak zwierzęta! U dziewczyny widzą tylko piersi i tyłek, nic więcej się nie liczy. Mam gdzieś te ich zaloty. Gdzie tu romantyczność? Gdzie intymność?

Opowiadam im wtedy takie bajdy, jakie mi tylko przyjdą do głowy. Łykają jak indyk kluski i szastają pieniędzmi, żeby mi zaimponować. Wciskają na siłę swój numer telefonu, a potem wiernie przyłożą co wieczór, kiedy ich żony i dziewczyny śpią smacznie w błogiej niewiedzy. Sto razy lepiej by dla nich było, gdyby zostali z nimi, niż tu w klubie dawali się skubać takim jak ja. Właśnie dlatego sama nie mam chłopaka. Jak tylko poznam jakiegoś faceta poza klubem, zaraz przypominam sobie swoich klientów, a wtedy wydaje mi się, że jest taki sam, i tracę do niego cały szacunek.

Widzę wyraźnie, że się zrobiłam niecierpliwa i zła, ale trudno być aniołem, gdy się pracuje w nocy, a w dzień uczy, i to bez jednego dnia odpoczynku. Do tego dochodzi lęk o przyszłość. Niektóre tancerki zaczynają pracować jako tanie uliczne dziwki, co jest dla mnie głupotą. Albo uzależniają się od narkoty-

ków. Z początku biorą, żeby być w lepszej formie i nie zasypiać, a potem bez prochów nie mogą pracować. Ale niezależnie od tego, co się o nas mówi, zdarzają się też dziewczyny z charakterem, które nie ulegają złym nawykom, pracujące ciężko, żeby zarobić na studia.

Dla większości najważniejsze są pieniądze, a dla dużych pieniędzy część z nas zrobi wszystko. Człowiek szybko przyzwyczaja się do dobrobytu i trzeba wiele życiowej mądrości, żeby sensownie gospodarować funduszami i coś odłożyć. Wiele dziewczyn świetnie zarabia, ale nie mają złamanego dolara na koncie, bo natychmiast wszystko wydają. Robią zakupy w eleganckich sklepach i chodzą do drogich restauracji, jakby nie było jutra. Ja przynajmniej mam wyznaczony cel: opłacić studia, oszczędzić trochę i posłać coś do domu.

Po przyjściu do pracy robię ostry makijaż, nakładam perukę i zmieniam się w kogoś zupełnie innego. Mam nawet pseudonim sceniczny: Różowa Pantera. Ale to nie jestem prawdziwa ja. Staram się jak najmniej myśleć o wykonywanej pracy, po prostu zmieniam się w Różową Panterę, istotę zupełnie inną, niemającą serca ani duszy. Ona nie jest czarna ani biała, dobra ani zła, nieśmiała ani bezczelna. Różowa Pantera nie ma osobowości ani osobistych relacji. I zero uczuć, tylko surowe zasady, których nigdy nie łamie. Niektóre dziewczyny za kilka dolarów pozwalają się całować czy dotykać. Ja nie wchodzę w żadne bliższe kontakty z klientami, nie są to mężczyźni dla mnie ani potencjalni partnerzy. Liczą się tylko ich pieniądze. Koniec, kropka.

Przed każdym seansem lap dance wyobrażam sobie klienta jako Franklina ze studolarówki i potem nie pamiętam nawet

jego prawdziwej twarzy. W klubie każdy mężczyzna jest dla mnie nieznanym widzianym po raz pierwszy, a umawianie się po pracy w ogóle nie wchodzi w grę. Wtedy myślę tylko

o jednym: wezwać taksówkę, wrócić do domu, wziąć prysznic i kłaść się spać.

W taksówce z powrotem staję się sobą. Najważniejsze to się nie poddawać. Jak kat ukryty pod kapturem, ja też nikomu nie pokazuję prawdziwej twarzy. W pracy mam wyglądać wulgarnie, seksownie i nie ujawniać, że mam intelekt. Do moich zadań należy z wdziękiem się rozebrać i oskubać faceta.

Nie trzeba żadnej szkoły, żeby nauczyć się tańczyć. Uczymy się same, podpatrując siebie nawzajem albo oglądając striptizerki na wideo. Grunt, żeby być zawsze w dobrej formie i pilnować figury. Z nadwagą mniej się zarobi, bo mężczyźni wolą szczupłe. Nie wiem dlaczego, ale tak jest.

Znałam raz jedną nieco pulchniejszą dziewczynę, która chciała tańczyć w klubie, a efekt był taki, że dwa tygodnie siedziała samotnie w barze i się upijała. Niewiele zarobiła i wróciła do poprzedniej pracy - była sprzedawczynią w piekarni.

Nie boję się wychodzić na miasto. Poza klubem przestaję być Różową Panterą, a na moją korzyść działa pewien aspekt psychologiczny. Jeśli nawet ktoś mnie rozpozna, mało prawdopodobne, by skojarzył, gdzie mnie przedtem widział. A nawet jeśli skojarzy, to raczej nic nie powie, bo będzie się bał, że mu się coś pomyliło. Pomyśli sobie: „A jeśli to nie ona i się obrazi?” Patrząc zatem śmiało mężczyznom w oczy i zalotnie się uśmiecham.

Oprócz współlokatorki nie mam bliskich przyjaciół, zbyt silna w tym środowisku jest rywalizacja i zbyt ostra walka o przetrwanie. Rodzice nie wiedzą o moim prawdziwym życiu.

Myślą, że pracuje w collegeu. Boję się, że byłby to dla nich taki sam wstrząs, jakbym została na przykład złodziejką. I w pewnym sensie mieliby rację. W końcu nie tak mnie wychowali, żebym paradowała z gołymi cyckami przed jakimiś palantami.

Prawda, że praca jest ciężka, wstydliva i czasami nienawidzę samej siebie. Ale najgorzej bywa, kiedy nic się nie zarobi, bo wtedy całe to poniżenie i upodlenie idą na marne. Taniec erotyczny jest w pewnym sensie jak prostytutka, widać to zresztą po tym, jak się tancerki traktuje. Lepiej więc za dużo nie myśleć, bo jeszcze człowiek zwariuje i zapędzi się w ślepią uliczkę.

Najważniejsze to mieć świadomość, że w prawdziwym życiu nie jest się Różową Panterą, i po pracy umieć oddzielić prawdziwe życie od klubowego wcielenia. Zaciskam zęby i powtarzam sobie, że nie jestem tu na wieki i że w końcu zarobię tyle, by móc z tym skończyć.

Czasami przychodzą takie chwile, że nienawidzę moich klientów i siebie tak bardzo, iż żadne pieniądze nie są w stanie mi tego zrekompensować. Mówię sobie wtedy: „Stop”. Biorę butelkę szampana, paczkę marlboro, siadam przy oknie i snuję plany na przyszłość. Zostało mi jeszcze trochę czasu do zrobienia dyplomu, więc na razie muszę tak zarabiać.

Potem pozwidzam Stany, a następnie wrócę do domu, do mamy, bo ojciec ją zostawił. Z moim doświadczeniem życiowym i dyplomem amerykańskiej uczelni łatwo znajdę pracę, a mama będzie szczęśliwa. Nie będę musiała się wstydzić, ponieważ w Moskwie nikt nie wie, co robiłam w Ameryce. Najważniejsze, że przyjadę z mnóstwem zielonych banknotów, za które mogę kupić wszystko i każdego. Już mam zarezerwowany bilet powrotny na samolot. Niczego nie żałuję.

Postscriptum

Po powrocie do Rosji pierwszy tydzień spędziłam z mamą, ojca widziałam zaledwie dwa razy. Po dwóch tygodniach okazało się, że właściwie nie mam już przyjaciół. Wszyscy dawni znajomi zmienili się, podobnie jak ja, i nasze kontakty znacznie się rozluźniły. Znalazłam za to pracę tłumaczki w organizacji rządowej.

Nienawidzę mężczyzn i jednocześnie ich kocham. Nienawidzę ich, ponieważ są żałosnymi kłamcami, a cały rozum wisi im między nogami. Kocham ich, gdyż dają pieniądze, które potrzebne są do życia. Tęsknię za Ameryką. Dziękuję Bogu za Wuję Sama. Jest to jedyny starszy, bogaty facet, z którym nie trzeba iść do łóżka, żeby coś w zamian dostać. Myślę o powrocie do Stanów, ale razem z mamą. Tam poszukam dla niej męża. Nie wiem, co przyniesie jutro, lecz wierzę, że dam sobie radę.

Gry matrymonialne

Zawsze byłam zdania, że urodziłam się w miejscu absolutnie nieodpowiednim dla osoby, która odziedziczyła po rodzicach dobre geny. Już w wieku pięciu lat pragnęłam uciec od życia, jakie mi się przytrafiło. Od twardej sowieckiej rzeczywistości. Na szczęście nie cierpiałam biedy.

Urodziłam się w Tadżykistanie, w dawnej republice dawnego Związku Radzieckiego. Mama była przedszkolanką, ojciec - w zasadzie kryminalistą, przy czym pochodził ze znanej gruzińskiej rodziny, związanej z rosyjską arystokracją, i miał wyższe wykształcenie. Gubiła go pazerność na pieniądze oraz upodobanie do pięknych rzeczy i wygodnego życia, co w sowieckim systemie było trudne do osiągnięcia w sposób legalny.

Rodzice się rozwiedli, kiedy byłam jeszcze mała. Do moich najwcześniejszych wspomnień należą ich nieustanne kłótnie i krzyki. Po rozwodzie mama zabrała mnie i wyjechałyśmy do małego miasteczka na południu Rosji. Tam zamieszkałyśmy u babci, w jej niedużym mieszkaniu, w brzydkim domu, w dzielnicy pełnej brzydkich domów. Zewsząd otaczały nas bloki, pudełka bez żadnego architektonicznego stylu, było też

kilka starych willi podzielonych na mieszkania. Sąsiedzi, przeważnie prości robotnicy, całe życie harowali niewolniczo w fabrykach. Jadałyśmy ziemniaki, barszcz i czasem od święta kawior. Tak, kawior.

Zimy na południu Rosji są długie i mroźne, z temperaturami znacznie poniżej zera, a lata upalne i gorące. W telewizji nieustannie chwalono wszelkie poczynania władzy radzieckiej. W naszym mieście działało kino, ale nie przypominam sobie, żeby wyświetlano w nim jakiś amerykański film. W programie były przeważnie straszliwie długie filmy hinduskie.

Brat mamy zajmował wysokie stanowisko państwowe i dzięki temu jeździł po świecie. Stać go było na wiele, w domu miał piękne przedmioty: irańskie dywany, cenne meble i kosztowne ubrania, na jakie zwykli ludzie radzieccy nigdy nie mogliby sobie pozwolić. Zazdrościłam moim kuzynom, ja nigdy czegoś takiego nie miałam.

Gruzińskie nazwisko może bardzo utrudnić życie w rosyjskim mieście. Po rosyjsku mówiłam dobrze. Do szkoły chodziłam od lat z tymi samymi dziećmi, ale w pewnym momencie zaczęły podchwytывать rasistowskie komentarze swoich rodziców i dokuczać mi. Jestem pół-Zydówką, pół-Gruzinką, i to widać. A więc byłam tą obcą i w klasie ciągle mi z tego powodu uprzykrzano życie. Cierpiałam, że jestem inna. Teraz mam sto siedemdziesiąt dwa centymetry wzrostu i ważę sześćdziesiąt kilo, ale jako dziecko byłam brzydkim kaczątkiem - wysoka, chuda i niezgrabna w ruchach. Źle się czułam wśród rówieśników, nie lubiłam swojego otoczenia.

Sporo grałam na pianinie i robiłam to bardzo dobrze. Bez przerwy czytałam, najchętniej literaturę rosyjską, co stanowiło

rodzaj ucieczki od rzeczywistości. Moim ulubionym pisarzem był Czechow - w wieku trzynastu lat zdążyłam przeczytać wszystko, co napisał. Lubiłam fantazjować, że jestem dziewiętnastowieczną arystokratką. W rzeczywistości byłam nieśmiała, niezręczna i stanowiłam idealny obiekt żartów i dokuczliwych kawałów kolegów z klasy. Marzyłam o tym, by nosić piękne stroje, jedwabie, satyny i futra, ale nigdy nie miałam takich rzeczy. Wyobrażałam sobie, że wyglądam jak księżniczka. Mama mogła sobie pozwolić na to, żebym miała porządne ubrania, ale nigdy nie chciała kupować tego, co podobało się mnie. Nie przywiązywała wagi do moich pragnień. Była typową żydowską matką - nadopiekuńczą, dla której najważniejszą kwestią pozostawało, co i ile jem. Traktowała mnie trochę jak domowe zwierzątko, o które trzeba dbać. Troszczyła się o mnie, jak umiała najlepiej, ale czasami doprowadzała mnie do szału.

Żyjąc cały czas w świecie własnych fantazji nawiązujących do dawnych powieści rosyjskich, byłam bardzo naiwna i niewinna. Długo czułam się jak brzydkie kaczątko marzące o tym, by wreszcie zamienić się w łabędzia. Jeśli nie wypięknieję, to jak spotkam księcia z bajki? Takie myśli ciągle roily mi się w głowie, ale nie stać mnie było ani na stroje, ani na kosmetyki. Miałam tylko jedną minispódniczkę - gdy ją wkładałam, mężczyźni się za mną oglądali, bo miałam ładne nogi.

Nosiłam ją tego dnia, gdy mnie zgwałcono. Wydarzenie to na zawsze zmieniło moje życie. Miałam szesnaście lat, szłam ulicą, gdy nagle podeszło do mnie czterech mężczyzn i wciągnęło mnie do samochodu. To byli znani miejscowi bandyci. Wiedziałam o nich na tyle dużo, by się śmiertelnie bać. Miałam do wyboru: albo mnie skatują, może nawet na śmierć, albo dam im to, czego chcieli. Podałam się bez walki. Po kolei gwałcili mnie w samochodzie.

Nic z tym później nie zrobiłam. Gdybym poszła na milicję, wyśmiano by mnie. W dawnym Związku Radzieckim nie istniało coś takiego jak wymiar sprawiedliwości. Moi oprawcy mieli znajomości, bałam się. Tak bardzo się wstydziłam, że nie powiedziałam nic mamie. Może ona by mi jakoś pomogła, a na pewno przynajmniej by próbowała. Jednak nie potrafiłam się przełamać. Prześladowało mnie poczucie, że to wszystko moja wina. Po co wkładałam tę przeklętą spódnicę?

Ze smutkiem muszę stwierdzić, że moja historia wcale nie jest wyjątkowa. Wiele moich koleżanek zostało w młodości zgwałconych. Mam trzydzieści jeden lat, niejedna kobieta w mojej grupie wiekowej miała podobne przeżycia. A ile z nich robiło potem aborcję! W przypadku gwałtu dziewczyna obwiniała siebie, otoczenie nie dawało żadnego wsparcia. Tak wyglądała nasza rzeczywistość skazująca często kobietę na nieludzką egzystencję.

Po tym wszystkim nabrałam przekonania, że jestem z gruntu zła, i głęboko w to wierzyłam. Ludzie wygadywali różne rzeczy na mój temat, a ja uważałam, że sobie na to zasłużyłam. Nie akceptowałam siebie. W wieku dwudziestu lat czułam się wewnętrznie rozdarta - nie wiedziałam, kim jestem i jaka jestem; wierzyłam w negatywne opinie innych na mój temat. Czułam się brzydka, co nie było prawdą, i wyobcowana, jakbym żyła życiem kogoś innego. Wielokrotnie zdarzał mi się przygodny seks. Nigdy nie odczuwałam żadnej przyjemności. W tamtych czasach, przynajmniej w pewnych środowiskach, chłopcy traktowali dziewczyny jak przedmiot. Miało się szczęście, jeśli taki na koniec podziękował.

Po szkole średniej poszłam na studia muzyczne. Od siódmego roku życia grałam na pianinie i naprawdę miałam talent. Ale na trzecim roku studiów wszystko wzięło w łeb. Mój profesor, znakomity muzyk i nauczyciel, zarabiający przy tym zaledwie dwadzieścia pięć dolarów miesięcznie, niespecjalnie mnie zachęcał do dalszej kariery. Poczułam się bezwartościowa, jakby całe lata nauki poszły na marne i jakbym nie miała przed sobą żadnej przyszłości. Boleśnie mnie to dotknęło i doszłam do wniosku, że zmarnowałam życie. Nie miałam żadnych bliskich przyjaciół. Rozchorowałam się, cierpiałam emocjonalnie i miałam myśli samobójcze.

Po skończeniu konserwatorium uczyłam dzieci muzyki, zarabiając dziesięć dolarów miesięcznie, czyli bardzo niewiele. Wciąż dręczyły mnie różne problemy, ale że byłam młoda, nadal marzyłam o ładnych strojach, kosmetykach i innych luksusach. Ucząc gry na pianinie, nie spełniłabym tych marzeń. Wtedy poznałam właścicielkę agencji towarzyskiej, a ta okazała mi wiele serca. Może gdybym nie wychowywała się bez ojca i gdyby mnie nie zgwałcono, nie wpadłabym tak łatwo w pułapkę. Aleja byłam w środku jak martwa. Uważałam, że nic mi już nie pozostało, bo ludzie i tak nazywają mnie dziwką.

Pojechałam do pracy w eleganckim moskiewskim hotelu. Tam spotykałam się z klientami, przeważnie wysokimi urzędnikami państwowymi, którzy płacili co najmniej sto dolarów za każde spotkanie. Tak zostałam prostytutką. Ale przynajmniej wreszcie zarabiałam porządne pieniądze — cztery do pięciu tysięcy dolarów miesięcznie. Z tego nic nie udawało mi się odłożyć. Wyrzucałam pieniądze garściami na przeróżne potrzebne i niepotrzebne rzeczy, żeby tylko poprawić sobie sa-

mopoczucie i zapełnić jakoś wewnętrzną pustkę. Wreszcie stać mnie było na ubrania, kosmetyki, biżuterię i wszystko, czego tak bardzo pragnęłam jako nastolatka,

* * *

W wieku dwudziestu sześciu lat miałam serdecznie dość życia w naszym kraju. Nie czułam się związana z nikim i z niczym, więc moja dotychczasowa szefowa pomogła mi wyjechać do Ameryki, gdzie też prowadziła rozległe interesy. Poleciałam najpierw do Meksyku, a tam czekali na mnie Rosjanie z Kalifornii i przewieźli samochodem do Tijuany, a potem przez granicę. Policzyli sobie za to dziesięć tysięcy dolarów. Wszystko odbyło się bez problemu. Po tym, przez co już w życiu przeszłam, w ogóle się nie bałam, co będzie ze mną dalej. Nie miałam nic do stracenia.

Dostanie się do Ameryki było dość kosztowne, ale opłaciło się stokrotnie, choć na razie życie stanowiło jedną wielką niewiadomą. Nie miałam żadnych planów ani oczekiwań. Po prostu chciałam jakiegokolwiek odmiany. Władze imigracyjne namierzyły mnie bardzo szybko, a ja zeznałam zgodnie z prawdą, że zostałam zgwałcona, głęboko upokorzona i nie ma już dla mnie życia w Rosji. Poskutkowało na tyle, że bez problemu dostałam papiery na pobyt czasowy i mogłam czekać na decyzję, czy pozwolą mi zostać na stałe. Po przyjeździe do Ameryki po raz pierwszy w życiu miałam wrażenie, że może Bóg wreszcie zacznie mi pomagać. W Rosji czułam się kompletnie porzucona i zapomniana. Tu odzyskałam nadzieję.

Nadal pracowałam dla rosyjskiej szefowej. Od klienta brałam trzysta dolarów, oddawałam jej połowę. Dziennie obsłu-

giwałam czterech, pięciu klientów. Tutejsi mężczyźni mieli pieniądze i przeważnie chętnie wspierali biedną nieszczęśliwą Rosjankę. Dla mnie była to tylko praca, nic osobistego. Z zarobków mogłam kupić książki i opłacić prywatne lekcje angielskiego. Oczywiście uczyłam się też angielskiego od klientów.

Największym problemem było uzyskanie zielonej karty. W rosyjskojęzycznej gazecie znalazłam ogłoszenie agencji, pomagającej załatwiać takie sprawy. Poszłam do nich i wytargowałam sześć tysięcy dolarów, choć na początku żądali dziesięciu. Za to mieli mi znaleźć męża i przygotować do rozmowy w urzędzie imigracyjnym. „Mężowi” należały się trzy tysiące dolarów za to, że weźmie ze mną ślub i pozwoli mi trzymać u siebie rzeczy osobiste. Dopóki nie dostanę zielonej karty, miałam mu płacić tysiąc dolarów miesięcznie, a po jej otrzymaniu dołożyć jeszcze dwa tysiące. Oczywiście pokrywałam też koszty wspólnych wyjazdów, podczas których mieliśmy sobie robić wspólne zdjęcia, udając szczęśliwą parę.

Łączny koszt, wliczając prawników, wyniósł trzydzieści pięć tysięcy dolarów, ale było warto. Poznałam mojego przyszłego męża, nazywał się Lester Jordan. Pomyślałam sobie, że zawsze mogłam trafić gorzej. Był to łysiejący czterdziestolatek po rozwodzie, pracujący w firmie kurierskiej w Los Angeles. Niechlujnie ubrany, miał - lekko licząc - piętnaście kilo nadwagi, ale dla mnie i tak nie stanowiło to większej różnicy, w końcu byłam już z setkami nieatrakcyjnych mężczyzn.

Niestety, od razu zaczęły się komplikacje. Podczas pierwszej podróży zdjęciowej, czyli naszego poślubnego weekendu w Las Vegas, powiedział, że lepiej będzie, jak zanocujemy w tym samym pokoju, ale obiecał, że do niczego między nami nie doj-

dzie. Poprosiliśmy kelnerów w restauracji „Drais”, żeby zrobili nam zdjęcie, jak wznosimy toast szampanem. Potem wróciliśmy do hotelu „Bally” po drugiej stronie ulicy, gdzie opłacałam pokój. Tej nocy „mój mąż” wykorzystał mnie seksualnie wiele razy i na wiele sposobów, a ja nie tylko nie miałam z tego żadnej przyjemności, ale jeszcze w gruncie rzeczy za to płaciłam. Potem za każdym razem, gdy potrzebowałam nowych zdjęć, albo żeby zrobił coś na życzenie prawników, zmuszał mnie do kolejnego darmowego seksu. Stawał się coraz bardziej bezczelny, zaczął mnie nawet szantażować. Coraz bardziej przypominał mi drani, z powodu których uciekłam z Rosji. W dodatku cały czas ja za to wszystko płaciłam! Koniecznie musiałam znaleźć jakieś wyjście.

Od znajomych Rosjanek dowiedziałam się o specjalnej klauzuli w prawie imigracyjnym, dotyczącym małżeństw z cudzoziemcami. Jeżeli mąż pobije żonę, z miejsca jest jej przyznawana zielona karta, a przy tym on wcale nie musi zostać poinformowany, że żona zgłosiła pobicie. Oczywiście ten sposób był często nadużywany i władze dokładnie rozpatrywały każdy przypadek. Tego mi właśnie było trzeba. Musiałam tylko sprowokować Lestera do przemocy fizycznej.

W Los Angeles mieszkaliśmy oddzielnie. Któregoś dnia zadzwonił, żebym przyszła, a ja odparłam, że powinniśmy się pokazać publicznie i że zapraszam go na obiad do sympatycznej hinduskiej restauracji w Hollywood. Zamówiłam butelkę wina i namawiałam go do picia, twierdząc, że pewnie nie dotrzyma mi kroku. Potem zamówiłam drugą. Kiedy alkohol zaczął działać, uznałam, że mogę zacząć. Powiedziałam mu straszne rzeczy. Że jest skończonym palantem, fiutem, skurwysynem.

Nawet nie znałam *znaczenia*, części tych wyzwisk, słyszałam je po prostu na HBO. Ku mojemu niebotycznemu zdumieniu Lester zaczął płakać. Łkając, przyznał, że to szczerą prawdą, i błagał mnie o wybaczenie! No i nici z mojego planu. Nawet żal mi się drania zrobiło.

Tego wieczoru zostałam u niego kilka godzin, a on cały czas zalewał się łzami i prosił, bym mu wybaczyła. Nawet nie próbował się do mnie dobierać i wmawiał, że mnie kocha! Kompletnie zgłupiałam. Ale kiedy trzy dni później zadzwonił z pogrozkami, że udaremni mi zdobycie zielonej karty, jak do niego natychmiast nie przyjdę, odetchnęłam z ulgą i przystąpiłam do wykonania planu numer dwa. Jak mawiają moje koleżanki: rozpaczliwa sytuacja wymaga rozpaczliwych środków. A to była rozpaczliwa sytuacja.

Pojechałam do niego i bez mrugnięcia okiem robiłam wszystko, czego sobie zażyczył. Nawet więcej. Aż zmęczył się i zasnął. Wahałam się blisko godzinę, mając wiele obaw i oporów, ale w końcu to zrobiłam. Stałam nad nim na łóżku, rozstawiłam szeroko nogi i ulżyłam sobie. Od razu się obudził, myśląc najpierw, że to cieknie z sufitu, po czym otworzył oczy i zobaczył strumień lejący się pomiędzy moich nóg. Odruchowo się zamachnął i jednym ciosem zrzucił mnie z łóżka na podłogę.

Natychmiast wstałam i co prędzej wyszłam stamtąd, sukienkę naciągając po drodze. Towarzyszyła mi miła świadomość, że więcej nie będę musiała go oglądać, i satysfakcja z tego, jakie zostawiłam mu na koniec wspomnienie. Dziesięć minut później pokazywałam na policji siniaki na ramieniu i udzie. Zeznałam, że mąż mnie uderzył i upadłam. Oczywiście parę drobnych szczegółów pominęłam. Zmierzając do końca tej hi-

storii, chcę jeszcze powiedzieć, że trzy miesiące później dostałam stosowne papiery i prawo legalnego pobytu. Gdyby ktoś mnie zapytał, czy wstydzę się mojego postępu, odpowiedziałabym: „Nie”.

Odtąd nie miałam już problemów finansowych, a ludzie byli dla mnie mili. Główny problem stanowiła niedostateczna znajomość angielskiego, przez to czułam się trochę wyobcowana. Rosjanie mieszkający w Ameryce są zupełnie inni niż ich rodacy w Rosji, łagodniejsi, spokojniejsi, nieco zamerykanizowani. Wielu z nich przyjechało tu na studia, mając po dwadzieścia parę lat, a potem urządziło się na stałe, wiodąc ustabilizowane i nudne życie. Przy ograniczonych możliwościach językowych trudno mi było zaprzyjaźnić się z Amerykanami. Ale mimo braku dobrej znajomości języka i samotności nareszcie poczułam się jak istota ludzka.

Po kilku latach pobytu w Ameryce rzuciłam prostytutkę. Bardziej się teraz szanowałam i po prostu nie chciałam już tego dłużej robić. Wobec klientów zachowywałam się zimno i obojętnie, a oni byli na to wrażliwi. Teraz jest mi dużo lepiej i za nic nie wróciłabym do dawnego życia. Wolę być zwykłą kobietą.

Powtarzam sobie, że zasługuję na dobre i szczęśliwe życie. To dla mnie trudne, bo matka wpajała mi, że na nic nie zasługuję. Zawsze skąpiła mi miłości, nigdy nie byłam przez nią rozpieszczana ani podziwiana, wiecznie czułam się gorsza. Wszystkiego miałam za mało i nie było przy mnie ojca, który by mnie kochał i się mną opiekował. Pokutuje to we mnie do dzisiaj.

Co jakiś czas rozmawiam z mamą przez telefon, ale ona nie chce ode mnie pieniędzy. Na szczęście ich nie potrzebuje. Gram na pianinie dla własnej przyjemności i zarabiam, ucząc

dzieci. Gdybym urodziła się tutaj, w Ameryce, na pewno odniosłabym sukces. Poszłabym na uniwersytet Harvarda lub Yale albo do Julliard School. Może wyszłabym za mąż i miałabym dzieci. Ale nie zamierzam obwiniać się za to, co robiłam. Wreszcie żyję dla siebie - i to się liczy. Spotykam się teraz z całkiem sympatycznym facetem. Potrafi być naprawdę miły, wręcz kochany. Lubię go i może za niego wyjdę. Czyż nie byłoby to szczęśliwe zakończenie?

Ksiazka

Urodziłam się w typowej radzieckiej rodzinie w Krasnojarsku, zwyczajnym mieście, jakich wiele w Związku Radzieckim. Tak jak wszędzie, były tu identyczne dwu- i czteropiętrowe domy, wieczne kolejki w sklepach spożywczych i budki z lodami.

Mama pracowała w biurze paszportowym, gdzie wydawano paszporty i meldunki. Praca ta cieszyła się dużym szacunkiem, nie zawsze jednak była bezpieczna, bo o dokumenty starali się również przestępcy, którzy właśnie wyszli z więzienia. Mama miała więc kontakty z różnymi ludźmi, zarówno z porządnymi, jak i z bandziorami, którzy w razie odmowy potrafili się mścić. Wtedy przełożeni mamy zwracali się do milicji, żeby patrol towarzyszył jej w drodze do domu i do pracy.

Ojciec natomiast pracował w fabryce broni. Byłam późnym dzieckiem, mama urodziła mnie w wieku czterdziestu lat. Ojca nie pamiętam dobrze, bo kiedy miałam pięć lat, zginął podczas eksplozji prochu w fabryce. Pamiętam tylko, że kochał mnie bardzo i rozpieszczał, codziennie kupował mi lody. Mamy tak naprawdę nigdy nie kochałam, i ona też nie potrafiła dać mi miłości.

Teraz rozumiem, dlaczego nie umiała okazać mi ciepła i czułości, których tak bardzo pragnęłam. Podczas wojny przeżyła straszny głód, potem miała trudną i odpowiedzialną pracę. Życie zmuszało ją do nieustannej walki, do ciągłego bronienia się przed czymś. Troskliwie opiekowała się mną, kiedy byłam malutka, ale jak podrosłam, nie miałam co liczyć na uśmiech, pochwałę czy jakąkolwiek oznakę miłości z jej strony. Tyle że kupowała mi nowe ubrania, a na wakacje wysyłała na obóz pionierów. Jednego szczerze nienawidziłam, a mianowicie tego, że zdarzało jej się krzyczeć na mnie i upokarzać mnie przy ludziach, zarówno znajomych, jak i obcych. Było w tym wręcz okrucieństwo. Na świecie istniał tylko jeden słuszny pogląd: jej własny. Ktokolwiek się sprzeciwił, natychmiast stawał się śmiertelnym wrogiem.

Pamiętam, jak raz przyjechała do mnie na obóz. Miałam wówczas siedem lat, bardzo tęskniłam za domem i cała zapłakana prosiłam mamę, żeby mnie stamtąd zabrała. Skarżyłam się, że na śniadanie dają nam kaszę z karaluchami. Mama natychmiast poszła do kuchni sprawdzić to osobiście. Okazało się wtedy, że wzięłam za karalucha kawałek przysmażonej na brązowo cebuli. Ale przecież byłam dzieckiem, nie znałam się na kaszy. Wtedy przy wszystkich uczestnikach obozu mama uderzyła mnie w twarz. Stwierdziła, że jej, ważnej urzędniczce państwowej, przyniosłam wstyd przed prostymi kucharkami.

Miałam przyrodnią siostrę, córkę ojca z pierwszego małżeństwa. Jej mama umarła przy porodzie. Natasza była siedem lat ode mnie starsza i strasznie mi dokuczała, a najbardziej w Nowy Rok. Wstawiałam wtedy wcześniej rano, żeby jak najszybciej zajrzeć pod choinkę, gdzie czekały prezenty.

Na ogół dostawałam słodczyce, owoce i książki. Przeznaczone dla mnie paczki znajdowałam zawsze otwarte. Natasza była pierwsza. Rozrywała opakowanie, zjadała czekoladki i mandarynki, zostawiając dla mnie samą skórkę. A mama jeszcze jej broniła, bo żal jej było Nataszy, że straciła rodziców. A przecież ja też straciłam ojca.

Byłam wzorową uczennicą, nauka nie sprawiała mi kłopotów, zwłaszcza języków obcych uczyłam się pilnie. Nauczyciele radzili, żebym poszła na anglistykę. Zrobiłam tak, bo chciałam zostać nauczycielką angielskiego, ale też nade wszystko pragnęłam uwolnić się spod kurateli mamy.

W tym czasie w modzie było korespondowanie z cudzoziemcami. Adresy zdobywało się w szkole lub przez znajomych. Pisaliśmy do siebie listy, posyłałiśmy prezenty, paczki i kartki świąteczne. Bardzo to lubiłam, bo czuło się wtedy wyraźnie więź łączącą młodych ludzi z całego świata. Korespondowałam z pewnym łotewskim kapitanem, który pływał w dalekomorskie rejsy. Przysyłał mi chustki, szaliki, kalendarze i zagraniczne znaczki, które zbierałam. Kiedyś przyjechał z wizytą do Krasnojarska i ku mojemu zdziwieniu oświadczył mi się. Siostra miała już męża, prostego elektryka. Nie mogli mieć dzieci i nie byli szczęśliwi. Choć nie znałam Władlena dobrze, przyjąłam jego propozycję. Na podstawie listów przypuszczałam, że będzie nam ze sobą dobrze, choć spodziewałam się też, że będzie wyruszał w dalekie rejsy. Mógł mi zapewnić dostatnie życie, ale to nie sprawy materialne ostatecznie zdecydowały o moim wyborze. Przede wszystkim chciałam uciec od mamy. Liczyłam, że przywyknę w końcu do Władlena i może nawet kiedyś go pokocham.

Przez sześć lat mieszkaliśmy na Łotwie, potem wyemigrowaliśmy do Waszyngtonu. Ameryka stanowiła dla mnie obcy świat. Nie miałam tu przyjaciół, pracy ani nic do roboty. W dodatku Władlen bardzo chciał mieć dzieci, a ja nie mogłam zająć w ciążę. Kiedy on pływał, umierałam z nudów, a jak wracał z rejsu, bez powodu wszczynałam kłótnie. Wszystko mnie wtedy denerwowało i męczyło. Pewnego dnia zadzwoniła Natasza z wiadomością, że mama nie żyje. Myjąc wannę, poślizgnęła się, upadła, uderzyła w głowę i miała wylew. Nie uroniłam ani jednej łzy. Żałowałam jej bardzo, ale mimo wszystko nie płakałam.

Odkąd zamieszkałam w Ameryce, wszyscy krewni stale o mnie pamiętali, Natasza też. Ciągle żądała, żeby jej przysyłać różne ciuchy. Odpowiadałam, że nie stać mnie na tyle prezentów, bo nie pracuję i sama nie mam takich ubrań. Usłyszałam raz, że mam obowiązek pomagać rodzinie, skoro żyje mi się

o wiele lepiej niż im. W takich chwilach przypominało mi się, jak co roku wyjadała moje noworoczne smakołyki. Ludziom w Rosji wydaje się, że w Ameryce pieniądze rosną na drzewach i że tu są ciągle wakacje.

Miałam dwadzieścia sześć lat, kiedy Władlen wrócił z rejsu i pierwszy raz nic mi nie przywiózł w prezencie. Nawet wcześniej nie wysłał kartki, żeby zawiadomić o powrocie. Od razu wyczułam, że coś jest nie tak. Gdy tylko wszedł do domu, widać było po oczach, że ma nieczyste sumienie. Okazało się, że pływając do Newport na Rhode Island, poznał biedną rosyjską studentkę z Nowonikołajewska. Poderwał ją, a potem ona zaszła w ciążę. Władlen, jak wspomniałam, bardzo chciał mieć dzieci.

Teraz poprosił o rozwód, ale zostawił mi wszystko. W pierwszej chwili wpadłam w szal, zaczęłam tłuc talerze i rzucać garnkami o ścianę, jak rozładowują gniew i złość urażone w swojej dumie Rosjanki. Nie mogłam wprost uwierzyć, że mój Władlen mnie zostawia. Płakałam równo przez miesiąc, potem starannie sobie wszystko przemyślałam i przestałam tak strasznie rozpaczać, że odchodzi. Zrozumiałam, że on po prostu zranił moją dumę. Kobiety często uważają, że mężczyźni powinni kochać do grobowej deski i jak pies wiernie leżeć u stóp. A już największy wstyd, jak mężczyzna odejdzie do innej kobiety. Mnie też się wydawało, że Władlen jest moją własnością.

W miarę upływu czasu wróciłam do równowagi i nabrałam chęci, żeby wyjść z czterech ścian. Zaczęłam szukać pracy i po jakimś czasie znalazłam posadę w biurze podróży. Znowu czułam, że żyję. Miałam dobrą pensję, bo zarabiałam pięćset dolarów tygodniowo, a Władlen zostawił mi wygodne mieszkanie.

W pracy zaprzyjaźniłam się z koleżanką, która miała na imię Janet. Wychodziłyśmy razem wieczorami, żeby się trochę zabawić. Mimo to czułam się bardzo samotna i Janet poradziła, żebym znalazła sobie faceta przez internet. Uważała, że to najlepsze lekarstwo na samotność, na kłopoty materialne oraz wszelkie problemy, jakie Rosjanka może napotkać w obcym kraju. Sama już o tym wcześniej myślałam. Kandydatom ustawiłam wysoko poprzeczkę: w grę wchodzili tylko inteligentni, bogaci i przystojni.

Lustro mówiło mi, że jestem ładna i interesująca. Z pewnością spodobają się moje błękitne oczy i gęste, jasne, długie do pasa włosy. Wprawdzie jestem niska, ale szczupła i mam ładne piersi. Pomyślałam też, że niski wzrost zwiększa moje szan-

se, bo niewysocy *mężczyźni też* będą zainteresowani. Wcale nie wyglądałam na dwadzieścia siedem lat i kupując alkohol, musiałam czasem pokazywać dowód osobisty. Jak mówi rosyjskie przysłowie, mały piesek, nawet stary, zawsze wygląda jak szczeniak. Mówimy też, że mała kobietka to ozdoba wielkiego mężczyzny. Szukałam zatem „wielkiego” mężczyzny. Optymistycznie liczyłam na to, że w ten sposób w końcu znajdę kogoś, kogo szczerze pokocham.

Zastanawiałam się nieraz, jakiego rodzaju mężczyźni szukają partnerki przez internet. Pewnie ci z natury nieśmiali, tacy, którzy przeżyli miłosny zawód i znów szukają szczęścia, ale są też drapieżcy polujący na ofiary. Wszyscy oni wysyłają zdjęcia i informacje, wiążąc z tym określone nadzieje. My, kobiety, też mamy swoje nadzieje. Problem polega na tym, że prawdę o drugiej osobie poznaje się czasem dopiero wtedy, gdy jest już za późno. W każdym razie wypełniłam zgłoszenie i załączyłam swoje najlepsze zdjęcia. Przedstawiłam się jak najkorzystniej, ale w pełni uczciwie, może troszkę tylko przesadzając z rozmiarem biustu. Napisałam, że moim celem jest przyjaźń, miłość i małżeństwo. Podałam, co jest dla mnie ważne u partnera. Nie spodziewałam się, że szybko coś z tego będzie.

Każdy kandydat był inny i każdego rozpatrywałam jako osobny przypadek. Za pierwszym razem korespondencja trwała ponad rok. Mężczyzna miał na imię Aaron, był po czterdziestce. Z początk u wymienialiśmy sporo maili, później dużo mniej. Był komendantem straży pożarnej w małej miejscowości w Massachusetts i z dumą pisał o swoim strażackim uniformie, na który składał się mundur w kolorze khaki i hełm. Miał dwie dorosłe córki, które mieszkały z jego byłą żoną, i domek,

za który spłacał hipotekę w wysokości dwutygodniowych zarobków. Interesował się informatyką i uwielbiał hodować kwiaty. Stale powtarzał, że jest bardzo samotny. Wyraźnie chciał czuć się komuś potrzebny.

Ujął mnie tym, co pisał o miłości, romantyczności i poezji. Roztaczał wizję naszego spotkania: kolacja przy świecach i łożo zaspane płatkami róż. Aż trudno było uwierzyć, że zwykły strażak może być taki romantyczny. Nie mogłam się też nadziwić, jak żona mogła zostawić tak ciepłego i uroczego mężczyznę. Jego listy robiły na mnie ogromne wrażenie. Ciągle o nich myślałam, wyobrażałam sobie naszą przyszłość, miłość i wspólną rodzinę. A ponieważ **Z** natury jestem niecierpliwa, chciałam od razu przejść do konkretów. Skoro tak pasujemy do siebie i mamy podobne marzenia, to na co *czekać*? Gotowa byłam natychmiast lecieć do Massachusetts, do mego księcia z bajki, żeby — jak to się mówi — kuć żelazo, póki gorące. Starłam się dowiedzieć o nim czegoś więcej, rozmawiając przez telefon.

Ale on wymykał mi się. Wreszcie doszłam do wniosku, że żyje w wymyślanym świecie i ma się tam całkiem dobrze. Im dłużej to trwało, tym mocniej utwierdzałam się w tym przekonaniu. Aaron był typem wirtualnego Romea. Nie miałam zamiaru być wiecznie wirtualną Julią. Jeszcze tylko brakowało, żebyśmy zaczęli uprawiać seks przez telefon! Perspektywa ta zupełnie mnie nie cieszyła. Marzyło mi się prawdziwe uczucie, mężczyzna, którego będę mogła dotknąć, w którego oczy będę mogła się zapatrzyć. A jak tu poczuć zapach wirtualnych róż, o których tak pięknie pisał Aaron? To jego ciągle przebywanie w nierealnym świecie i platoniczne

zapewnienia o miłości zaczęły mnie denerwować. Nadal korespondowaliśmy, ale na nowo rozpoczęłam poszukiwania.

Wybrałam kilka ofert i zaczęła się wymiana maili. Żaden z mężczyzn nie okazał się księciem z bajki. Znajomość na ogół kończyła się po pierwszym spotkaniu. Podobno pierwsze wrażenie jest zawsze najtrafniejsze, ale czasem potrzeba dobrego nosa, żeby odróżnić ziarno od plew. Później wystarczyło mi raz spojrzeć, żebym wiedziała, czy ktoś jest coś wart. Umawiałam się w kawiarni Starbucks i nim podeszłam do stolika, najpierw sobie kandydata dokładnie z daleka oglądałam. Czasem od razu rezygnowałam. Zdarzali się panowie nieuczescani, w brudnym ubraniu i ubłoconych butach.

Kilku mnie zwyczajnie zanudziło opowieściami o swoich wielkich sukcesach i chwaleniem się, jaki to mają wspaniały charakter. Tylko ciekawe, czemu żony zostawiły taki skarb? Czasami wprost zadawałam to pytanie, co ich wcale nie peszyło. Przeważnie narzekali, że byli za młodzi i głupio się ożenili - z lalką, która po ślubie okazywała się wiedźmą i jak wampir wysysała z nich wszystkie siły vitalne, a przede wszystkim ciężko zapracowane pieniądze. Zdumiewała mnie gruboskórność tych ludzi, czasem granicząca z chamstwem.

Któregoś dnia poznałam Stevena. Od razu przyznał się, że jest żonaty i nie ukrywał wcale, że chodzi mu tylko o skok w bok. Długo rozwodził się nad tym, jaki to on jest inteligentny i uczciwy. Uważał, że jeśli na wstępie uprzedzi, że w jego przypadku nie ma co liczyć na stały związek, to postąpi jak człowiek honoru. Był Rosjaninem i jak większość Rosjan uważał, że tylko on ma rację. Ciemnowłosa, muskularny, pięknie się uśmiechał, miał białe zęby i dołeczek w prawym policzku. Typ, jaki bardzo podoba się kobietom. Mnie jednak interesował *raczej* trwały związek. Odpisałam, że znalazłam moją drugą połowę i już nie jestem do wzięcia.

Postanowiłam wtedy, że odtąd będę szukać partnera wyłącznie do seksu, żebym bez żalu mogła w każdej chwili odejść. Zaraz po Stevenie poznałam dość dziwnego osobnika. Miał na imię Tom, w myślach nazywałam go „tajny doradca”. Twierdził, że pracuje w Białym Domu jako osobisty sekretarz ważnej osobistości, której tożsamości nie wolno mu zdradzić. Pewnie się nawet nie nazywał Tom. Nie wiadomo. Ze względu na poufny i delikatny charakter jego pracy miałam się z nim sama nie kontaktować. Na początku przysyłał mi maile codziennie - rano, po południu i wieczorem, zawsze o tej samej porze. Rozpisywał się długo i głównie o tym, jaki to on jest ważny i zapracowany. Później wiadomości stały się lakoniczne i były przeważnie tej treści: „Jak się masz?” albo „Właśnie myślę o tobie”. Poprosił o mój numer telefonu. Tłumaczył się, że jest bardzo zajęty i nie ma czasu pisać, ale może dzwonić do mnie, na przykład kiedy jedzie samochodem, pali papierosa czyje lunch.

Nie wiem, czemu mu wierzyłam. Dzwonił koło pierwszej w nocy i opowiadał różne bzdury, przeważnie o swojej pracy. Podobno zależał od niego cały harmonogram Białego Domu. Nieraz znudzona tym przysypiałam ze słuchawką przy uchu. Kiedyś niespodziewanie oświadczył, że musimy się natychmiast spotkać i to w dodatku na drugim końcu Waszyngtonu. Wtedy poprosiłam, żeby więcej do mnie nie dzwonił. Odparł, że będę żałować. Ale jakoś nie żałowałam.

Oczywiście były też przyjemne sytuacje. Kilka razy panowie zapraszali mnie do restauracji, kawiarni, teatru czy kina.

Pewien elegancki dżentelmen wręczył mi czerwona różę. Był to emigrant świeżo przybyły z Anglii, którego jeszcze nie zdeprawował amerykański styl życia. Ale coś jednak było między nami nie tak, bo nie kontynuowaliśmy znajomości. Nie wszystkim mężczyznom się podobałam, ja też byłam wybredna. Traktowałam to wszystko jak ciekawą przygodę i sporo się wtedy nauczyłam o życiu. Nadal pragnęłam spotkać tego jedyne, którego mogłabym pokochać i z którym dzieliłabym życie. Wciąż miałam nadzieję, że moja samotność wkrótce się skończy.

Wreszcie uwierzyłam, że księżę się pojawił. Był nim Michael, wysoki, chudy blondyn o dużych brązowych oczach, prawnik, zajmujący się prawami dzieci. Twierdził, że ma trzydzieści pięć lat. Zakochałam się. Całymi dniami pisaliśmy do siebie maile o wszystkim - o sztuce, literaturze i tak dalej. Sprawiał wrażenie bystrego, miłego i zabawnego, i dobrze się rozumieliśmy. Pisał piękne wiersze i piosenki. Pewien nieokreślony niepokój budziły we mnie jednak jego chępliwie zapewnienia, że nasz pierwszy seks będzie najwspanialszą chwilą w moim Życiu i początkiem wielkiego romantycznego związku. Z początku był zbyt nieśmiały, by pociągnąć wątek dalej, ale w końcu zaproponował „kolację przy świecach”, co miało oznaczać romantyczną noc, na razie bez zobowiązań. Cały czas o nim myślałam. Miał dobrą pracę, pisał wiersze i grał na fortepianie. Ciągłe zadawałam sobie pytanie, czy to on jest spełnieniem marzeń snutych w samotności, kiedy ogarniał mnie romantyczny nastrój. Powtarzałam sobie jego imię wielokrotnie, aż uwierzyłam, że to najmiłsze imię na świecie.

Zadziwiająca, jak bardzo rzeczywistość potrafi zdrwić z naszych fantazji. Rozmowy i marzenia nie wystarczały mi, wo-

łałam przejść do konkretów. Myślcie sobie, co chcecie, ale w końcu jestem normalną, dorosłą kobietą, a on natarczywie prosił o spotkanie i obiecywał rajskie rozkosze. Która z nas oparłaby się takiej pokusie? Minęły całe cztery lata, odkąd moje ciało ostatni raz zaznało bliskości mężczyzny.

Spotkaliśmy się pięć razy, nim doszło do fizycznego zbliżenia. Przy każdym spotkaniu utwierdzałam się w przekonaniu, że jesteśmy dla siebie stworzeni, jak również w tym, że oboje gotowi jesteśmy do fizycznego spełnienia naszej miłości. Już nie był dla mnie kimś obcym i nie czułam się jak dziwka, idąc z nim do łóżka. Po kolacji w lokalu zaprosił mnie do siebie na wspólne oglądanie filmu „Pamiętnik”. Ach, jak było romantycznie! Przy filmie płakał i co chwila powtarzał, że nasza miłość będzie właśnie taka.

Kobiety zakochują się w słowach, więc nie byłam tu wyjątkiem. Zaczął mnie całować i... po chwili było już po wszystkim. Nic nie zdążyłam poczuć, zero przyjemności. Nie miałam zbyt wielkiego doświadczenia w tych sprawach ani jakichś szczególnych wymagań, ale trudno było uwierzyć w zapewnienia Michaela, że wszystko odbyło się, jak powinno. To znaczy góra trzy minuty i w pozycji wygodnej dla mężczyzny. W końcu byłam już mężatką, więc wiedziałam coś niecoś o miłości fizycznej. Partnerzy powinni sobie wzajemnie dawać rozkosz i tylko wtedy ma to sens. Poczułam się zdezorientowana, wytracona z równowagi. Z jednej strony byłam zakochana w Michaelu i gotowa wybaczyć mu różne rzeczy, ale z drugiej strony buntowała się we mnie młoda zdrowa kobieta, która chciała mieć normalne życie intymne. Udany seks potrzebny jest do zachowania równowagi ciała i umysłu. Doznałam wielkiego rozczarowania.

Delikatnie spytałam, czy może ma jakieś problemy. To się zdarza, jeśli mężczyzna miał męczący dzień, przejmował się czymś albo był bardzo napalony. Ale Michael zrobił wielkie oczy i odparł, że był to najbardziej udany seks w jego życiu! Jakoś nie miałam ochoty na dalsze przeżycia tego typu, a czysto duchowa harmonia raczej mi nie wystarczała. Miłość to nie tylko fascynacja duszą i umysłem drugiej osoby, lecz także wzajemne pożądanie i pociąg dwóch ciał. Wszystko musi być w równowadze.

Jak mówi przysłowie, lepiej być głodnym, niż zjeść byle ochłap. Skłamałam, że wyjeżdżam służbowo do Anglii na pół roku. Wyraziłam wielki żal i okrasiałam to jeszcze licznymi komplementami pod jego adresem. Dodałam skromnie, że zasługuje na kogoś lepszego niż ja. Rzucił wtedy okiem w lustro z tak pełnym zadowolenia uśmiechem, że pewnie już wyobrażał sobie siebie z Claudią Schiffer. Ciągnęłam, że nie mam prawa żądać od niego obietnicy wierności, bo rozumiem, że potrzebuje kobiety i to nie takiej, która często wyjeżdża. Wyraźnie mu tym schlebiłam. Zmartwił się, że mnie traci. Pocałował w czoło i wstaliśmy z łóżka.

Szczerze mówiąc, było to dla mnie jedno wielkie rozczarowanie i przez jakiś czas boleśnie przeżywałam tę porażkę. Wyjątkowo w tym przypadku miałam wrażenie, że spotkałam bliską mi duszę. Było mi bardzo smutno. Siedziałam w domu i przeglądałam maile. Niespodziewanie jeden post przykuł moją uwagę i pomógł zapomnieć o Michaelu. Doszłam wprawdzie do wniosku, że pewnie za wiele wymagam w łóżku, bo mężczyźni szukają jedynie najłatwiejszego sposobu zaspokojenia swoich potrzeb. Ale nie traciłam jeszcze nadziei na prawdziwego kochanka.

Wiadomość była jasna, prosta i treściwa. Richard pisał, że szuka kobiety i że gotów jest się z nią kochać w każdej chwili. Ta śmiałość mnie ubawiła, ale ciało domagało się swego. Po prostu musiałam sprawdzić, czy potrafię jeszcze rozpałić mężczyznę tak, by dla mnie to również coś znaczyło. Korespondencja z Richardem ograniczyła się do niezbędnego minimum. Już po drugim mailu umówiliśmy się na spotkanie. Opisałam, jak będę ubrana.

Richard nie zdradził wcześniej, jak wygląda. Odpisał, że z wielką chęcią sprawi mi niespodziankę. Pewnie chciał mi się najpierw przyjrzeć. Pamiętając wciąż ten pierwszy post, wysłałam mu moje najbardziej seksowne zdjęcie w czerwonej sukni i w butach na wysokich obcasach. Odpowiedział jednym słowem: „Wow!”, Bardzo mnie tym ujął. Zrobiło mi się ciepło na sercu, że ktoś zachwycił się moją urodą.

Mieliśmy się spotkać przed galerią. Kiedy podszedł, przeżyłam niemiły szok. Był gruby, łysy i niski. Ale na razie budził moją sympatię. Tkwiąca we mnie drobna, delikatna kobieta bardzo chciała wtulić się w silne męskie ramiona. Sama nie wiem, jak to się stało, ale po chwili jechaliśmy gdzieś jego samochodem. Po drodze cały czas opowiadał o swoich interesach. Był właścicielem restauracji w centrum Waszyngtonu. Dlaczego w takim razie jeździł starą toyotą, poobijaną z zewnątrz i brudną w środku? Próbowałam sobie tłumaczyć, że bogaci ludzie często prowadzą skromne życie, nie dbając o drogie ciuchy ani tego typu rzeczy. Samochód niekoniecznie musi być przedmiotem luksusu, może też być środkiem transportu.

Richard wyznał, że jego żona jest chora psychicznie, a najbardziej denerwujące jest to, że nie chce już seksu. Spojrzał mi

przy tym uważnie w oczy i zapewnił, że nigdy jej nie zostawi, bo jest przyzwoitym człowiekiem, a poza tym mają dzieci, za które czuje się odpowiedzialny. Przyglądałam mu się z lekkim rozbawieniem. O nic mnie nie pytał i intrygowało mnie, czy to z delikatności, czy też w ogóle go nie interesuję. Trudno było powiedzieć. Cały czas miał zadowolony i pewny siebie wyraz twarzy.

Dojechaliśmy do opustoszałego parku z jeziorkiem, na którym przy brzegu unosiła się piana. Wszystko to działo się niedaleko Waszyngtonu. Dzień był upalny. Odwróciłam się, żeby popatrzeć na jezioro, a w tym czasie Richard zrzucił stare džinsy i koszulkę, pozostając w krótkich spodenkach z Myszka Miki, które nie sprawiały wrażenia najczystszych. Pobiegł do wody, ja wysiadłam z samochodu i stanęłam na brzegu. Pluskał się jak małe dziecko, popisując się przede mną umiejętnościami pływackimi!. Raczej nie groziło mu utonięcie, bo był okrągły jak balonik i unosił się na wodzie niczym szałwiarz.

Jego bezpośredniość z lekka mnie szokowała. Nie zdawałam sobie jeszcze sprawy, że dla mojego nowego znajomego moralność, intelekt i takt to zupełnie obce pojęcia. Po kąpieli objął mnie i powiedział, że bym się rozebrała, bo jest gotów. Ściągnął szmatławe spodenki i wtedy zobaczyłam, że faktycznie jest gotów! Inna kobieta na moim miejscu może by się wystraszyła, natomiast mnie to tak rozbawiło, że z trudem powstrzymywałam się od śmiechu. Odparłam surowo, że jestem inteligentną, wykształconą kobietą i nie będę uprawiać seksu na piasku. Natychmiast pobiegł do samochodu po koc. Był pewien, że wszystko pójdzie jak po maśle. Po trzech mailach.

Dłużej już nie mogłam zachować powagi i zaczęłam się histerycznie śmiać. Płakałam ze śmiechu, dusiłam się niemal,

wprost umierałam z nadmiaru wesołości. On zmienił się na twarzy, podniósł spodniki z piasku i wyplukał je w jeziorku. Oczyma duszy widziałam już, jak zatrzymuje się przy nas przejeżdżający przypadkiem policyjny radiowóz i wkrótce przyzwoity ojciec rodziny ląduje w więzieniu za nieobyczajne zachowanie. Przestałam się śmiać. Czulałam coś w rodzaju wdzięczności dla tego dziwnego, małego człowieczka. Cała ta historia pomogła mi uwierzyć w siebie. Richard w milczeniu odwiózł mnie pod galerię, gdzie się spotkaliśmy. Po drodze poprosił jedynie, bym nie pisała o nim w sieci, żeby nie spłoszyć innych samotnych kobiet.

Nadal prowadziłam poszukiwania, ale już bez większych nadziei na poznanie księcia z bajki. Przekonałam się, że mężczyźni są o wiele bardziej bezbronni i łatwiej jest ich zranić niż kobiety. Teraz wydawali mi się dziećmi, które nie rozumieją, co robią, i brak im najzwyczajszego poczucia odpowiedzialności. Mimo to nadal mnie fascynowali. Od każdego czegoś się nauczyłam, każdy obudził we mnie jakieś emocje i doznania.

Po historii z Richardem zmieniłam podejście. Stałam się ostrożniejsza, wprawdzie odpowiadałam na maile, ale nie spieszyłam się zbytnio z zawieraniem bliższej znajomości. Żądałam dla siebie więcej, a z siebie dawałam mniej. Przychodziło coraz więcej maili.

Pod koniec 2005 roku postanowiłam z tym skończyć. Doszłam do wniosku, że w ten sposób spotkam jedynie kolejnego nieudacznika. A ile kłamstw się przez ten czas naczytałam! Moi korespondenci twierdzili na przykład, że są tak zajęci, iż nie mają czasu na kontakty osobiste i spotkania. Z pozoru brzmi to wiarygodnie, ale skoro facet miał czas przejrzeć zdjęcia, przeczytać oferty, napisać i przeczytać listy, to znaczy,

że nie jest aż tak bardzo zajęty. Po prostu mu się nie chciało albo usiłował mnie zbyć. Coraz mniej mnie to wszystko bawiło.

Nadeszło Boże Narodzenie, które zdecydowałam się spędzić sama. Nie obawiałam się nudy, bo miałam wiele spraw do przemyślenia. Chciałam spokojnie zastanowić się nad moją sytuacją. Obmyśliłam świąteczne menu, na które składały się moje ulubione smażone ziemniaki z grzybami, kiszony ogórek, wędzona jagnięcina, a do tego butelka dobrze schłodzonej wódki. Nie byłam wcale alkoholiczką, po prostu miałam ochotę na kielicha. Samotna kobieta w zaciszu domowym może sobie pozwolić na takie rzeczy, byle się tym za bardzo nie chwalić, bo ludzie zaraz zaczynają gadać. Gdy wychodziłam po zakupy, zadzwoniła Janet i zaprosiła mnie na świąteczne przyjęcie. Grzecznie jej podziękowałam i odmówiłam. Nie chciało mi się nigdzie iść, miałam ochotę odpocząć. Kusila, że będzie z dziesięciu facetów do wzięcia, ale mnie nie namówiła.

Poszłam do supermarketu, a po drodze wstąpiłam do sklepu zoologicznego i kupiłam małego szczeniaka. Nazwałam go Księżę i już miałam miłe towarzystwo na święta. Razem z Księciem zrobiliśmy dalsze zakupy. Przy drzwiach sklepu psiak wyrwał mi smycz z ręki i uciekł. Goniłam go obciążona plastikowymi siatami, ale w końcu złapałam. Nie mogłam pozwolić, żeby i on zostawił mnie samą w święta.

Zabrałam Księcia do domu, wyznaczyłam mu miejsce do spania i zabroniłam robić z mojego mieszkania toaletę. Dogadaliśmy się bez problemu. Naszykowałam kolację, nakryłam ładnie stół i nastawiłam „Bodyguard”, mój ulubiony film. Jagnięcina była gotowa, z kuchni dochodziły inne rozkoszne zapachy. Było mi dobrze, wypięłam pierwszy kieliszek wódki za zdrowie, szczęście i spełnienie marzeń. Nabrałam otuchy, że wszystko jakoś się ułoży. Wprawdzie straciłam sporo czasu, ale wiele się nauczyłam, a to zawsze jest ważne.

Gdy zasiadaliśmy z Księciem do kolacji, zadzwonił dzwonek do drzwi. Myślałam, że to Janet, i otworzyłam, nie sprawdzwszy, kto to. Byłam w piżamie i trzymałam na ręku szczeniaka, a tymczasem naprzeciw mnie stał mężczyzna o typowo słowiańskiej urodzie. Zapytał, czy to ja jestem Walentyna Łomskaja. Potwierdziłam. Okazało się, że znalazł mój portfel w wózku w supermarkecie i postanowił mi go od razu oddać, żebym nie miała zepsutych świąt z powodu zguby. Myślał, że pewnie już usiłuję dodzwonić się do banku, żeby zablokować karty.

Z uśmiechem przyznałam, że nawet nie zauważyłam braku portfela. Mężczyzna przedstawił się jako Igor. Rozmawialiśmy po rosyjsku, co sprawiało mu radość. Zaprosiłam go do środka, żeby zgodnie z naszą tradycją napić się wódki. Trochę się z początku krępował, ale w końcu wszedł. Nie spieszyło mu się nigdzie i sprawiał wrażenie samotnego. Później się dowiedziałam, że niedawno przeniósł się z New Jersey i w Waszyngtonie nie miał jeszcze żadnych przyjaciół, znał tylko kolegów z pracy. Od tygodnia pracował jako tłumacz w Bank of America i z nikim się jeszcze bliżej nie zapoznał. Nie zaproszono go na żadne świąteczne przyjęcie.

Miło nam się gawędziło aż do szóstej rano. Igor był interesujący i zabawny. Usłyszałam od niego komplement, że nigdy w życiu nie widział, żeby kobieta bez makijażu wyglądała tak pięknie. Całą noc wspominaliśmy młodość i życie w dawnym Związku Radzieckim. Najzabawniejsze było to, że Igor jakiś czas mieszkał w moim rodzinnym Krasnojarsku. Mało tego,

byliśmy niemi sąsiadami, mieszkaliśmy w tej samej części miasta. W końcu został u mnie, po prostu nie miałam serca wyrzucić go o siódmej rano. Sam zresztą też nie chciał wychodzić. Od początku oboje czuliśmy, że coś się między nami zaczyna. Potem były trzy randki i za każdym razem nasza wzajemna fascynacja rosła. Gdy ktoś pyta, jak się poznaliśmy, ze śmiechem odpowiadamy, że przywędrowaliśmy przez pół świata aż do Ameryki, żeby się spotkać.

Z wdzięcznością wspominam wszystkich ludzi, którzy przewinęli się przez moje życie, bo od każdego z nich czegoś się nauczyłam i dzięki temu dowiedziałam się nowych rzeczy o sobie. Przekonałam się, na co naprawdę mnie stać i jakie mam możliwości. Rozwinęłam w sobie cierpliwość. A w końcu spotkałam moją drugą połowę, mojego najdroższego Igora. Oraz Księcia.

Pozegnanie

Było to w Kazaniu, jeszcze za mojego życia. Spytacie, dlaczego tak mówię, skoro żyję. Tak naprawdę mnie już nie ma. Nic nie zostało z dawnej szczęśliwej żony kochającego męża i matki rozkosznych bliźniaczek. Nie istnieje tamta kobieta o wesołych oczach dziecka. Owej tragicznej jesieni przeszła w niebyt wraz ze swymi córeczkami. Na zawsze niech będzie przeklęty rok 2000.

Gdy ktoś bliski umiera lub odchodzi, inni pocieszają, że przecież życie toczy się dalej. Psychiatrzy każą patrzeć w przyszłość i żyć. Nie umiem jednak zacząć od początku, wiedząc, że wszystko jest już za mną. Wiem, że gościmy krótko na tym świecie, ale czemu ta gościna ma być aż tak niesprawiedliwa i okrutna?

Mieliśmy straszny wypadek samochodowy. Półtoraroczne bliźniaczki, Liza i Masza, zginęły na miejscu. Mąż miał wstrząs mózgu i połamane żebra. Ja stałam się kaleką, nikomu niepotrzebną rośliną.

Wracaliśmy z daczy, gdzie z mężem Aleksandrem i dziewczynkami świętowaliśmy czwartą rocznicę ślubu. Piękny ro-

dzinny weekend, pływanie łodzią po jeziorze, wspólny grill. I dwie cudowne miłosne noce. Sasza był taki czuły. Całował mnie potem w czoło i mówił: „Dzięki ci za twoje niezwykle ciepło, najdroższa”. Pamiętam, że bardzo źle spałam tamtej deszczowej nocy poprzedzającej wypadek. Śniło mi się, że wyjeżdżaliśmy na rodzinne wakacje, spakowaliśmy walizki, ale *dzieci* weszły do samolotu same, a nas stewardessy nie wpuściły. Samolot wystartował i dziewczynki odleciały.

Obudziłam się z płaczem. Poszłam na palcach do pokoju córeczek, które smacznie spały przytulone do siebie. Położyłam się obok nich, a po chwili wszedł Sasza. Też się przy nas położył. Szepnął mi do ucha, że w tym łóżku są trzy najdroższe dla niego istoty. Pod wieczór wracaliśmy do miasta. Przez pół drogi dziewczynki nie spały, tylko bawiły się, a dopiero potem usnęły. Jechaliśmy spokojnie i wspominaliśmy czasy własnego dzieciństwa.

Nagle wyrósł przed nami wielki tir. Pijany kierowca z ogromną prędkością wjechał prosto w nas, dosłownie miażdżąc naszą małą toyotę. Nic *więcej* nie pamiętam, a teraz jestem przykuta do wózka. Kierowca siedzi w więzieniu, ale co mi z tego? Przecież nie zwróci mi to dzieci ani szczęśliwego małżeństwa.

Mąż ocalał i jakoś z tego wyszedł, ja przeżyłam śmierć kliniczną. Kiedy otworzyłam oczy, leżałam pod kroplówką, przyczepiona do szpitalnych urządzeń. Wskutek wstrząsu neurologicznego doznałam paraliżu od pasa w dół. Sasza siedział przy mnie, starszy o trzydzieści lat, posiwiał, nieogolony, z podkrążonymi oczami. Od razu spytałam go o dzieci, a on rozszłochał się i wydusił z siebie, że nie żyją. Straciłam przytomność. Obudziłam się potem na krótko i znowu zapadłam w otchłań.

Wróciłam do beztroskiego, szczęśliwego dzieciństwa, gdy miałam siedem czy osiem lat i jechałam z rodzicami nad jezioro. Latem co niedziela urządzaliśmy piknik, a kiedy byłam starsza, zabieraliśmy też mojego kolegę Maksyma. Obie z mamą miałyśmy na sobie identyczne sukienki, zielone z wzrokiem w truskawki, a ojciec - dżinsy i niebieską koszulkę w żółte paski. Pakowaliśmy koc, termos z herbatą, ugotowane przez mamę ziemniaki i jajka, a także pokrojone w plastry ogórki, pomidory i smażonego kurczaka. Po jedzeniu graliśmy z ojcem w badminton albo w kalambury.

Najpierw jechaliśmy autobusem, a potem pociągiem do stacji Zamorskaja. Po wyjściu z pociągu rodzice kupowali u staruszki świeżą marchewkę i musiałam ją zjeść, zanim doszliśmy do jeziora. Ojciec zwracał się wtedy do mnie „króliczku”. Zaraz po wybraniu miejsca i rozłożeniu koca biegł do wody. Nurkował jak foka, a pływając, śmiesznie sapał i parskał. Mama nie umiała pływać. Ja bawiłam się w piasku z innymi dziećmi. Były to bardzo szczęśliwe czasy, po których zostały mi same dobre wspomnienia.

Rodzice kochali mnie i rozpieszczali. Siebie nawzajem też kochali, ale w taki solidny, radziecki sposób. Zawsze mieli takie samo zdanie na każdy temat. Codziennie wstawali o piątej i gimnastykowali się, słuchając radia. Potem na śniadanie jedli gotowane jajka oraz pili herbatę z cytryną i półtorej łyżeczki cukru.

Mieszkaliśmy w małym jednopokojowym mieszkaniu. Rodzice mi ufali i dawali dużo swobody. Mama była drobna i miała silny charakter. Pracowała jako pielęgniarka w szpitalu. Miła powierzchowność i taki sam sposób bycia bardzo przyda-

wały się w kontaktach z pacjentami bojącymi się operacji. Odkąd pamiętam, mama zaplatała włosy w warkocz i podkreślała oczy kredką. Była zawsze uśmiechnięta. Uważała, że człowiek powinien mieć nadzieję na lepsze jutro. Z pracy przynosiła igły i białe fartuchy. Mnie nie interesowały rzeczy dla dziewczynek, nie lubiłam kobiecych prac. Dopiero kiedy poślubiłam Aleksandra, nauczyłam się gotować oraz zajmować domem i dziećmi.

Ojciec był wojskowym. Nosił długie kozackie wąsy, spod których nie widać było ust. Miał głęboko osadzone lśniące oczy i donośny głos. Jako dziecko byłam strasznym urwisem. Lubiałam wszystko, co miało związek z bronią, mundurami i pamiątkami z wojny. Najchętniej bawiłam się w bazie wojskowej, gdzie ojciec zabierał mnie ze sobą, idąc do pracy. Żołnierze śpiewali mi piosenki, a ja przyglądałam się, jak ćwiczą. *Ojciec dobrze zarabiał*, więc mama nie musiała pracować. Ale nie chciała składać na jego barki całej odpowiedzialności za utrzymanie rodziny. To było nietypowe podejście jak na kobietę radziecką.

Od dziecka przyjaźniłam się tylko z chłopakami. Do siedemnastego roku życia nie nosiłam żadnych wstążek, kwiatów we włosach ani biżuterii. Miałam serdecznego przyjaciela Maksyma. Czasem mówiłam na niego Kolega od Nocnika, ponieważ przyjaźniliśmy się od bardzo wczesnego dzieciństwa. Razem łaziliśmy po drzewach, budowaliśmy podziemne tunele i robiliśmy tego typu rzeczy. Pamiętam, jak raz spadłam z jabłonki. W locie przekręciłam się w powietrzu i w ostatniej chwili złapałam się gałęzi, co uratowało mi życie. Mogłam się wtedy zabić. Bóg się nade mną zlitował. Rodzice w szoku patrzyli na to wszystko z balkonu. Po raz pierwszy w życiu mnie wtedy

ukarali. Musiałam stać w kącie i bohatersko wytrzymałam całe trzy godziny. Nie płakałam ani nie prosiłam o skrócenie kary. Obserwowałam prusaki mieszkające w szczelinach pod tapetą.

Rodzice zawsze dawali mi dużo swobody, dzięki czemu szybko się nauczyłam, że życie nie jest łatwe. Zнали towarzystwo, z którym się zadawałam, i nie bali się o mnie, bo nas nie interesowało picie alkoholu, chodzenie na dyskoteki czy wybijanie okien. Najgorsze, co zrobiliśmy, to ścięcie róż z kazańskich kwietników i zanieśenie ich nauczycielom w dniu egzaminów.

W lecie rodzice wysyłali mnie czasem na obóz pionierów. To było straszne i zazwyczaj uciekałam stamtąd już po pierwszym tygodniu. Po trzeciej próbie ucieczki rodzice zrozumieli, że nic z tego nie będzie, i przestali mnie zmuszać do tych wyjazdów. Dla wszystkich była to ulga. Ale oczywiście mam też kilka przyjemnych wspomnień z obozu. Przeżyłam tam pierwszą miłość.

Miałam dziesięć lat, kiedy pierwszy raz się zakochałam. Mój wybranek miał na imię Kostik, był ładnym dwunastoletnim blondaskiem o niebieskich oczach. Nie wyznałam mu swych uczuć i skrycie cierpiałam z miłości. Próbowałam za to zwrócić na siebie jego uwagę, oczywiście w sposób bardzo dziecinny, co miało wręcz odwrotny skutek. Zbierałam do słoika pająki i wpuszczałam mu do łóżka. Podstawiałam mu nogę, raz oblałam go wodą z wiadra. Ściągnęłam mu majtki przy wszystkich, co wzbudziło śmiech, a on się strasznie zaczerwienił. Tak więc moja pierwsza miłość nie była najfortunniejsza, ale i tak czułam się najszczęśliwsza na świecie. Kostik zapewne domyślił się, że nie jest mi obojętny. Ogólnie jednak byłam cichym, spokojnym i małomównym dzieckiem.

Gdy podrosłam, takie dziecinady jak z Kostikiem nie wchodziły już w grę. W dziewiątej klasie zakochałam się w Maksymie, towarzyszu dziecinnych zabaw. Spadło to na nas jak grom z jasnego nieba. Od pierwszej klasy siedzieliśmy w jednej ławce, lecz dopiero w wieku czternastu lat połączyło nas gorące uczucie. Ależ byłam wtedy zakochana! Co chwila go rzucałam, a potem wracałam do niego. Przez pierwszy rok tak za mną wariował, że gdy chciałam usiąść w jednej ławce z Wasią Iwanowem, przez trzy tygodnie nie przychodził do szkoły. Po prostu zastrajkował. Zapowiedział, że nie pójdzie więcej do szkoły, jeśli z nim nie usiądę. Wezwano oczywiście rodziców i jego mama błagała mnie, żebym wróciła do naszej ławki. Chodziliśmy ze sobą trzy lata, aż do końca szkoły. On, jak każdy szesnastolatek, nie miał ochoty poprzestawać na trzymaniu się za rękę, przytulania i całowania. Jeszcze przed ukończeniem szkoły chciał doświadczyć prawdziwej dorosłej miłości i stać się mężczyzną. Ja nie byłam wtedy na to gotowa. Poza tym piersi zaczęły mi rosnać dość późno i bardzo mnie bolały.

Tuż przed balem na zakończenie szkoły Maksym zadał mi cios w samo serce. Zerwał ze mną i przyszedł na bal z jakąś studentką. Ja poszłam z kolegą z klasy, który z ochotą przyjął moje zaproszenie. Mama uszyła mi długą różową suknię z szyfonowymi wstążkami i kwiatami, pomogła też zakręcić długie włosy, umalowała mi rzęsy i usta. Wyglądałam fantastycznie. Kiedy po uroczystości rozdania świadectw poszliśmy wszyscy nad rzekę, byłam najpiękniejszą dziewczyną w towarzystwie. Ktoś kupił butelkę szampana, którą wypiliśmy, w krzakach. Maksym powiedział mi wtedy, że wyglądam zachwycająco.

Porozmawialiśmy poważnie i postanowiliśmy, że niezależnie od tego, co się stanie, zawsze będziemy przyjaciółmi.

Jakiś miesiąc później ojciec nagle zmarł na zawał. Mama strasznie to przeżyła. Ta wiecznie uśmiechnięta optymistka teraz była stale smutna i zgaszona. Całymi dniami siedziała w domu i oglądała stare zdjęcia. Trwało to kilka lat, aż w końcu zgasła, mimo braku jakichkolwiek kłopotów ze zdrowiem. Miałam wtedy dziewiętnaście lat i byłam na drugim roku studiów. Maksym stanowił dla mnie wielkie oparcie. Bardzo mi pomógł.

Poszliśmy na tę samą uczelnię i na ten sam kierunek studiów. Chcieliśmy zostać lingwistami. Mieszkałam sama w mieszkaniu po rodzicach i urządziłam tam często studenckie prywatki. Na pierwszym roku studiów przesłam wielką przemianę: nareszcie zaczęłam być kobieca. Zadbłam o włosy, na mojej toalecie pojawił się tusz do rzęs w postaci małego pudełeczka z czarną stwardniałą substancją, na którą należało napluć, żeby zmiękła, i wtedy szybko nałożyć na rzęsy.

Na uczelni miałam tak wielu adoratorów, że nie pamiętam już nawet ich imion. Na drugim roku poznałam mojego przyszłego męża. Jak już wspomniałam, często organizowałam spotkania towarzyskie, podczas których śpiewaliśmy, graliśmy na gitarze, paliliśmy papierosy, gadaliśmy. Pewnego dnia ktoś przyprowadził Aleksandra. To imię po grecku znaczy obrońca ludzi. Był inny niż moi koledzy. Czarujący i sympatyczny, sprawiał wrażenie silniejszego psychicznie i bardziej szczerego, a przy tym kogoś, kto do czegoś w życiu dojdzie. Podczas tego pierwszego spotkania nie zwróciłam na niego szczególnej uwagi. Przeczytałam tylko potem w słowniku imion,

że Aleksander to ktoś, kto umie pokonać wszystkie przeszkody, broni słabszych, mocno kocha i dba o potrzebujących.

Z początku średnio mi się podobał, choć nie miałam mu nic konkretnego do zarzucenia. Wyglądał i zachowywał się jak hipis. Nosił byle jakie ubrania, co chwila wtrącał angielskie słowa. Był na luzie i dużo się uśmiechał, co odebrałam jako przejaw zarozumiałstwa. Ale miał też poczucie humoru, a jest to cecha, którą bardzo w ludziach cenię. Pewnie dlatego od lat przyjaźniliśmy się z Maksymem. Rozumieliśmy się bez słów i śmialiśmy się z tego samego. Gdyby ktoś mi wtedy powiedział, że Aleksander zostanie moim mężem, wyśmiałabym go.

Minął rok, nim znów zobaczyłam Saszę. Wszystko przez Maksyma, który pewnego dnia zaproponował, że go do mnie przyprowadzi. Lubił go i uważał, że to ciekawy człowiek. Zaintrygował mnie. Zastanawiałam się, dlaczego niespecjalnie za nim przepadam, skoro jest tak niezwykły i wspaniały. Przyjrzałam mu się zatem bliżej i wtedy się zakochałam. Pobraliśmy się już po zrobieniu dyplomu. Ale najpierw musiałam dokonać wyboru, bo tak się złożyło, że Maksym i Aleksander oświadczyli mi się jednocześnie. Miałam wrażenie, że dla Maksyma jestem raczej kumplem, natomiast Aleks widzi we mnie kobietę — tak gorąco mnie zapewniał, że zależy mu tylko na moim szczęściu. Przedtem Maksym po im-prezce często zostawał u mnie na noc. Spaliśmy w tym samym łóżku, ale nic więcej się nie działo. Nawet się nie całowaliśmy. Traktowałam go jak brata. Kiedyś bąknął coś, że wtedy w szkole zrobił straszne głupstwo, ale wybuchnęłam tylko śmiechem.

Oczywiście kiedy zaczęłam spotykać się z Aleksandrem, to on zostawał u mnie na noc, a nie Maksym. Ale przyjaźnili-

śmy się wszyscy troje i byliśmy wręcz nierozłączni. Nazywano nas nawet Święte Trio. Mieliśmy różne charaktery i osobowości i dlatego dobrze się uzupełnialiśmy. Maksym był krótko ostrzyżonym blondynem o niebieskich oczach, wysokim i muskularnym. Dużo się uśmiechał, a kiedy coś bajdurzył, mrugał śmiesznie oczami. Ja byłam dość masywnej budowy i wyglądałam poważnie, choć tak naprawdę dobry humor rzadko mnie opuszczał i potrafiłam śmiać się ze wszystkiego. Sasza, jasny szatyn, miał długie włosy do ramion, nosił okulary i dziwne ciuchy. Miał ładne usta i przepiękne oczy. Wypowiadając opinię na jakiś temat, dotykał palcem skroni i zaczynał zdanie od słów: „Nie chcę się za bardzo wymądrzać, ale...”. Nasza miłość wybuchła nagle. Pewnej nocy został po imprezie. Grzecznie leżał na podłodze przykryty kocem, ja na łóżku. Snuliśmy na głos plany na przyszłość. Dopiero rano doszło do pocałunku, a to dlatego, że strasznie zmarzył na podłodze i spytał, czy jednak może się przy mnie na chwilę położyć. Od tego czasu nie rozstawaliśmy się nawet na moment, a on przeniósł się do naszej grupy. Zdał w tym celu wszystkie konieczne egzaminy.

Na wykładach siedzieliśmy we trójkę, Maksym, Sasza i ja, w przerwach chodziliśmy wszędzie razem. Sasza na studia przyjechał z Samary. Jego matka była urzędniczką państwową i dlatego dostał miejsce w akademiku. Na drugim roku zarabiał trochę, sprzedając dzinsy. Nie było to tak do końca legalne, ale młodość nie przejmuje się takimi rzeczami. Potem wprowadził się do mnie. Maksym cały ten czas nie miał żadnej dziewczyny, tylko starał się być jak najbliżej mnie. Coraz mniej miał jednak ku temu okazji. Pod nieobecność Saszy próbował wyznawać mi miłość, podkreślał, jak ważną rzeczą jest nasza

przyjaźń. Aż pewnego dnia obaj mi się oświadczyli, a ja z początku obu odrzuciłam.

Maksym zrobił to pierwszy. Zaskoczył mnie, bo wiedział przecież, że chodzę z Saszą. Gdy powiedziałam o tym Saszy, poszedł do Maksyma w środku nocy i przyprowadził go do mnie. Kazał mi wybierać. Ja kazałam obu się wynosić. Wyszli. Po dwóch godzinach wrócił Sasza i teraz on się oświadczył. Zgodziłam się, ale pod warunkiem, że obetnie te swoje hipi-sowskie włosy. Zgłosiliśmy się do urzędu stanu cywilnego, a potem pojechaliśmy do jego matki do Samary. Była to miła kobieta, pulchna i też wyglądająca trochę jak hipiska. Miała krótko ścięte włosy, krzykliwy makijaż i czerwone paznokcie. Od pierwszej chwili mnie polubiła. „Dobrze, że kochasz mego syna - powiedziała. - Ale przede wszystkim szanuj siebie i bądź dla siebie najważniejsza. Pamiętaj, dziecko: jak kobieta siebie nie kocha, to inni też nie będą”.

Wróciliśmy do Kazania. Sześć razy podchodziliśmy do ślubu. Jedno pozwolenie podałam w ataku złości, drugie podał z zazdrości Aleks. Nasz związek był pełen namiętności i bardzo intensywny emocjonalnie.

Maks bardzo cierpiał, kiedy dostał zaproszenie na nasz ślub. Jego uczucie do mnie jeszcze się wzmogło. Ale tak już w życiu jest. Gdy coś staje się nieosiągalne, człowiek wpada w rozpacz. Między mężczyzną a kobietą nie ma prawdziwej i bezinteresownej przyjaźni albo też raczej zdarza się tylko ze strony kobiet, bo my dajemy z siebie zrozumienie i wsparcie, a dobierając przyjaciół, nie kierujemy się atrakcyjnym wyglądem. Umiemy oddzielić pociąg *fizyczny* od przyjaźni. Dla mężczyzny jest to trudniejsze. Maks rywalizował z Saszą i przegrał, ale z honorem. Wznosząc na weselu toast, oświadczył, że zawsze będzie moim przyjacielem i do końca życia mogę na niego liczyć.

Wybrałam Saszę, ponieważ był kimś nowym i przez to nieznanym, a więc mnie fascynował. Maks rzeczywiście zachowywał się jak przyjaciel, ale widać było, że cierpi i to coraz bardziej. Trudno mu było pogodzić się z faktem, że jestem kobietą zamężną i nie mogę jak kiedyś być w każdej chwili do jego dyspozycji. Poza tym nie dzwoniłam już jak dawniej i nie mówiłam: „Przyjedź, mam chandrę”. Teraz miałam obok siebie inne męskie ramię, na którym mogłam się wypłakać - mojego męża. Maks mnie potrzebował i martwiłam się o niego, ale teraz miałam rodzinę. Po roku dostał propozycję pracy jako tłumacz w amerykańskim sądzie i wyjechał do Stanów. Nie zrobił tego ze względu na karierę zawodową, tylko po prostu nie mógł dłużej znieść widoku naszego szczęścia. To było zbyt bolesne.

Pożegnaliśmy się serdecznie i obiecaliśmy sobie, że będziemy w kontakcie. Ale jak to często w życiu bywa, rodzina, nowe sprawy i obowiązki strasznie pochłaniają czas i zaprzętają uwagę. Pomału nasze relacje się rozluźniały, choć Maks wiernie dzwonił z Nowego Jorku z życzeniami na urodziny i rocznicę ślubu. Po dwóch i pół roku zaszłam w ciążę. W tym czasie Sasza prowadził sklep z ciuchami, do którego towar sprowadzał z Turcji. Sprzedaliśmy mieszkanie po moich rodzicach i postawiwszy wszystko na jedną kartę, zainwestowaliśmy pieniądze w ten interes. Z początku jeździłam z nim wszędzie, nie rozstawaliśmy się ani na chwilę. Ale odkąd zaszłam w ciążę, Sasza bardzo przejmował się moim zdrowiem i zabronił mi się przemęczać. Zaczęłam wtedy dawać prywatne lekcje angielskiego dla dzieci. Moi uczniowie przeważnie byli rozpuszczeni jak dziadów-

skie bicze i pełni pretensji, bo nigdy niczego im nie odmawiano. Pochodzili z bogatych rodzin i ze względu na mój stan przysyłano po mnie samochód z kierowcą, który po lekcji odwoził mnie do domu. Płacono mi w dolarach.

Nadszedł termin porodu. Tak się złożyło, że Sasza tego dnia dopiero wracał z podróży, samolot się spóźnił i pod salą czekał Maksym, który przyjechał na jakiś czas ze Stanów. Rozplakał się ze wzruszenia, kiedy urodziłam dwie dziewczynki, a potem został ich ojcem chrzestnym. Sasza po przyjeździe zappełnił mój szpitalny pokój kwiatami i balonami. Z córeczkami wróciliśmy już do nowego mieszkania, w którym czekał śliczny, umeblowany pokój dziecienny. Maksym pomógł Saszy przygotować wszystko na czas.

Mój przyjaciel wrócił do Ameryki, a ja zostałam w domu z kochającym mężem i cudownymi dziećmi. Dowiedzieliśmy się potem, że Maksym ożenił się z Rosjanką, która niedawno wyemigrowała z Moskwy. Nigdy dużo o sobie nie mówił, więc nie byliśmy aż tak bardzo tą wiadomością zaskoczeni. Kiedy spytałam go, czy jest szczęśliwy, odparł krótko, że tak.

Sasza ubóstwiał mnie i dzieci. Kiedy płakały w nocy, wstawał do nich, żebym ja mogła pospać. Dbał, abym była wypoczęta i zdrowa. Dziewczynki przepadały za nim i zasypiały natychmiast, kiedy tylko zaczynał śpiewać im kołysankę. Gdy wracał z pracy, wyciągały do niego radośnie rączki. Szaleńczo je kochał, a mnie ciągle powtarzał, że jestem najcudowniejszą istotą na świecie. Przez te trzy lata Aleks zmienił się z beztroskiego hipisa w odpowiedzialnego męża i ojca oraz szanowanego biznesmena. Codziennie z wytęsknieniem czekałam na jego powrót z pracy. Podobno przy pierwszym dziecku jest najwięcej roboty. Dla mnie nawet przy dwóch pierwszych dzieciach wszystko było rozkosznie łatwe. Uwielbiałam je, kochałam w nich wszystko, godzinami mogłam się z nimi bawić, robić im zdjęcia i być przy nich. Troszczyłam się też o Saszę, gotowałam mu smaczne obiady. Życie było cudowne.

Wstawałam wcześniej rano. Dziewczynki budziły się jednocześnie z ojcem i kiedy on je całował na dzień dobry i zmieniał pieluszki, ja przyrządzałam dla nas wszystkich śniadanie - dla dzieci mleko i przecierane warzywa i owoce, a dla Saszy kanapkę z masłem i czerwonym kawiosem oraz świeżo zaparzoną kawę. Miałam sporo roboty w domu, ale nigdy nie czułam się umęczoną kurą domową. Wszystko, co robiłam, sprawiało mi radość. Byłam prawdziwie kochającą i oddaną żoną oraz matką.

Kiedy po wypadku poczułam się nieco lepiej, lekarze puścili mnie do domu. Aleks mnie przywiózł i przez kilka miesięcy troskliwie się mną zajmował. Potem przyjechała jego matka, żeby mu pomóc. Bardzo mi współczuła, była serdeczna i opiekowała się mną z wielkim oddaniem. Sasza sam nie dałby rady, bo przecież musiał jednocześnie zarabiać na moje leczenie i rehabilitację. Potwornie przeżywałam, kiedy musiałam się załatwiać na leżaćo w obecności męża. Ja, do niedawna jeszcze elegancka młoda kobieta. To straszne, kiedy człowiek nie ma władzy nad swoim ciałem.

W miarę upływu czasu Sasza zaczął się ode mnie oddalać. Podobno problemy zbliżają ludzi, ale nasze niekończące się kłopoty powodowały coraz większy rozdźwięk między nami. Miałam wielką potrzebę mówienia o swoim bólu, ale on nie potrafił mnie wysłuchać. Coraz później wracał do domu, zachodził do mojego pokoju tylko na chwilę, żeby się przywitać i za-

pytać, jak się czuję. Wszystkie obowiązki przejęła jego matka. Gdy nie wracał, okłamywała mnie, że dzwonił i mówił, że w sklepie jest remont, trzeba podliczyć podatki, idzie na spotkanie i tak dalej. Widziała, jak bardzo cierpię, i w głębi duszy mi współczuła. Od naszego pierwszego spotkania okazywała mi wiele serdeczności. Zawsze mnie lubiła i akceptowała. Do domu przychodziła też pielęgniarka, która przynosiła leki i robiła zastrzyki. Sasza coraz częściej w ogóle nie zjawiał się na noc i nagle zaczął kupować nowe krawaty. Był to pierwszy sygnał, że kogoś ma. Od razu się domyśliłam i strasznie rozpaczałam z tego powodu. Mój mąż czuł się jeszcze młody i nie widział sensu w siedzeniu przez resztę życia przy kalekiej żonie.

Niespodziewanie zmarła jego matka i nie miał się kto mną zająć. Sasza siedział ze mną wtedy przez kilka dni, ale nie bardzo mieliśmy o czym rozmawiać. Był wyraźnie skrepowany i nieswój. Ja wstydziłam się swojego wyglądu i stanu, czułam się zupełnie bezradna. W końcu oświadczył: „Przykro mi, ale trzeba jakoś dalej żyć. Może założę jeszcze rodzinę i będę miał dzieci”. Kilka tygodni później wywiózł mnie do domu opieki dla osób niepełnosprawnych - przybyłam tam z jedną walizką i wózkiem inwalidzkim. Odtąd żyłam samotnie wśród podobnych do mnie kalek. Nie byłam już Tanią. Byłam jej namiastką: jadłam, piłam i załatwiałam się w łóżku. Nie interesowało mnie nic ani nikt. Ciągle tylko płakałam i wyczekiwałam odwiedzin Saszy. Nie mogłam uwierzyć, że tak łatwo zrezygnował, odwrócił się ode mnie, przestał o mnie walczyć. Przez pierwszy tydzień odwiedzał mnie codziennie, ale najwyraźniej robił to z poczucia obowiązku - w końcu był moim mężem. Potem pokazywał się trzy razy w tygodniu, zawsze z tą samą niepewną miną. Następnie zjawiał się tylko raz na tydzień. Domyślałam się, dlaczego tak się dzieje. Poprosiłam, żeby więcej nie przychodził, i wystąpiłam o rozwód.

Nie miałam wtedy w ogóle kontaktu z Maksymem. Zadzwoił do mnie, kiedy jeszcze opiekowała się mną mama Saszy, a ona myśląc, że to mój kochanek, skłamała, że się wyprowadziliśmy. Nie było to ładnie z jej strony. W ogóle nie spytała mnie o zdanie. Nikt nie zastanawiał się nad tym, co ja czuję. Trzy razy próbowałam popełnić samobójstwo, ale zawsze ktoś mnie ściągał z powrotem z tamtego świata.

Pewnego dnia dostałam niespodziewaną wiadomość. Okazało się, że Maks poruszył niebo i ziemię, żeby mnie odnaleźć. Dodzwonił się wreszcie do domu opieki i prawie krzycząc, powiedział, że szukał mnie przez cały czas. Pytał, co się ze mną dzieje. Odparłam, że ja już nie żyję, i odłożyłam słuchawkę.

Maks wsiadł w samolot i przyleciał z Ameryki. Najpierw poszedł do sklepu Saszy, wypytał o wszystko, a potem sprzął go na kwaśne jabłko. Sasza żył już wtedy z młodą kobietą z Sankt Petersburga, miał zamiar się ożenić i założyć nową rodzinę. Nigdy nie mogłam zrozumieć u mężczyzn tego, że tak szybko potrafią zapomnieć o przeszłości i zacząć wszystko od początku. Maks przyjechał do domu opieki i porozmawiał z lekarzami. Żebym znów mogła chodzić, konieczna była trudna operacja, której koszt wynosił ponad pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Maks zdecydowany był mi pomóc. Kiedy wszedł do mojego pokoju, spałam w wózku inwalidzkim przed zakratowanym oknem. Byłam wychudzona, bardzo się postarzałam. Ukląkł przy mnie, ucałował moje ręce i rozpłakał się. Ja też płakałam. Namawiał mnie na operację w Ameryce, ale jak powiedział le-

karz, kiedy pacjent nie chce żyć, to choćby robić nie wiadomo jakie cuda, i tak jego stan się nie poprawi. Ja byłam właśnie taką pacjentką. Nie chciałam żadnej operacji, żadnej Ameryki. Nie chciałam dłużej żyć. Maks poprosił lekarza, żeby pozwolił mu zawieźć mnie na grób córeczek. Przeraziłam się, gdy zobaczyłam, jak bardzo jest zaniedbany. Kto się nim zajmie, gdy zabraknie matki? Wiadomo, mężczyźni nie mają głowy do takich rzeczy, ale żeby tak zaniedbać grób własnych dzieci?

Zrozumiałam, że jednak muszę żyć i zgodziłam się na operację. Wtedy Maks opowiedział mi o sobie. Ożenił się tylko po to, żeby zapomnieć o mnie, ale się nie udało. Rozwiódł się więc i cały czas mnie kochał, cierpiąc z powodu naszego rozstania. Pomyślałam, jak ważne jest, aby pewnych *rzeczy* w życiu nie przegapić. Gdyby nie ta nasza nieszczęsna kłótnia i zerwanie, gdy mieliśmy po czternaście lat, kto wie, może dziś bylibyśmy szczęśliwi. Od dziecka łączyła nas wyjątkowa bliskość, a przecież najtrwalszą podstawą związku jest przyjaźń. Jednak z drugiej strony, gdyby życie toczyło się zbyt gładko, nudno byłoby żyć.

Maks przygotował wszystko do podróży. Zgromadził całą medyczną dokumentację, wyniki badań i zalecenia. Pojechaliśmy na lotnisko. Sasza w ogóle się nie pokazał, nawet się ze mną nie pożegnał. Bardzo mnie to zabolalo. Przypomniało mi się, jak po przyjeździe na świat naszych córeczek snuliśmy plany na przyszłość. Że dzieci będą się kształcić w Ameryce, a my będziemy do nich jeździć na wakacje. Myśląc teraz o tym, znów przeżyłam załamanie i przeraziłam się, że nigdy już nie uwolnię się od przeszłości.

Prosto z lotniska pojechałam do szpitala. Zespołem chirurgów kierował doktor Steadman. Maks trzy dni przesiedział

w korytarzu, nie śpiąc i nie jedząc. Tylko palił i strasznie się denerwował. Powtórzyła się sytuacja sprzed lat, znów towarzyszył mi w szpitalu. Wtedy rodziły się moje córeczki, teraz to ja rodziłam się na nowo.

Odkąd wywieziono mnie z sali operacyjnej, Maks nie odstępował mi na krok. Operacja się udała. Znów opowiedział mi coś więcej o sobie. Okazało się, że jest właścicielem dobrze prosperującej szkoły języka angielskiego dla rosyjskich imigrantów w Nowym Jorku. Zapewnił mnie gorąco, że nadal mnie kocha. I tak znów mam przy sobie mojego najlepszego przyjaciela i męskie ramię, na którym mogę się wypłakać.

Wstaję już prawie o własnych siłach. Przede mną nowe życie. A jednak tęsknię za Saszą, ciągle mi się śni. Widzę też we śnie moje dzieci i moją matkę. Brakuje mi ich.

Ostatnio zajrzałam do słownika imion i sprawdziłam, co znaczy Maksym. Pochodzi od łacińskiego słowa maximus i oznacza największy, najwspanialszy. Rodzice, nauczyciele i przyjaciele nie będą mieć z takim chłopcem żadnych kłopotów, rysuje się przed nim wspaniała przyszłość. Ma bogatą wyobraźnię i dużą wiedzę. Dorosły Maksym nie odnosi zbyt wielu sukcesów, przeszkadza mu w tym brak pewności siebie. Dobrze, jeśli ma przy sobie wyrozumiałą osobę, która go wspiera i w niego wierzy. Maksym to człowiek o wielkim sercu, bardzo wrażliwy -i^zawsze gotów pomóc innym. Wcześniej zaczyna interesować się dziewczętami. Przed ożenkiem zdąży poznać przyjemności seksu, jednak w małżeństwie jest bardzo solidny. Jak kocha, to na zawsze. Bardzo ważne są dla niego dzieci. Nie jest zdolny do zdrady ani do oszustwa.

Historia tancerki

Urodziłam się w Kijowie. Ojciec był budowlańcem, ciężko pracował i dobrze zarabiał. Mama siedziała ze mną w domu. Byli dość młodzi, kiedy się urodziłam. Mieszkaliśmy w typowym ukraińskim mieszkaniu: dwa pokoje z centralnym ogrzewaniem dość nowoczesna kuchnia i duży balkon. Nie byliśmy zamożni, ale i nie biedni.

Dzieciństwo upłynęło mi szczęśliwie. Miałam sympatycznych kolegów i koleżanki, z którymi się przyjaźniłam. Sąsiedzi też byli mili. Żyło się nam całkiem dobrze. Podstawę naszego wyżywienia stanowiły ziemniaki, pomidory i barszcz, a na specjalne okazje, na przykład na Boże Narodzenie, Nowy Rok czy urodziny, zdarzał się kawior. Rosjanie uwielbiają hucznie obchodzić święta i podawać na stół mnóstwo jedzenia, nawet jak ich na to nie stać. Stoły muszą się uginać. Najprzyjemniejsze jest święto 1 Maja, kiedy oprócz jedzenia, picia i miłego towarzystwa oko cieszą wiosenne kwiaty.

W centrum miasta było kino, gdzie lubiliśmy chodzić w sobotnie i niedzielne popołudnia. Największą atrakcją stanowiły zawsze filmy amerykańskie, pokazujące nieosiągalne dla

nas życie. Przez dziesięć lat chodziłam do szkoły, przez pięć uczyłam się angielskiego. Nie byłam szczególnie dobra z tego przedmiotu i niezbyt się starałam, ponieważ nie sądziłam, że ten język może mi się kiedykolwiek przydać.

* **

Za mąż wyszłam za pierwszego chłopaka i pierwszego seksualnego partnera. Był nauczycielem akademickim. Poznaliśmy się, kiedy miałam szesnaście lat, a on dwadzieścia pięć. Szybko zdecydowaliśmy się na ślub. W Rosji kobiety młodo wychodzą za mąż. Nikt tu nie zwleka jak w Ameryce.

Wesele było duże, zaprosiliśmy wszystkich krewnych i przyjaciół. Moje wspomnienia nieco się już zatarły, ale pamiętam, że przyszło mnóstwo ludzi i świetnie się bawiliśmy. Goście się upili, jak to jest u nas w zwyczaju. W kilkudniową podróż poślubną pojechaliśmy do Jałty, a po roku przyszedł na świat nasz syn. Rodziłam w szpitalu w Kijowie. Na Ukrainie kobiety zostają w szpitalu co najmniej dziesięć dni po porodzie. Lekarze i pielęgniarki byli dla mnie bardzo mili.

Przeżyłam straszne chwile, kiedy u mojego męża, będącego wówczas tuż po trzydziestce, wykryto raka płuc. Choć lekarze robili wszystko, w wieku dwudziestu ośmiu lat zostałam wdową z dzieckiem na utrzymaniu. U nas dużo osób pali papierosy, co mogło być przyczyną choroby mojego męża. Ale być może nie papierosy zawiniły, bo znam też przypadki, kiedy niepalący umierali na raka. Do dziś co wieczór wypalam kilka papierosów i żyję.

Musiałam się jakoś zmobilizować, żeby zarobić na siebie i na dziecko. Postanowiłam wyjechać do Stanów. Wszyscy gadali

o tej Ameryce, jakby to było nie wiadomo jakie чудо. Chciałam przekonać się, jak jest naprawdę. A wcale niełatwo było się tam dostać. Obrótne koleżanki pomogły mi znaleźć na miejscu męża. Nie chodziło o żadną miłość, była to zwyczajna płatna usługa, która kosztowała mnie dwadzieścia pięć tysięcy dolarów. Miałam trzydzieści jeden lat, kiedy dostałam wizę i wyjechałam do Nowego Jorku. Prawie nikogo tam nie znałam, miałam tylko jedną szkolną koleżankę, która mieszkała na Manhattanie.

Synek został w kraju. Myślałam, że nasze rozstanie będzie krótkie, tylko dopóki się nie urządzę, a tymczasem spędził u moich rodziców pięć lat. Nigdy przedtem nie pracowałam zawodowo, a pieniędzy potrzebowałam rozpaczliwie i natychmiast. Koleżanka zatrudniona w barze go-go załatwiła mi występy na scenie. Z zarobków byłam w stanie posłać rodzicom na utrzymanie mojego dziecka trzysta dolarów miesięcznie, co było znaczną kwotą. Wtedy u nas miesięczna pensja na pełnym etacie wynosiła jakieś sto pięćdziesiąt dolarów. Po pewnym czasie rodzice kupili nowe mieszkanie i spłacali je po około sto dolarów miesięcznie.

Dzwoniłam do domu, kiedy tylko mogłam, na ogół dwa razy w tygodniu. Mój syn chodził do dobrej szkoły, uczył się angielskiego i francuskiego. Miałam również do spłacenia dług w agencji. Te dwadzieścia pięć tysięcy oddawałam w miesięcznych ratach po tysiąc dolarów. Za to mój „mąż” udawał przed władzami, że jesteśmy małżeństwem, dzięki czemu miałam w końcu dostać zieloną kartę.

Przez rok pracowałam w różnych barach, tańcząc topless przy stolikach. Wśród moich klientów byli Rosjanie, Amerykanie,

Latynosi, Murzyni, Azjaci. Wszyscy oczekiwali od Ameryki tego samego: zdobyć wykształcenie, mieć dobrze płatną pracę, żyć niezależnie i szczęśliwie. Od przyjazdu skupiałam się niemal wyłącznie na pracy, nie traciłam czasu na żadne rozrywki czy wychodzenie gdzieś wieczorami. Pracowałam i spałam, nic więcej. Nie powiem, żeby mi to odpowiadało, ale bardzo potrzebowałam pieniędzy. Dziecko rosło i trzeba było na nie zarobić.

Praca nie należała do najprzyjemniejszych. Klienci próbowali zawierać bliższe znajomości z tancerkami, proponowali seks. Aleja miałam swoje zasady, a poza tym źle bym się z tym czuła. W tej branży krążyły opowieści o dziewczynach zarabiających przez jedną noc tysiące dolarów. Rzadko zdarzało mi się coś takiego, ale bywało, że w dobrym tygodniu miałam na czysto pięć tysięcy dolarów. Raz udało mi się w tydzień zgarnąć osiem tysięcy.

Uważam, że mądrze gospodarowałam pieniędzmi. Nie wydawałam ich bez sensu na ciuchy, narkotyki ani nic takiego. Sporo posyłałam rodzicom na dziecko, resztę inwestowałam. Po trzech latach spłaciłam długi i postanowiłam zacząć lokować pieniądze, więc kupiłam kamienicę na Brooklynie. Doszłam do słusznego wniosku, że moja kariera niebawem może się skończyć, bo będę już za stara do tej pracy. Należało pomyśleć o jakimś zabezpieczeniu. Wiele lat mieszkałam na Brooklynie i sporo się nasłuchałam o działalności rosyjskiej mafii w tej dzielnicy. Ale do mnie nigdy się nie wtręcali. Nie wchodziliśmy sobie w drogę. Ja z zasady siedziałam cicho, nie wychylałam się i nie pchałam w kłopoty.

W naszej pracy zdarza się, że mężczyźni zakochują się w tancerkach albo przynajmniej tak twierdzą. Sama miałam

kilku kochanków. Ale poznawani w klubie panowie, przychodzący „na tancerki”, byli przeważnie albo żonaci, albo starzy, albo mieli jakieś problemy psychiczne. Jak tylko dłużej gdzieś popracowałam, zaraz miałam stałych klientów, którzy zjawiali się, by patrzeć specjalnie na mnie. Niektórzy pojawiali się regularnie nawet przez kilka lat. Dzięki nim zarabiałam na utrzymanie swoje i rodziny, więc byłam zawsze dla nich miła.

Moja praca spowodowała jednak, że zaczęłam krytycznie patrzeć na mężczyzn, choć oczywiście trafiali się też porządni faceci. Większość z nich, jak wynikało z moich obserwacji, była samotna i nieszczęśliwa. Dla tych wiecznie zapracowanych -zgodnie z amerykańskim stylem życia - facetów dziewczyny z barów stawały się jedynymi bliskimi znajomymi. Przychodzili nie po seks, tylko zwyczajnie pogadać. Kobiety z byłego ZSRR szczególnie ich ciekawią, bo są inne niż Amerykanki, które -ich zdaniem - mają przewrócone w głowach.

Na Ukrainie, kiedy byłam nastolatką i trzeba było kupić buty, brało się takie, jakie akurat stały w sklepie, choćby miały zły rozmiar czy nieodpowiedni kolor. Nikomu nie przyszłoby do głowy narzekać. W Ameryce można kupić dziesięć par w dokładnie takim kolorze, fasonie i rozmiarze, jaki się tylko zamarzy. To prosty przykład, ale wiele mówiący. Amerykanki dorastają w przekonaniu, że wszystko jest w zasięgu ręki i wszystko im się należy. Są niezależne i wymagające. Nieraz wysłuchiwałam narzekań Amerykanów na temat kaprysów ich rodaczek.

Zdarzyło mi się przez te kilka lat parę niemiłych sytuacji, kiedy mężczyźni wygłaszali chamskie uwagi typu: „Skąd ty się w ogóle wzięłaś? Przecież nie umiesz nawet mówić po ludzku”. Na początku bardzo się przejmowałam, nawet płakałam,

potem w ogóle mnie to nie ruszało. Oczywiście teraz mój angielski znacznie się poprawił. Lubię w Nowym Jorku to, że mieszka tu zbieranina z całego świata. Odpowiada mi, że wszyscy ludzie żyją razem, pracują, są dla siebie uprzejmi. Wiem, że jest sporo biedaków, ale jest też duża klasa średnia. Każdy ma wolność wyboru i może decydować, co chce w życiu robić. Tymczasem w krajach byłego ZSRR większości obywateli nie stać nawet na to, żeby codziennie jeść kawior, przysmak i specjał. Coraz więcej Rosjanek przyjeżdża do Ameryki i chce tutaj wyjść za mąż, bo tak jest najprościej. Po co się męczyć w Rosji? Tam kobieta robi wszystko: pracuje zawodowo, potem sprząta w domu, gotuje i zajmuje się dziećmi. Życie w Ameryce jest dużo łatwiejsze.

Życzę wszystkim Ukrainkom, aby miały szansę znaleźć swoje szczęście. Rozumiem, że wyjazd do Stanów w pogoni za lepszym życiem może wydawać się najlepszym rozwiązaniem, ponieważ u nas wciąż jest wiele problemów. Szczególnie dotkliwa jest korupcja, choć w ostatnich latach nastąpił pewien postęp. Poprawiło się też sądownictwo, są już publiczni obrońcy i uczciwe procesy. Pod tym względem zbliżamy się do Ameryki. Tęsknię bardzo za Ukrainą i co roku tam jeżdżę.

Mam w USA znajomych, ale moje najlepsze przyjaciółki to Rosjanki. Niektóre wyszły za mąż za Rosjan, mają udane życie, pracę i piękne domy.

Nadal zarabiam na życie tańcem, lecz moja kariera zbliża się do końca. Robię się coraz starsza, pojawiają się młodsze konkurentki. I tak długo tańczyłam. Choć znam kilka takich tancerek, które ukończyły sześćdziesiąt lat, a już całkiem sporo jest w tej branży pięćdziesięciolatek.

Mam trzy domy na Brooklynie i robię kurs agenta nieruchomości, więc otwiera się przede mną kolejny rozdział w życiu. Mój syn mieszka ze mną. Był to dla mnie niezwykle radosny dzień, kiedy po pięciu latach rozłąki przyjechał do Nowego Jorku. Uczy się w collegeu, oboje przywykliśmy już do tutejszego życia. Moje marzenia i nadzieje obracają się teraz głównie wokół niego; ciągle myślę o tym, jak to będzie, gdy skończy studia i zacznie pracować. Z początku miał trudności, bo żeby naprawdę rozumieć ten kraj, trzeba się tu urodzić i wyrosnąć. I dla mnie, i dla niego był to szok, że życie może wyglądać tak bardzo inaczej niż to, które znaleźliśmy do tej pory. Ale nie sądzę, by któreś z nas chciało kiedyś wracać. Rodzice są już starzy i schorowani, mają swoje mieszkanie, w wielkim bloku, gdzie wszyscy są jak jedna rodzina, czego się zupełnie nie spotyka w Stanach. Nie mają nawet ochoty przyjechać do mnie w odwiedziny. Tym bardziej więc się cieszę, że im pomagam.

Zycie jest piękne

Urodziłam się dawno temu daleko stąd, lecz moje życie wcale nie przypominało bajki. Pewnie nic nie wiecie

o moim rodzinnym mieście, a jeżeli nawet coś słyszeliście, to bardzo niewiele.

Historia Sewastopola liczy dwa i pół tysiąca lat. Na początku była tu grecka kolonia Chersonesz. Dzisiaj to duże miasto i port na Krymie, w którym mieszka około dwustu tysięcy kobiet

i sto pięćdziesiąt tysięcy mężczyzn. Pod koniec XVIII wieku ziemie te weszły w skład potężnego imperium rosyjskiego. Na polecenie Katarzyny II wybudowano w Sewastopolu twierdzę, będącą głównym portem i siedzibą rosyjskiej floty wojennej.

Ostatniej z wielu tajnych inwestycji, noszącej kryptonim „Obiekt 221”, dokonano w drugiej połowie lat siedemdziesiątych XX wieku. Była to budowa podziemnej siedziby dowództwa Floty Czarnomorskiej, stacjonującej w Sewastopolu. Na pięciu podziemnych kondygnacjach znalazło się centrum dowodzenia i szpital, który mógł przyjąć nawet trzy tysiące pacjentów. Do pracy przy tym obiekcie zwieziono z całego kraju trzydzieści tysięcy robotników. Wśród nich znalazł się czło-

wiek, który - według relacji mamy - został moim ojcem. Różne rzeczy mama o nim opowiadała, za każdym razem co innego. Dopiero gdy zaczęłam dorastać, stopniowo pojawiało się w tych opowieściach coraz więcej prawdy.

W wieku dwunastu lat stwierdziłam odkrywczo, że mam włosy innego koloru niż mama. Moje były czarne jak smoła, a mama była złotą blondynką. Spytałam ją o kolor włosów ojca, na co odparła, że trudno jej powiedzieć, bo nie zdjął czapki. W miarę upływu czasu pomалу zaczęło do mnie docierać znaczenie tych słów.

Matki przeważnie bardzo pilnowały swoich córek. Powtarzano nam ciągle, żeby pod żadnym pozorem nie wsiadać do samochodu z obcym mężczyzną, nawet gdyby szalała nie wiadomo jaka burza czy śnieżycą. Gdy byłam starsza, koleżanki w szkole opowiadały o swoich pierwszych seksualnych doświadczeniach. Prawie same przerażające historie, bo przeważnie zostały zgwałcone i to w różnych okolicznościach, a to przez sprzedawcę w sklepie spożywczym, a to przez nauczyciela po lekcjach, a to przez kierowcę ciężarówki przy drodze albo też przez grupkę chłopaków, rozbijających się po mieście samochodem zabranym rodzicom. Opowieści takich było mnóstwo. Oceniam, że ponad jedna trzecia znanych mi dziewczyn podzieliła ten los.

Nie było gdzie złożyć skargi. Kiedy ofiara próbowała zgłosić gwałt na milicji, wyśmiewano ją i przeważnie dowiadywała się, że to ona jest winna, bo pewnie sama sprowokowała sprawców. Dla niektórych z nas stało się to czymś w rodzaju obrządku inicjacji, wejścia w dorosłość. Niemal wszystkie byłyśmy wychowywane przez matki, a ojcowie mieli w tym

niewielki udział albo też w ogóle ich nie było. Mężczyźni tak co dziesięć lat wymieniali żonę na młodszą, a przewaga liczebna kobiet w naszym mieście była tak duża, że panie często nie miały szans znaleźć partnera. Kobiety radzieckie przeżywały swoich mężczyzn średnio o dwadzieścia lat, więc większość z nich na starość nie miała już żadnego męskiego ramienia przy sobie.

Kiedy byłam małą, latem mama co niedziela zabierała mnie nad morze. Razem z innymi dziećmi bawiliśmy się w spienionych falach. Chłopcy byli piratami, dziewczynki uwięzionymi księżniczkami. Na brzegu znajdowały się jaskinie, gdzie kiedyś prawdziwi piraci chowali swoje zapasy, a według niezliczonych legend i opowieści — także wielkie skarby.

Czasem zapuszczałam się w te jaskinie pomimo ostrzeżeń mamy, żeby tam nie chodzić. Ciągłe też powtarzała, żebym nigdy nie zostawała sama z chłopcami. W czasie takiej zakazanej wyprawy do jaskini chłopak, który poszedł ze mną, związał mnie. Najpierw myślałam, że to taka zabawa, tymczasem on ściągnął mi bluzkę. Usiłowałam krzyczeć, ale tylko się rozpłakałam. Zdjął mi spódniczkę i gapił się na mnie. „Ty nie masz cycków” — stwierdził. Odparłam, że mam dopiero dwanaście lat, ale za kilka lat to się zmieni. Wtedy sam ściągnął spodnie, a ja zobaczyłam jego wzwiedziony penis i nagle okazało się, że jednak jestem w stanie krzyczeć. Przestraszył się i uderzył mnie w twarz. Minęła dłuższa chwila i nikt się nie zjawił, a wtedy on zaczął się nieprzyjemnie śmiać. Znów się rozpłakałam. Nagle usłyszeliśmy wołanie, które zdawało się dochodzić z piekielnych czeluści. Głos ten rzeczywiście dobiegał z głębi jaskini. Po chwili pojawiło się dwóch żołnierzy z pisto-

letami maszynowymi i latarkami. Jak nas zobaczyli, jeden zaczął strasznie krzyżeć na tego chłopaka: „Nie wolno tu wchodzić! Zabieraj te małą zdzire i jazda stąd!”.

Mój dręczyciel uciekł, nie rozwiązawszy mnie nawet. Jeden z żołnierzy uwolnił mnie i rzekł surowo: „Dobrze zapamiętaj sobie tę nauzkę. Następnym razem możesz nie mieć tyle szczęścia”. Uciekałam stamtąd biegiem, po drodze dwa razy się przewróciłam i otarłam oba kolana.

Przybiegłam do mamy i przytuliłam się do niej. Opowiedziałam, co się stało w jaskini, i pokazałam tego chłopaka, który siedział z rodziną kilkadziesiąt metrów dalej na plaży. Byłam pewna, że zostanie ukarany. To, co stało się w tym momencie, przewróciło moje życie do góry nogami. Mama spojrzała na mnie surowo i powiedziała: „Nikommu o tym nie mów. *Ojciec* tego chłopca jest wojskowym. Zniszczy nas, jeśli piśniemy słowo”. Tego dnia poznałam prawdę o życiu kobiet w moim kraju. Od tamtej chwili pragnęłam znaleźć sobie lepsze miejsce do życia.

Było nam dużo łatwiej, gdy mama poznała lekarza, który przyjechał na urlop do naszego miasta. Wkrótce potem się pobrali i przeprowadziłyśmy się do Kijowa. Mama była z nim bardzo szczęśliwa. Oboje mieli dużo wewnętrznej życiowej mądrości, nie bali się przeszkód. Kiedy pojawiał się problem, zasiadali przy stole w kuchni i popijając herbatę z konfiturami truskawkowymi, omawiali wszystko dokładnie. Nazywało się to „rodzinna konferencja”. Ojczym z namaszczeniem brał papier i pióro, na górze kartki pisał słowo „Problem” i rysował strzałki odchodzące w różne strony. Te strzałki to były wszystkie możliwe rozwiązania. Uważał, że nie ma sytuacji bez wyjścia. Mama się z nim zgadzała i to nie dlatego, żeby się nie sprzeciwiać, tylko naprawdę myślała tak samo.

Ojczym miał metr osiemdziesiąt pięć wzrostu i potężne dłonie. Już w wieku dwudziestu ośmiu lat posiwiały mu te nieliczne włosy, które jeszcze nie wypadły, a do tego często chodził nieogolony. Miał naturę pesymisty i w każdej sytuacji zakładał najgorszy scenariusz. Był najlepszym ginekologiem w Kijowie, a przy tym uczciwym człowiekiem, i pacjentki dosłownie go uwielbiały. Świeżo upieczeni rodzice nieraz z wdzięczności obdarowywali go słodyczami, wędlinami czy szampanem. Mama kochała go bardzo. Ona też była ginekologiem. Ojczym przyjmował porody, mama asystowała.

Posłali mnie do dobrej szkoły, ale jej nie lubiłam. Musiałam tam nosić mundurek, na który składały się brązowa plisowana sukienka z białymi mankietami, czerwony pionierski krawat i biały fartuch. W szkole nie podobało mi się nie tylko ze względu na mundurek. Nasza nauczycielka potrafiła nas skutecznie zniechęcić do czegokolwiek, powtarzając przy każdej okazji: „Dziewczęta, w życiu czekają was trzy naprawdę ważne momenty. Pierwszy, kiedy wstępujecie do pionierów, drugi, kiedy przyjmą was do Komsomołu, i trzeci, kiedy staniecie się członkami Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego...”. Przed wszystkim jednak nie znosiłam szkoły dlatego, że miałam problemy w kontaktach z rówieśnikami. Przez pierwsze dwa czy trzy lata stale mi dokuczano. Cały ten czas pozostawałam na uboczu, nie rozumiejąc, czemu jestem w ten sposób traktowana. W dziesiątej klasie moja sytuacja odrobinę się poprawiła. Przed wszystkim zakochałam się w Loszy z mojej klasy i od razu poczułam się różnie. Po raz pierwszy w życiu

zostałam wtedy zaproszona na urodziny. Jeszcze przed imprezą Losza *zaczepił* mnie przy wszystkich: „Słyszałem od Ritki, że się we mnie bujasz. To prawda?”. Zaczerwieniłam się i skinęłam głową. On na to, że jeśli chcę, żeby ze mną zatańczył, to muszę udowodnić, że go kocham. Czy zjem całą cebulę bez niczego? Klasa patrzyła na mnie w pełnym napięcia oczekiwaniu. Nie mogłam przegrać w ich oczach, więc brawurowo zjadłam całą cebulę. Ale Losza nie zatańczył ze mną, nawet do mnie nie podszedł. Śmierdziałam cebulą przez kilka dni. Jednak udowodniłam sobie, że potrafię sprostać wyzwaniom.

Po szkole zamierzałam pójść na medycynę, więc w czasie wakacji rodzice zatrudnili mnie jako salową w szpitalu. Przygotowałam się do egzaminów wstępnych, zdałam i zostałam studentką.

Kiedy byłam na trzecim roku, mama i ojczym zginęli w wypadku samochodowym. Tak strasznie to przeżyłam, że nie chciało mi się dalej żyć. Wszystko legło w gruzach. Rodzice dawali mi ogromne poczucie bezpieczeństwa i zawsze bardzo mi zależało, żeby spełnić pokładane we mnie nadzieje. Mieliśmy dobry, ciepły i pełen miłości dom. Aż trudno mi o tym teraz mówić.

Rodzice byli bardzo szanowani w swoim środowisku i mieli wielu znajomych, jednak po ich śmierci wszyscy szybko o mnie zapomnieli. Mimo tak ciężkich przeżyć zrobiłam dyplom. Na studiach miałam tylko jedną bliską koleżankę Nataszę. Była to atrakcyjna blondynka o dość krągłych kształtach, mająca wielkie wyobrażenie o sobie. Przyjaźniła się ze mną, żeby móc odpisywać ode mnie prace i ściągać na egzaminach. Na zajęciach nie pojawiała się zbyt często, bardziej interesowały ją randki. Słyszałam, że po dyplomie wyszła za mąż i wyprowadziła się do Moskwy.

W Kijowie nie każdy miał szczęście, żeby dostać pracę w dobrej prywatnej klinice, gdzie zarobki były dużo wyższe niż w szpitalach państwowych. Tak samo nie każda młoda kobieta mogła wyjść bogato za mąż. Zresztą i tak nie było już porządnych mężczyzn do wzięcia. Wszyscy wartościowi się ożenili, a pozostali tylko tacy, których żadna nie chciała. Jak każda kobieta, miałam jednak w głębi serca nadzieję, że szczęście się do mnie uśmiechnie. Bardzo chciałam mieć dobrego męża i rodzinę.

Podjęłam pracę w przychodni ginekologicznej w Kijowie i tam zaprzyjaźniłam się z kierowniczką Iriną Wiktorowną. Była po czterdziestce, wyglądała poważnie, włosy upinała w kok i chodziła na wysokich obcasach.

Gdy miałam dwadzieścia pięć lat, w Anapie nad Morzem Czarnym poznałam Władimira. Nie wiedziałam jeszcze wtedy, że żonaci mężczyźni na wakacjach zdejmują obrączki i stają się kawalerami albo rozwodnikami. Byłam wówczas naprawdę ładna. Miałam długie kasztanowe włosy, promienny uśmiech i dołeczek w prawym policzku. Moja uroda była naturalna, nie malowałam się, a cerę miałam gładką jak niemowlę.

To Władimir pierwszy mnie zauważył. Zaczęliśmy rozmawiać, potem zaprosił mnie do restauracji i na dyskotekę. Poszliśmy razem na plażę. To z nim straciłam dziewictwo. Zdawać się mogło, że rozbłysła moja szczęśliwa gwiazda. Władimir bardzo mi się podobał. Miał przyjemną twarz, rude włosy, zielone oczy i skórę na całym ciele pokrytą piegami. Był podobno geologiem, a ja z podziwem słuchałam opowieści o jego wyprawach. U nas w domu nie było takich rozmów. Mówiło się głównie o sprawach medycznych.

Przez cały miesiąc byłam zakochana i szczęśliwa. Ostatniego dnia wakacji mój ideał wyznał, że ma żonę i dzieci, i że najcudowniej będzie, jak sobie nawzajem podziękujemy za niezapomniane chwile spędzone razem i ruszymy każde w swoją stronę. W tym momencie w moich oczach zmienił się z miłego, inteligentnego mężczyzny w odrażającego sukinsyna. Uderzyłam go w twarz, rozplakałam się i uciekłam.

Nazajutrz wyjechałam pierwszym autobusem. Z wakacji wróciłam kompletnie załamana. Moja przyjaciółka Irina starała się mnie pocieszyć. Zabierała mnie do kina i na zakupy, zapraszała do siebie. Pewnego dnia, gdy jadłyśmy razem obiad, stwierdziła, że jedyni sensowni faceci to cudzoziemcy, a ona wie, jak poznać odpowiedniego mężczyznę, z którym można założyć rodzinę. A może nawet znaleźć wielką miłość? W Kijowie nie miałam już nikogo, więc postanowiłam zaryzykować.

W kilku agencjach matrymonialnych zamieściłyśmy nasze anonse ze zdjęciami i zaczęła się wymiana korespondencji z cudzoziemcami. Ukrainkom się zdaje, że życie w innych krajach pozbawione jest trosk, za to pełne przyjemności, a wszyscy cudzoziemcy są inteligentni, grzeczni, szlachetni i hojni. Cóż, wszędzie dobrze, gdzie nas nie ma. Szkoda, że nie pomyślałam o tym powiedzeniu, kiedy na moje ogłoszenie odpowiedział czterdziestoletni Mark Simpson, lekarz z Ameryki. Już parę dni później musiałam podjąć ważną decyzję, bo dostałam też list od czterdziestopięcioletniego nauczyciela z Anglii, który nazywał się Glen Brookes. Obaj wydawali się interesujący, obaj pisali ładne listy. Ale łapiąc dwie sroki za ogon, można w końcu nie schwytać żadnej.

Pragnęłam miłości, nie pieniędzy. Trzeba było się zdecydować na jednego z nich. Wydawało mi się, że Ameryka będzie lepsza niż mglista, deszczowa Anglia. Lekarz był mi bliższy, jeśli chodzi o wspólne zainteresowania. I różnica wieku była mniejsza. Również ze zdjęcia bardziej mi się podobał Mark niż Glen. Więc go wybrałam. Nie chciałam robić przykrości Glenowi, podziękowałam mu serdecznie za to, że poświęcił mi swój czas i zwrócił na mnie uwagę, oraz zaproponowałam, że przedstawię go mojej koleżance. Zgodził się, więc posłałam mu adres Iriny. Dziś Irina i Glen żyją razem w Anglii i są bardzo szczęśliwi.

Zacząła się płomienna korespondencja z Markiem. Ledwo nadszedła odpowiedź na listy. Nie dawał mi chwili wytchnienia, czym mi naprawdę zaimponował. Nie mogłam uwierzyć, że istnieją jeszcze tacy mężczyźni. Kilka tygodni później wszyscy w pracy wiedzieli, że jestem bardzo szczęśliwa, i przypuszczali, że niebawem będą pisać do mnie do Ameryki.

Z listów Marka dowiedziałam się, że jest rozwiedziony i ma dwie córki w wieku pięciu i siedmiu lat, które mieszkają z matką. Napisał mi o szpitalu, w którym pracował, gdzie ja także mogłabym znaleźć zatrudnienie, a wtedy spędzalibyśmy razem przerwę na kawę. Miał skromny dom w Albany w stanie Oregon. Napisał o swoich zainteresowaniach, nawet zdradził, ile zarabia: dziewięćdziesiąt tysięcy dolarów rocznie. Aż mnie zamurowało, ale wcale nie dlatego, żebym była łasa na jego pieniądze. Uświadomiłam sobie po prostu, że ja żyję i potrafię być szczęśliwa za dwieście dolarów miesięcznie. Oczywiście już snułam plany, jak też będzie wyglądać moje życie w Ameryce.

Pisałam po rosyjsku, potem dawałam listy do tłumaczenia, bo mój angielski nie był najlepszy i dołączałam zdjęcia. Mój trud został nagrodzony, Mark zdecydował się przyjechać do Kijowa, żebyśmy się poznali. Minęły zaledwie trzy miesiące, odkąd zaczęliśmy korespondować, a moje życie już nabrało tempa niczym w filmie. Na powitanie Mark pocałował mnie serdecznie w policzek. Był wysoki, tak z metr osiemdziesiąt, potężnie zbudowany, lecz bez odrobiny tłuszczu. Miał falujące, ułożone na żel włosy, białe zęby i był pięknie opalony. Chodziliśmy po Kijowie, zaprosiłam go do siebie, przedstawiłam kolegom z pracy. Wymieniliśmy prezenty, poszliśmy do restauracji, spacerowaliśmy przy księżycu, robiliśmy sobie zdjęcia. Ogarnął mnie cudowny nastrój, za sprawą Marka poczułam się szczęśliwa. Tych pięć dni było niczym piękna bajka. Ostatniego dnia przed wyjazdem oświadczył mi się, a ja go przyjąłam. Byłam bardzo zakochana.

Po powrocie do Ameryki zaczął starania o wizę dla mnie jako dla swojej przyszłej żony. Proces ten trwał jakiś czas, ponieważ działo się to zaraz po 11 września 2001 roku i wszystkich dokładnie sprawdzano. Okres oczekiwania na wizę wynosił od czterech do dziewięciu miesięcy. Uzbroiliśmy się w cierpliwość, Mark w tym czasie przysyłał mi kwiaty, prezenty i listy miłosne oraz pomagał finansowo.

Po ośmiu miesiącach przyszło zaproszenie na rozmowę do ambasady amerykańskiej w Polsce. Mark nie mógł już dłużej znieść rozłąki i przyleciał do Kijowa, po czym razem pojechaliśmy do Warszawy po wizę. Nareszcie mogliśmy kupić bilet lotniczy dla mnie. Lot przebiegł spokojnie. Kiedy wylądowaliśmy po ośmiu godzinach podróży, wcale nie czułam się zmęczona, a wręcz przeciwnie, tryskałam energią. Co prędzej

chciałam odkryć tę Amerykę i od razu zasmakować tutejszego życia. Nie mogłam się doczekać nowych wrażeń i doświadczeń, by móc napisać o wszystkim Irinie i kolegom z pracy.

Moim pierwszym odkryciem było, że Mark jeździ starym samochodem, zdezelowanym i brudnym w środku, co mnie mocno zdziwiło, wręcz zszokowało. Po drodze tłumaczył mi, że tutaj wszystko jest bardzo drogie. Próbowałam coś zobaczyć przez okno samochodu, ale zapadała noc i zrobiło się ciemno. Mark był dla mnie miły, ale ciągle powtarzał, że życie w Ameryce jest bardzo drogie.

Po godzinie dotarliśmy na miejsce. Było ciemno i niewiele widziałam, ale czułam jakiś wewnętrzny niepokój, kiedy wchodziliśmy do domu, o którym z taką dumą opowiadał mi w Kijowie. Meble okazały się stare i zniszczone, w zlewie piętrzyły się brudne naczynia, łóżko nie zostało posłane. Wszystko tak się lepilo od brudu, że aż brzydziłam się usiąść na krześle, napić wody z kubka czy położyć spać w nieświeżym barłogu. Nie było ani jednego czystego garnka, talerza, widelca, prześcieradła czy ręcznika. Staralam się nie okazywać, jak bardzo jestem rozczarowana. Tłumaczyłam sobie, że będąc samotnym mężczyzną pracującym zawodowo, Mark nie radzi sobie z domem. Pocieszałam się, że w świetle poranka wszystko będzie wyglądać lepiej. Nazajutrz pierwsze, co zrobił Mark, to kawę dla siebie. Mnie nawet nie zapytał, czy coś chcę. Lodówka była pusta.

Pojechaliśmy do supermarketu. W ogóle nie dał mi się przejść między półkami, żebym się choć trochę zorientowała w towarach i cenach. Powrzucał do wózka jakieś pudełka, puszki i torebki i od razu poszliśmy do kasy. Po powrocie do

domu zabrałam się za rozpakowywanie zakupów. Okazało się, że kupił dipy, chipsy, mrożone wafle, gotowane warzywa, mięso w puszkach, ketchup, hot-dogi, bułki do hamburgerów, mleko, wodę i soki w proszku do rozcieńczania z wodą. W Kijowie staraliśmy się unikać takiej sztucznej żywności. Głód od razu mi przeszedł i do reszty straciłam humor.

Od pierwszego dnia zaczęłam podejrzewać, że opowieści Marka o rajskim życiu, jakie mnie z nim czeka, to wszystko kłamstwa i fantazje. Potwierdziło się to przy następnej wyprawie do sklepu. Mark wybierał produkty i nawet mnie nie spytał, na co mam ochotę. Poprosiłam go o sok pomarańczowy, rybę i świeże owoce. Odparł, że wszystko w Ameryce jest drogie i kupi te rzeczy, kiedy zostaną przecenione. Zaproponował, żebym wzięła banany, bo są tanie i smaczne.

Wieczorem odbyliśmy rozmowę, która wzbudziła mój dalszy niepokój. Mark oświadczył, że ze względu na niedawne wydatki związane z podróżami, musimy w tym miesiącu oszczędzać, a w następnym powinno być lepiej. Zgodziłam się bez protestu. W końcu mąż i żona powinni żyć zgodnie, iść na kompromisy i wspólnie stawiać czoło trudnościom.

Po tygodniu pobraliśmy się w urządzie stanu cywilnego. Wystąpiłam w białym kostiumie, który kupiłam na Ukrainie i ostatni raz miałam na sobie w Anapie, kiedy spotykałam się z Władimirem. Po ślubie nie było mowy o żadnym świętowaniu. Mark od razu chciał pojechać do urzędu i złożyć podanie o zieloną kartę dla mnie, a ja z wdzięcznością przyjąłam to, co brałam za troskę o moje sprawy.

Małżeństwo, w przeciwieństwie do romansu, ma charakter oficjalnego kontraktu. Są w nim wydatki, przychody, długi i pro-

blemy z własnością. U nas dochodziło do absurdów. Mój mąż wydzielał mi jeden kubek mleka co drugi dzień. Na mleko dla mnie żałował pieniędzy, ale sam co dzień jadł lody waniliowe.

Lato było gorące, dokuczała mi duża wilgotność powietrza. Życie ratowała jedynie klimatyzacja i mały basen. Niestety, zostawiłam kostium kąpielowy w Kijowie. Kiedy powiedziałam o tym Markowi, odparł, że żaden problem. Pojechaliśmy do sklepu Wal-Mart, gdzie jak każda normalna kobieta chciałam trochę pooglądać ciuchy. Tymczasem Mark w pięć minut wybrał mi czepek i kostium i zaczął ciągnąć mnie do wyjścia. Nie lubił długo chodzić po sklepach.

Nie chciałam się kłócić już na samym początku naszego małżeństwa, ale z każdym dniem coraz mniej podobało mi się takie życie i coraz większą niechęć budziło we mnie to, że Mark różne rzeczy mi narzuca. Zaczęłam głośno mówić, co mi się nie podoba i czego sobie nie życzę. Mark wypomniął mi wtedy, ile dotąd na mnie wydał: na bilet lotniczy, prezenty, restauracje, wycieczki w Kijowie, koszty związane z moją wizą.

Kiedy był w pracy, uczyłam się angielskiego albo siedziałam przy brodziku dla dzieci. Przez pierwszy miesiąc sprzątałam i pucowałam dom oraz próbowałam gotować coś smacznego z tych jego zakupów. Do pracy wkładał elegancki garnitur, białą koszulę i jedwabny krawat. W tym stroju wyglądał jak prawnik z telewizyjnego serialu. Ale po powrocie do domu przebierał się w stare dziurawe spodnie od dresu i brudną koszulkę.

Nie podobało mi się, że wyglądał jak oberwaniec, więc mu to wytknęłam. Odparł, żebym się lepiej przejrzała w lustrze, zamiast go krytykować. To było niesprawiedliwe, bo kiedy stara-

łam się dbać o siebie, Mark wyglądał na niezadowolonego. Inną jego denerwującą cechą było to, że po powrocie do domu nie zdejmował obuwia, tylko kładł się na łóżku albo opierał nogi na stole, cały czas w butach. A ja przecież codziennie myłam podłogi. Wyjaśniłam mu, że na Ukrainie niezdejmowanie butów uważane jest za brak szacunku dla kobiety. Mark odpowiedział, że ma czterdzieści lat i nie będzie zmieniał przyzwyczajeń.

Nie przyjechałam tutaj tylko po to, żeby żyć w innym kraju. Pragnęłam mieć szczęśliwą rodzinę. W Kijowie Mark wydawał się zupełnie inny i dlatego ciągle miałam nadzieję, że coś się jeszcze zmieni. Ale on nie chciał zrezygnować z żadnego ze swoich nawyków. Tak mu było wygodnie.

Spojrząwszy po dwóch miesiącach w lustro, uznałam, że najwyższy czas iść do fryzjera. Gdy powiedziałam o tym mężowi, stwierdził, że nie ma sensu chodzić do salonu fryzjerskiego, skoro są w domu nożyczki. On sam robi to lepiej niż ktokolwiek inny. Myślałam, że żartuje, a on tymczasem ruszył w moją stronę. Mimo protestów, przytrzymał mnie i obciął kilka pasm. Potem odłożył nożyczki do szuflady i z uśmiechem stwierdził, że włosy to nie zęby, więc odrosną. Kazał mi przemyśleć moje zachowanie. Dwa dni przepłakałam w sypialni.

Przedtem obiecywał, że pokaże mi Amerykę. Zapewniał, że będzie dobrym mężem i że marzy o synu. Teraz czułam się oszukana. W któryś weekend rzeczywiście pojechaliśmy na piknik, ale był to bardzo nieudany wyjazd. Zaczęłam się go bać. Panowało między nami coraz większe napięcie. Wyraziłam chęć, żeby pójść do pracy i samej zarobić na moje wydatki i najedzenie. Chwycił mnie wtedy za gardło i oświadczył, że pracę już mam: zajmowanie się domem.

Moją jedyną rozrywką były zakupy, zawsze pod jego czujnym okiem. Wieczorami w telewizji oglądaliśmy to, co wybrał on, najczęściej programy sportowe. Zabronił mi dzwonić do Kijowa, bo powinnam zapomnieć o tej nędzy, z której mnie wyrwał. Nie chciał, żebym chodziła na kurs angielskiego, bo za drogo. Przecież mam słownik i mogę się uczyć sama.

Coraz częściej myślałam o powrocie do Kijowa. Nie wiedziałam tylko, skąd wziąć pieniądze na podróż, a nie został tam nikt z rodziny, kto mógłby pożyczyć mi potrzebną sumę. Trudno było żyć wśród ciągłych ograniczeń i upokorzeń, lecz uciec nie potrafiłam. Nie tylko z powodów finansowych, ale też dlatego, że Mark wszystkie moje dokumenty trzymał u siebie w sejfie. Miał mnie w ten sposób w garści i mógł szantażować więzieniem lub deportacją.

Wreszcie poprosiłam go o bilet do Kijowa. Dobrze przemyślałam tę decyzję i byłam gotowa wszystko mu wytłumaczyć. Ale jego to nie interesowało. Po prostu wstał z kanapy i uderzył mnie w twarz. Upadłam, byłam przerażona, z nosa poleciała mi krew. Bez słowa kopnął mnie raz, potem drugi i trzeci, gdy próbowałam się podnieść z podłogi. Płakałam i krzyczałam o pomoc, ale najbliższy sąsiad mieszkał trzy mile od nas. Mark wrzeszczał, że za dużo zmarnował czasu, energii i pieniędzy, więc nie pozwoli, żeby jakaś głupia Ukrainka zatruwała mu życie.

Teraz wiem, że wielu Amerykanów sprowadza siebie żony z Rosji i Ukrainy, żeby mieć darmową służącą. Mark wszystko policzył i uznał to za świetny interes. Zapłacił za mnie agencji dwa tysiące dolarów, ale dzięki temu miał za darmo gotowanie, pranie i sprzątanie. Potrzebował taniego domowego robota, istota ludzka go nie interesowała.

Zagroził, że złoży na mnie doniesienie na policję. Zgłosi kradzież sporej sumy pieniędzy albo starej rodzinnej biżuterii. Straszyl, że wyląduję w więzieniu. Byłam niewinna, ale kompletnie nie wiedziałam, co robić i do kogo się zwrócić. Sama musiałam borykać się z tym problemem, nikt go za mnie nie mógł rozwiązać. Przede wszystkim należało zacząć od chronienia siebie. Zbyt długo pozwalałam traktować się jak byle co, zupełnie jakbym nie miała poczucia własnej godności. Miałam niską samoocenę, nie myślałam pozytywnie i stąd zabrakło mi sił. Dopiero po jakimś czasie odważyłam się podjąć pierwsze samodzielne kroki i wziąć za siebie odpowiedzialność.

Po tym pierwszym pobiciu przez dwa tygodnie nie byłam w stanie wyjść z łóżka. Twarz miałam opuchniętą, piersi obolałe. W nocy domagał się, żebym go zaspokoila. Miałam spłacać seksem wszystko, co we mnie zainwestował. Bałam się i nienawidziłam go. Wykrzyczałam mu to w twarz. W odpowiedzi mnie zbił. W nocy przywiązywał mnie do łóżka i robił swoje. Któregoś dnia ogolił mi głowę. Zagroził, że zgłosi na policji, że jestem narkomanką. Przed wyjściem do pracy przykuwał mnie łańcuchem do drzwi. Ciało miałam czarnosine od bicia.

Kiedy wracał do domu, wściekał się i strasznie na mnie krzyczał. Płakałam i prosiłam, żeby przestał. Pewnej nocy dostał pilne wezwanie do szpitala. Udawałam, że śpię, a on wychodząc, tak się spieszył, że zapomniał mnie przykuć. Uciekłam wtedy z domu i tak jak stałam, poszłam przed siebie. Nie znałam nikogo, po angielsku mówiłam słabo.

Szłam po ciemku skrajem drogi, z trudem oddychając, tak bardzo bolało mnie w piersi. Ale nabrałam jakiejś wewnętrznej siły, wreszcie byłam gotowa zmierzyć się ze swoim problemem.

Dotąd bałam się nawet wychodzić na dwór. Nagle zatrzymał się czarny jeep, z którego wysiadła starsza kobieta i spytała, czy nie potrzebuję pomocy. Z przerażeniem patrzyła na moją spuchniętą i posiniaczoną twarz i łzy płynące po policzkach. Spytała, czy zrobił mi to mąż. Bałam się wyznać prawdę, ale w końcu powiedziałam, że tak. Zaproponowała mi pomoc i zawiozła mnie do szpitala. Nazywała się Jessica Rimisky. Po drodze ciągle powtarzała, że mam zacząć wierzyć w siebie. Płakałam z bólu i upokorzenia.

Jessica namawiała mnie, żeby pójść na policję, złożyć oficjalną skargę i poprosić o ochronę. Jednak Ukrainki nie mają w zwyczaju wciągać innych - zwłaszcza przedstawicieli władzy - w swoje sprawy domowe. To czasem głupie, ale my nie potrafimy wsadzać naszych mężów do więzienia. Jest to wbrew naszym zasadom. Odparłam, że chcę tylko do szpitala, bo nie mogę oddychać. Zawiozła mnie tam i okazało się, że to ten sam szpital, w którym pracował Mark. Zauważył mnie w holu i zaciągnął do swego gabinetu. Uprzedził, że jak wrócimy do domu, to popamiętam. Szpital opuszczałam w wielkim strachu. Aż się cała trzęsłam. Jessica mnie odwiozła, dała mi numer swojej komórki i namawiała, żeby zadzwonić na 911, jeśli mąż mnie znowu pobije. Mark wrócił z pracy pijany i zły. Zaczął mnie bić i wyzywać wulgarnymi słowami. Nie mogłam już dłużej tego ścierpieć. Kiedy poszedł do kuchni, żeby sobie dolać whisky, zamknęłam się w sypialni z komórką i zadzwoniłam na policję. Usłyszał, że z kimś rozmawiam, i zaczął dobijać się do drzwi. Miałam rozciętą wargę. Modliłam się, żeby policja przyjechała jak najszybciej.

Byłam gotowa nawet na więzienie, byle tylko uniknąć dalszych razów, ale to Mark został aresztowany, a mnie karetką

zawieziono do szpitala. Zrobiłam obdukcję i zostałam hospitalizowana. Okazało się, że mam wstrząs mózgu i inne obrażenia. Policjant zadał mi wiele pytań i sporządził raport.

Okazało się, że Mark nie znał prawa imigracyjnego własnego kraju. Nie miał prawa mi niczym grozić. Kiedy doszłam do siebie, ze szpitala odesłano mnie do schroniska dla bezdomnych, gdzie miałam zapewnione łóżko i jedzenie. Połowa przebywających tam kobiet podobnie jak ja padła ofiarą przemocy domowej. Jessica mnie odwiedzała. Znalazła mi ośrodek pomocy dla kobiet w Albany. Bardzo pomogło mi to, że znalazłam się wśród ludzi, którzy mnie rozumieli i którym mój los nie był obojętny. W środku czułam się martwa, w ogóle nie byłam w stanie myśleć. Obecność tych silnych kobiet dawała błogie poczucie bezpieczeństwa. Bardzo starały się mi pomóc i były naprawdę miłe.

Mój mąż został skazany na dwa lata więzienia, musi też zapłacić odszkodowanie za spowodowanie uszczerbku na moim zdrowiu i straty moralne. Ale na co mi jego pieniądze. I tak nie odkupię zdrowia ani marzeń.

Na mocy ustawy o przemocy w rodzinie Biuro do Spraw Imigracji i Naturalizacji wystawiło mi dokumenty, dzięki którym mogłam starać się o wizę imigracyjną bez męża Amerykanina. Dostaję od państwa pomoc finansową, mam ubezpieczenie zdrowotne i chodzę na kurs angielskiego. Sąd zakazał Markowi zbliżać się do mnie. Jako ofiara domowej przemocy jestem uprawniona do otrzymania zielonej karty i mój adwokat z urzędu złożył już formularz 1-360, do którego dołączyliśmy kopię raportu policyjnego, wyniki badań lekarskich oraz opinię psychologa z ośrodka pomocy dla kobiet w Albany. Na sali sądowej Mark zapowiedział, że jak tylko wyjdzie, to mnie odnajdzie i jeszcze mu za to zapłacę.

Wszyscy w życiu podejmujemy ryzyko i czasem zdarza się pałać jakieś głupstwo. Nie bylibyśmy ludźmi, gdybyśmy nie popełniali błędów. Ukrainki wciąż przybywają do Ameryki -kraju, który jest zupełnie inny niż nasza ojczyzna. Na pewno żyje się tu nieporównanie lepiej niż tam, skąd pochodzimy. Otwiera się kolejny rozdział naszego życia, stajemy się żonami lub narzeczonymi. Mamy wizy turystyczne, zielone karty albo azyl polityczny. Nigdy nie wiadomo, komu się poszczęści, a komu nie. Najważniejsze, żeby nie stosować przemocy wobec drugiej osoby. Niedawno przyznano mi zieloną kartę. Nikt nie może mi więcej ubliżyć ani grozić. Życie toczy się dalej i mimo że tak wiele przeszłam, nadal uważam, że jest piękne.

Historia sukcesu

Nie zamierzałam zostać burdelmama. Urodziłam się w Leningradzie trzydzieści cztery lata temu. Ojciec był biznesmenem, a mama chirurgiem i pracowała w Bukareszcie. Rodzice przeprowadzili się do Londynu, bo dostali tam korzystną finansowo propozycję pracy. Jako pielęgniarka mama zarabiała w Wielkiej Brytanii pięć razy więcej niż jako chirurg we Europie Wschodniej. Ze względów politycznych oboje nie byli w Rosji mile widziani i między innymi z tego względu zdecydowali się na emigrację. Zamieszkaliśmy w Londynie, jeszcze zanim zaczęli tu masowo zjeżdżać rosyjscy multimilionerzy, nawet jeszcze zanim taka klasa społeczna w ogóle się wykształciła. Stolica Wielkiej Brytanii przeżywała wówczas inwazję bogatych Arabów.

W Londynie ojciec pomagał zamożnym rodakom załatwiać interesy. Ja czasami pisałam dla nich listy po angielsku, pisma urzędowe albo coś tłumaczyłam. Było to dla mnie proste i nie oczekiwałam zapłaty, ale i tak dostawałam „za fatygę” - zdarzało się, że i tysiąc dolarów. Pomagałam Rosjanom i przybyszom z Europy Wschodniej zdobyć wizę. Stopniowo zaczęłam poszerzać zakres usług o transport z lotniska, noclegi i tego rodzaju rzeczy.

Pewnego razu ojciec poleciał do Rosji i potem znaleziono go martwego w naszym leningradzkim mieszkaniu. Nie wiadomo dokładnie, co zaszło, bo zawiadomiono nas, gdy było już po pogrzebie.

Milicja twierdziła, że ojciec zginął, bo przyłapał złodziei, którzy włamali się, aby ukraść dzieła sztuki. Historia mało prawdopodobna, ale jakieś oficjalne wyjaśnienie wypadało podać. Podejrzewałyśmy, że krył się za tym ktoś, komu zależało na jego śmierci. W ZSRR zawsze tak było i niewiele się zmienia. Bogacze, którzy siedzą w rosyjskich więzieniach, przeważnie narazili się komuś wpływowemu.

Wszystko zaczęło się od tego, że pewien Rosjanin w Londynie poczuł się na tyle swobodnie w moim towarzystwie, iż poprosił mnie o zorganizowanie damskiego towarzystwa. Prostyucja nie budziła we mnie sprzeciwów moralnych, ale byłam zaskoczona, jak łatwo można znaleźć kobiety gotowe się sprzedać, byle za odpowiednią cenę. Od tego odkrycia był już tylko krok do założenia własnej agencji towarzyskiej. Każdy, kto ma choć odrobinę pomysłu, zrobiłby to samo na moim miejscu, możliwe nawet, że znacznie wcześniej.

Dzisiaj prowadzę największą internetową agencję prostytutek. W dobrym tygodniu zarabiam nawet trzydzieści tysięcy dolarów, ale takie tygodnie zdarzają się coraz rzadziej, bo konkurencja nie śpi. W Londynie przybywa dziewczyn i ceny spadają. Moi rywale proponują półgodzinną *sesję już* za sto funtów. Wystarczy wpisać w Google słowa „agencja towarzyska”, a dwa adresy moich agencji zostaną wyrzucone zaraz na początku. Oczywiście, płacę sporo administratorowi portalu, dziewczynom, które odbierają telefony, oraz fotografowi,

który podkreśla wdzięki i maskuje niedostatki urody naszych pracownic za pomocą Photoshopa. Cały rok trzymam apartamenty dla dziewczyn z Europy Wschodniej, które przylatują na krótkie występy, ale z tym też jest coraz trudniej. Zdarza się, że za dwa tygodnie pracy żądają pięć tysięcy funtów. Potem wracają do swoich mężów, chłopaków, dzieci czy rodziców. Miałam nawet taką jedną, dla której najważniejszy był ukochany pies i do niego wracała.

Jestem dla nich jak matka, a one w dowód wdzięczności obdarowują mnie perfumami czy bombonierkami, i choć wiem, że dostały je od klientów, wzrusza mnie zawsze ich pamięć.

Bawią mnie nieprawdopodobne historie o tym, jak egipski miliarder Adnan Khashoggi zaproponował milion dolarów spotkanej w barze kobiecie, jeśli ta spędzi z nim noc. Uważam, że są mocno przesadzone. On rzadko wydaje naraz więcej niż sto tysięcy dolarów.

Dobre dziewczyny zarabiają całkiem nieźle, choć spora część ich zarobków idzie na pośredników. Na przykład, jeśli gość w hotelu Blakes chce na noc dziewczynę, zgłasza to recepcjoniście, który dopisuje do rachunku „opłaty różne” w wysokości tysiąca ośmiuset dolarów (w przeliczeniu na funty). Następnie dzwoni do mnie i ja mam z tego około tysiąca dwustu dolarów. Z kolei płacę dziewczynie około sześciuset dolarów, z czego ona zazwyczaj połowę daje swemu opiekunowi, który ją tu sprowadził i się nią zajmuje (przynajmniej na początku). W tym fachu nie pracuje się długo, ponieważ kobiety szybko się starzeją i zużywają przy takim trybie życia.

Moje ulubienice nazywam strażakami, ponieważ zawsze są gotowe do akcji, nawet powiadomione w ostatniej chwili. Na przy-

kład Candy. Raz zapomniałam ją wcześniej uprzedzić o spotkaniu i mimo to w ciągu dwóch minut była w pełnym rynsztunku. Klienci mówią o niej w samych superlatywach. Wiem o tym, ponieważ niektórym stałym klientom daję upust w zamian za informacje na temat podejścia moich dziewczyn do pracy. Czy są punktualne, czy się przykładają. I co najważniejsze, czy dają swój prywatny numer telefonu. Jeżeli okazuje się, że tak, to rezygnuję z ich usług. To również bardzo ważne, czy dziewczyna nie pracuje jednocześnie dla innych agencji. W końcu to ja sprowadziłam ją do Londynu i zapewniłam mieszkanie. Wyrzucam ją wtedy i staram się, żeby miała gdzie indziej wилczy bilet.

Nigdy nie byłam prostytutką, nigdy się nawet nie puszczałam. Wyszłam za mąż za porządnego Anglika, który się potem rozpił. Miałam wprawdzie kilku kochanków, z którymi szalałam po Paryżu, ale dopiero gdy moje małżeństwo się rozpadło, więc nie mam sobie nic do zarzucenia. Mamy piękny dom w Maidenhead pod Londynem, niedaleko gospody nad rzeką, gdzie czasem jeździmy na niedzielny brunch. Nasz syn chodzi do prywatnej szkoły i ma cały sztab odpowiednio dobranych, nieatrakcyjnych rosyjskich nianiek. Mama nadal pracuje jako pielęgniarka i mieszka blisko nas.

Kocham wszystko, co angielskie, jak wyścigi konne czy uroczystości, na których bywa królowa. Uczestniczę w eleganckich imprezach kulturalnych w Londynie, Oczywiście nie mogę afiszować się z pieniędzmi. Spora część jest w depozycie u Harrodsa. Zainwestowałam także w nadmorskie nieruchomości w Czarnogórze, bo ich wartość szybko rośnie.

Interesy w Londynie wiążą się z coraz większym ryzykiem. Prawo jest coraz bardziej restrykcyjne. Ostrzeżono mnie już

nawet, bym uważała, ale raczej nie mam się czym przejmować, bo wśród moich klientów są tacy, którzy dołożą wszelkich starań, żebym tylko nie została aresztowana. Mogłaby na tym ucierpieć ich reputacja. Martwi mnie tylko to, że syn jest już na tyle duży, by sporo rozumieć z dorosłych spraw. Któregoś dnia spytał: „Ile kosztuje dziewczynka?”. Zaśmiałam się, ale wcale mnie to nie rozśmieszyło.

Właśnie wróciłam z podróży do Nowego Jorku. Zatrzymałam się w hotelu Waldorff i zaproponowano mi otworzenie tutaj interesu. Myślę o tym. Ale brak mi będzie wyścigów i party z królową. Ameryka nie ma tej klasy i tradycji, do jakich jestem przyzwyczajona.

Myslał, że mam mnie na zawsze,
a to była tylko chwila

Czy gracie na loterii? Czy zdarza się wam wygrać? Zawsze lubiłam tych, którzy nie boją się ryzyka, wbrew ogólnie panującemu przekonaniu, że w przypadku rosyjskiej loterii szanse wygrania są zawsze takie same: i jak się kupi los, i jak się go nie kupi. Tacy ludzie wytrwale dążą do celu i pokonują wszelkie przeszkody. Nic nie jest w stanie ich powstrzymać. Są mądrzy i wierzą w zwycięstwo.

Zycie to jedna wielka loteria, a gdy zaczyna się ciągnięcie losów, człowiek nie ma nic do gadania. Wszyscy jesteśmy graczami i kusimy przeznaczenie. Wiele w życiu zależy od tego, jak je rozegramy. Aby osiągnąć cel, trzeba mieć w sobie dużo mądrości i samozaparcia, zwłaszcza gdy przyjdzie ratować się z opresji. Gdzie się tego nauczyć? Skąd wziąć odpowiedniego nauczyciela?

W ogóle nie znałam mojej mamy. Ojciec mi o niej opowiadał, a z fotografii spoglądała na mnie jej uśmiechnięta twarz. Umarła, mając dwadzieścia pięć lat, kiedy wydawała mnie na świat. Miała słabe serce i gdy lekarze w Soczi podali zbyt dużą

dawkę morfiny, przestało bić. Nie zdążyła nawet zobaczyć, jak wyglądam, choć tak bardzo na to *czekała.*, nosząc mnie pod sercem dziewięć miesięcy. Kupiła mi nawet jasnoróżowe sukieneczki, które już kto inny mi nakładał.

Moje życie też było zagrożone. Miałam trudności z oddychaniem, a sam poród przebiegał z komplikacjami ze względu na złe ułożenie płodu. Ale jakoś przeżyłam. Dla ojca była to wielka pociecha, bo też bardzo pragnął mojego przyjścia na świat. Dał mi tyle ciepła i miłości, że nigdy nie odczuwałam niedoboru rodzicielskich uczuć.

Oczywiście, ciekawiło mnie, jaka była mama. Stale domagałam się, żeby tata mówił o niej, kiedy zasypiałam. Ciągle chciałam dowiedzieć się o niej czegoś nowego. Miała rude włosy i niebieskie oczy. Rodzice mieszkali w Soczi nad Morzem Czarnym i byli razem już od pięciu lat, kiedy mama zaszła w końcu w upragnioną ciążę. Pracowała w Ogrodzie Botanicznym. Zajmowała się drzewami i roślinami egzotycznymi.

Tata twierdził, że te pięć lat stanowiło najpiękniejszy okres w jego życiu, a mama była najcudowniejszą kobietą na świecie. Ja dla niego byłam drugą pod względem ważności istotą i ze mną też przeżył szczęśliwe chwile. Jak byłam jeszcze malutką, tłumaczył mi, że aniołowie zabrali mamę do nieba, bo była za dobra i miła, żeby żyć na ziemi ze zwykłymi ludźmi. Doszłam wtedy do wniosku, że nie będę ani za dobra, ani za miła, bo jeszcze aniołowie mnie też zabiorą. Nie chciałam, żeby ojciec został sam.

W związku z tym, kiedy ojciec zabraniał mi robić coś, na co akurat miałam ochotę, albo odmawiał kupienia czegoś, co bardzo chciałam mieć, groziłam, że będę bardzo grzeczna i pójdę do nieba. Jak miałam o coś żal do niego i chciałam go ukarać,

stawałam się bardzo, ale to bardzo posłuszna i miła. Prałam i prasowałam mu koszule, przynosiłam obiad do warsztatu i siedziałam z nim do końca dnia pracy. Bardzo się starałam. Pomagałam sąsiadom zbierać gruszki i brzoskwinie, staruszkom przechodzić przez ulicę i wykonywałam wszystkie prace domowe bez przypominania.

Ale nie przylatywały żadne anioły i nie zabierały mnie do nieba. Ojciec tłumaczył, że to dlatego, że jestem dobra po to, żeby mu dokuczyć, a aniołowie wiedzą wszystko. Rozpieszczał mnie i pod wieloma względami byłam egoistką, ale inaczej nie umiałam postępować.

Nasze małe mieszkanko było bardzo przytulne, urządzone kochającą ręką mamy. Kuchnia, dwa pokoje, łazienka -wszystko było małe. Ale też potrzeby mieliśmy skromne. Najważniejsze, że się kochaliśmy. To dużo więcej niż eleganckie mieszkanie czy mięso codziennie na obiad. Kiedy skończyłam dziesięć lat, ojciec podrzucił na moją półkę kilka książek o dojrzewaniu dziewcząt. Z nich czerpałam wiedzę o tym, jak dziewczynka staje się kobietą.

Już wcześniej wiedziałam o menstruacji od starszych koleżanek, ale pewnego dnia tata sam mi jeszcze wytłumaczył, że co miesiąc każda dziewczynka krwawi i nie ma się czego bać, bo to oznaka dojrzałości. Dzieci chcą najszybciej dorosnąć, nie mogłam się zatem doczekać pierwszego okresu. Sprawdzałam majtki niemal za każdym razem, kiedy poszłam do ubikacji. Wreszcie kiedy skończyłam czternaście lat, przyszła pierwsza miesiączka. Wpadłam w popłoch, w życiu nie widziałam tyle krwi. Postanowiłam siedzieć na sedesie, dopóki nie przestanie płynąć. Przesiedziałam tak kilka godzin, aż w końcu zasnę-

łam. Ojciec po powrocie z pracy czekał najpierw, aż wyjdę z łazienki. Gdy nie wychodziłam, zaniepokoił się i wszedł. Spałam na siedząco z książką o dojrzewaniu, którą mi dał. Kupił mi wtedy podpaski i dezodorant.

Mieliśmy sąsiadkę Gałę, samotną kobietę w średnim wieku, która troszczyła się o mnie i o ojca. Często przyrządzała dla nas smaczne posiłki i przynosiła jeszcze ciepłe. Stale robiła coś nowego: bliny z mięsem lub rybą, kotlety, tłuczone ziemniaki czy smażone grzyby z wołowiną.

Gała obchodziła z nami moje urodziny. To była taka nasza tradycja. Zaczynaliśmy w lodziarni „U Margarity”, gdzie siedząc przy stoliku, objadaliśmy się nieprzytomnie. Potem szliśmy do wesołego miasteczka, a na koniec ojciec kupował mi zabawkę albo ubranie, jakie sobie wybrałam. Nawet jak już byłam duża, odprawialiśmy cały ten rytuał.

Odkąd skończyłam piętnaście lat, oczywiście czułam się dorosła i lubiłam z okazji urodzin wypić butelkę szampana z koleżankami i kolegami. Chowaliśmy się wtedy gdzieś w krzakach, żeby ojcu nie było przykro. W Nowy Rok świętowaliśmy Z tatą do pierwszej w nocy, a potem szłam do znajomych.

W szkole byłam dobrą uczennicą. Nie mieliśmy możliwości finansowych, aby zapłacić za moje studia, musiałam więc przykładać się do nauki, żeby dostać się na bezpłatne studia.

Chłopakami zaczęłam się interesować mniej więcej w wieku czternastu lat. Jakiś czas potem pierwszy raz się zakochałam. Witalik był przystojny, miał osiemnaście lat, blond loki i duże różowe usta. Uprawiał boks i przez to nie mogliśmy się często spotykać, bo ciągle albo trenował, albo brał udział w zawodach. Tęskniłam za nim.

W życiu Witalika najważniejszy jednak był sport. Bolało mnie, że nie ja, ale mu tego nie wypominałam. Imponował mi i byłam gotowa wiele mu wybaczyć. Ojciec natomiast cieszył się, że nie widujemy się często, bo Witalika nie lubił, i powtarzał, że jest dla mnie za mało inteligentny. Twierdził, że wygląda jak jakiś bandyta z tymi wiecznie pokaleczonymi kostkami palców. Mnie wydawał się solidny i poważny. Chodziliśmy ze sobą przez dwa lata i bardzo chciałam wyjść za niego za mąż. Uważałam, że to jest właśnie ta wielka miłość.

Został moim pierwszym kochankiem i to on nauczył mnie życia. Zwykł mawiać, że życie jest ciągłą walką i że zawsze należy być przygotowanym na atak.

Tak się złożyło, że mój ukochany musiał się przenieść do Moskwy na tamtejszą akademię wychowania fizycznego, a w tym samym czasie okazało się, że jestem w ciąży. Kiedy go zawiadomiłam, odparł, że nie jest gotów zostać ojcem i utrzymywać rodzinę. Twierdził, że mamy jeszcze czas na dzieci, a teraz zaprzepaściłby karierę, na którą pracował całe życie. Uważał, że jesteśmy za młodzi i namawiał mnie na aborcję. Był to dla mnie cios w samo serce.

A zatem byliśmy wystarczająco dorośli, żeby współżyć, ale nie na tyle dojrzały, by mieć dziecko. Ale to była prawda. Byliśmy za młodzi na taką odpowiedzialność. On nawet nie wiedział, że mam dopiero szesnaście lat.

Byłam bardzo nieszczęśliwa, strasznie brakowało mi wtedy matki, która mogłaby pomóc czy coś doradzić. A Witalik wyjechał. Znienawidziłam i jego, i to nienarodzone dziecko.

Po raz pierwszy w życiu poszłam do ginekologa. Okropnie się wstydziłam, gdy siedziałam w poczekalni obok młodych

kobiet w ciąży i dojrzałych pań. Zdawało mi się, że przyglądają mi się z niechęcią, wręcz z nienawiścią. Serce waliło mi jak młot. Wbijałam wzrok w podłogę.

Podobnie zachowywałam się w gabinecie. Lekarka przyjrzała mi się podejrzliwie, szorstko kazała się rozebrać i iść na fotel. Nigdy przedtem czegoś takiego nie widziałam i nie miałam pojęcia, ani jak usiąść, ani jak ułożyć nogi. Natychmiast stwierdziła kwaśno, że dzisiejsze dziewczyny tylko się pieprzą jak króliki, a jak przyjdzie co do czego, to nawet nie umieją posadzić tyłka na fotelu. Zbadała mnie i zapadł wyrok. Ósmy tydzień.

Byłam nastolatką, a więc lekarz miał obowiązek powiadomić moich rodziców, aby uzyskać zgodę na aborcję. Z płaczem tłumaczyłam, że mam tylko ojca, bardzo go tym zasmucę i będzie nieszczęśliwy. Witalik przed wyjazdem zostawił mi pieniądze, więc zaproponowałam jej trzysta rubli łapówki. Zgodziła się i od razu wzięła pieniądze. Cały czas była wobec mnie szorstka i opryskliwa, nazwała mnie nieodpowiedzialną puszczałką. Doskonale wiedziała, że nie mogę nigdzie uciec i muszę tego słuchać.

Strasznie mi się chciało płakać, ale trzeba było przez to przejść do końca. Zrobiła mi zabieg bez znieczulenia miejscowego, więc czułam dokładnie wszystko. Nie krzyczałam, choć bolało jak diabli. Gryzłam tylko własną pięść i myślałam, że zaraz umrę z bólu. Z oczu płynęły mi palące łzy, ale nawet nie pisnęłam. Sześć godzin później było po wszystkim. Wróciłam do domu, czując w środku jedną wielką pustkę.

Zrozumiałam wtedy jedno: pod żadnym pozorem nie wolno się zakochać. Nie można ufać mężczyznom ani wierzyć w ich obietnice. Oni kierują się wyłącznie penisem.

Tak to w brutalny sposób przestałam być dziewczyną i stałam się kobietą. Poszłam na psychologię. Mężczyznom się podobałam. Niektórzy z nich też mi się podobali, ale nie chciałam się angażować w nic poważnego. Żadnej miłości, najwyżej przelotny romans.

W końcu poznałam Artema, przystojnego i eleganckiego absolwenta wydziału historii i szkoły biznesu. Przyjechał do Soczi na wakacje, pierwszy raz po ośmiu latach od wyjazdu do Ameryki. Wyjechał z kraju, gdy miał dwadzieścia pięć lat. Przedtem prowadził działalność przestępczą.

W okresie rozpadu dawnego Związku Radzieckiego Artem żył z szantażowania polityków i biznesmenów. Taktykę miał prostą. Razem ze współnikami wyszukiwali bogatą ofiarę, kogoś, komu szczególnie zależało na nieposzlakowanej opinii. Następnie podstawiali temu człowiekowi piękną dziewczynę, która go uwodziła. Dziewczyny chętnie jeździły na przyjęcia do eleganckich rezydencji i tam dochodziło do różnych ekscesów, a Artem zdobywał kompromitujące zdjęcia i filmy wideo.

Rozpoczął się szantaż. Za dobrą reputację i dotychczasową pozycję ludzie zgadzali się słono płacić. Z tego właśnie Artem żył. Działał w Moskwie, Leningradzie i na Ukrainie. Wiódł życie pełne wrażeń i opływał we wszelkie dostatki.

Do czasu, bo w końcu miał pecha. Ofiara okazała się wysoko postawionym urzędnikiem służb bezpieczeństwa, który nie tylko nie zapłacił, ale jeszcze polecił swoim podwładnym namierzyć gang i wszystkich wykończyć. Gdy Artem się o tym dowiedział, pojął, że to nie przelewki, załatwił wizę turystyczną i czmychnął do Ameryki, a tam od razu na lotnisku poprosił o azyl polityczny. W tamtych czasach był to najlepszy

sposób, żeby szybko zdobyć pozwolenie na pobyt. Zmienił nazwisko. Rodziny nie miał. Matka zginęła potrącona przez samochód dwa lata przed jego wyjazdem do Stanów, innych żyjących krewnych nie było. I tak w Ameryce Iwan Worobiow stał się Artemem Russkym i wymazał całą swoją przeszłość.

Z komputera w bibliotece porozsyłał maile do znajomych w Rosji, podpisując je jeszcze innym fałszywym nazwiskiem, z informacją o własnej śmierci. Miał zginąć z ręki czarnych gangsterów. Podawał się za swojego własnego współlokatora, który znalazł należący do zmarłego notes z adresami i postanowił zawiadomić jego bliskich. Wszyscy uwierzyli w tragiczną wiadomość.

Z początku Artem w Ameryce nie robił nic. Przywiózł ze sobą tyle forsy, że miał za co jeść i mieszkać. Przez ten czas starał się dobrze poznać amerykańskie realia i wymyślić, jakby tu ciekawie i wygodnie pożyć. Dość szybko skumał się ze środowiskiem podobnym do poprzedniego, a mianowicie imigrantami z Moskwy. Razem robili różne przekrety, typu fingowanie wypadków samochodowych i wyłudzenie pieniędzy od firm ubezpieczeniowych. Artem miał obywatelstwo amerykańskie, ale bardzo tęsknił za Rosją i chciał odwiedzić swój kraj. Wciąż też marzył mu się wielki numer. Lubił łatwe pieniądze i nie bał się ryzyka.

I tak pewnego dnia zjawił się nad Morzem Czarnym, gdzie mieszkałam i studiowałam. Poznaliśmy się na plaży. Miałam wtedy dwadzieścia jeden lat, on trzydzieści sześć, ale wyglądał młodziej; był wysoki, dobrze zbudowany, muskularny jak atleta. Do tego gładko ogolona twarz, czarujący uśmiech i orzechowe oczy, lśniące jak gwiazdy. Od razu mi się spodobał.

W wakacyjnym kurorcie, jakim jest Soczi, krótkotrwałe romanse są na porządku dziennym. Związki te, *zaczynające* się na ogół wielkim wybuchem namiętności, kończą się po kilku tygodniach. Dziewczyny czują się trochę jak bohaterki opowiadań z kobiecych pism. Doświadczają silnych emocji, uczą się czegoś nowego o mężczyznach, co może im się przydać w przyszłości. Są to takie praktyczne ćwiczenia, jak zdobyć i utrzymać przy sobie partnera. Każda wnosi do życia coś nowego oraz wzbogaca doświadczenie erotyczne.

Nie byłam prostytutką, po prostu miewałam krótkotrwałe przygody bez żadnych zobowiązań, takie przelotne zauroczenia drugą osobą. Po wakacjach te letnie znajomości trafiały na listę byłych sympatii i na tym koniec.

Niektórym kobietom zdarzało się angażować w dłuższe związki, trwające nieraz latami. Ich kochankowie przyjeżdżali tu co roku na urlop - oczywiście bez żon, aby móc swobodnie zaszaleć. W takim układzie mogło to trwać nawet dłużej, ponieważ kochankowie nie byli razem na tyle długo, żeby się sobą znudzić. Człowiek z każdym rokiem zmienia się zewnętrznie i wewnętrznie, więc widząc się po rocznej przerwie, można odnieść wrażenie, że ma się do czynienia z zupełnie nową osobą. Nie stwarza to także komplikacji dla mężczyzny, który odpoczywa, miło spędzając czas w towarzystwie kobiety.

Romanse z samotnymi mężczyznami, przyjeżdżającymi nad Morze Czarne, nie zawsze kończyły się spokojnym rozstaniem. Czasem były zazdrość i pretensje, gdy jedna ze stron pokładała zbyt duże nadzieje w znajomości i poczuła się boleśnie zawiedziona. A czasem wręcz przeciwnie, wakacyjna przygoda przeradzała się w trwały związek. Ukochany wracał, oświad-

czał się i zenił. Oczywiście były też miłości, kończące się nie-szczęśliwie, ale to głównie w przypadku głuptasek, które się naczytały Turgieniewa, a ich pojęcie o świecie i relacjach między mężczyzną i kobietą niewiele miało wspólnego z rzeczywistością. Przekonane, że miłość zwycięży wszystko, bezgranicznie wierzyły w obietnice swoich wakacyjnych kochanków i... zachodziły w ciążę, bo ogarnięte namiętnością, zapominały się zabezpieczyć. Kończyło się tym, że zostawały samotnymi matkami, które nie były w stanie zapewnić dzieciom godziwego życia. Z początku wierzyły, że ojciec dziecka wróci i jak je zobaczy, zostanie z nimi na zawsze. Ale, jak mówi rosyjskie powiedzenie, nie zatrzymasz mężczyzny, zachodząc z nim w ciążę. Wiem coś o tym z własnego doświadczenia. Mija czas iluzji, przychodzi twarda rzeczywistość. Żeby wykarmić dziecko, wiele kobiet, już pozbawionych na zawsze złudzeń, wkraczało na drogę grzechu.

Kiedy poznałam Artema-Iwana, sądziłam, że będzie to po prostu kolejna przygoda. W wieku dwudziestu jeden lat miałam pod tym względem spore doświadczenie. Postanowiłam go zdobyć na jakiś czas i udawałam, że bardzo mi się podoba. Ja jemu też wpadłam w oko, co od razu było widać. Stanowiliśmy dobraną parę. Byłam wtedy blondynką o włosach rozjaśnionych słońcem i miałam duże, śmiejące się, niebieskie oczy okolone długimi rzęsami. Wyglądałam na starszą, niż byłam naprawdę. Szczupła, długonoga, ze zgrabnym tyłeczkiem i sporym biustem.

To ja pierwsza zaczęłam rozmowę. Spytałam, czy uprawiał sport, i dalej już poszło gładko. Gdy powiedział, że przyjechał właśnie z Ameryki, zrozumiałam, dlaczego tak intensywnie

mi się przygląda. Był wyraźnie stęskniony ładnych Rosjanek. Jego oczy wprost krzyczały: „Chcę cię natychmiast, tu i teraz”. Rozbawiło mnie to i zaczęłam z nim flirtować, a on szybko podjął grę. Zadawałam mnóstwo pytań. Spacerowaliśmy po Soczi, siedzieliśmy na plaży, chodziliśmy do restauracji, całowaliśmy się. Na pewno nie miał żony, ale z czego żył, już trudno było wyczuć, taki był tajemniczy. Ja też nie opowiadałam zbyt wiele o sobie.

Moje życie w tym czasie wydawało mi się nudne i monotonne. Powiedziałam Artemowi, że studiuje i mieszkam z ojcem, który jest mechanikiem samochodowym, a poza tym chcę rozkręcić własny biznes. Zainteresowało go to, więc wyznałam, że myślę o agencji, oferującej seksturystykę. Wyjaśniłam, że w Soczi są świetne do tego warunki i może to być dochodowy interes.

Pomysł mu się spodobał i wyraźnie zyskałam w jego oczach. W tym momencie wyczułam, że jego specjalność to przekręty, afery i oszustwa. Natychmiast się ożywił, gdy była o tym mowa, adrenalina wyraźnie szła w górę. Aż żał byłoby stracić tak dobrą okazję, robiłam więc wszystko, żeby się we mnie zakochał. Wbrew solennym obietnicom, jakie złożyłam po rozstaniu z Witalikiem, świadomie dążyłam do jak największej bliskości w naszej relacji.

W dniu wyjazdu Artema do Kalifornii okazało się, że mój plan jest na najlepszej drodze do realizacji. On naprawdę się we mnie zadurzył. Już wcześniej napomykał, że chciałby mieć ze mną dzieci, a teraz znieścacka mi się oświadczył. W dodatku wszystko to działo się na lotnisku, gdy przyszedłam go pożegnać. Wyraźnie nie chciał być dłużej sam w Ameryce.

Najpierw ciągle wychodził na dwór na papierosa, jakby się czymś denerwował. Kiedy zaś ogłoszono, że pasażerowie mają się zgłaszać do odprawy, pocałował mnie mocno i przytulił, w potem wyjął z kieszeni małe aksamitne pudełeczko i poprosił, żebym została jego żoną. Było to tak piękne i wzruszające, że stojący obok nas ludzie zaczęli klaskać. Spory tłum w napięciu czekał na moją odpowiedź. Dla mnie Artem był nie tylko partnerem seksualnym, który dowartościowywał mnie, lecz także szansą na wyrwanie się z Soczi i nową, ciekawszą przyszłość. Więc się zgodziłam. Włożył mi pierścionek na palec i pocałował raz jeszcze na pożegnanie.

Kiedy myślę o tym teraz, mam wrażenie, że tak do końca nie wiedziałam wtedy, czy to prawdziwa miłość i szczerza propozycja, czy też w ten efektowny sposób postanowił zakończyć wakacyjną przygodę, chcąc pozostawić po sobie jak najbardziej romantyczne wspomnienie. A jednak dzwonił do mnie z Ameryki i to trzy razy dziennie, w tym raz zawsze wieczorem, przed pójściem spać. Był zazdrosny, bo wiedział, że wcześniej spotykałam się z kilkoma facetami, i chciał mieć pewność, że jest tym jedynym.

Któregoś dnia zatelefonował z wiadomością, że złożył podanie o wizę dla mnie jako swojej przyszłej żony. Wyraziłam radość. Bardzo chciałam wyjechać z Soczi, gdzie nic dobrego mnie nie czekało oprócz wakacyjnych romansów, a tego miałam już dosyć. Tu można było odnieść sukces tylko wtedy, kiedy się miało rodziców na odpowiednim stanowisku, a mój ojciec był zaledwie biednym, ciężko pracującym mechanikiem. Tym bardziej byłam mu wdzięczna za to, że zawsze dbał, żebym chodziła dobrze ubrana, miała wszystko i nie czuła się gorsza od

innych dzieci przez to, że moja mama umarła. Uważałam też, że najwyższa pora, by wreszcie odpoczął i zaczął żyć swoim życiem, nie martwiąc się o dzień jutrzejszy i o mnie.

W czasie gdy w USA rozpatrywano moje podanie o wizę, skończyłam studia i pilnie uczyłam się angielskiego, żeby dobrze wystartować w Stanach. Muszę wyznać, że moja miłość do Artema wygasła zaraz po jego wyjeździe. Oddalając się, przestawał być realny, stawał się wspomnieniem. Ale nadal go lubiłam. Sprawiał wrażenie człowieka odpowiedzialnego, a do swoich zamierzeń potrzebowałam silnego i mądrego partnera.

Całkiem nieźle mówiłam już po angielsku. Podobno jak się naprawdę czegoś chce i bardzo się stara, to zawsze udaje się osiągnąć cel. Swoje plany traktowałam poważnie. Zakładałam, że w Ameryce mogę napotkać nieprzewidziane trudności, więc obecność i wsparcie Artema były bardzo pożądane. A że go nie kochałam, to trudno. Najważniejszą rzeczą jest osiągnąć wyznaczony cel. Żałowałam jedynie, że zostawiam ojca samego. Bałam się, żeby nie zaczął pić i nie wpadł w alkoholizm. Oprócz mnie nie miał na świecie nikogo.

Raz, gdy miałam osiemnaście czy dziewiętnaście lat, wróciłam do domu dopiero o szóstej rano, a ojciec cały czas czekał na mnie na ławce przed domem. Zawsze, gdy wieczorem długo nie przychodziłam, siedział w kuchni przy stole, popijał herbatę i oglądał album ze zdjęciami z mojego dzieciństwa. Miałam wtedy wyrzuty sumienia. Bardzo się o mnie martwił, byłam dla niego najdroższą osobą na świecie.

Kiedy teraz zwierzyłam mu się ze swoich planów, ucieszył się ze względu na mnie. Już po paru minutach rozmowy z Artemem przez telefon zdecydował, że w jego ręce

może śmiało powierzyć swój skarb. Ojciec miał pięćdziesiąt dwa lata i nareszcie mógłby zacząć żyć własnym życiem. Gdy byłam mała, przysiągł mi, że w jego życiu nie będzie żadnej innej kobiety, że zawsze będzie kochać tylko mnie. Gala proponowała mu wspólne zamieszkanie, ale się nie zgodził. Nie chciał mi robić przykrości ani burzyć naszego życia we dwoje. Mimo to Gala zawsze była dla mnie miła. Czekala cierpliwie, wierząc, że nadejdzie dzień, kiedy będą razem. W końcu tak się stało.

Na wyjazd do Ameryki ojciec oddał mi wszystkie swoje oszczędności, czyli sto dolarów. Artem pokrył koszty wizy i podróży. W samolocie poznałam czterdziestoletniego Amerykanina, który miał na imię Rudy. Trzykrotnie już jeździł do Moskwy, żeby poznać Rosjankę, z którą mógłby się ożenić, ale za każdym razem coś nie wychodziło. Wierzył jednak, że w końcu znajdzie tę jedną jedyną, która da mu dzieci i stworzy ciepły dom. Wydał tysiące dolarów na te matrymonialne peregrynacje i gotów był wydać więcej, byle tylko spotkać odpowiednią osobę.

Artem powitał mnie na lotnisku Burbank z bukietem kwiatów. Przyjechał mercedesem i zaimponował mi swoim szykiem. Był bardzo serdeczny i poczułam się jak wieloletnia dobra przyjaciółka albo długo wyczekiwana narzeczona. Nadal udawałam wielką miłość. Koniecznie musiałam zostać jego żoną, gdyż to były drzwi do lepszej przyszłości. Trochę się nawet bałam, że nie ożeni się ze mną, jak obiecywał.

Zawiózł mnie do swojego mieszkania w Beverly Hills. Od pierwszego wejrzenia zakochałam się w Ameryce, lecz wcale nie z powodu palm, drapaczy chmur i wszechobecnych pie-

niędzy. Czułam, że w tym kraju spełnią się moje marzenia i że czeka mnie piękne życie. Aby zostać na stałe, gotowa byłam na wszystko.

Pojechaliśmy do Las Vegas, by jak najszybciej wziąć ślub. Doskonale pamiętam te kolorowe światła, stoliki do gry, ruletkę i nałogowych graczy, gotowych postawić ostatni grosz na wirujące koło. Myślałam sobie wtedy, że Ameryka jest dla mnie jak kasyno. Muszę zagrać i wygrać miliony. Trzeba zaryzykować.

Zatrzymaliśmy się w hotelu Bellagio. Grając w kasynie w ba-karata, wdałam się w rozmowę z sąsiadem, który okazał się jeszcze jednym Amerykaninem, szukającym żony Rosjanki. Bawił mnie ten stereotyp zakładający, że Rosjanka musi być koniecznie idealną panią domu, kobietą ciepłą i troskliwą, nie-wymagającą wiele dla siebie. Takie chodzące ideały dawno już przestały istnieć. W Rosji nie ma takich kobiet. Oczywiście zawsze mogą trafić się wyjątki, ale należy je traktować jak wygraną na loterii.

Kobiety w Rosji do pewnych zachowań zmusza sytuacja ekonomiczna. Przecież gdyby miały więcej pieniędzy, to czy nie zatrudniałyby kucharek i pokojówek? Po przyjeździe do Ameryki szybko porzucają role kur domowych. Zmieniają się, stają się zupełnie innymi osobami. Ale sympatyczny znajomy z kasyna wolał fantazje, że w Odessie, dokąd jeździł służbowo, znajdzie w końcu taką idealną żonę. W pewnym momencie zrozumiałam, że pociąga go sam rytuał szukania, bo tak naprawdę nie potrafi podjąć decyzji o związaniu się z kimś na stałe. Był to jego sposób spędzania czasu. Schlebiało mu, że kobiety na niego lecą. Dla nich zaś liczyła się jedynie możliwość wyjazdu do Ameryki, o czym on zresztą doskonale wiedział.

Podczas tej rozmowy przyszedł mi do głowy ciekawy pomysł, jak można zarobić, nie inwestując wiele. Przypomniałam sobie jednak radę ojca, że decyzję należy podejmować rano, a nie wieczorem, i dałam sobie czas na dalsze przemyślenia. Nie zwierzałam się na razie Artemowi.

Ceremonia ślubna trwała niecałą godzinę i szybko wróciliśmy do Kalifornii, gdzie złożyliśmy podanie o dokumenty dla mnie. Muszę tu z żalem stwierdzić, że od razu skończyły się romantyczne gesty Artema z narzeczeńskich czasów. Stał się niesympatyczny, kłótlivy, zarozumiały i skąpy. Stale krytykował mój wygląd i twierdził, że fatalnie gotuję, choć jadł przyrządzone przez mnie potrawy z widoczną przyjemnością. Złościł się, że nie umiem sprzątać, po czym kazał mi to robić jeszcze raz pod swoim czujnym nadzorem.

Wyglądałam dużo ładniej, niż kiedy się poznaliśmy w Soczi, ale jemu ciągle coś się nie podobało. A przecież kobieta przed dwudziestym piątym rokiem życia otwiera się i kwitnie jak najpiękniejsza róża. Ze spokojem znosiłam te jego humory. Nie mogłam przecież zrezygnować z tego, co dotąd osiągnęłam, i wracać do Rosji bez grosza przy duszy, choć prawdę mówiąc, czułam się w naszym związku jak w więzieniu. Ale wyrok trzeba odsiedzieć, dopiero wtedy można wyjść na wolność. Mój wyrok opiewał na dwa lata. Po tym czasie wreszcie wezwano mnie na rozmowę i dostałam zieloną kartę. Dotąd nie mogłam pojechać do Rosji odwiedzić ojca, bo Artem się nie zgadzał. Pozwalał mi tylko rozmawiać z nim przez telefon. Ojciec zamieszkał z Galą, a nasze mieszkanko wynajął i miał z tego dodatkowy dochód.

Artem nie twierdził wcale, że mnie już nie kocha ani nie żądał separacji. Po prostu stał się panem i władcą, a ja mia-

łam być jego pokorną niewolnicą. Nieco się *przeliczył*. Byłam na tyle odporna emocjonalnie, że mogłam sobie pozwolić na granie roli niewolnicy. Udawałam, że bardzo go kocham, rzucałam mu się do nóg i błagałam, żeby mnie nie zostawiał, bo umrę bez niego. Odgrywane przeze mnie komedie poprawiały mu nastrój, czuł się pewny siebie i bardziej męski. Nie obchodzi mnie moralna ocena takiego postępowania. Dla mnie było to jak bieg w maratonie, kiedy wreszcie pojawia się na horyzoncie linia mety i pozostaje zdobycie się na ostatni wysiłek, żeby dobiec do końca.

Postanowiłam pójść do pracy. Artem nie protestował, tylko uprzedził, że ma mi to nie przeszkadzać w domowych obowiązkach. Obiecałam, że nie będzie, i słowa dotrzymałam. Podjęłam pracę w agencji matrymonialnej, rekrutującej kandydatki z Rosji, dzięki czemu poznałam bliżej kryteria wyboru i konkretne wymagania Amerykanów w stosunku do przyszłych żon. Płacono mi trzysta dolarów tygodniowo, a to wystarczało, żeby odłożyć trochę i sto dolarów miesięcznie wysłać tacie.

Teraz rzadko współżyliśmy fizycznie. Artem uważał to za rodzaj kary, że skazuje mnie na seksualny post. Uwielbiał, jak błagałam, żeby się ze mną kochał, i czuł się wtedy jak jakiś Casanova. No to błagałam, ale wyłącznie po to, żeby utwierdzić go w przekonaniu, że strasznie mi na nim zależy. Kwiaty, prezenty i śniadania do łóżka skończyły się już dawno, ale ja i tak miałam w nosie jego starania. Przed ślubem zabiegał o moje względy, bał się mnie stracić i nie spuszczał mnie z oka. Po ślubie wydawało mu się, że mnie trzyma jak na smyczy i że już nie ucieknę, przynajmniej przez pierwsze dwa lata.

Nadszedł dzień rozmowy w urzędzie imigracyjnym. Wszystko poszło świetnie i zaraz potem Artem oznajmił uroczyście: „Mariszko, dziś zdałaś u mnie egzamin z wynikiem celującym. Teraz mam pewność, że naprawdę mnie kochasz oraz akceptujesz takiego, jaki jestem, i to niezależnie od tego, jak cię traktuję. Całe życie marzyłem o takiej kobiecie i takim związku”. Jego oczekiwania wobec partnerki wynikały z wcześniejszych relacji z matką. Ojca w ogóle nie znał, a matka stale opowiadała jakieś nierealne historie o „prawdziwych” kobietach, podkreślając, do czego są zdolne dla ukochanego mężczyzny.

Usłyszawszy te słowa, tylko się śmiałam w duchu. Właśnie odniosłam moje pierwsze zwycięstwo. Zieloną kartę miałam już w kieszeni, a Artem kochał mnie jeszcze mocniej niż przed ślubem. Ale zapewne znów się bał, bo teraz, gdy miałam dokumenty, mogłam go rzucić. Na razie jednak nie zamierzałam tego robić, gdyż wciąż był mi potrzebny.

W czasie, gdy spotykaliśmy się w Soczi, Artem poznał Miszę, wywodzącego się z tego samego co on środowiska przestępczego. Misza miał równie wygórowane ambicje i potrzeby, ale brakowało mu sprytu i polotu. Sprawiał wrażenie inteligentnego, był po trzydziestce, chodził zawsze w porządnym garniturze i pod krawatem. Miał rude włosy i twarz usianą piegami. Wyglądał nawet sympatycznie i całkiem niegroźnie. Jak pozory mogą mylić! Misza i Artem chcieli razem robić biznes, tylko się jeszcze zastanawiali, co to ma być.

Po dwóch latach życia z Artemem postanowiłam mu w końcu zaufać - oczywiście do pewnego stopnia. Wspólna praca dałaby mi wiele korzyści. Artem był niegłupi, aleja byłam mądrzejsza. Mówi się, że mąż jest głową, a żona szyją, która tą

kręci. Jedną z cennych umiejętności kobiety jest to, że *jak chce*, to potrafi wmówić mężczyźnie, iż dany pomysł wyszedł od niego. Zapewniam, że niełatwo jest być żoną.

Bardzo ostrożnie podsunęłam mój pomysł Artemowi. Zrobił na nim wrażenie, a jednocześnie mój mąż chodził dumny jak paw, bo mu się wydawało, że to on wszystko obmyślił. Miał wyszukiwać bogatych Amerykanów i udając pracownika agencji matrymonialnej, rekrutującej żony z Rosji, obiecywać znalezienie idealnej kandydatki. Miałam być nią oczywiście ja: posiadaczka zielonej karty od kilku lat przebywająca w Ameryce, osoba znająca język i wykształcona. Miałam wszystkie cechy, których Amerykanie oczekiwali od wymarzonych małżonek, a że znałam już życie w Ameryce, nie groził mi kulturowy szok, kłopoty językowe ani depresja z powodu znalezienia się w zupełnie obcym środowisku.

Wymyśliliśmy prostą historyjkę: trzy lata temu przyjechałam do Ameryki do pracy i zakochałam się w Amerykaninie, który po ślubie okazał się tyranem i potworem, znęcał się nade mną psychicznie i fizycznie. Po otrzymaniu dokumentów pobytowych pojechałam z nim do Włoch. Liczyłam jeszcze, że się zmieni i uratujemy nasz związek. Ale nic z tego nie wyszło, więc po powrocie się z nim rozwiodłam. W związku z tym musieliśmy się z Artemem rozwieść, żeby w razie czego móc okazać dowód czarno na białym. Zrobiliśmy to bardzo szybko.

Ciąg dalszy historyjki był taki, że postanowiłam wrócić do Rosji, bo bardzo chciałam założyć rodzinę i liczyłam na to, że w Rosji spotkam tego jednego jedyne. O niczym innym nie marzyłam, tylko żeby mieć dzieci i gotować obiady dla męża. Pewni byliśmy, że rybka szybko skusi się na przynętę, a jak zo-

baczy moje zdjęcie, od razu poleci do Rosji i wtedy znajdzie się na haczyku. A zatem musiałam udać się do Rosji. Akurat w tym czasie odbył się ślub ojca i Gali, a ja bardzo chciałam na nim być, więc wszystko świetnie się składało.

Artem uważał, że choć oficjalnie jesteśmy po rozwodzie, to tak naprawdę nie przestaliśmy być mężem i żoną, co dla niego oznaczało, że ma nadal prawo mnie kontrolować. Ale tak mu się tylko zdawało, boja miałam swoje własne plany. Nie chciałam się wcale odgrywać za tamte upokorzenia, lecz osiągnąć zamierzony cel: zarobić duże pieniądze.

Wkrótce po skromnym ślubie i weselu ojca Artem zadzwonił do mnie z wiadomością, że znalazł kandydata. Jakiś czas chodził na eleganckie przyjęcia, wystawy i inne imprezy towarzyskie i kulturalne, żeby namierzyć odpowiednią osobę, i znalazł naszą pierwszą ofiarę na Florydzie. Brian był bogatym amerykańskim Żydem, właścicielem sieci sklepów jubilerskich w Nowym Jorku, Bostonie i Chicago. W każdym z tych miast miał własny duży dom, a poza tym kolekcję samochodów: lek-susa, mercedesa, bmw i hummera. Wszystko wskazywało na to, że powinien mieć też narzeczoną. Tymczasem, jak się okazało, brakowało mu szczęścia w miłości.

Na Florydę przyjechał na festiwal muzyczny, a towarzyszyła mu dziewczyna, która szybko puściła go w trąbę, bo jej się trafił facet przystojniejszy i bogatszy. Artem poznał Briana w barze w hotelu Marriott, gdy ten w rumie Capitan Morgan topił miłosne cierpienia. Moment był idealny, gdyż dosłownie chwilę przedtem doszło do kłótni między Brianem a jego rywalem, wyjątkowo atrakcyjnym mężczyzną. Artem był przypadkowym świadkiem.

Najpierw zaczął Briana pocieszać, a potem przedstawił się jako pracownik agencji matrymonialnej i w którymś momencie podsunął moje zdjęcia. Mówił o mnie same dobre rzeczy i żeby brzmiały jeszcze bardziej wiarygodnie, zwierzył się, że sam się we mnie zakochał i ożeniłby się natychmiast, gdyby nie to, że ma żonę i dziecko. Dał przy tym popis gry aktorskiej na miarę Oscara, a w dodatku był świetnie ucharakteryzowany, bo za pomocą różnych sztuczek umiał zręcznie zmieniać wygląd. Przyczepiał sztuczne wąsy i brodę, miał szkła kontaktowe w kilku kolorach, farbował włosy, a nawet wypychał sobie poduszką koszulę, żeby wyglądać na grubszego. Wszystko po to, żeby trudno go było potem rozpoznać.

Na widok mojej fotografii Brian zapomniał o rozpaczy. Mocno już pijany, zaczął się zwierzać Artemowi, opowiedział

o swojej pracy i sytuacji materialnej, a na koniec dał mu wizytówkę. Umówili się nazajutrz w południe w tym samym barze. Przez noc Artem dokładnie go sprawdził i utwierdził się w przekonaniu, że trafia się doskonała okazja zdobycia pieniędzy na rozkręcenie interesu. Skontaktował się z Miszą

i dokładnie poinstruował, co ma robić. Misza otrzymał w naszej grze rolę rosyjskiego przedstawiciela amerykańskiej agencji matrymonialnej „Russian Beauty”. Wszystko szło zgodnie z planem. Ja miałam wyglądać olśniewająco, być miłą dla Briana i wmawiać mu, że świata poza nim nie widzę.

Założyliśmy konta e-mailowe i porozumiewaliśmy się głównie przez internet, zachowując wszelkie możliwe środki ostrożności. Wchodziliśmy do sieci tylko w kafejkach internetowych, za każdym razem w innej, żeby nie można nas było namierzyć.

Nazajutrz Artem spotkał się z Brianem, który powiadomił go, że już telefonował do biura podróży i załatwia rosyjską wizę. Artem przy nim zadzwonił do mnie, przedstawił się po angielsku jako pracownik agencji i spytał, czy zgodzę się porozmawiać z jednym z kandydatów przez telefon. Brian był bardzo onieśmielony i zdenerwowany, aż się jąkał i z trudem oddychał. Usłyszałam komplementy na temat mojej niezwyklej urody, pięknego głosu i doskonałej znajomości angielskiego.

Rozmawiałam bardzo uprzejmie, obiecałam, że chętnie się z nim spotkam w Soczi i oprowadzę po najbardziej romantycznych miejscach. Niestety, numer telefonu, pod który zadzwonili, nie będzie dłużej aktualny, ponieważ sprzedałam stare mieszkanie i kupiłam nowe, gdzie nie ma jeszcze doprowadzonej linii telefonicznej. Istnieje wprawdzie szansa, że jakiś cud się stanie i dadzą mi telefon bez kolejki, ale raczej niewielka, bo na ogół w takich przypadkach czeka się rok. Dzięki temu miałam pretekst, żeby się porozumiewać tylko mailem, i powód do narzekania na trudne warunki życia w Rosji.

Brian zareagował zgodnie z naszymi przewidywaniami i obiecał, że będzie często do mnie pisał. Artem dał mu fałszywą wizytówkę na nazwisko Victor Shipko, z numerem telefonu, który stale był zajęty, gdy się dzwoniło. Jedyнным sposobem porozumiewania się pozostawał więc internet.

Nazwisko Victor Shipko i nazwa agencji „Russian Beauty” były jak najbardziej prawdziwe. Rzeczywiście istniała taka agencja i człowiek o tym nazwisku. Z początku Brian nie był wcale taki ufny i sprawdził, czy firma działa i czy pracuje tam Victor Shipko, a potem dopiero spytał Victora-Artema, gdzie

ma przysłać czek na sześć tysięcy dolarów. Tyle kosztowało spotkanie ze mną, hotel i honorarium dla Miszy.

Cena wprawdzie wysoka, ale agencja, dla której Artem niby pracował, miała tylko najlepsze oferty i gwarantowała usługi na najwyższym poziomie. Uwierzywszy, że tak jest, ludzie na ogół nie żalowali grosza. Jak mówi stare przysłowie, skąpy dwa razy płaci. Dla Briana koszty nie miały większego znaczenia. W końcu szczęście nie ma ceny. Ludzie gotowi są zapłacić za nie każdą sumę. Szczęście jest warunkiem istnienia duszy, a pieniądze — tylko konta bankowego.

Artem dostał od Briana żadaną kwotę i dał mu mój adres mailowy. Zaczęliśmy korespondować. Z początku listy te były nieśmiałe, potem coraz bardziej ciepłe i czułe. Wreszcie Brian przyjechał z pierścionkiem, gotów do oświadczyn. Przed przyjazdem przysłał mi swoje zdjęcie, ale mimo to, kiedy zobaczyłam go na lotnisku, omal się nie rozplakałam. Nie wyobrażałam sobie, jak będę się z nim pokazywać publicznie, trzymać za rękę, całować i Bóg wie, co jeszcze. Był niski, gruby i mocno łysiał. Jak mówi przysłowie, mężczyzna powinien być tylko trochę ładniejszy od diabła. Trudno orzec, czy tak było w tym przypadku, ale w grę wchodziły setki tysięcy dolarów, więc żał byłoby się wycofać.

Zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami, na lotnisku czekał na niego też Misza, udający przedstawiciela agencji. W grubych okularach na nosie Brian wyglądał jak Austin Powers. Szedł, rozglądając się niespokojnie, i gdy zobaczył swoje nazwisko na kartce, którą Misza trzymał w górze, natychmiast ruszył w naszą stronę. Był tak niski, że przy powitaniu dmuchał mi w dekolt, a żeby mnie pocałować w policzek, musiał się wspiąć

na palce. Powiedziałam mu, że nastąpiła drobna zmiana planów i nie jedziemy do hotelu, tylko Misza obwiezie nas po Soczi, a potem pojedziemy do domku nad morzem. Po drodze Misza opowiadał o klimacie Soczi, a ja dotykałam ręki Briana i patrzyłam mu w oczy.

Brian włożył mi na palec pierścionek z brylantem. Był zachwycony, że w rzeczywistości jestem jeszcze ładniejsza niż na zdjęciach. Ciągłe powtarzał, że całe życie szukał takiej kobiety. Ja z kolei mu wyznałam, że już podczas naszej pierwszej rozmowy telefonicznej czułam, iż znalazłam mężczyznę moich marzeń.

Postój zrobiliśmy w ormiańskiej restauracji. Zjedliśmy szaszłyk ze świeżymi pomidorami — pycha. Upieczony był na węglu, małe kawałki mięsa zamarynowano przedtem w occie. Zauważyłam, że Briana stale swędziało nos. Miał ogromne oczy, które kojarzyły mi się z ważką.

Wieczorem Misza zawiózł nas do domku nad morzem. Miałam na sobie piękną bieliznę, wzięłam też na wszelki wypadek jedwabny peniuar. Bałam się. Nie miałam ochoty iść do łóżka z nieznanym, w dodatku odpychającym fizycznie. Misza zostawił nam butelkę wina.

Brian proponował, że kupi mi różne prezenty i to w najlepszych butikach. Odmówiłam, co go zdziwiło. Zaoferował, że notarialnie zrobi mnie współwłaścicielką wszystkich swoich domów i samochodów. Odparłam, że nie zależy mi na jego pieniądzach, tylko żeby być z nim. Jeszcze bardziej się zdziwił. Obiecał, że nigdy nie będę musiała pracować. Ja na to, że chcę pracować i tak jak on zarabiać na nasze wspólne życie. Jedynym moim warunkiem jest to, że ślub musimy wziąć w Soczi, bo moja najlepsza przyjaciółka, którą chciałam

poprosić na świadka, jest w ciąży i nie może w tym stanie lecieć do Ameryki.

Potem rozplakałam się z powodu rosyjskiej biurokracji i tego, że na ślub musimy czekać co najmniej miesiąc. Brian przytulił mnie i pocieszył, że nazajutrz da Miszy pieniądze na łapówki i załatwimy sobie ślub w kilka dni. Zadzwoiłam do Miszy, który zjawił się natychmiast i wziął dwa tysiące dolarów, jak również paszport mój i Briana oraz nasze prawa jazdy, co było konieczne do wypełnienia potrzebnych dokumentów.

Brian nie mógł uwierzyć swemu szczęściu. Patrzyłam mu czule w oczy, cały czas myśląc głównie o tym, ile też uda się nam z niego wycisnąć. Misza prędko wrócił i zaproponował Brianowi wieczór kawalerski we dwóch, ponieważ był jedynym mężczyzną, jakiego Brian znał w Soczi. Pocałowałam Briana przed wyjściem i zapowiedziałam, że będę czekać choćby całą noc na jego powrót.

Zaraz po ich wyjściu zadzwonił do mnie Artem. Dowiedział się, że Brian był zamieszany w handel kokainą. W dodatku namierzono go w Tajlandii, gdzie chodził do klubów dla pedofilów. Istnieją kompromitujące go zdjęcia z takich miejsc. Informacje te były dla nas bardzo cenne.

Nadszedł dzień ślubu i wtedy Misza przyniósł złe wieści. Oznajmił mi, że mam nie wychodzić za Briana, bo jest podejrzany o przestępstwo. Przerażony Brian ostro zażądał wyjaśnień, skąd ta wiadomość. Szybko jednak spuścił z tonu, gdy Misza wyjaśnił rzeczowo, że za ukrywanie prawdy i narażanie mnie oraz ewentualnego dziecka na wielkie nieprzyjemności ma zapłacić zaraz milion dolarów gotówką, inaczej wszystkie informacje trafią do amerykańskiej prasy i do policji. Artem

przysłał nawet wydruk z akt tajskiej policji, gdzie wyraźnie postawiono zarzut handlu narkotykami, i dołączone zdjęcia z małymi dziećmi.

Brian zaczął krzyczeć i grozić, że pójdzie na milicję i znajdzie adwokata, który obroni go przed kłamliwymi pomówieniami. Misza odparł spokojnie, że może w innych krajach znalazłby adwokata, ale nie w Rosji, a milicja w ogóle się tą sprawą nie zajmie, bo z materiałów niezbitnie wynika, że Brian jest winny. Może co najwyżej wsiąść w pociąg, pojechać do najbliższej ambasady amerykańskiej i tam prosić o pomoc. Ale to niemożliwe, bo bez dowodu tożsamości nie kupi biletu. Nie ma zatem wyboru. Poza tym, gdyby zgłosił się do ambasady, jego kryminalna przeszłość stałaby się znana w Stanach Zjednoczonych, co oznaczało finansową ruinę, zniszczoną reputację i lata więzienia. A jak nam zapłaci, to nikomu nie powiemy i oddamy zdobyte dowody.

Tak więc udaliśmy się we troje do najbliższego zagranicznego banku i tam, niemal z rewolwerem przystawionym do skroni, Brian dokonał wypłaty z konta. Uciec nie miał dokąd, nikogo w Soczi nie znał, więc nikomu nie mógł się poskarżyć. Zresztą i tak nikt by mu nie pomógł. W ten sposób Artem, Misza i ja zarobiliśmy milion dolarów. Odwieźliśmy Briana na lotnisko i daliśmy mu klucz do schowka, w którym znajdowały się jego dokumenty. Dostał do ręki obciążające go dowody, więc wszyscy byli zadowoleni - nawet on. Przed odjazdem powiedział: „Niezłe z was gagatki. Nienawidzę was, ale cieszę się, że uszedłem z życiem”.

Byliśmy bardzo zadowoleni z obrotu spraw. Kilka tygodni po wyjeździe Briana wróciłam do Ameryki. Nie zwierzając się Artemowi, kupiłam w Miami dwupokojowe mieszkanie z wi-

dokiem na ocean. Wszystkie sprawy papierkowe załatwiłam przez agencję nieruchomości, która także zgodziła się zająć w moim imieniu wynajmem.

Znów byliśmy z Artemem razem, a ja udawałam kochającą żonę. Pękał z dumy, patrząc na mnie. Pewien był, że go Kocham, że nie mogłabym żyć bez niego. Wypiliśmy butelkę szampana z okazji naszego pierwszego zwycięstwa.

Niebawem znów poleciałam do Soczi, bo czekała następna robota. Przyjeżdżał kolejny amerykański narzeczony i musiałam się przygotować na jego przyjęcie. Artem i Misza znów spisali się znakomicie. Byłam w tej spółce przez blisko półtora roku.

Po doprowadzeniu do pomyślnego dla nas finału sprawy niejakiego Toma, bankiera z Massachusetts zamieszanego w zabójstwo swojego wspólnika, miałam wrócić do Artema. Nigdy nie dojechałam i on dotąd nie wie, co się ze mną stało. Uznałam, że czas wycofać się z niebezpiecznej gry. Zrobiłam to po cichu, nikomu nie mówiąc ani słowa. Gdy odchodziłam, miałam trzy apartamentowce i dwa luksusowe domy w różnych miastach Ameryki. Z początku mieszkałam z ojcem i Galą w Rublowce. Są to bogate przedmieścia Moskwy, gdzie stoją rezydencje zamożnych ludzi. Kupiłam ojcu i Gali piętrowy dom i jeepa. On myślał, że pieniądze mam od Artema, którego niezmiennie uważał za ukochanego męża swojej najdroższej córki. Nie miał pojęcia, że przez ostatnie półtora roku mieszkałam w Soczi, rzut kamieniem od niego, i w tym czasie zaledwie dwa razy widziałam się z „ukochanym mężem”, a głównie zajęta byłam innymi kandydatami do mojej ręki. Cieszyłam się, że mogę się ojcu odwdziaczyć, zapewnić mu wygodne życie i spokojną starość.

Rynek nieruchomości w Ameryce prosperował znakomicie i sprzedawałam swoje domy za niezłą cenę. Zostawiłam tylko apartament w Miami, ponieważ lubię tam jeździć na wakacje. Resztę pieniędzy ulokowałam bezpiecznie w banku na Kajmanach. Kupiłam też penthouse w Sankt Petersburgu. Mam cudownego przyjaciela i psa, którego nazwałam Artie. Chcę mieszkać i w Rosji, i w Ameryce. Chodzi mi już po głowie nowy plan, jak zarobić następne pieniądze. Może kiedyś o tym opowiem. Nauczyłam się jednego: jeśli chcesz żyć dobrze, musisz być w ciągłym ruchu. Artem był za bardzo pewny siebie. Uważał mnie za swoją własność i się przeliczył. Złe jest nie mieć pieniędzy, ale to prawdziwy wstyd, kiedy człowiek klepie biedę. Żaden sposób zarabiania nie hańbi. Mam dwadzieścia sześć lat i moje życie dopiero się zaczyna.